


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



KORDECKI

J. I. Kraszewski

TOM PIERWSZY

I

Na podniosłym, kamienistym wzgórzu, wśród okolicy zasianej wioskami, pagórkami, na których sterczą zamków zwaliska, i piaszczystymi przestrzeniami, wśród widnokregu opasanego w dali sinych wzgórków pasmem, wznosi się klasztor i kościół częstochowski, około którego siedziby ludzi, lasy, pola, grody, kaplice zdają się, jak ciżba posłuszna przed panem, pochylać czoło. Stary ten gmach warowny, zamczysko Maryi, budowany powolnie przez długie wieki, obwiedziony murem jak rycerskim pasem, którego brama zdaje się z dała kłamrą ozdobną, ścianami kościoła wybiegł wysoko ponad inne budowle, a wyżej jeszcze nad nie wieżycą z gankami wspięła się pod obłoki, na ramionach krzyż piastując złocisty. Nieco niżej, pod cieniem jego, na dachu kościelnym, w promienistym kole, obraz Najświętszej Panny wskazuje mnogim z daleka pielgrzymom, że tu ich Opiekunki stary a święty wizerunek złożono. Dokoła gmachu kościelnego cisną się przybudowane kaplice, ule, z których, jak brzęki pszczoł, dolatują głosy modlących się zakonników, pszczołek tej Bożej pasieki. Tuż blisko kilku facjatom¹ bieje klasztor obszerny i piękny, po którym znać, że go królewskie i książęce wznosiły dłonie, że go troskliwa wiernych zdobiła pobożność, że go rozszerzała gorliwość ludu o chwałę Bożą i chwałę Maryi. Wcześniej to święte miejsce, w rycerskim kraju na pograniczu stojące, kilkakrotnie napadane i rabowane, przywdziało zbroję mурową. Po rogach kortyn² strażnice krągłe i czworogranne, różnych lat i pochodzenia, z kolei przyszły pilnować Jasnej Góry i zwrócone w różne strony poglądają, jakby czuwały od nieprzyjaciela.

U podnóża góry, o kilkaset kroków od twierdzy jasnogórskiej, niewielki kościółek św. Barbary, świeżej jeszcze (w roku 1655) budowy, bo lat zaledwie kilkadziesiąt liczący, błyszczy się ponad nowicjatu klasztornego kamienicą. Z drugiej strony kościół św. Rocha, patrona od morowej

¹ Facjata – przednia część budynku.

² Kortyna – mur łączący dwa bastiony (strażnice).

zarazy, łączy niejako twierdzą z miasteczkiem klasztornym, którego fara starożytna ponad czarne dachy mieszczańskich domostw dźwiga się poważnie. Dokoła murów (znać dawno nie widziały wojny i nie służyły za ochronę) poczepiały się swobodnie drewniane kletki, jak gniazda jaskółek, coraz rozprzestrzeniając się dalej a szerzej. Są to kramiki przekupniów, którzy pod murami klasztoru stoją, czekając na pielgrzymów, z pamiątkami Jasnej Góry; znajdziesz u nich obrazki Bogarodzicy, wielkie i małe, drogie i tanie, złociste i skromne, na blasze i na papierze; pobożne książeczki, pieśni na chwałę Bożej Matki, szkaplerze z Jej imieniem, krzyżyki, paciorki, różańce i owe listy misternie sztychowane, w których środku błyszczy obraz cudowny, i tysiące innych drobnostek, co je w każde święto i niedzielę święcą paulini u ołtarza, ocierają o cyprysową deskę i rozdają nazad wędrowcom. Znaczna tu część uboższych mieszczan pod płaszczem swej Opiekunki na życie zarabia, żywiąc się pobożnością tłumów, które falami płyną do cudownego obrazu.

I dziś tu niepusto; lecz jakże to było w święte owe, w złote wieki wiary niezachwianej jeszcze i gorącej czci Bogarodzicy! Nie tylko Polska cała, Ruś, Litwa, Śląsk pograniczny dostarczały pobożnych pątników; słały je Czechy, Morawy, Węgry i Niemcy i dalsze świata kraje, bo obraz częstochowski na cały świat słynął. I jak do Rzymu z południa, tu z całego północo-wschodu Europy długie karawany pielgrzymów szły z modlitwą i pieśnią do Orędowniczki strapionych. Jak w ognisku wielkiego koła skupiają się promienie, tak tu jednoczyły się i spotykały ze wszech stron biegnące tłumy, schodząc się pod Jasną Górą z jednymi łzami, z jedną modlitwą: Poratuj!

Ci szli pieszo, bogate wiodąc za sobą cugi i liczne dwory, których pomocy dobrowolnie się wyrzekali; drudzy powolniej jeszcze, trzy kroki naprzód, dwa nazad postępując, sunęli się z gorliwymi prośbami; inni pielgrzymowali o chlebie i wodzie, inni o jałmużnie i ubóstwie umyślnym, ofiarowanym Bogu, inni pokutując wlekli się na kolanach, dźwigając na sobie krzyże i ciężkie łańcuchy; a wszyscy ci cierpiący boleścią i cierpiący grzechem, zbolali i potrzebujący pomocy, schodzili się, ubogi z bogatym, wieśniak z senatorem, razem u jednego ołtarza, równymi dziećmi jednej Matki. Piękny to był i rozrzewniający widok, gdy naprzeciwko strudżonym pielgrzymom wychodzili paulini z krzyżem, chorągwiemi, witając ich i wiodąc do przybytku, którego straż powierzona im była. Znużonym przybywało naówczas siły, wypłakane

oczy lżą się świeżą zlewały, modlitwa gorliwszą i gorętszą wyrывała się z ust spiekłych i każdy, padając na twarz przed odsłoniętym obrazem, uczuwał, jakby mu brzemień wielkie z ramion się stoczyło, jakby cały ciężar bólesci złożył u stóp Najświętszej Matki.

Obraz ten na Jasnej Górze od wieków już przyświecał Polsce błogosławionym światłem cudu, budząc w sercach wiarę, przywołując grzeszników ku sobie, syjąc jak promieniami łaski dokoła. Nie było nikogo, co by stąd odszedł nie pocieszony, nie rozrzewniony, nie uspokojony na duszy, maluczką ofiarę swej bólesci złożywszy przed Matką Tego, który, Bogiem będąc, chciał dla nas cierpieć jak człowiek i jak złoczyńca umierać. Wpatrując się w obraz tej Matki Bolesnej, tego ukrzyżowanego Boga, mało i drobiało cierpienie ludzkie wspomnieniem wielkiej, krwawej, tajemniczej ofiary.

Od XIV wieku piastowała obraz Jasna Góra, a królowie i książęta, ubodzy i żebracy zarówno z możnymi, do podniesienia tego tronu Patronki Królestwa się przyczynili. Każdy tu przyniósł, co mógł; król dał garść złota, hetman buławę swoją wieszał u obrazu, ubogi święcił mu pierścień swój ślubny, żebrak woskową nogę lub rękę lnem obwiniętą kładł z groszem u skarby, biskup przekazywał swój kielich złoty, szlachcic zawieszał lampę; każdy stroił, ubierał, bogacił to miejsce, imię swe zapisując dobrodziejstwem. I z tych ofiar tysiącznych wznosił się powoli kościół, dźwignęły mury klasztorne, wyrosła wieżyca, zabłysły ołtarze, lane ze srebra posągi świętych stanęły orszakiem przy obrazie Bogarodzicy, a skarbiec stał się istotnie skarbcem, bo w nim droższe od klejnotów gromadziły się pamiątki.

Nie było domu, nie było kościoła, gdzie byś Najświętszej Panny Częstochowskiej nie znalazł – a cudami wslawione Jej wizerunki rozsiane były po całym kraju: w Głogówku na Śląsku, w Sokalu na Rusi, w Topolnie pruskiej, w Uchaniu na Wołyniu, w Oporowie w księstwie Łowickim, w Mstowie, Krakowie, w Neustadt w Austrii, w Rzymie nawet pobożni, nie mogący dostać się do Częstochowy, znajdowali obrazu świętego Łukasza kopie, równie cudowne jak cyprysowa deska, na której, wedle podania, ewangelista w chwili natchnienia odtworzył oblicze Najświętszej Niewiasty. Drobne obrazeczki były wszędzie, w chatkach wieśniaków, nad łóżem ubogim, na zbroi szlachcica, na pierścieniach kobiet, u mniszych różańców.

Możemyż nie powiedzieć choć słów kilku o dziejach tego miejsca i obrazu?

Wieżę niesie, że św. Łukasz, malarz ewangelista, ów patron artystów, twarz Bogarodzicy sam w zachwycie odmalował na stoliku cyprysowym, który służył Świętej Dziewicy, na którym, wedle słów legendy, „roboty odprawowała i Pismo Święte czytała, o tajemnicach i rzeczach niebieskich rozmyślając. Stolik ten, tablicę tę, łzami swemi świętymi skrapiała i poświęcała, a gdy posiłku było potrzeba, przy nim używała pokarmu”.

Na tej desce cyprysu, którą sam Jezus, przybrany syn ubogiego cieśli, miał ręką wszechmocną na prosty stół dla matki wyciosać, dając nam przykład pracy, malarz święty twarz Bogarodzicy z synaczkami na ręku wyraził dla pobożnych niewiast jerozolimskich. Obraz w ciągu wieków przechodził dla wielu, nim się do Polski dostał. Miała go sobie objawiony cesarzowa Helena³ (gdy i w zburzeniu Jerozalem przez Tytusa⁴ cudownie ocalał) i uwiozła go z sobą do Konstantynopola. Irena⁵ ocaliła go od wścieklej zjadłości ikonoklastów⁶. Nicefor cesarz nareszcie uczynił z niego ofiarę Karolowi Wielkiemu. Później wizerunek ten towarzyszył w jego wyprawach; lecz jak przyszedł od tego podbójcy Słowian do słowiańskiego na Rusi księcia, Bóg to wie jeden. Znajdujemy go później w ręku Władysława, księcia opolskiego, wedle podania w Bełzie. Częstochowa, późniejsza tej relikwii strażniczka, która miała Polsce Patronkę zachować, była naówczas niewielką osadą w pobliżu potężnego Olsztyna. Olsztyn, dzieło ręki ludzkiej, dziś w gruzach i upadku; dojrzysz go z wieży szczytami murów rozspanych ciemniejącego w dali. Częstochowa, pobożności wieków córka, przeżywa jego ruinę, coraz się wyżej podnosząc. W czternastym, zdaje się, wieku miejsce to silniej wzrosnąć musiało, znaczniejsza utworzyła się tu osada, a Władysław Opolski, który niespokojne posiadanie Rusi zamienił w roku 1377 na księstwo Dobrzyńskie, Bydgoszcz, ziemię Wieluńską i starostwo Olsztyńskie, pierwszym był twórcą przyszłej wielkości świętego miejsca.

³ Matka Konstantyna Wielkiego, pierwszego cesarza rzymskiego wyznającego wiarę chrześcijańską. Po znalezieniu drzewa Krzyża św. zbudowała w Jerozolimie wspaniałą kościół św. Grobu. Zm. 328 r.

⁴ Cesarz rzymski, zm. 81 r.

⁵ Cesarzowa grecka, zm. w 803 r.; następcą jej był cesarz Nicefor.

⁶ Ikonoklaści, czyli obrazoburcy. Sekta religijna, która chciała usunąć kult obrazów; siódmy sobór powszechny, zwołany w 787 r. do miasta Nicei w Azji Mniejszej, ustalił dogmat o czci obrazów.

Na zamku w Belzie Władysław obleżony został przez Tatarów, ów bicz Boży na słowiańskie ziemie, którego chłosta wyrobić miała w ludach rycerskiego ducha, męstwo i siły na przyszłość. Najście tatarskie było gwałtowne, niespodziane i zastało księcia z garścią ludzi, bezsilnego, więcej rachującego na pomoc Bożą, niż na odwagę załogi. Obraz był naówczas w domowej księcia kapliczce; przed nim padł na twarz z rzewnymi modły, błagając o ratunek, Władysław. Gdy na modlitwie klęczy, a załoga, jak może, opiera się jeszcze tatarskiej nawale, strzała poganina brzękła oknem kaplicy, świsnęła nad głową księcia i uwięzła w szyi obrazu. Na widok tego świętokradztwa, którego ślady nosi deska do dziś dnia, książę ze łzami zawołał o pomstę do Boga. I oto burza z gromami i wichrem ogromnym przysłała w odsiecz obleżonym; popłoch się wszczął między oblegającymi; załoga, wsparta piorunami i ciemnością, wyskoczyła, księcia mając na czele. Tatarzy uciekli rozbici. Po tym zwycięstwie nad niewiernymi Władysław, cudu pamiętny, obraz chciał uwieść z sobą na Śląsk do Opola, ale objawienie we śnie wskazało mu, by go Częstochowie zostawił.

W roku 1382 wizerunek święty stanął na miejscu przeznaczenia i oddany został straży paulinów, zakonu w Węgrzech z pobożności i gorliwości wsławionego. Wśród rozległej płaszczyny, którą przepływa Warta dążąc ku Odrze, na wzniosłej skalistej górze, panującej szerokiej okolicy, pobudowano pierwsze domostwa dla zakonników, a stary kościółek, już tu istniejący, opromienił się nową świętością i stał zarodem gmachów, które wieki powolnie wznosić miały.

Paulini, zakon zwany „braćmi śmierci”, mieli sobie nadane niektóre wsie w okolicy, czynsze, dziesięciny i dochody z młynów i miodów. Po śmierci króla Ludwika Olsztyńskie Starostwo z Częstochową powróciło do Polski, choć nierychło. Władysław Jagiełło był z królów naszych pierwszym dobroczyńcą tego miejsca. Paulinom dodano Częstochowę Starą, kilka wsi bliższych i roczny dochód z czynszów miejskich. Uwolniono klasztor od ciężkich naówczas obowiązków podejmowania własnym kosztem urzędników i posłów. Pobożny Jagiełło w lat kilkadziesiąt później ponowił swoje nadania, gdyż już sława częstochowskiego obrazu, rozszerzając się coraz głośniejsze, nie tylko z Polski, ale z sąsiedniego Śląska, Moraw, Prus i Węgier, zwabiała tysiące pielgrzymów.

Jak niegdyś za Chrobrego lud jeszcze, świeżo z pogańskiego błędu do wiary przyszedłszy, zdjęty chciwością, napadał na świeżo założoną

pustelnię, o bryle złota w niej posłyszawszy, tak i tu znowu mnogość ofiar, rozgłos skarbów wzniciły w ludziach zarażonych niewiarą husytów, a niewiele pojmujących świętości, żądę rabunku i łupieży. Niestety, swoi to nawet, pod imieniem husytów ukryci, zebrawszy włóczęgów i rabusiów z pogranicznych krajów, byli sprawcami tego napadu na Częstochowę. Niejaki Jakub Nadobny z Rogowa Działosza, Jan Kuropatwa z Łańcuchowa Śreniawita i inni jacyś, zebrawszy ciurów ze Śląska, Czech i Moraw, w sam dzień Wielkiej Nocy wpadli na Jasną Górę, nieobronną wówczas jeszcze i stojącą otworem, bo nie obawiającą się napaści, tak ją zdawała się świętość obrazu osłaniać. Szukali oni skarbów, a znaleźli to tylko, co pobożność w ofierze złożyła na ołtarzu: kielichy, krzyże, blachy okrywające cyprysową tablicę i poświęcone naczynia kościelne. Jęli się więc tego rabusie i sam nawet obraz, z ołtarza wydarłszy, unieśli, zapewne dla bogatych jego sukni, których zerwać nie mogli; chcąc odbić blachy, szablami i rapirami cięli kilkakroć starożytny wizerunek, ale nie mogąc tego dokonać, choć połamali deskę, rzucili ją i uciekli. Zbrodnia ta ukryć się nie mogła; dwaj naczelnicy i z nimi spółnicy ich w więzieniu lub pod mieczem życie skończyli.

Podanie mówi, że świętokradcy, wielkością swej zbrodni przejęci, jakby obłąkani, czy to dla ciężaru, jakim cudowny obraz, na wóz rzucony, od porwania się bronił, czy z innego powodu, o ziemię nim cisnąwszy, rozłupali go między Krowodrzą a Dźbowem, a sami w większej części nagłą śmiercią poginęli. Zakonnicy, ochłonawszy z przestachu, biegli zapewne szukać śladu złoczyńców, gdy natrafili na obraz w błocie leżący i strzaskany. Dla obmycia świętego wizerunku wytrysło źródło, gdzie później stanął kościółek św. Barbary. Na próżno starano się cięcia mieczów i ślady uderzeń zamalować; pozostały one na świadectwo występków wiekuiste, stokroć zakryte, zawsze na wierzch wracały i odtąd są jakby męczeństwa obrazu blizną.

W piętnastym wieku paulini z tej szkółki i rozsadnika częstochowskiego rozeszli się po Polsce, niosąc z sobą wszędzie część Matki Bożej Częstochowskiej: do Pińczowa, do Wielunia, Włodawy i innych miejsc. Nawy napad Czechów w roku 1466 spustoszył Częstochowę i okolicę, mnisi jednak okupić mu się mogli i świętokradzkie dłonie nie dotknęły obrazu. Odtąd cicho było na Jasnej Górze; rosły tylko nadania, cisnęli się tłumnie pielgrzymi, sywały pobożnych ofiary. Kazimierz Jagiellończyk przybywa z rodziną i dworem pomodlić się przed Opiekunką Polski, niosąc Jej nowe dary królewskie, nadania włości i swobód. Królowie

wszyscy potwierdzają przywileje poprzedników, pomnażają je i bogacą kościół i klasztor. Sama osada Częstochowska pod skrzydłami Orędowniczki wzniosła się znacznie, urosła i pomnożyła w ludność, z mieściny na gród poważny wychodząc.

Zygmunt I, wzorem braci, złożył na ołtarzu nie tylko kartę confirmacyjną⁷, ale droższe dzieło rąk swoich. Król ten, artysta, co kochał się w tworach sztuki i sam je w chwilach odpoczynku wykonywał z pomocą biegłych kunsztmistrzów, ofiarował relikwiarz w kształcie krzyża misternej roboty, z częścią drzewa krzyża świętego i wielką, piękną monstrancję. Skarbiec częstochowski musiał już wówczas zawierać mnóstwo szacownych darów i drogich pamiątek, których część do naszych czasów dochował, gdy Zygmunt umyślnym listem upomniął paulinów, aby ich nie trwonili.

Odtąd wznosiła się, budowała tylko i stroiła Częstochowa.

Za Zygmunta III, gdy smak w budownictwie nowym coraz się bardziej upowszechniał, a stare, drobnych rozmiarów kościółki gotyckie po całej Polsce na wielkie gmachy zmieniać się poczęły, częstochowski kościół i klasztor, zapragnąwszy zrównać się z innymi, poczęły się dźwigać do góry.

Świątynię murem otaczać, wznosić budowy okazalsze i trwalsze czynnie zaczęli paulini w samą porę, bo znów napady i niepokoje do czuwania zmusić ich miały. W końcu pierwszej ćwierci XVII wieku już przynajmniej mur okolny otaczał Jasnej Góry szczyty. Rzym obdarzył ją przywilejami i odpustami Domku Loretańskiego, którego szczątek zachowywała Częstochowa, bo stołu brakło w Loreto.

Ofiara ubogiego zakonnika, ostatniego mówcy, co gorzał płomieniem wiary, księdza Piotra Skargi, godną jest wspomnienia. Przysłał on do ołtarza gromnicę ręką swoją zlepioną; dopaliła się z nim razem i zgasła w chwili jego zgonu.

Syn Zygmunta, pobożny i waleczny Władysław IV, obsypał darami Częstochowę. Sam on w roku 1633, jakby błagając o siły Nieba na trudne panowanie nad krajem, upadł twarzą i westchnął do Matki Bożej. On także, jakby przeczuwał przyszłe wichry i burze, przyspieszał ukończenie rozpoczętej twierdzy i otoczył przybytek ten od napaści, którą, nie wiem, czy przewidział... Prorocze chyba miał oko i serce prorocze, a może

⁷ Karta potwierdzająca dawne przywileje.

tęskne przeczucie mówiło mu, że nie zostawi potomka i w ręce słabego Jana Kazimierza odda jagiellońskie berło.

Jadąc za zwłokami żony, wstąpił po raz drugi popłakać w Częstochowie. ale jeszcze u boku jego stał pocieszyciel syn, którego mu wkrótce Niebo odebrać miało. Piszą, że dziecię dwa razy nie przestrzeżone upadło z uczuciem przed obrazem Maryi, jakby wyprasząc się śmierci, jakby modląc niewinną duszą za kraj, nad którym panować miała; ale Bóg wziął je do siebie, nim dotknęło korony ojców swoich, czystej, smutnej, świętej, ale cierpieniem przeplecionej.

Poprzednik Jana Kazimierza był jednym z królów, którzy najwięcej po sobie pamiątek zostawili w Częstochowie. Kilka razy sam zwiedzał to miejsce, a dogorywający już na łożu śmierci, doznawszy ulgi w cierpieniach, słał tu jeszcze wota i modły dziękczynne –ostatnie. Umarł. Po nim Jan Kazimierz słabą dłonią wziął ciężką spuściznę. Jadąc na koronację, pobożny Jagiellonów potomek nie minął obrazu Bogarodzicy; powtórnie potem, żonaty już, przyszedł po błogosławieństwo małżeństwa – i później, w dniach trwogi i niebezpieczeństwa, niejednokrotnie zabiegał na Jasną Górę, tuląc się pod opiekuńczy płaszcz Orędowniczki strapionych.

II

Już na szczycie Jasnej Góry wznosiły się poważne ściany nowego kościoła, kaplicy i klasztoru: u stóp jej, na miejscu, gdzie wytrysło źródło, wystawiono mały kościółek św. Barbary; z drugiej strony, jakby na straży, stanęła kapliczka św. Rocha, z trzeciej św. Jakuba. Kaplica obrazu Maryi rozszerzyła się i powiększyła znacznie, a z darów i skarbów, przyzbieranych przez wieki, pomyślano o ulaniu srebrnych posągów, o ubraniu w czarny heban i srebro wielkiego ołtarza, na podniecie łakomstwa nowych husytów.

Chmurzyło się tymczasem niebo nad Polską; złowrogie znaki, które w owych czasach pełen wiary lud za oznajmienie litościwego Boga uważał, przepowiadając chłostę, nim nadeszła, mnożyły się co chwila. Na kilka lat przed chwilą, o której mowa, spłonęła podpalona przez złoczyńców Częstochowa-miasteczko; rok przed wielkimi najazdy ogień przypadkowy zniszczył wyniosłą wieżę kościelną. Na niebiosach iskrzyły się miotły i tajemnicze błyskały postacie; przestrach uciskał serca wszystkich.

Pobożni z przerażeniem upatrywali tych znamion wróżebnych na ziemi i niebie, na twarzach gwiazd i słońca; wierzyli jeszcze, że Ojciec wprzód, nim dopuści karę, przestrzega. I niepróżne były obawy, bo straszne zbliżały się czasy niebywałych klęsk, nie widzianego upokorzenia i niedoli.

Kozacy z Rusi porwali się, długo tłumionej puszczając wodze niechęci. Car zajmował Wilno, którego Radziwiłł nie bronił, czy że był przystań do Szweda, czy że pilniej mu było pójść włości swoje od grabieży zasłaniać. Karol Gustaw, podbechtany przez zdrajcę Radziejowskie¹, aż nadto dobrze znającego Polskę, złamał pod czczym pozorem rozejm, mający trwać do roku 1661, i wylądował 15 sierpnia 1655 roku dla podbicia Polski i zawładnięcia królestwem stojącym otworem zamachom nieprzyjaciół, których tylko sława dawnej potęgi w dali jeszcze trzymała. Polska nie miała obrońcy, sprzymierzeńców, przyjaciół – cała jej nadzieja była w Bogu.

¹ Hieronim Radziejowski, podkanclerzy koronny.

Wieść o napadzie Karola Gustawa zdawała się w początku fałszem, tak dziwnym sądzono, by się odważył posunąć na kraj, którego wszystek lud mógł powstać jak jeden człowiek, w obronie rodzinnego ogniska. Mówiono z początku: nie przejdzie Noteci i Warty! Ale Bóg chciał ukarać i za narzędzie swej plagi użył zdrajcy.

Jeszcze się ze Szweda śmiano, a już podkanclerzy swymi praktykami w Wielkiej Polsce uroczyste mu przyjęcie gotował. Nagle krzyk i przestrasz rozległy się szeroko; Karol Gustaw już przeszedł Noteć i Wartę, a Grudziński, wojewoda kaliski, Opaliński, poznański, połączyli się z nim. Wielkopolanie, wyprzysiągłszy się swojemu królowi, szeroko otwarli wrota najeźdźcy, podali mu dłoń zbrojną.

Jeszcze Polska nie ochłonęła, zdumiona wniściami Szweda, gdy ten już zagarnął Poznań, Kalisz, Kościan, Kruszwicę, Bydgoszcz i sunął się szybko ku stolicy, Warszawie. Zdrada Wielkopolan była hasłem wszystkich nieszczęść późniejszych, bo była przykładem, bo wskazywała możliwość tego, o czym nikt wprzód, krom Radziejowskiego, nie pomyślał – wyrzeczenia się króla swego, złamania przysięg, poddania się dobrowolnego najeźdźcy bez praw, bez żadnego związku i sympatii z Polską, przychodzącego nią zawładnąć.

Jan Kazimierz, zwątpiwszy o królestwie, którego synowie na pierwszym wstępie, kropli krwi nie przelawszy, przeszli w szeregi napastnika., z tęsknym sercem i uczuciem swej bezsilności ustąpił do Krakowa; ale i tu nie było się czym bronić. Męstwo Stefana Czarnieckiego i garści jego towarzyszy nie mogło ocalić stolicy, a naraziło drogi ten klejnot na zniszczenie. Więc z Krakowa król-wygnaniec na Spisz odjechał, a Kraków bronił się jeszcze siłą ostatkiem i potężniejszą od swych sił nadzieją.

Ostatni sprzymierzeniec Polski katolickiej, płatny jej przyjaciel, chan tatarski, co dziś Chmielnickiemu, jutro służył hetmanom, widząc rozgrabiony kraj, zalane prowincje, a króla na wygnaniu, poszedł w swe stępy czekać a patrzeć, na kogo miał napaść, z kim wojować... Dla niego wszyscy niewierni byli równi; lepszy tylko, kto płacił.

Trudno sobie wystawić, jak straszny był stan kraju w tej chwili przerażającej i sobą, i tym, co zwiastowała: nie było króla, brakło obrońców, zewsząd czernieli najeźdźcy, ze wszystkich stron zjawiali się nieprzyjaciele i rozerwana spuścizna Jagiellonów rozpadała się na części. W Wilnie rządził Chowański, Krakowa generał szwedzki Wittemberg dobywał; w Warszawie gubernatorował Szwed ze zdrajcą; po

województwach przysięgi Karolowi Gustawowi sypały się co dnia gęstsze i serdeczniejsze. Nie było otuchy, nie było ratunku, a ostatnia godzina długiego, jasnego żywota zdawała się wybijać i brzmieć dźwiękiem grobowym nad głowami przelekłych dzieci, które się nie miały do kogo przytulić. Stan umysłów był taki, że ostatek uchylał nadziei: garnęli się niemal wszyscy do zdrajców, do nieprzyjaciół; reszta wzdychała, wyglądając posilku... od Tatara. Chodziły z rąk do rąk podawane i przepisywane listy, oznajmujące o tym sprzymierzeńcu, a tymczasem zamek po zamku, gród po grodzie poddawały się przerażone. Na pograniczach wszędzie wrzał bój, a raczej srożyły się najazdy nad bezbronnymi. Ukraina we krwi się kąpała, Kamieniec oblegał Chmielnicki, ruskie miasta już klucze dla kozackich złoczyli hetmanów, drżał szlachcic w drewnianym dworku, choć go częstokołem opasał i śmigownicami najeżył: modlono się po kościołach, zguba zdawała się nieuchronną.

Szwed tymczasem w zajętej przez siebie części Polski gospodarował po swojemu. Jednano szlachtę jak było można, datkiem i pięknymi słowy, rozdawanymi w przyszłości dostojęstwem, pochlebstwem, obietnicami, groszem, co go kościelne dostarczyły srebra, i poszanowaniem doczesnym wiary a prawa. Trochę wierniejszych garść, choć niewielką a straszną, Karol Gustaw chciał zastraszyć uniwersałem, który wszystkim niższemu, wszystkiemu ludowi, najnieoświecenijszej, a namiętnej klasie społeczności, dawał moc nad panami, pozwalając posadzonym za ledwie o niesprzyjanie sobie żywych lub martwych dostawiać Szwedom i przyrzekając nagrody. Szczerze ta zachęta do łupieży i mordów, rozpręgająca zasadnicze społeczeństwa ogniwa, więcej oburzyła, niżeli serc pozyskała. Po pierwszym szale, ze smutkiem i żalem, ze zgryzotą poglądali wszyscy, któredy by się wrócić nazad, na czyściejszą powinności drogę.

Byli wszak ludzie, co po pierwszych, acz wielkich, klęskach nie stracili nadziei w Bogu, nie wyrzekli się męskiej odwagi i skłonieni pod mściwą rękę Wszechmogącego, karzącą za grzechy, oczekiwali, by Ojciec, co dotknął, przebaczył.

III

Do Częstochowy zewsząd dochodziły wieści straszliwe o Szwedach. Goniec za gońcem, posel za posłem nieśli nowiny coraz bardziej przerażające. Spodziewano się już co chwila napaści i na wierchołku wieży siedzący strażnik, braciszek klasztorny, niespokojnym okiem przebiegał dalekie obszary, każdy dymek w polu, każdą gromadkę jeźdźców biorąc za nieprzyjacielską wycieczkę. Znikli liczni pielgrzymi, co dawniej nawiedzali święte miejsce, głucho tu było i pusto; wszędzie Szwed gościł lub obawiano się kozaków, nikt z domu nie ruszał, chyba do obronnych grodów z życiem i mieniem lub w głębokie lasy i góry się chroniąc. Szlachta tylko, sąsiedzi, kiedy niekiedy zjechali się do przeora, nie kwapiąc się jeszcze z rzuceniem domu, a już przewidując, że będą musieli szukać pod skrzydłem Matki Boskiej bezpieczniejszego przytułku. Niejeden wioził już z sobą skrzyneczkę, głęboko w wózeczku ukrytą, w której złożył klejnoty swoje i żony, papiery lub trochę sreberka i rządzik jaki ozdobny, co go miał jeszcze od pradziada.

Wcześniej oddawano je na skład paulinom, a ojcowie przyjmowali te depozyty, sami jeszcze nie wiedząc, jak ich Bóg obroni. Słysząc tu było wprawdzie, że Karol Gustaw zapewniał kościołom i klasztorom bezpieczeństwo ich własności, opiekę dla wiary i jej obrzędów, ale zarazem Częstochowa, jako miejsce obronne, panując dokoła, na pograniczu Śląska, na drodze Szwedów do Krakowa, mogła im być potrzebnym stanowiskiem. Pobożniejsi myśleli, że choć różnowerca, o tak sławne świętością nie pokusi się miejsce, by od siebie serc katolików tą napaścią nie odstręczyć. Inni wnosili, i nie bez przyczyny, że łupieżców przyciągnąć tu musi zarówno rozgłos o skarbach zgromadzonych na Jasnej Górze, jak i potrzeba umocnienia się na tym punkcie. Nic jednak dotąd nie zwiastowało, żeby Szwedzi pomyśleli już o Częstochowie, u której podnóża nikt się jeszcze z Gustawowskich żołnierzy nie pokazał. Ale ta cisza miała w sobie coś strasznego; odgłos wrzawy dalekiej – coraz wybitniej brzmiał w uszach zakonników, a nodny wicher jesienny, każdy huk oddalony, każda u wrót wrzawa zdawała im się oczekiwanych nieprzyjaciół oznajmywać.

Rano dnia pierwszego listopada 1655 roku przeor, ksiądz Augustyn Kordecki, siedział w swej celi i odmawiał pacierze, gdy do niej zapukano

w sposób nagłący. Dozwalając wnijść, złożył kapłan książkę z westchnieniem, jak gdyby bolał, że go z lepszego świata odrywano na ziemię, i spojrzął na obraz Ukrzyżowanego, niby Go prosząc o posiłek i radę.

Wtem wszedł ksiądz Piotr Lassota, zakonnik, z kilku listami, i ucałował rękę przełożonego, jak to dawniej było w zwyczaju dla przypomnienia posłuszeństwa, oddał mu je milczący, ale z twarzą widocznie strapioną i zamgloną smutkiem. Ksiądz przeor spojrzął na pieczęcie i napisy, nie śpieszył z rozpieczętowaniem i usiadł.

Był to średniego jeszcze wieku człowiek, wzrostu miernego i twarzy wcale nie bohaterskiej.; rysy jego znamionowały tylko silną duszę, charakter nieugięty i rozum jasny, dobroduszną łagodność łączyła się w nich z męstwem i wytrwałością. Siwe źrenice bystro spoglądały wprost na każdego, nie schylając się przed nikim, nie obawiając śledczego badania, same wnikały w głąb duszy; nad nimi brew gęsto zarosła już siwieć poczyniała. Czoło miał szerokie, zorane kilku poprzecznymi marszczkami, które raczej wiek i praca, niż troska, zakreśliły; usta rumiane i szeroko roztwarte miały ten wyraz siły i dobroci razem, który oznajmuje wielkich mężów, zawsze gotowych do boju i pewnych dotrwania. Widać było, że często igrał na nich uśmiech łagodny; że rozkazując umiały rozkaz ten uczynić miłym, a w potrzebie nieodwołalnym i strasznym tą potęgą woli niezłomnej, której nikt wytłumaczyć nie potrafi, a wszyscy słuchać muszą. Takim był ksiądz Kordecki, postać poważna z siwiejącym włosom i długą, na piersi spływającą brodą, w chwilach codziennego żywota; lecz kto by go widział na modlitwie, nie poznałby może, tak go zmieniał podniesienie ducha ku Bogu, tak rozjaśniało się i świetniało oblicze jego. Inny to naówczas był człowiek, i grom dział nie byłby go zbudził, chociaż szmer cichy ust ludzkich, odzywających się doń łagodnie, wnet od Boga ściągał myśl jego ku ziemi, gdy się tu czuł potrzebnym. W powszednim obejściu nikt dziwniej połączyć nie umiał surowości z łagodnością, dwóch na pozór sprzecznych sobie przymiotów; nikt dzielniej nie przekonywał, nikt silniej nie pociągał nad niego, nikt potężniej nie gromił.

Wiek XVII był jeszcze naprawdą u nas wiekiem szczerzej i głębiej wiary, ale w nim nawet mało było ludzi Kordeckiemu podobnych. Nie celował on jako teolog uczony i chętnie sam się nazywał nieukiem; ale ilekroć choćby najzawikłańszą sprawę rozwiązać było potrzeba, szedł po słowo jej do serca swego, a ta skarbnica chrześcijańska zawsze mu go

dostarczyła. Rozum jego, rzecz można, sływał przez serce, przejęte bogobojnością, płonące jasno miłością Bożą. Nigdy żadna namiętność ziemską nie okopciła go nieczystym wyziewem, nie zeskwarzyła płomieniem. Dziecię pracowitych a ubogich rodziców, za wcześniej duchem wstąpiwszy do zakonu, powołany do niego, jak apostołowie, od skiby złanej potem dziadów, z chatki, którą nawiedzał niedostatek, dobrowolnie wyrzekł się świata, nie żałując go wcale; wesół u portu, czując błogość całą stanu, szedł dalej z chrześcijańską nadzieją szczęśliwego żywota poza kratami krótkiego życia ziemskiego i śmiercią, której z uśmiechem wyglądał.

Rodzice Kordeckiego byli to ubodzy wieśniacy z Iwanowic w Kaliskiem. Wychował się wśród ludu na roli i wieśniaczą prostotę przyniósł na ofiarę Bogu. Z wiejską siłą i czystością od dzieciństwa, Klemens na rękę pobożnej matki wzdychał do ciszy klasztornej, do zaparcia się siebie i poświęcenia Chrystusowi. Ale nierychło ciężkie porzucił więzy i trzydziestoletni dopiero zakonnikiem został.

Wśród zgromadzenia, które między członkami swymi liczyło dzieci najznakomitszych rodzin szlacheckich, syn kmiecy rychło wygórował pobożnością i rozumem; bracia postawili go na czele. Przeorem w Oporowie i Pińczowie naprzód, następnie na Jasnej Górze przełożonym został, teraz już powtórnie; a na świeczniku stojąc, jaśniał coraz gorętszym płomieniem cnót i zasługi.

Niezmordowany w pracy, nigdy na nic nie stękał; biegł do niej z radością, wracał, szukając oczyma nowej; sił mu Bóg dostarczał. Z młodszymi był starszym bratem, dla winnych pobłażającym ojcem, który przebacza, żądając poprawy, z zatwardziałymi sędzią surowym, ale zawsze miłosiernym, byleby ujrzał promyk skruchy i łzę żalu: wszędzie i zawsze chrześcijańskim kapłanem Boga, co światu miłość objawił.

W milczeniu oddał listy ksiądz Lassota, a przeor okiem je badał, nie śpiesząc z otwarciem; potem, zwracając wejrzenie na zakonnika, spytał go powolnie:

– Słyszać co nowego, ojcze?

– Nie, jedno i jedno.

– Zawsze źle?

– Bogu to wiadomo, co złe, a co dobre – odparł Lassota – nam tylko, że cierpimy.

– Masz słuszność, bracie! – żywo zawołał przeor. – Poprawiłeś niebaczone słowo moje; dziękuję ci za to.

– Ja? – podchwycił rumieniąc się ksiądz Lassota – ja śmiałym...

– Tak jest, tak – kończył Kordecki. – Bóg wie, co nam daje, a nam z Jego ręki przyjmować należy z dziękczynieniem. Ot, tak, wyrwało mi się „źle” z pośpiechu, którego mi żal szczerze. Trudnoż bo nie zabołeć.

To mówiąc, westchnął.

– Kto wam oddał listy?

– Jeden z nich od posłańca z Radziątka, drugi przywiózł z sobą pan Paweł.

– Pan Paweł przyjechał?

– Tylko co przybył, wysłany, jak mówił, od kasztelana.

– Gdzież jest?

– Chciał się przebrać, zaprowadziłem go do prowincjańskiej celi.

– Bardzo wam dziękuję, a i sam zaraz ku niemu pośpieszę.

To mówiąc począł rozpieczętowywać listy, a ksiądz Lassota, widząc to, z cicha pokłoniwszy się, wysunął się ku drzwiom i wyszedł.

Znać było z twarzy przeora, że listy nowe przyniosły strapienie, bo mu pochmurniało czoło, ciężkie westchnienie dobyło się z piersi i oczy podniósł ku niebu; potem, jakby opamiętawszy się, jął czytać znowu, położył je, ukląkł, pomodlił się gorąco a krótko i śpiesznie wyszedł.

Jeden z nich zwłaszcza był smutny i przepowiadał Częstochowie ciężkie do przeżycia losy. Obawiali się paulini od początku wojny o cudownego obrazu przybytek, przełękli bardziej jeszcze, gdy listy królewskie, rozesłane po wszystkich twierdzach i zamkach, doszły do nich, gotowość ku obronie zalecając i przepowiadając, że Szwed, żłakomiony skarbami Częstochowy, rychło się na nią pokusić może. Prowincjał paulinów, ksiądz Teofil Broniowski, pobiegł natychmiast do króla, chcąc u niego wyjednać pomoc jaką dla twierdzy, prosząc o posiłek dla utrzymania załogi czasu wojny potrzebnej. Ale cóż mu nad radę, przestrogę i życzenie mógł dać naówczas Jan Kazimierz? Prowincjał powrócił z kilku słowami, niepewny posiłek przyrzekającymi w razie nagłego niebezpieczeństwa.

– Róbcie, co można – powiedział król – a jeśli gwałtowne nastąpi oblężenie, postaram się o posiłki dla was...

Tę to odpowiedź królewską zwiastował prowincjał przełożonemu, zdając na Boga, czego od ludzi spodziewać się nie było można.

Pan Paweł, przybyły w tej chwili do klasztoru, był to Warszucki, stryjeczny brat Stanisława, kasztelana krakowskiego, członek rodziny, którą paulini do opiekunów i dobroczyńców swoich liczyli. Człowiek już

niemłody, nie bardzo majątny, dostojnością, którą brat piastował, ze szlachcica podniesiony na podpanka; czuł świeżą jeszcze godność, cenił ją wysoko i lękał się wielce, by brat uporem siebie i rodziny nie zgubił, stojąc wiernie przy Janie Kazimierzu. Niemąło go bolało położenie, w jakim pozostawał z krajem razem, i niczego tyle nie życzył, co uspokojenia, bodaj ze Szwedem, byle mu ono dozwoliło powrócić swobodnie do jego stad, gospodarki i swobodnego wiejskiego żywota. Był to bowiem gospodarz zawołany w całym znaczeniu tego wyrazu: rolnik naprzód, miłośnik bydła i owiec, pilno krzątał się około stadniny i pszczelnictwa; kopał stawy, zarybiał je, stawiał młyny, nie spuszczał z oka żadnej gałęzi gospodarstwa, mogącej podnieść dochody i ulepszyć majątek. Srodze go też bolała wojna, która wszystkie te rozerwała zajęcia, pomieszała porządek, porozpraszała wieśniaków, rozerwała sługi; Szwed też i kwarciani¹ wybierali stacje² niesłychane, plądrowali po gumnach, nie pytając o pozwolenie, spasali pola, chwyтали bydło, a kochane stadko pana Pawła musiało uciekać gdzieś w lasy, żeby i do niego nieprzyjacieli się nie dobrał.

Ksiądz przeor zastał pana Pawła, łysego, krągłego, z jasnym wąsem człowieczka, już wdziwiającego kontusz; sługa, stojący blisko, pas mu gotowy trzymał.

– A! przepraszam księdza przeora!

– Nic, nic, gospodarz jestem: wolno mi wejść.

– Darujesz waszą przewielebność, że mnie tak zastajesz, przebacz z łaski swej, a pozwól złożyć należne uszanowanie.

To mówiąc, pan Paweł, choć nie opasany, rzucił się chyżo naprzeciw poważnego przełożonego i, skinąwszy na sługę, by odszedł, pośpieszył podsunąć krzesło księdzu Kordeckiemu. Drzwi zamknęły się za sługą, pozostali sam na sam. Ale zaledwie usta otworzył pan Paweł, mając rozpocząć rozmowę, gdy na progu, puknąwszy z lekka, ukazała się postać nowa: słuszny, pięknego wzrostu, w sile lat i zdrowia mężczyzna, z czarnym wąsem i włosom, z szabelką w czarnych pochwach u pasa, z czapką w rękę i delią³ na plecach; otworzył drzwi z ukłonem, jakby pytał, czy wniść może.

– Wolno? – szepnął, uśmiechając się.

¹ Wojsko polskie utrzymywane z kwarty, czyli czwartej części dochodów królewskich.

² Stacja, inaczej kwaterunek; tu, pieniądze, zamiast zakwaterowania pobierane.

³ Delia – rodzaj płaszcza.

– Pana Krzysztofa, kochanego i miłego gościa, prosimy, prosimy! – zawołał, podchodząc do drzwi, przeor.

Pan Krzysztof (był to niejaki Żegocki, starosta babimojski, dobry przyjaciel księdza Kordeckiego i całego klasztoru, a do tego i sąsiad niedaleki) zrzucił z siebie delię i z pogodną twarzą postąpił powitać gospodarza naprzód, potem pana Pawła. Aż miło było spojrzeć na tego nowego przybysza, tak spokojne miał oblicze, wśród posępnych i chmurnych, które go otaczały, dziwnie odbijające. Jaka twarz, taka dusza, i nie było też pod niebem szczęśliwszego nadeń człowieka; u niego wiara w Opatrzność i zdanie się na Boga tak były potężne i silne, że go ksiądz przeor często liliją nazywał, od słów psalmu o ptakach i liliach polnych, zwykle powtarzanych przez Żegockiego. Żadne dotąd nieszczęście nie mogło mu odjąć pogody duszy pocziwej, żaden cios nie zachwiał wiary jego na chwilę. I dziś nawet, gdy kraj cały szarpali nieprzyjaciele, gdy znaczną część majątności utracił, gdy byt przyszły zdawał się mroczyć, on z tak jasną i pogodną szedł twarzą, że ksiądz Kordecki uściskał go w progu, wskazując panu Pawłowi.

– Oto, panie, człowiek wedle Boga – rzekł, całując przybyłego – spojrzycie na niego i na nas, poznacie wnet, kto ma wiarę.

– Ale, księżu przeorze drogi, proszę mnie tak nie upokarzać – przerwał skromnie pan Żegocki..

– Słuszną pochwałę nie upokarza, daj nam tylko Boże wszystkim jegomościną rezygnację i ufanie. Ale... cóż tam słyhać?

– Zechcieliście: starą piosnkę śpiewamy, znać, że nam będzie lepiej kiedyś, bo dziś coraz gorzej a gorzej; a złe przecie przesilić się musi. Druga nowina – dodał pan Krzysztof – że gości księdzu przeorowi prowadzę.

– Chwała Bogu! Gość w dom, Bóg w dom.

– Ale przed wojną tak objadać klasztor częstochowski, nie wiem, czy się godzi – uśmiechając się, dodał Żegocki. – Kto wie, co wypaść może: każdy kawałek chleba drogi.

– Nie frasujcie się, jakkolwiek Bóg nami rozrządzi; gdyby i chleba nie stało, krucy, co na pustynię nosili chleb pustelnikom, i nam go też odrobinę rzucą.

– Otóż i ja dziś trochę krukiem będę – rzekł śmiejąc się Żegocki – alem nie chleb przyniósł, tylko trochę ryby, za którą przepraszam, że nie najlepsza.

– Wy zawsze z darami: Bóg zapłać, siadajcież; ale jacyż to goście? – spytał Kordecki.

– Nie z daleka, księżę przeorze dobrodzieju, nie z daleka: pan Sebastian Bogdański i pan Stefan Jackowski.

– Sąsiedzi; to się za gości nie liczy.

– Widziałem ich obu do bramy podjeżdżających, gdy most przebywał; pewnie z nowinami śpieszą, bo tego dziś nie kupić, chodzi ich po świecie jak komarów na pluchę.

– Ot, brat pana kasztelana krakowskiego, dobrodzieja konwentu naszego – obracając się do pana Pawła, przerwał przeor – najpewniejszych nam wiadomości dostarczyć może.

Pan Paweł spojrział, podniósł oczy, i jakby nie wiedział, co mówić, chwilę się wstrzymał, potem bardzo po cichu rzekł do zbliżających się ku sobie:

– Król Jegomość już na Spiszu w Lubowli.

– Ale to chwilowo, spodziewam się – przemówił przeor – póki sił nie zgromadzi i środków nie obmyśli, nie osieroci nas tak ze wszystkim.

– Co tu radzić! Co tu myśleć! – podchwycił, ruszając ramionami, pan Paweł. – Niestety i po wszystkim, pogrom zupełny, zginienie! Szwed już całą niemal Polską zawładnął, kozacy rebelizują.

– Ale Brandenburczyk i chan tatarski! – zawołał nie tracący nadziei Żegocki. – Wreszcie własne nasze siły, którycheśmy jeszcze nie spróbowali.

Pan Paweł ruszył tylko ramionami znowu.

– Tatar w stepie, Brandenburczyk o sobie myśli, a nasze siły! Ba!...

– Jak to! Przecież to lennik i sprzymierzeniec.

– Przyznam się wam – dorzucił ksiądz Kordecki – że Tatarzyn przyjaciel gorzej wroga. Pożal się Boże na niego rachować i wstyd. Ale klin klinem może wybić będziemy musieli, cóż robić! Bisurmanem wypchnąć, kiedy inaczej nie podołamy. No, ale co słychać o chanie?

– Chan, słyszę, jak zobaczył, że już w Polsce Gustaw się rządzi – ciągnął dalej pan Paweł – poszedł sobie w swoje pustynie, powiadając, że był sprzymierzeńcem króla Jana Kazimierza, a gdy Polacy innego sobie za króla obrali, poczeka, aż z nim nowe zawrą przymierze.

– Tak z nim, jak bez niego – rzekł ksiądz przeor. – Baba z wozu, kołom lżej! – mruknął po cichu.

– Tymczasem – sywał jak z rękawa pan Paweł – wszystko się poddaje, przysięga, broń składa i przechodzi do nieprzyjaciela. Pan wojewoda

Tyszkiewicz na zamku w Uhachu carowi przysiągł, w Warszawie Radziejowski rej wodzi, a Krakowa silnie dobywają i dobędą, skoro go nie ma komu bronić.

– Cóż to znowu mówicie? – przerwał pan Żegocki. – Do tego nie przyjdzie: hetmani, Czarniecki, szlachta, pospolite ruszenie, wojsko... nie damy się, nie damy!

– A kiedyśmy się dali! – rzekł pan Paweł.

– No, to się odbierzem! – zawołał szlachcic, machając ręką wesoło.

Ksiądz przeor słuchał na pozór zimno, twarzą ni słowem nic znacząc po sobie nie dając, gdy wtem drzwi się znowu otwały i weszli obiecani goście, Sebastian Bogdański i Stefan Jackowski, szlachta, sąsiedzi częstochowscy, którzy często bywali w klasztorze, a teraz, na dzień Wszystkich Świętych, przyjechali dla nabożeństwa i narady z przeorem. Pierwszy z nich, siwy już i zgięty na pół, wszedł o lasce powolnie i, skłoniwszy się nisko, zginając aż w kolana, z kolei przytomnych jak najpokorniej powitał, nie szczędząc im najwymyślniejszych form przesadzonej grzeczności. Za nim idący pan Jackowski, otyły, z orlim nosem i ruchawym wzrokiem, pleczysty mężczyzna, kulał trochę na nogę, bo ją był niedawno, z chartami jeżdżąc za zającem, nadwicznał. Był to zajadły myśliwiec, dawniej wojskowy i krzykacz, zawadiaka, do kielicha i do korda gotowy, zresztą szlachcic w całym znaczeniu, szlachcic owych czasów, gdy pan brat panował w Polsce sam jeden. W polityce i nowinach trzymał on się zdania swojego arendarza, i nic mu z głowy nie mogło wybić tego, że Żydzi o wszystkim najlepiej wiedzieć muszą. A że Żydzi posługiwali Szwedowi, zdradzając go jednak po troszeczkę, gdzie było można, nie narażając się na powieszenie; że Żydzi obiecywali po dworach sto tysięcy Nogajców i Perekopców, idących na obronę Rzeczypospolitej; pan Jackowski gotów był także tymczasowo przystać do Szweda, a potem się go znów wyrzec po przybyciu Tatarów. Po przywitaniach i przedstawieniach, obfitych w przypomnienia rodzinne i trafnie smażone komplementa, których sobie nie szczędzili przytomni, wszyscy zasiedli i rozmowa prędko wróciła do pierwotnego toku...

Pan Paweł Warszucki na nacieranie szlachty powtórzył, co był już wprzód powiedział; i wszyscy, poglądając po sobie, umilkli posepnie, jakoby czekali, żeby się kto pierwszy odezwał ze zdaniem, jak sobie począć wypadało.

Przeor milczał także.

– Sekretów tu między nami być nie powinno – rzekł po chwili pan Paweł – powiem więc państwu, że w przekonaniu wszystkich statystów⁴ poddanie się całego królestwa Karolowi Gustawowi niechybne. Prędzej później, a zwłaszcza gdy Kraków zdobędą, co lada chwila nastąpić musi, bo się w nim kasztelan kijowski ze swoją garścią nie utrzyma, pójdziemy wszyscy w ręce Szweda.

– Jeszcze to widłami pisano – odparł pan Żegocki – kogo Pan Bóg pokarze, tego i pocieszy.

Bogdański milczał, ale wzdychał na wszelki wypadek, a Jackowski żywo dodał:

– A gdybyśmy i przysięgli Szwedowi znów, to co? Nie pierwsi my i nie ostatni.

Na te słowa płomieniem oburzenia oblała się twarz księdza przeora, oczy jego zajaśniały i mignęła w nich błyskawica; powstał z krzesła, ale zmieniony, groźny, jak prorok, jak natchniony; wszyscy jak gdyby uczyli przewagę ducha w nim, wprzód niżeli usta otworzył, zamilkli, a silny głos księdza Kordeckiego zagrział po obszernej sali.

– Podda się cały kraj – zawołał – podda się, mówicie? Nie! Nie! Bóg tego nie dopuści i nie cały wyprze się swojego pana, bo Częstochowa zostanie i wytrwa przy Janie Kazimierzu.

– Jak to? – zdumiony podchwycił pan Paweł. – Gdyby Szwedzi nadeszli, co bardzo być może, bo już słysząc o Wejhardzie, że się w tę stronę z Sadowskim puścić zamyśla: będziecie się więc bronić?

– Będziemy! – odparł przeor spokojnie. – Tak jest, z pomocą Bożą będziemy się bronić i obronimy się.

– Całej sile szwedzkiej? – dodał Jackowski. – Wojsku, artylerii, żołnierzom i wozom starym a wytrzymałym?

– Najlepszy żołnierz Pan Bóg, kochany panie Stefanie – odpowiedział przeor, nieco znizając głos – w Nim ufając, z Nim idąc, nie zlekniemy się potęgi Gustawa. Tak jest, jeśli mi Bóg życia dozwoli, ani świętego obrazu, ani uświęconej jego pobytem Jasnej Góry nie oddam w ręce heretyków; zagrzebiemy się raczej w jej gruzach...

Warszycy słuchał nie wierząc uszom swoim, ze strachem jakimś, że zdumieniem niepojętym, które się dobitnie wyryło na jego twarzy.

– Jak to, księże przeorze, doprawdy? Myślelibyście?

⁴ Tu: ludzi znających się na polityce.

– Myślę tak i uczynię z pomocą Bożą; z opieką Maryi Panny nie oddamy Szwedowi Częstochowy!

– Właśnie i mój brat, kasztelan... – rzekł pan Paweł, poczynając, ale się zaraz opamiętał i urwał.

– Mówcie, mówcie! – podchwycił, biorąc go za rękę przeor. – Wszyscyśmy tu swoi, tajemnic nie mam, to przyjaciele klasztoru.

– A zatem otwarcie – rzekł Warszucki – powiem waszej przewielebności, co mi mój brat polecił. Już to żadnej wątpliwości nie ulega, że oddział Millera, Wejhard, pułkownik Sadowski, co go może i znacie, bo mieszkał u nas, gotują się iść na Częstochowę.

Szlachta pobladała, Bogdański ręce załamał, przeor słuchał, jak gdyby już wcześniej wiedział, co mu powiedzieć miano.

– Kilka razy już podobno wybierali się z Kalisza, ale to jakoś jeszcze do skutku przyjść nie mogło. Potrzebują pieniędzy; nie bez tego, żeby nie słyszeli o skarbach świętego miejsca, przyjdą więc niezawodnie, przyjdą z siłą znaczną, a zdaniem mojego brata, pana kasztelana, potrzeba ocalić, co można, uwożąc na Śląsk kosztowności, a przede wszystkim cudowny obraz, skarb całej Polski.

– Święte słowa, rada najmędrza – szeptał pan Bogdański – znać w niej statystę.

– I ja w to biję – dodał Jackowski.

– A pan co na to? – odezwał się z dziwnym uśmiechem ksiądz przeor, obracając się do Żegockiego.

– Ja słucham, co ksiądz przeor powie, i z góry się na to piszę.

– Powiem więc państwu – rzekł stanowczo Kordecki – że, co mi Pan Bóg natchnął w tej chwili, tego nie odstępuję; można wywieźć co najdroższego dla spokojności naszej, ale niemniej bronić się potrzeba, bronić będziemy i oprzemy bodaj całej sile szwedzkiej w Częstochowie.

– Księżę przeorze dobrodzieju! – przerwał z uśmiechem pan Paweł. – Unosi cię zapał, nie jesteś żołnierzem, nie masz ludzi.

– Ale mam opiekę Matki Boskiej nad sobą i silną wiarą w nią wierzę. Pan Paweł skłonił głowę.

– I myślicie nawet obraz cudowny narażać na nieuchronne niebezpieczeństwo?

– To co inszego – odparł Kordecki. – Namyślimy się, naradzimy i uczynimy z tym skarbem, co Bóg natchnie; co się tyczy Częstochowy, miejsca tego uświęconego nie oddam i bronić będę do ostatniej krwi kropli.

- Z kimże? – spytał Warszycycki ironicznie, ruszając ramionami.
- Bodaj sam ze siedmdziesięciu braćmi – dodał stanowczo Kordecki.
- W siedmdziesięciu przeciwko tysiącom?
- Będziemy kamykiem małym w ręku Bożego Dawida.
- Śliczne to są i wymowne wyrazy, ale cóż po tym – przerwał pan Paweł
- gdyście, księżu przeorze, nie obmyślili wprzód, iż to rzecz tak niepodobna, jak niepodobna z motyką porwać się na słońce.
- Daruj mi, panie Pawle – rzekł przeor pokornie, ale stałe przy swoim stojąc. – Słowo moje nie jest wcale rzuconą na wiatr pogroźką; myślałem długo, radziłem się Boga na modlitwie, Opiekunki naszej Maryi, szukając u Niej natchnienia, świętego zakonodawcy naszego i błogosławionych braci, w szczęśliwym dziś żyjących świecie, i mam przekonanie, że to uczynić powinien i uczynię.
- Wszyscy coraz większe okazywali zdumienie, a pan Paweł poczynął się trochę niecierpliwić.
- Wasza przewielebność – rzekł trochę urażony – nadto może zapatrujecie się w niebo, a zbyt mało macie czasu spojrzeć na ziemię; piękne to są słowa, ale my ludzie doświadczeni...
- Nie ujmuję, nie ujmuję – podchwycił Kordecki – nikomu; istotnie, choć grzesznym wzrokiem poglądam w niebo, jednak Bóg służy swojego niegodnego obsyła czasem natchnieniem. Co mówiłem, tom rzekł z pobudki głosu wewnętrznego, który wyraźnie odzywa się do mnie: Stań i walcz, a zwyciężysz! A oto chorągiew moja – rzekł, wskazując na obraz Matki Boskiej wiszący na ścianie: – *In hoc signo vinces*⁵
- Taka była potęga wyrazu oczów i twarzy przeora, gdy słowa te wymawiał, że wszyscy uczuli się nimi dźwignieni i podbudzeni, wyrobiło się męstwo w sercach wszystkich. Jeden pan Paweł, gospodarz ów wielki, co istotnie zbyt patrzył na ziemię, nie doścignął sercem bohaterskiego zapału kapłana. Stary Bogdański nawet odmłodził i łyż mu się w oczach zakręciły, postąpił kilka kroków w milczeniu, poszedł i ucałował z przejściem drżącą rękę Kordeckiego.
- Tak jest – kończył przeor, poglądając na zmianę, jakiej dokazał kilku słowami. – Mamże oddać w ręce innowierców miejsce, oblane tyłu łzami świętymi, wślawione cudami tyłu, gdzie Bóg tyle łask na naród nasz zlewa, gdzie monarchowie nasi szukali tylekroć pomocy i składali ofiary,

⁵ „Pod tym znakiem zwyciężysz” – słowa te miał zobaczyć na niebie obok krzyża cesarz Konstantyn Wielki.

gdzieśmy przywykli podnosić wszyscy wzrok błagalny, od kolebki do zgonu, we wszystkich potrzebach naszych? Nie! Nie! Myśmy tu postawieni na straży; dość nieszczęścia, że święty wizerunek pokłuły strzały Tatarów, pocięły szable husytów. Szwedzi się nad nim pastwić nie będą i stopa ich tutaj nie postanie.

– Wszystko to piękne, wszystko to wymowne i śliczne – po chwili odparł cichym swym, jednostajnym głosem pan Warszucki –ale, ojcze a dobrodzieju, choć Bogu nic trudnego, nie wiem, czyśmy zasłużyli na to, żeby dla nas cud uczynił tak wielki?

– O! Żeśmy nie zasłużyli, to pewna – zawołał przeor. – Wielkie, wielkie a straszne są grzechy nasze, ale i kara straszna i zlitowanie przyjdzie po niej. Bóg wielki! Bóg łaskaw!

– Boby to inaczej, jak cudem, nazwać nie można – kończył pan Paweł – gdyby Częstochowa obroniła się Szwedomi. Jeśli odepchniecie garść, przyjdzie ich oddział cały; oprzecie się temu, skupi się wojsko, napłynie ćma i poddacie się nareszcie.

– Zginiemy może i pragniemy tego gorąco, żebyśmy krew naszą za wiarę świętą przelali – rzekł przeor. – Zginiemy może, ale się nie poddamy, to pewna.

– Dziwne zaiste przekonanie! – cicho do siebie odezwał się pan Warszucki.

– Chciałeś pan dobrodziej powiedzieć: upór – z uśmiechem dodał Kordecki. – Masz prawo tak to nazwać. Nazwijcie więc, jak chcecie, i myślcie, co wola wasza, a ja powtarzam swoje, choć nie z siebie: nie podda się Częstochowa.

Szlachta poglądała na przeora, wodząc za nim oczyma; twarz jego, ciągle rozpromieniona, jasna, uśmiechnięta niemal, zdawała się widzieć przyszłość i błyszczała odwagą nadziemską. Jeden pan Paweł jeszcze się nie poruszył... taki to był dobry gospodarz!

– Bardzo by to było dobrze i pięknie tak mówić – rzekł, coraz widoczniej się tylko niecierpliwiąc – gdyby najazd Szweda mógł być uważany za doczesny, ale...

– Ja inaczej nie widzę – zawołał Kordecki.

– Jak to? Król wygnany, wojsko rozproszone, stolica jedna zabrana, druga może w tej chwili poddająca się, szlachta, a po części i magnaci, ze Szwedem połączeni, Litwa w rękach cara...

– A jakoś nas Bóg z tego podźwignie – spokojnie odpowiedział Kordecki. – Łokietek także tułał się po kraju i ukrywał po jaskiniach, był,

jak Jan Kazimierz, wygnańcem, przecież powrócił i szczęśliwie panował; i Janowi, panu pobożnemu a bogobojnemu, nie uskąpi Wszechmocny łaski swojej.

Pan Warszycki lekko tylko ramionami ruszył, skłonił się i, zaprzestając sporu, odezwał się:

– Chciejcie mi powiedzieć, bym to mógł bratu mojemu donieść, jak i z czym bronić się myślicie?

Przeor pomyślał chwilę.

– Jest nas – rzekł – w klasztorze zakonników i braci siedmdziesięciu, szlachty, co się tu z nami zamknąć obiecuje, kilkadziesiąt rodzin, załogi zwykłej ludzi z pięćdziesiąt, dwakroć tyle jeszcze zbierzemy ochotnika z wiosek klasztornych i miasteczka; działa porządne, prochu dosyć i kul dostatkem, żywności zapas, wody studnie dostarczą, a resztę da sam Bóg.

– Ale przypuszczając, że Szwedzi podejdą, któż tym wszystkim dowodzić będzie, kto pokieruje?

– Naprzód Bóg i Opiekunka nasza, i Paweł święty – rzekł przeor.

Na te słowa lekki, nieznaczny uśmiech przebiegł po ustach pana Pawła.

– Potem – kończył Kordecki – pan Stefan Zamojski, miecznik sieradzki, który tu w tych dniach przybywa z całą rodziną swoją, uchodząc od Szwedów, i pan Piotr Czarniecki, rodzony pana Stefana, kasztelana kijowskiego. Do dział mamy Niemców dwu, jednego zwłaszcza zdanego i znającego rzecz swoją a niegorszego człowieka. Spodziewam się także panów: Zygmunta Moszyńskiego, Jana Skórzewskiego, Mikołaja Krzysztoporskiego i kilku innych dobrych żołnierzy; nikt też tu z założonymi rękoma siedzieć nie będzie.

– Ale Szwed nadejść może lada chwila! – dorzucił pan Warszycki.

– Tak, słusznie pan mówi! Święte słowa jego! Lada chwila powtórzył cicho Bogdański.

– Jam też niemal gotów – rzekł przeor.

– Jak to? Jużeście to przypuszczali?

– Trochę..., czekam wodzów, zbieram żołnierza.

– Niepojęta rzecz! Niepojęta! – wykrzyknął pan Paweł, wpatrując się w Kordeckiego. – Decyzję waszą słyszę i ledwie uszom moim wierzę. Ale gdy odradzać byłoby próżno...

– Zupełnie próżno! – odparł wytrwale Kordecki.

– Zatem dziej się wola Boża!

– Dziej się wola Boża! – z westchnieniem powtórzył pan Bogdański.

– A ja, mości przeorze – zawołał z szerokim dobrodusznym uśmiechem Żegocki – przybywam z dwojgiem rąk zdrowych i służby moje wam ofiaruję; ręczę, że darmo chleba klasztornego jeść nie będę.

– Prosimy z nami i dziękujemy, Bóg wam to nagrodzi.

– My, panie Stefanie – cicho szepnął stary Bogdański do Jackowskiego – zaraz po nabożeństwie zmykajmy stąd, tak mi się widzi.

– Masz słuszość. sąsiedzie, nie ma tu co długo popasać; nużby nas Szwed pochwycił i do noszenia kul i muszkietów zaparł!

– Przecie bezpieczniej w domu.

IV

Trzeciego listopada, przed chórem¹ północnym, wszyscy zakonnicy zgromadzili się, powołani przez przeora, do wielkiej sali, zwanej definitorium. Nikt z braci nie wiedział powodu wezwania; wszyscy jednak z posłuszeństwem zakonnym pośpieszyli w milczeniu i zasiedli miejsca swoje. Kilka lichtarzy z żółtymi woskowymi świecami stało pośrodku na stole przed krzesłem, przygotowanym dla przełożonego; naprzeciw na ścianie wisiał ogromny drewniany, poczerniały krucyfiks, u którego stóp biała głowa trupia i dwie na krzyż złożone kości. Nie było to dzieło snycerza, ale z cmentarza wzięta czaszka żółkła i dwa nadbutwiałe piszczele. Pod krzyżem w złocistych ramach czerniała twarz łagodna Najświętszej Opiekunki klasztoru. Na prawo i lewo w ciemnych drewnianych ramach zawieszono ogromne obrazy okazywały wśród cieniów mało oświeconej sali postacie świętych zakonników i królów. Zdawali się oni należeć do tego zgromadzenia ojców, siedzących poważnie w ławkach dębowych tak nieruchomie jak posągi lub obrazy. Gdzieś tam zabłąkany promyk światła padał ukośnie na blade lica paulina i otoczoną *nimbusem*² twarz błogosławionego, zarówno je ożywiając. Cichość głęboka panowała jeszcze w wielkiej sali, niekiedy tylko westchnienie, spadający z różańca kościany paciorek, szmer cichej modlitwy lub słowo z ust wymykające się przerywały milczenie. Ojcowie powoli schodzili się jeszcze, starsi szli o kiju, prowadzeni przez profesów³, raz po raz otwierały się drzwi i który z zakonników wsunął się z hasłem zwyczajnym, po cichu wymówionym, zajmując miejsce oczekujące na niego.

Przeora i kilku starszych nie było jeszcze, a chwila oczekiwania na nich zesłała na rozmyślanie, którego ciężkie dумы widać było po zaszepionych twarzach braci. Nareszcie drzwi się otworzyły i ksiądz Kordecki wszedł powolnym krokiem, zajął miejsce swoje, ukląkł przed krucyfiksem, rozpoczynając ze wszystkimi modlitwę do Ducha Świętego...

¹ Tu w znaczeniu modlitwy odprawianej przez zakonników w chórze.

² Nimbus (nimb) – krąg świetlny.

³ Profesowie – zakonnicy, którzy po odbyciu nowicjatu złożyli już śluby zakonne.

Słuchać było szmer upadających na ziemię kolan i cichy szept, jakby orzeźwiający deszcz wiosenny zasumiał po sali.

– Amen! – Powstali wszyscy. Ksiądz Augustyn Kordecki jeszcze chwilę z rękami założonymi, z oczyma dźwigniętymi w niebo, choć usta miał zamknięte, modlił się gorąco, duszą całą. Ojcowie oczekiwali, by zszedł ku nim; w powadze, rozrzewnieniu niektórzy poglądając na niego.

Wtem podniósł się żywo, opromieniony, z pogodnym czołem, z uśmiechem słodkim, otwierając usta powitaniem zwykłym w zakonie, i tak mówić zaczął:

– Kochani bracia, wezwałem was na radę, bo sam nie mogę brać na barki moje wielkiej odpowiedzialności w okolicznościach teraźniejszych kraju i świętego gniazda tego się dotyczących. Nie ma już wątpliwości, że Szwed, który zalał całą Polskę, i na naszą twierdzę jasnogórską się zbiera; nie wiemy dnia ni godziny. Nie pytam was, bracia. mili, czy tego miejsca, powierzonego naszej straży od półtrzecia wieku, bronić będziemy od napaści heretyków, bo to jest obowiązkiem naszym i wątpliwości żadnej nie ulega; ale rad bym zdania waszego zasięgnąć o tym, czyli przystoi święty obraz zostawić tutaj, lub ukryć go należy w bezpieczniejszym, w nie znanym schronieniu. Bronić się musimy i będziemy do ostatniej krwi kropli, winni będąc przelać ją tutaj za Boga naszego i wiarę, za wierność królowi poprzysiężoną. Ale któż wie? Może Bóg nie pobłogosławi usiłowaniom naszym, może nie podolamy obronie, może śmierć nas spotkać, a wróg opanować lub zniszczyć Jasną Górę? Godziż się, by obraz wystawiony był, nie mówię, na jego razy, ale nawet na wzrok urągliwy i szyderski? Mówcie więc, bracia, i radźmy w imię Boże. Naprzód wy, ojczyznacy!

Ojciec Ignacy (Mielecki), krzepki starzec z siwą włosów koroną, olbrzymiej prawie postawy, pogodnej twarzy, ale surowego wejrzenia, skłonił się przełożonemu, spojrzał po braciach, jakby się wymawiał, że pierwszy głos zabiera, i tak mówił:

– Bronić się heretykowi konieczna i piękna; umrzeć bodaj w obronie tego świętego miejsca, jak straży przystało, którą wódz postawił na ważnym stanowisku, chlubna by nam była. Podolamy walce, bo nas Bóg-Człowiek Odkupiciel nie opuści i Matka Najświętsza płaszczem łaski swej osłoni. Nie znajdzie się tu pewnie, kto by radził poddanie sromotne. Prawda, że kraj cały pokłakł, jako obłąkani Izraelici przed cielcem złotym; ale komuż, jeśli nie nam, dać przykład wytrwania i dochowania przysięgi? Co się tyczy świętego obrazu, o ile umiem słabym rozumem

radzić i wnioskować, skryć by go należało wprzód, niżeli wróg nadejdzie; skryć także srebra i drogocenne kościoła naczynia i ofiary, aby się nimi heretyk nie cieszył, jeśli Bóg na nas dopuści zniszczenie. Sami pozostaniemy świętego miejsca do ostatka żołnierzem wiernym i nie wzdrygniemy się boju.

Przeciwko księdzu Mieleckiemu oświadczył się ojciec Jan, wnosząc, by w razie obrony obraz pozostał w miejscu dla zagrzewania ducha i opieki, dowodząc, że kapłani i lud zarówno, odważniej bić się będą, widząc Orędowniczkę przy sobie i stojąc w Jej obronie.

Na to ksiądz Mielecki odpowiedział, że bezpieczeństwo obrazu i miejsca pogodzić się mogą, gdyż o ukryciu prawdziwego wizerunku, a włożeniu na miejsce jego kopii zupełnie podobnej, zakonnicy sami tylko wiedzieć by powinni.

Po nim wezwany kaznodzieja ksiądz Stradomski w podobny odezwał się sposób, ale obszerniej, unosząc się zapalem, rad nieco wrażeniu, które widocznie czynił. Dodał on, że o miejscu ukrycia obrazu, dla krewkości ludzkiej, na wszelki wypadek, dwóch tylko ojców wiedzieć ma oprócz przeora, i ci przysięgą winni się będą zobowiązać, że schronienia nikomu nie wydadzą.

Trzej czy czterej ojcowie z małą różnicą powtórzyli zdanie pierwszych i nie rozszerzali się wcale: Kolej przyszła na księdza Piotra Lassotę; ten w początku zaniemiał, lecz przynaglony od przeora, jakby się obawiał powiedzieć, co myślał, nieśmiało głos podniósł.

– Nie śpieszę – rzekł – z myślą moją, bo złą być może, a przecież winienem ją, choćby grzeszną i ułomną, wypowiedzieć, jaką jest we mnie. Przebaczcie mi więc, ojcowie, jeśli waszego nie podzielał zdania, ani mi za złe nie bierzcie, że mam własne. Z wami razem, skoro taka będzie wola starszych, gotów jestem ochotnie walczyć i ginąć, z radością życie niosąc nikczemne na ofiarę Panu Bogu mojemu; ale sądzę, że nie mnicha jest rzeczą walczyć i krew przelewać. Nam w udziale dostała się modlitwa, rozmyślanie, rozmowa z Bogiem i pokuta; miecz nie powinien dotknąć rąk zakonnika, nie przystoi mu zbroja, a morderca dwakroć grzeszy, gdy jest posłannikiem Boga, który nieprzyjaciółom przebaczać i drugi policzek nadstawiać rozkazał. I nie naszą to rzeczą, i nie naszych sił sprawa obroni twierdzę jasnogórską od silnej wprawnego i mocnego nieprzyjaciela napaści. Winni będziemy krwi przelanej, a cóż, gdy się ona na nic nie przyda i tylko wroga rozjątrzy? Weźmijmy więc skarb nasz, obraz święty na ramiona, ubodzy, pieszo, z krzyżem w rękę,

wyjdźmy stąd, zostawując skarby ludziom, co do nich przywiązują cenę, a sami schrońmy się do Głogowa lub innego jakiego klasztoru na Śląsku. Gdy to mówił ksiądz Lassota, a mowa jego zdawała się jednać sobie chętne przyjęcie u niektórych braci, przeor powstał.

– Prosiłem rady; jako szczerą a z serca pochodzącą, przyjmuję ją wdzięcznie – rzekł – ale się na to zdanie wasze zgodzić nie mogę. Zakonnik w potrzebie walczyć i bronić świętości powinien, a nie poddawać się nieprzyjacielowi wiary. Mamy tego dowody w ustanowionych przez świętych założycieli zakonach rycerskich, które *ore, corde, ense* (słowem, sercem, mieczem) pracowały na zbawienie swoje i ludów; mamy tego przykłady w Piśmie Świętym i w dziejach mężów, których orężowi błogosławiło Niebo. Przysięgaliśmy wszyscy, jako obywatele kraju naszego, na wierność królowi Janowi Kazimierzowi; nie godzi się nam łamać i lekceważyć przysięgi. Mamyż, gdy na nas oczy kraju całego są obrócone, gdy wszyscy wyglądają stąd cudu, aby się nim pokrzepić, mamyż ustąpić, ocalając życie, a zostawić miejsce święte, jako gniazdo próżne, na łóżysko heretyckiej gawiedzi, by je nie zastygłe jeszcze bluźnierczą mową i sromotnymi czyny splamili? Święty to obraz, święty stół, bracia moi, ale uświęcona nim przez wieki Jasna Góra równie dla nas drogą być powinna. Tu walczyć, tu stać i tu, jeśli wola Boża, zginąć nam przystoi.

Ksiądz Piotr Lassota skłonił głowę i nic nie odpowiedział, a dalsi ojcowie głosowali raczej za przeorem, niż za nim. Kilku tylko jeszcze, z innych powodów, przypominając słabość miejsca, niedostateczne środki obrony, radziło wytargować sobie jak najkorzystniejsze warunki u Karola Gustawa, posłać wcześniej do Wittemberga, do Horna, do przyjaznego dawniej miejscu świętemu Wejharda i, przewlekając poddanie, czekać dalszych wypadków.

Gdy głosy zebrane zostały, okazało się, że znaczna większość była za ukryciem bezpiecznym a niezwłocznym obrazu świętego i za obroną do ostatka Jasnej Góry. Z radością widoczną obliczył je przeor i przemówił jeszcze, dodając ducha mniejszości:

– Wiary! Wiary! Wiary potrzeba nam; o nią prosimy tylko, o nią błagajmy, módlmy się o nią, a zwyciężym. Samson szczęką oślą pobija Filistynów, Dawid maluczki kładzie trupem Goliata olbrzyma, bo z nim jest duch Boży; nie zawsze siła tylko przemaga: zwyciężał, z kim jest Bóg. Mamy wielkich orędowników w niebiesiech, a choć grzeszni, w chwili gorącej modlitwy podniesiem głos, by nas usłyszał Ojciec. Wiary

tylko, wiary silnej, wiary niespożytej i potężnej! A nawet, po ludzku już rachując i nie licząc posiłków anielskich, które to święte miejsce otaczać będą, czemuż by twierdza tak mocna, budowna, w przybory wojenne obfita, w żywność zasposobiona, stać i wojskom wielkim opierać się nie miała? Widzieliśmy przykłady u nas zamków i grodów, które cierpliwością i wytrwaniem dziesięćkroć silniejszego napastnika przemogły. Inna jest napadać, a inna bronić. Jeśli my nie wojownicy, znajdą się wodze bieglejsi, co nam rady i przewodnictwa nie odmówią, znajdą się posiłki, byle wiara była.

Domawiał tych wyrazów, gdy do drzwi definitorium zapukano. Profes Rudnicki otworzył je, poszeptał coś z cicha i zbliżył się do przełożonego.

– Stróż od bramy przyniósł to pismo, pilne, jak powiada; żebraczka Konstancja mu je podała, jej zaś konny jakiś, pod mury podjechawszy, rzucił ze zleceniem, aby je natychmiast do przeora zaniesiono.

Ksiądz Kordecki rozwinął zbrukaną kartę i odczytawszy, rzekł powolnie: – Nowe to potwierdzenie wieści o zbliżaniu się Szwedów i zamiarach ich na Częstochowę. Ktoś to przyjazny nam, znać z kwarcianych czy z innego polskiego żołnierza, umyślnie oznajmienie to przysłał. Ręka i styl nieznamy, ale myśl pocziwa...

I począł czytać po łacinie te słowa:

„Szanowni Ojcowie!

Rzeczą jest niezawodną, że postanowiono już uderzyć na Jasną Górę i pierwszej zaczepki spodziewać się możecie najdalej w pięć lub sześć dni po odebraniu tej wiadomości. Wyznaczony do tego hrabia Wejhard Wrzeszczewic, katolik, niegdyś opiekun i dobroczyńca klasztoru waszego, ale Szwedowi przyjazny, który od razu może gwałtownych nie użyje środków; lecz, jeśli mu się nie uda zająć twierdzy, znaczniejsze siły podesłane będą. Nie traćcie nadziei, pora opóźniona, nie do wojny; z Polaków nikt na Jasną Górę się nie porwie; zamknijcie się co najrychlej; wpuszczajcie tylko pewnych i znajomych, a resztę Bogu powierzyć”.

List ten podpisany był trzema krzyżykami. Słuchali czytania jego ojcowie spokojnie, aż ksiądz Ignacy Mielecki się odezwał:

– Jeśli hrabia Wejhard wysłany zostanie, nic nam złego zapewne uczynić nie zechce; znany to przyjaciel zakonu, czciciel świętego obrazu: imię

jego w księgach ofiar niejeden raz zapisane; miałaby chcieć łupić, co zbogacał, znieważać, co czcił?...

– Bóg to wie – rzekł przeor – a ostrożność nie zawadzi; tymczasem dziś jeszcze pójdziemy pokłęknać przed obrazem, który już jutro w Częstochowie znajdować się nie będzie. Ojcowie strażnicy, co z nim pojedą, wyznaczeni będą po chórze północnym, ja sam go wywiozę do bezpiecznego miejsca z nimi. Drudzy zabiorą srebra klasztorne, które w stawie zatopić wypadnie pod miasteczkiem. Mieszczanin tam jaki oko na nie mieć może. Ludzie z wiosek klasztornych, z Krowodrzy, Grabówki, Lgoty, Dźbowa, w części już sprowadzeni, nad rankiem i koło południa z resztą pośpieszą. A teraz kończymy, jakośmy zaczęli – z Bogiem i modlitwą!

Na tym skończyła się narada, i nazajutrz rano, choć nikt nie wiedział o podróży przeora, o uwiezieniu obrazu, choć nic nie zmieniło się w kaplicy i nabożeństwie, a obcy zamiany by poznać nie mogli, prawdziwy wizerunek częstochowski daleko już był od tego miejsca, na którym kilkaset lat przebywał; w jego zaś ramach, sukience i klejnotach kopią zupełnie podobną, jakich zawsze kilka w pogotowiu miano, zawieszona została. Srebra klasztorne, zamknięte w beczki, utopiono w stawie tejże nocy.

V

Ruch wielki panował dokoła klasztoru. Odzywać zdawała się okolica, ale nie było to dawniejsze, swobodne, pobożne i wesołe życie, jakim się uśmiechała Częstochowa; inne wcale je zastąpiło. Dziś wszyscy jadący do twierdzy twarze mieli posępne, wzrok zafrasowany i niespokojny, śpieszyli i oglądali się spotykając, witali milczącym skinieniem głowy lub przemawiali do siebie półgłosem. Od miasteczka ciągnęły ładowne wozy, napełnione żywnością; groźnie warcząc, odzywał się obudzony młyn prochowy; z sąsiedztwa zwożono zboże, oręż, kule, ołowie i broje stare; lud z wiosek powolnie zbierał się do wrót i zapełniał dziedzińce. Tu mnisi sami jeszcze prawie rozporządzali, co było potrzeba na wypadek oblężenia, które przewidywano; na mury ciągniono działka, śmigownice¹ i organki², zwożono kule, kamień i belki; po kortynach zamurowywano niepotrzebne otwory, podwajano słabą murów grubość, w niektórych miejscach wrzątkiem zastygające rozrabiając wapno; z tarcic i brusów wmurowywano blankowania nowe.

Na wysokiej, świeżo po pożarze odnowionej wieżycy straż czujna odzywała się niekiedy, otrąbiając i dając znak, że wartuje. W podwórkach gospodarowali, kręcili się zakonnicy, do tego rodzaju pracy niezwykli, ale oddający się jej gorąco. Jedni przyjmowali, co przywożono, i składali na wcześniej przygotowane miejsca, drudzy wydawali ze składów stare zapasy wojenne, dawne przybory i rynsztunki, które rdza, wilgoć i długi spoczynek nadwątliły.

Dziwny to był widok tych mnichów, z ciekawym okiem a niewprawną dłońią podejmujących broje ciężkie, hełmy od rdzy szerniałe, berdysze³ wyszczerbione, siekiery i topory wojenne, żelazne łuskowe pancerze i kopie, których drzewce robak stoczył, liczących kule nagromadzone kupami, chodzących około dział i muszkietów. Czeladź klasztorna oczyszczała uzbrojenia; płatnerz je, sprowadzony z Olsztyna, naprawiał zaraz, dotaczano rzemień, przyszywano sprzączki, zabijano gwoździe,

¹ Śmigownica – strzelba średnia między armatą a hakownicą (strzelbą ręczną).

² Organki – składały się z pewnej liczby hakownic, obok siebie umieszczonych, które się jednocześnie zapalały.

³ Berdysz – rodzaj siekiery wojennej.

toczono szable. Lud tymczasem, który był wyznaczony do obrony świętego miejsca, poglądał na te przygotowania okiem posępnym i zdumionym. Od pługa świeżo, od brony, od motyki przechodząc w szeregi wojowników, nie oswoił się jeszcze z nową pracą, nie wierzył zmianie.

Janasz Węgrzyn, jeden z tych awanturników, co raz porzuciwszy ojczyznę, a z wojny uczyniwszy rzemiosło, włóczę się po Bożym świecie, wybierał zdutniejszy lud i rozporządzał nim razem z księdzem Mieleckim, mnichem dzisiaj, a dawniej wojakiem, któremu przypomnienie pierwszego stanu smakowało, choć uczucie to grzeszne od siebie odpychał. Jednych odłączono do posług klasztornych, drugih, co ochotniej brali się do tego, naprędce obeznawano z orężem i obowiązkami, jakie spełniać mieli. Ukazywano im miejsca, dawano w ręce oręż, a niektórzy, przywdziewszy ciężkie zbroje, spoglądali na siebie z dziwnym zdumienia uśmiechem. Ojciec Stradomski, kaznodzieja, wszystkim tym nowozaciecznym wyniósł po szkaplerzu i po obrazku Najświętszej Panny, gorącą ich mową zagrzawszy, dodając otuchy obietnicą, że i sami wespół z nimi walczyć będą, a płacę zapewniając dostatnią.

Wśród tego tłumu postaci rozmaitych i dziwnie z sobą sprzecznych, wśród zjeżdżającej się co chwila szlachty, która tłumoczki swe do zabudowań klasztornych przenosiła, wśród niezwykłego w ciszy zakonnej kwilenia dzieci, głosów kobiecych, uderzała przemykająca się tu i ówdzie ze śmiechem, z pocieszeniami, powitaniem i żartami stara niewiasta w żebraczym odzieniu, dobrze znana mieszkańcom Częstochowy. Zwano ją, po imieniu tylko, Konstancją, a lud prosty, dla pozorów może, może ze swawoli, mianował ją zwykłej Kostuchą. Istny to też był szkielet, na którym tylko wyżółkła trzymała się skóra, osobliwszą siecią zmarszczek pokryta. Wysokiego wzrostu, chuda, nieco przygarbiona, z kijem w ręku, z płachtą szarą na głowie, w odartym sieraku i chustach pooplątywanych na ramionach, z torbą pustą na plecach, godłem stanu, Kostucha tego, co ją raz pierwszy zobaczył, uderzała wyrazem twarzy zeszcłej, bladej, a ożywionej jakby obłąkanym uśmiechem, który jej nigdy nie opuszczał. Czarne oczy, ogniste, spod brwi siwej błyskające, od tego śmiechu wiekuistego otoczyły się promienistymi fałdami, rozchodzącymi się od ust i na czoło. Gęba bezzębna, na wpół otwarta, śmiała się także, a nos prosty, niewielki poruszał się przy tym z całą twarzą, drgającą i jakby wykrzywającą się.

Kilka kosmyków siwych włosów wymykało się spod płachty i na skroni spadało. Ruch żebraczki nad wiek jej był żywy, głos donośny, a wśród poskoków, śpiewów i chichotania, z jakimi ją zawsze widywano, coś smutnego się przebijalo, cechujacego obłąkanie, owoc wielkiej, przecierpianej boleści... Nie była wszakże szaloną: pamięć, przytomność, przebiegłość, nawet dowcip jej pozostał; ale ten śmiech, okryty łachmanami i zgrzybiałością, zdawał się wyrobionym siłą, wywołanym postanowieniem jakimś. Zwykłym jej mieszkaniem były kramiki pod murami klasztornymi, w których noc spędzała latem i zimą na garści słomy. W wielkie mrozy czasem ją kto miłosierniejszy z mieszczan okrył starym kożuchem, czasem do chaty zawezwał. We dnie, rychło brzask, stawała u drzwi kościelnych; tu lub w kruchcie modliła się na ogromnym, drewnianym różańcu, z nadzwyczajnym przejęciem i gorliwością, nigdy się o jałmużnę nie przypominając nikomu. Najczęściej grosz jej rzucony inny żebrak pochwycił. Kostucha tylko się na to uśmiechała, bo kawałek chleba zawsze miała przy furcie, a o resztę zdawała się nie dbać. Skoro skończyło się nabożeństwo, wzięwszy kij, szła pod kramy, do miasteczka lub na cmentarz, śpiewając, skacząc czasem i chętnie zawiązując z każdym rozmowę, której pragnęła, którą lubiła. Znała tu wszystkich, bo od lat kilkudziesięciu siedziała pod murami twierdzy, i nikogo nie było; co by się z jej żartów nie uśmiechnął, co by na powitanie jej nie odpowiedział. Przy ludziach zawsze się dziwnie okazywała wesołą. Mówiono wszakże, iż gdy samu została, gdy sądziła, że na nią nikt nie patrzył, siedziała posępna, płakiwała nawet; ale skoro na nią padło ludzkie oko, natychmiast poczyniała piosenkę i otwierała usta na uśmiech swój zwykły.

– A z tobąż, Kostucho, co będzie? – spytał Janasz Węgrzyn, gdy się ku niemu zbliżyła. – Może i ty nam tu kule nosić pomożesz?

– Zobaczmy – odparła, kłaniając mu się nisko a szydersko. – Nie chce mi się opuszczać moich pałaców, i choćby wojsko szwedzkiego chana nadsięgnęło, ja sobie zostanę, siedzieć będę, jak siedziałam, pod murem.

– Ba! A kule?

– Mnie one nie wezmą. Ho! Ho! Widzicie, skórę mam twardą i kości nie miększe. Będę zbierała je jak orzechy i odnosiła wam, by ich nie zabrakło w klasztorze.

– He! To i wy myślicie, że się Szwedzi na klasztor pokuszą?

– Jak dziś dzień; i czekałam na to jak kania dżdzu. To będzie harmider! Buch! Bach! Dzwony sobie, armaty sobie, waćpanowie sobie – aj! aj!

Muzyka także, aż miło! Bal! Bal!... A nasza Najświętsza Panna z góry stanie w obłokach i jak skinie białą rączką – już po Szwedach, jak wymiotł...

– Chwała Bogu! Dobrze nam prorokujecie!

– Komu dobrze, a komu licho – cicho szepnęła Kostucha.

– No, alboż co? – spytał Janasz z wejrzeniem na wpół żartobliwym, na wpół niespokojnym.

– Bo was taki, Janasz, kochanie moje, kula nie minie.

– Patrzcie, jaki mi z tego obdartusa prorok!

– Cha! cha! – zaśmiała się Kostucha. – A jak się uląkł, jak pobladł!

– Ja? Ja? – odparł Węgrzyn, prostując się i spluwając pogardliwie. – To się po mnie nie pokaże, żebym babskich prorocत्व słuchał.

– Kochanku Węgrzynie od Złotej Bani, przynajmniej się wypowiadaj zawczasu, bo cię święty Piotr nie puści na piwo do Abrahama, a słysząc, że ono lepsze niż wareckie.

To mówiąc, Kostucha rozśmiała się i zaczęła skakać przed Węgrzynom, dziwne robiąc krygi, od ust posyłając pocałunki, kłaniając się, chichocząc. Janasz spuścił głowę, niby nic nie uważał, ale sposepniał widocznie. Od niego poszła żebraczka do jakiegoś chłopca, który obracał muszkiet z obawą i niezgrabnością; zbliżyła się, pokłoniła mu się i poczęła go musztrować. Chłop na widok tego dziwowiska głowę szeroko otworzył, a Konstancja, korzystając z zagłupienia parobka, jęła mu szybko dawać nauki o strzelbie i wojaczce.

– Bo ty nie wiesz – odezwała się groźnie – że ja jestem pułkownikiem regimentu Bosaków... Strzelba na ramię... ale nie tak, jakbyś cepisko trzymał! Słyszysz? Nabijaj! Celuj! Pal! A pamiętaj, serdeczny mój, jak będziesz strzelał do Szweda, to go nigdy nie bierz na cel w piersi, bo u niego żebra mosiężne, a ramiona żelazne i łeb kamienny; zawsze rychlej mierz w obwisłe brzuch i we flaki, to go zwalisz pewniusięko, bo u niego całe życie w kałdunie. Szwed też, żebyś wiedział, kochanku, ma ręce słomiane. Kiedy zechce bić, nastaw mu się tylko, a nie poczujesz razu, byle śmiało!

Wtem nadszedł ksiądz Mielecki, a żebraczka ustąpiła, śmiejąc się jeszcze, i powitała go:

– Chociaż ja pułkownikiem jestem, a to hetman, widzisz, gburze, skłonię się jak przed wodzem.

– Ej, stara! Stara! Że też ciebie jeszcze trzymają się żarty!

– Prawda, ojczy! Wzięły się mnie, gdyby pijawki i puszczać nie chcą: Cóż robić, aby dalej! Czołem, panie hetmanie, pójdę dalej, oglądać wojsko wasze.

I wywijając kijem jak muszkietem, posunęła się w podwórze, ku przybywającej szlachcie.

– Sługa jaśnie wielmożnego pana! – odezwała się z przysadzistym ukłonem do łysego szlachetki, który wózkiem przybył i nigdy podobno takiego tytułu nawet od ludzi swoich na wsi nie słyszał. ,

– Poczekaj, moja kochana, poczekaj! – odparł przyjezdny. Worek zapakowany, dam ci później jałmużnę.

– Bardzo dziękuję jaśnie wielmożnemu panu, za dziesięć lat stawię się po nią.

To powiedziawszy, poskoczyła ku bramie chyżym krokiem, zaczepiając po drodze każdego słowem, ruchem, ukłonami – wymknęła się na most i znikła.

VI

Właśnie w tej chwili znaczny pociąg i orszak liczny wjeżdżał w podwórzec. Byli to ludzie i konie pana Piotra Czarnieckiego, który od dawna oświadczył się przeorowi, że gdy niebezpieczeństwo przyjdzie, i on stawić się do Częstochowy nie omieszką; jakoż dotrzymał słowa i z poczem porządnym, z zapasem dla niego potrzebnym ściągnął do klasztoru.

Był to godny brat wielkiego Stefana. Toż samo w nim męstwo, jedna wytrwałość, jedna prostota obu. Ze szlachtą i prostym ludem łagodny i miękki, serdeczny brat i ojciec, z panami czasem opryskliwy i nieco dumny, a wysoko podnoszący głowę. Zresztą przede wszystkim żołnierz i, jak żołnierz, nie patrzący jutra, chętnie czyniący ofiarę z mienia i krwi własnej. Wesoły zwłaszcza w boju, lubiący pracę, w spoczynku łatwo się nudził. Pobożny duszą, ludzki, towarzyski i braterski, nawet z twarzy miał nieco podobieństwa do pana kasztelana kijowskiego, tylko zawczasu ołysiał, co mu powagi dodawało, a brodę podgalał. Strojem jego szaraczkowy kontusz, burakowy żupan z wyszarzanej jedwabnicy, szabla stara i doświadczona na rzemiennym pasku, klamrą spiętym, na głowie czapeczka ze skóry, przesywana gęsto, jakiej pod hełm używano, tak że tylko na nią wdziąć żelazo, pancerz opiąć – i gotów do boju. Jechał sam konno, za nim czeladzi kilku, a wozy, skórąmi okryte, po cztery i pięć koni, ciągnęły zapasy potrzebne, które się w domu znalazły, a w Częstochowie przydać się mogły. Ledwie ujrzeli go księży i rodzony brat jego, ksiądz Ludwik Czarniecki, zaraz pośpieszyli przybywającego witąć. Ksiądz Mielecki znalazł się najbliżej.

– Otóż i mnie macie! – rzekł wesoło, z konia zsiadając i czapeczkę zdejmując, pan Piotr. – Jak mnie widzisz, tak mnie pisz! Niewiele zduszamy, ale co podołamy, to wasze, z całego serca przychodzę dzielić z wami, jaką Bóg zdarzy, złą czy dobrą dolę. Ja, trochę czeladzi do flinty sposobnej, kilka wozów rupieci, ot cały przybytek.

– Bóg wam zapłać za waszą nad biednymi mnichami litość – rzekł z ukłonem ojciec Mielecki. – Wielki to przybytek jedno serce mężne i dwoje rąk dzielnych.

– Każcie mi tam gdzie jaki kątek dla mnie i moich ludzi wyznaczyć – odparł, ściskając brata, pan Czarniecki. – Ja tymczasem pośpieszę hetmana naszego powitać.

– Kogo? – spytał ksiądz Ludwik.

– A jużciż nie kogo, tylko księdza przeora, pocziwego Kordeckiego.

Tych słów domawiał, gdy ksiądz przeor, pośpiesznie dążący naprzeciw, by pożądanego powitać gościa, stanął przed nim.

– Witajże nam, cny obrońco Częstochowy!

– Do nóg upadam księdza przeora dobrodzieja! Gotów, jak mnie widzicie, z dłonią i szablą na usługi klasztorne się stawić. Odebrałem listy wasze i co się zebrać mogło, w posiłek przywodem, a naprzód siebie samego.

– A to najdroższa, bo afektu dowodzi ku Świętej kraju Patronce i tym progom, i dla sług Jej niegodnych. Rozgośćcież się, szanowny panie, w naznaczonym wam mieszkaniu i gospodarujcie tu jak u siebie.

– Przede wszystkim, ojcze dobrodzieju, gdzież jest moja cela?

– Panu Stefanowi Zamojskiemu, który dziś niechybnie ma przybyć z żoną i synem, naznaczyliśmy najobszerniejsze mieszkanie, a dla pana w klasztorze samym za klauzurą¹ gościnny pokój, obszerny także i wygodny.

– Mnie o ton nie idzie; ojcze mój kochany – przerwał pan Czarniecki – dziękuję wam bardzo za troskliwość, ale pokój gościnny wasz znam i przyjąć go nie mogę. Pamiętajcie, że to nie gościa i nie brata pana kasztelana mieścicie, ale żołnierza, któremu być potrzeba jak najbliżej murów, aby i w chwili spoczynku ucho miał na nie i oko. Dajcie mi siaką-taką ciupkę przy węgle murów, to dopiero mnie ucieszycie, bom ja tu nie przyjechał rozkoszować się, ale pracować z wami, i dalipan od serca.

– I z tej celi do murów niedaleko – rzekł z rozrzewnieniem przeor. – Zajmujcie ją, proszę bardzo, gdzie indziej byłoby wam niewygodnie.

– Kto teraz, ojcze, o wygodzie myśli? Byle gdzie głowę położyć na chwilę, i po wszystkim. Jeśli mi chcecie łaskę uczynić, lokujcież mnie, jako sam proszę, przy murach, przy murach...

– Tam są tylko liche izdebki, a hałas gawiedzi...

– Tegoż mi potrzeba, oko mieć będę; stawcie mnie gdzie w narożniku.

– A kule szwedzkie, jeśli Bóg nas nimi nawiedzi!

¹ Klauzura – część klasztoru zamknięta dla osób z zewnątrz.

– O! Znam ja grubość częstochowskich murów i spokojny jestem o to; zresztą, wszakże mi idzie, żeby być jak najbliżej kul, a zatem, tak! tak! na dole w baszcie.

– Chcecie tego naprawdę? – spytał Kordecki.

– Ani ustąpię od tego!

– Więc wola wasza. Ojcie Ignacy, każcie oczyścić izbę! Czyńcie, jak się wam podoba! A teraz powiedzcie mi, jakie wieści? Co słyhać?

– Stare! Stare! Szwed dobywa Krakowa, już mu jednej stolicy nie dosyć; może go i dostał – rzekł z westchnieniem pan Piotr. – Miałem pismo od kasztelana, źle! źle! Kraków wezmą; chodzi tylko o to, by dobre artykuły wytargować.

– Król jeszcze na Spiszu?

– Dotąd, i ani myśli ruszać: dokąd? Z kim?

– A na nas tam nie mierzą?

– I owszem. Wiem z pewnością, że lada godzina jakiś się oddział tu wybierze; naradzają się tylko (od swoich to mamy), kogo naprzód wyprowadzić: zda się, że poczną od politycznych układów i katolika tu wysforują, byleby się tylko wkręcić, pod pozorem wzmocnienia załogi twierdzy. Myślę, że Wejhard podejmie się tego i pokłoni Częstochowie lisią czapką...

– Wola Boża! Niech przychodzi, kto chce, jesteśmy już spokojni. Obraz

– rzekł przeor cichuteńko – na miejscu bezpiecznym, sreberko także, a my, mając garść ludu i pomoc w takich mężach, jak wy, pan Stefan Zamojski i opiekę w Matce naszej, nie złękniemy się. I traktować potrafimy, i bić się, na wszystko gotowi.

– Jeszcze nie przybył pan miecznik?

– Nie ma go, ale dziś być musi. Szlachta już, gnana panicznym strachem, gromadzi się do nas, i za to dzięki Bogu! Więcej głów i więcej rąk mieć będziemy. Dzisiaj powitaliśmy pana Żegockiego, Zygmunta Moszyńskiego i kilku innych; każdy z sobą przynosi więcej niż najdroższy skarb, bo męstwo i wiarę w to, że się Częstochowa ostoi. Nawet pan Aleksander Jaroszewski z Lubidzy żonę tu swoją, pobożną a świętą niewiastę, z dziećmi przysłał, pewien ich bezpieczeństwa. I zdarzy Bóg, nie damy się!

– Nie damy się – powtórzył wesoło Czarniecki, oglądając się po murach i po dworcach, pełnych ludu krzątającego się dokoła, pełnych wrzawy, gwaru i stukotu, oznajmującego wielkie przygotowania.

– A widzę, nie śpicie, księżu przeorze – rzekł – bo tu istotnie, jak na zamku, przybór do wojenki, aż serce rośnie.

– I dziś, dzięki Bogu – odpowiedział ksiądz Kordecki, wznosząc w niebo oczy lżą zroszone – byleby przybył pan miecznik, w zupełnej staniemy gotowości. Mam już z górą stu sześćdziesięciu ludzi, nie licząc nas zakonników i szlachty, która na dowódców się wybierze, nie licząc czeladzi i posługaczów klasztornych. Działa na miejscach, tylko je poświęcić, kule i prochy pod ręką, a dla rozweselenia serc frasobliwych i kapela klasztorna swoją broń sztytuje. Bo, jak poszcząc przykazał nam Chrystus twarz mieć wesolą, tak i tu, ciężką a smutną spełniając powinnośc, pełnić ją potrzeba z twarzą rozjaśnioną. Ale tu stoimy – rzekł, opamiętując się Kordecki – a ja, niegościnnie gospodarz. nie proszę pana spocząć; wnijdźmy więc, jeśli łaska.

– Ja bym raczej mury chciał opatrzyć – rzekł pan Czarniecki żwawo, wąsa sutego kręcąc.

– Na to będzie czas jeszcze, bo nieprzyjaciół, spodziewam się, tak zaraz na kark nam nie spadnie. Chodźmy więc słusznego zażyć odpoczynku.

Sklonił się pan Piotr i, wzięwszy pod rękę przeora, razem wsunęli się do klasztornej gmachu, gdy tymczasem ludzie i czeladź wozy odprzęgali i manatki znosili do baszty, którą sobie Czarniecki obrał za mieszkanie.

Nad wieczorem przyjechał spodziewany miecznik sieradzki, pan Stefan Zamojski, z żoną i synem, młodym chłopcem, wyrostkiem, który miał imię ojcowskie Stefana. Nie należał on, jakby z nazwiska sądzić można, do zacnej rodziny Zamojskich, już podówczas ze szlachty do magnatów przechodzącej, do Jelitczyków, potomków Floriana Szarego, których wielki Jan² wwiódł za sobą na senatorskie krzesła, między familie dawniej pańskie, choć nie tyle może zasłużone, co oni. Pan miecznik, z nazwiska Zamojski, całkiem innego był rodu; Zamojscy sieradzcy byli herbu Poraj, a pan miecznik mieszkał w dziedzicznych dobrach Strzelczu. Podobnie jak pan Czarniecki, kasztelan kijowski, przesławnych dygnitarzy między przodkami nie liczył. Pan Stefan był całą gębą szlachcicem tylko, ale fortunka piękna, imię uczciwe i pokrewieństwa mogły go popchnąć wyżej. Nie piał się on wcale na pana, woląc być sobie dobrym szlachcicem niż lada jakim podpankiem. A. był to człowiek, co w swoim wieku za typ szlachcica mógł uchodzić. Rzekłbyś, że się urodził do konia i szabli, tak mu łatwo przychodziło

²Jan Zamojski, kanclerz i wielki hetman koronny. Zm. 1605 r.

wszystko, co się tknęło rycerstwa, tak od młodu, instynktowo, nim się wyuczył, już zda się umiał swoje rzemiosło wojaka; nie było konia, którego by nie dosiadł, szablicy, co by nie świstała w potężnej jego dłoni, zbroi, co by mu zaciężyła na barkach. Służył w wojsku i wyszedł z niego nie tylko żołnierzem, ale wytrawnym dowódcą. Ale zdjawszy zbroję, rolnik był z niego i gospodarz wymieniony; nie na sposób pana Pawła Warszyckiego, który w gospodarstwie grosz tylko widział, ale z potrzeby pracy, z zamiłowania wioski i roli, zresztą – z obowiązku. Lud kochał i był od niego kochany jak ojciec. A choć trzymał wszystkich w ryzie, każdy mu oddawał sprawiedliwość. że nigdy nawet pośpiesznym słowem niesłusznie nie zgromił. Prawo znał także na palcach. Nie lubił wprawdzie pieniądza, bo mu święta zgoda nad wszystko była miłą; ale czuł to, że jako obywatel kraju, prawa jego znać powinien. A w życiu codziennym, acz poważny i umiejący okazać, że znał godność swoją, przyjacielski był i miły, że się bracia szlachta Sieradzanie posiekać by za niego dali. Miał tylko jedną wadę, jeśli się to owymi czasy wadą nazwać mogło, a z niej jeszcze u ludzi na chlubę sobie zarabiał: był wymowny i chętnie, może do zbytku, prawil oracje, byleby się sposobność nadarzyła. Wymowa jego była wyszukana i najeżona przypomnieniami, toteż jej gwoli spisywał w swej księdze, co tylko piękniejszego w tym rodzaju spotkać mu się trafiło. Tu był niewyczerpany, nieprzesłuchany, ale też byle chrzciny, oddawanie marcepanów, przyjmowanie panny, zamiana pierścieni, dobijano się o niego w całej Sieradzczyźnie, ba! i z dalszych stron, tak mu łatwo było, bez przygotowania, mowę przednią powiedzieć. Postać malowała człowieka: ogromny, barczysty, pleczysty, silny jak żubr, z włosiem czarnym, z wąsem potężnym, podkreconym ku górze, płeć miał białą i rumianą, oko pełne a ogniste, czoło podgolone wysoko. Głowę nosił do góry, chętnie w bok się ręką podbierał, a kiedy kroczył, to z taką powagą i z taką razem grzecznością i przymileniem, że znajomi i nieznajomi witali go czapką i uśmiechem od razu, na pierwsze wejście będąc już dla niego dobrze uprzedzeni. Lubił się pięknie ubrać i nikt nadeń w okolicy nie nosił wykwintniejszych kuszów, taratalek, katanek, węgerek lamowanych, bramowanych, guzami i pętlcami strojnych, nikt piękniejszych nie miał czapek, szabel i siedzeń na konie, i rzędów, i zbroi. Bodaj sam jeden był w domu, zawsze go zastał czysto i starannie ubranym; a kiedy w pole lub na polowanie (był i myśliwy dobry) na bułanym jechał stępaku, to choć rząd był z rzemienia, ale węgierski i misterny, i było co na niego popatrzeć. Słowem – i do korda, i

do różańca, i do tańca, i do roli, i do prawa, i do szabli, i do książki, pan Zamojski nic gospodarskiego nie poczytywał sobie za obce; do wszystkiego gotów, mawiał, że w naszym kraju szlachcic takim być musi, bo, będąc wszystkim, we wszystkim sam sobie wystarczać powinien.

Takim to był pan miecznik sieradzki, który, rażno w dziedzińcu zsiadłszy z konia, otrząsnąwszy się, skierowawszy żonę, jej dwór i syna ku wskazanemu mieszkaniu, sam żywym krokiem, wśród szeptów przytomnych, pośpieszył do klasztoru. Na pół korytarza powitali go: ksiądz Ignacy Mielecki i Piotr Lassota, i tuż zaraz poczęły się długo trwać grożące mowy obustronne, gdy je pan Piotr Czarniecki, z księdzem przeorem nadchodząc, przerwali: szli także naprzeciw miecznika.

Nie mógł tak uroczystej opuścić okazji pan Zamojski i, ucałowawszy rękę dostojnego przeora, byłby palnął sążnistą orację, ale ksiądz Kordecki, widząc już, na co się zanosi, uściskał go zaraz, zagadał i zapoznał z panem Czarnieckim. To poznanie o mało znów nie sprowadziło oracji, bo pan miecznik brata sławnego kasztelana kijowskiego chciał godnie powitać i pocałował już:

– Kogóż to oglądają szczęśliwe oczy moje?...

Ale mu nie dano dokończyć; wmieszali się przytomni i za chwilę, markotnego z przerwane go wylewu wymowy, wiedziono do przeorskiej celi, gdzie lekki posiłek wieczorny był już 'przygotowany. Nie wszyscy zebrali się tu goście, kilku tylko przedniejszych, resztę zaś ojciec podprzeorzy i inni traktowali w refektarzu poufalej i dla nich samych milej, bo, jakkolwiek wszyscy byli bracia szlachta, ale panowie Zamojski i Czarniecki, jeśli nie rzeczą, to nazwiskiem trochę im imponowali.

VII

Dzień ósmy listopada upłynął na zwyczajnych modlitwach i krzątaniu się w klasztorze. Wątpliwości już najmniejszej nie zostawało, że Szwedzi rzucić nie zechcą Częstochowy, leżącej im na drodze, i zostawić nie zajęą; wiedzano, że się o nią pokuszą niechybnie.

Goniec, przybyły do przeora dniem wprzód, zwiastował wreszcie, że już Szwedzi ku Częstochowie są w drodze. List, przez nieznanego przyjaciela pisany, dokładnie objaśniał, że Wittemberg polecił zająć Jasną Górę najwięcej podobno dla sreber klasztornych, z których, dla ujęcia sobie wojska polskiego, bić chciano monetę na gotowe kazimierzowskie stemple. Wyznaczony był do tego bliski podobno krewny wodza naczelnego, generał-lejtnant Burchard Miller; lecz, że się nie spodziewano wcale, iżby mnisi pomyśleli nawet o oporze, wyprawiono przodem z Wielunia część oddziału, z Janem hrabią Wejhardem Wrzeszczewicem, Czechem z rodu i katolikiem, i Sewerynem z Kali Kalińskim, starostą braclawskim, pułkownikiem polskim. Ci mieli, jako katolicy, łatwiejszy przystęp otrzymać do twierdzy i Szwedom utorować drogę. Wejhard prowadził z sobą około dwóch tysięcy ludzi i kilka małych działek polowych, które po jesiennych; rozbłoconych drogach z trudnością się wlokły.

Wychodząc z Wielunia, tak się Szwedzi rozrachowali, nie sądząc, żeby o nich w Częstochowie wiedzano, aby w nocy stanąć pod jej murami, natrzeć, huknąć, nastraszyć, nie dać się opamiętać, z jednej strony zagrozić ogromnie, z drugiej wiele przyrzekać, wsunąć się do Jasnej Góry w płaszczu przyjaciół katolików i wrota jej otworzyć Millerowi. Naówczas owi katolicy mieli się z niedotrzymania umowy wymawiać, zwalając wszystko na Millera i ubolewając żarliwie nad niespodzianym wypadkiem, powoli się wysunąć.

Ale zawiodły ich fałszywe rachuby, bo siódmego listopada już ksiądz Kordecki dokładną miał wiadomość nie tylko siły, jaka wyszła z Wielunia, wódzów i ich zamiarów, ale nawet godziny mniej więcej, o której przyjść mogą; wiedział o całym ich ciągnięciu ponad granicą Śląska, o stanowisku w Krzepicach, o przybyciu do Kłobucka.

Pozornie spał klasztor, światła były pogaszone, na jednej tylko wysokiej wieży płonął kaganiec, jak gwiazda wieczorna na niebie pochmurnym.

Ciemności ogarniały górę, twierdzę i miasto, nigdzie głosu ludzkiego, żadnych na pozór przygotowań: ani człowieka na murach, ani dokoła straży; rzekłbyś, że mnisi ani się spodziewali odwiedzin. Ale wewnątrz wszystko, co żyło, było na nogach; ksiądz przeor modlił się w swojej celi, Zamojski szykował lud u bramy, na którą szczególną zwrócono bacność. Czarniecki obchodził mury i maleńką latarką, zaglądając wszędzie, rozpatrując wszystko. Zakazano odzywać się z hasłem, chodzić z ogniem i mówić nawet donośniej. Szlachta, schroniona w klasztorze, której jeszcze nie potrzebowano, o niczym nie wiedziała. Gęsty mrok pokrywał okolicę całą, cisza, przerywana tylko wichrem jesiennym, rozlegała się szeroko po dolinach i wzgórzach. Z klasztoru ani dźwięku, ani głosu; ale przysłuchawszy się bacznie, podszedłszy bliżej, dochodziły ucha to chrzęsty zbroi, to stąpania okutych w żelaza żołnierzy, to brzęk stłumiony podejmowanej broni.

Na drodze od Kłobucka wiodącej powolnie po rozlazłym a gęstym błocie sunął się oddział żołnierza szwedzkiego, z piechoty i jazdy złożony, wiodąc za sobą pracowicie co chwila grzęznące działa. Na czele jechali Wejhard i Kaliński; pierwszy wesół i szyderski, bo pewny powodzenia i wypływających z niego korzyści, drugi zbyt wielki dworak i wprawny pochlebnik, by mu gorliwie humorem nawet potakiwać nie miał. Przed nimi na jaśniejącym nieco niebie widać było już czerniejącą górę i wysoko wspiętą wieżycę, na której błyskało światelko. Klasztor i mury pogrążone były w ciemności, zdawało się, że ognie w nich pogaszone, brama rzucona bez straży, żywej duszy w okolicy.

– Patrz no, panie pułkowniku – odezwał się Wejhard, śmiejąc się i zacierając ręce – dziś jeszcze przenocujemy w Częstochowie i napijemy się starego miodu księży paulinów; nigdzie nie widać żadnego przygotowania, tym lepiej. Podejźmy w cichości, potem nagle wpadniemy z wrzaskiem i krzykiem, opanujemy bramę – i twierdza nasza!

– Niechybnie! – dodał Kaliński. – Śmieliżby się opierać mnisi zwycięskim po całej Polsce wojskom Karola Gustawa? To być nie może; chybaby poszaleli. Święty Boże nie pomoże, muszą się poddać i nas wpuścić.

– A klasztor bogaty – rzekł Wrzeszczewic – widziałem go w środku, żyją w nim sobie jak panowie, jak opaci, opaśli, brzuchy ogromne, twarze rumiane, opływają w dostatki. Wittemberg pożywi się niemało – dodał ciszej – ale na to wojna, a Panu Bogu złoto i srebro niepotrzebne.

– Tak – dodał Kaliński, pokaszłując. – Jest to zapewne ofiara, ale ją Polska uczyni chętnie dla swego zbawcy, Karola Gustawa: w nim jedyna nadzieja nasza.

– Wielki król! Wielki wojownik! Ale cyt! Cicho! Oto się zbliżamy... baczność! Zaraz zagra w uszy zakonnikom muzyka nasza i przebudzi ich larum.

I wezwawszy młodego oficera wydał mu rozkazy, śmiejąc się w najlepszym humorze. Zbliżali się pod mury, szukając bramy, chciano bowiem zrazu natrzeć na nią, w tej pewności, że wrota nie zaparte, a może wcale i nie strzeżone zastaną. Myśl przerażenia mnichów, wyobrażenie popłochu, jaki uczyni, uniżeń, z jakimi przyjmować będą zwycięzcę, może podarków, którymi go uczcić będą musieli, rozpromieniała twarz Wejharda, który w tej wojnie nic jeszcze sam przez się dokonać nie mógł. Byłby to pierwszy jego triumf; rachował nań, jakby go miał w kieszeni i, nie czując ani wilgotnego deszczu, który kroił, ani chłodu, którym wichur twarz mu chłostał, pośpieszał niecierpliwym ku twierdzy, zacinając konia, chrapiącego i wspinającego się niechętnie ku górze..

– Cha! cha! – sucho śmiejąc się, rzekł zwrócony do nieodstępnego Kalińskiego. – Co za niespodzianka mnichów spotka!

W tej chwili zbliżali się do pierwszych wrót i mostu, i nagle. wśród ciszy głębokiej, wśród uroczystego nocy milczenia, jak piorun rozległ się wrzask trąb, huk kotłów, okrzyk żołdactwa, wystrzały; jazda skoczyła szybko przodem do mostu. Most był zwiedziony, brama zawarta.

Wejhard uśmiechnął się jeszcze, kręcąc wąsa. Kaliński milczał.

– Bramy zaparte! – przybiegł oznajmić starszy od jazdy.

– Jak to? A zwód.

– Podniesiony.

– A straż jest?

– Żadnej dotąd nie widać.

Tymczasem wrzask, huk i wystrzały na wiatr coraz silniej się wzmaczały i zdawały wstrząsać milczącym klasztorem. Wejhard spał konia ostrogami, chcąc wybiec naprzód, gdy spłoszony wierzchowiec uskokzył w bok nagle, sapiąc i stulając uszy. Jakaś postać wysoka, chuda, dziwna, jak zjawisko, prawie spod kopyt końskich dzwignęła się i podniosła.

– Co to jest? Kto tam? Kto? Stój! Stój! – zawołali bliźni żołnierze.

– Stój albo śmierć!

Jeden z nich, śmielszy, zbliżył się i schwycił widmo; dobywano już ognia, aby mu się z bliska przypatrzeć.

Rozpalona latarka, gdy ją podniesiono do góry, ukazała wychudłą żebraczkę, która, trzymając się za boki, śmiała się do rozpuku.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – rzekła z ukłonem. – A! Jakże się mają jaśnie wielmożni panowie. Szkoda, późno już na nabożeństwo, furta zamknięta, kościół także. Poznaję jaśnie wielmożnych panów! Jak Boga kocham, poznaję! Oto pan hetman, a to pan chorąży. Skądże to Pan Bóg prowadzi? Złe drogi, złe drogi! Deszcz leje, a w dodatku i wrota zaparte. Ale to nic, zaraz każemy otworzyć i poprosimy do środka...

To mówiąc, chciała uskoczyć, ale ją żołnierz za kołnierz przytrzymał.

– Stój! – wołał Kaliński. – Stój, babo! Mów lub zginiesz: co się dzieje w klasztorze?

– A! Zdrów ksiądz przeor, zdrów, chwała Bogu, i ksiądz Ignacy, i ojciec Benedykt, i ksiądz Marcelli, wszyscy zdrowi. Matka Boska króluje, anieli śpiewają, święty Paweł po murach chodzi...

– To wariatka, od niej się niczego nie dowiemy – zawołał Kaliński. – Puśćcie ją!

– Strzelać i trąbić! – komenderował Wejhard. – Żywa dusza się nie ukazuje, walić do bramy, już ciż się ktokolwiek odezwać musi. Żywo!

Ale nierychło odsunięto okienko nad furta, błysło światelko i Wejhard kazał zaraz strzelania na wiatr zaprzestać, gdy głos od bramy spytał:

– W imię Boże, cóż to jest za wrzawa i napaść nocna?

– A, przecież głos ludzki! Kaliński! Rozmów się z nimi!

Pułkownik popędził ku brzegowi mostu zwodzonego.

– Powiedzcie – rzekł donośnie do furtiana – że przechodzący oddział wojsk króla jegomości szwedzkiego, Karola Gustawa, domaga się, aby mu niezwłocznie wrota otworzono.

– Kto dowodzi oddziałem? – spytano od bramy.

– Jan hrabia Wejhard Wrzeszczewic.

Światło znikło, głos umilkł, a dowódcy dobry kawał czasu stali na deszczu, nim się znowu do nich odezwano.

– Częstochowa nie uznaje innej władzy i króla nad Najjaśniejszego Jana Kazimierza, o królu Gustawie nie wie, jakim by prawem mógł żądać posłuszeństwa, i załogi jego nie potrzebuje.

Wejhard, usłyszawszy to, im pewniejszy był skutku, tym się ogromniej gniewem zapalił.

– A trutnie! – krzyknął po niemiecku. – Jeśli nie chcecie, bym was z ogniem puścił, zaraz mi bramy otwierać!

– Bram nie otworzymy! – odpowiedziano krótko.

– Proszę wpuścić posła do klasztoru! – odezwał się Kaliński i, obracając się do Wejharda, szepnął:

– Wszystko to nic, pójdę sam i zaraz te rzeczy załatwię.

– Dobrze, a prędko, pułkowniku, bo deszcz moczy i późno się robi – odparł Czech, obwijając się płaszczem.

W chwilę potem Kaliński, po rzuconej mu kładce nie bez strachu przebywszy fosę, wąską furtą dostał się do wnętrza bramy. Tu zupełną zastał ciemność i natychmiast, mimo protestacji, zawiązano mu oczy, wzięto go pod ręce i szybkim krokiem prowadzono dalej przez bramy i podwórcę, potem w gmachy jakiegoś, gdzie nareszcie odsłonięto mu twarz. Ujrzał się w celi klasztornej, oświetlonej rzęsiszto, wobec kilku mnichów, stojących i patrzących nań w milczeniu.

Kaliński uczuł się nieco wzruszonym, ale prędko zuchwałą minę odzyskał, potoczył okiem po starcach bezsilnych, zdało mu się, że widzi na ich twarzach przełknięcie, i głośno, rzucając wzrok groźny spod brwi zmarszczonej, zawołał:

– Czemu nie otwieracie bramy?

– Komuż to i z czyjego rozkazu? – spytał bardzo powolnie przeor.

– Przyszliśmy z hrabią Wejhardem zająć Częstochowę w imieniu Jego Królewskiej Mości Karola Gustawa.

– My Karola Gustawa nie znamy – odparł Kordecki przebijając różaniec.

– Cóż to za mowa? Wiecie, na co się narażacie takim zuchwalstwem? – ciągnął dalej Kaliński. – Kraj cały poddał się już Szwedom, Warszawa wzięta, miasta opanowane; jeśli najmniejszą rzeczą sprzeciwić się nam, cztery tysiące żołnierzy skoczy na mury, was, kościół, klasztor i majątności klasztorne z dymem puści.

– Wola Boża! – odparł niewzruszony wcale Kordecki z westchnieniem i, wpatrując się pilno w twarz starosty, dodał: – Panie starosto braclawski, wamże to, katolikowi, Polakowi, na święte miejsce, na przybytek Matki Boskiej, w nocy, jak nieprzyjacielowi napadać, słabym a bezbronnym grozić mnichom, poczynąć wrzawę i pożarem straszyć?... Wamże to, co byście bronić nas powinni, stawać z orężem przeciwko Matce własnej?... Twarz Kalińskiego na przelotną chwilę oblała się płomieniem wstydu, ale ten srom dodał mu tylko zuchwalstwa.

– Właśnie – rzekł dumnie – że ja i hrabia Wejhard jesteśmy katolicy, że czcimy ten obraz i chcemy miejscu świętemu zapewnić bezpieczeństwo, pośpieszyliśmy przodem, by je przed Szwedami zająć i, jeśli nie posłuchacie zdrowej rady, gotowiśmy nawet użyć siły. Mamy z sobą cztery tysiące ludzi, na próżno byście myśleli nawet się opierać, sroższą tylko klęskę gotując sobie. Tu nie ma co myśleć – dodał – poddać się natychmiast i wrota otworzyć.

Ksiądz Kordecki boleśnie się na to uśmiechnął.

– Panie starosto – rzekł – nie wiem, czy z wielkiego nabożeństwa tak hałaśnie i wrzawliwie napadliście ołtarz Matki Boskiej i Jej sługi; ale to pewna, że choćby dla okazania, iż u stóp Jej nikogo się nie lękamy, wrót nie otworzymy...

– Musicie! – zawołał Kaliński, uderzając nogą o podłogę, ręką w stół. – Musicie albo...

– Gdy będziemy musieli, uczynim to – odpowiedział przeor powolnie – ale dotąd nie widzimy się jeszcze zmuszeni.

– Chcecie więc pożaru, chcecie zniszczenia? Chcecie krwi przelewu?

Gdy żołnierz szwedzki siłą się tu dostanie, ja za nic nie ręczę.

– Bóg nas ochroni.

– Cóż to! Myślicie sami jedni trzymać się jeszcze wygnańca?

Nie myśląc na to odpowiadać, Kordecki odparł tylko:

– Nie chcemy wcale wojny; Bogu służymy i wiedzieć nawet o niej nie pragniemy, nie zaczepiamy nikogo; zostawcie nas w pokoju.

– Dla waszego dobra potrzebna jest załoga, tu chodzi o obraz święty, o miejsce święte.

– Osobliwa zaiste gorliwość wasza! – cicho westchnął przeor.

– Przyjdą – kończył zapalczywie Kaliński – przyjdą niekatolicy, Szwedzi, hałastrą zbierana z całego świata, i zniszczą was ze szczętem. My was tylko ocalić chcemy.

– Dziękujemy pokornie za tę gorliwość! W łasce Bożej ufanie nasze, Bóg nas nie opuści!

Zniecierpliwiony starosta odwrócił się żywo.

– A więc – rzekł – chcecie wojny, chcecie ruin, będziecie mieli.

– Nie chcemy! Nie! – pokornie zawsze rzekł Kordecki. – Nie nasza to rzecz wcale; odłóżcie przynajmniej traktowanie do jutra, dziś noc, godzina północnego chóru się zbliża, czas modlitwy; rano stosowniej będzie o tym pomówić.

Groźnie spojrział pan starosta i szydersko się uśmiechnął, pewien już będąc, że klasztor ma w ręku.

– Ha! Dobrze, dajemy wam frysztu¹ do jutra – zawołał. – Nie rozpoczniemy kroków wojennych, ale jutro się śpieszcie, bo hrabia Wejhard długo czekać nie będzie. Jakkolwiek wielką mam nad nim przewagę, wstrzymać go nie potrafię. Jeśli nie posłuchacie mnie, i wy, i z wami ci, co tu są, i majątności klasztorne przepadną. Pamiętajcie!

To mówiąc odwrócił się do wyjścia, gdy przeor poprosił go na posiłek wieczorny; ale starosta odmówił i szybko, zajęty cały tym, jak przed Wejhardem ufarbuje odłożenie do jutra traktowania, wyszedł za drzwi.

Gdy powracającego postrzegł hrabia, zaniepokojony oczekiwaniem i miotający się na koniu, z daleka zaraz zawołał:

– A co, pułkowniku, otwierają bramy?

– Zaraz, zaraz opowiem wszystko – szukając słów jak najtrafniejszych, rzekł Kaliński. – Mnisi mocno przełęknięci, proszą się do jutra, błagają, by im tę noc darować, a potem przystąpią do traktowania. Nie sposób było nalegać... chociaż...

Wejhard z przekleństwem dobitnym zawrócił konia i rzucił rozkaz szukania miejsca do noclegu. Wojsko powolnie pociągnęło ku kościołowi Świętej Barbary i gmachom nowicjatu.

Kaliński gadał wiele, tłumaczył się, opisywał, drwił, ale Wejharda smutnego rozruszać nie potrafił. Czech, pochmurny jak noc, mrucząc coś pod nosem, jechał na obrane stanowisko.

¹ Frysz – termin (z niem.).

VIII

Nazajutrz, zaledwie ranek posępny po dżdżystej nocy okolice rozświetlił, z dziwnymi uczuciami zawiedzionych nadziei, niecierpliwości, gniewu, powstał z obozowego łóża Wrzeszczewic i spojrzał okiem posępnym na mury twierdzy niedaleko się wznoszące. Stały one ludem nie odkryte, na oko bezbronne, nie najeżone orężem, nie ożywione żadnym ruchem, ze swą wysoką wieżą, z niemymi jeszcze basztami przeciwko Szwedom, którzy lekce sobie ważąc niewielką twierdzę, wcześniej się już w myśli rozmieszczali tu i rozgospodarowywali.

Ledwie ocknąwszy się spytał zaraz Wejhard o posłów klasztornych, a Kaliński poskoczył oznajmić, że już ich ujrzano idących ku domowi nowicjatu, w którym była dowódca kwatery i wokoło którego rozłożył się obóz omackiem naprędce. Z niecierpliwością źle ukrywaną oczekiwali wysłanych obaj dowódcy, obiecując sobie, skoro obejmą Częstochowę, pomścić na mnichach zuchwałe nieposłuszeństwo pierwszym rozkazom.

Gdy żołnierz od straży doniósł, że dwaj paulini przybyli, Wrzeszczewic, jakkolwiek niecierpliwy, sam już wyczekawszy się na nich, kazał nieco wstrzymać księży i czekać im na podwórzu, na wilgoci i słońcu. Widać było z okna, jak zakapturzeni mnisi sparli się o mur i, otoczeni żołdactwem, wśród głośnych szyderstw gawiedzi, z zimną krwią i łagodną twarzą znieśli to wymyślne męczeństwo słów, na które nawet odpowiedzieć wzbraniał im charakter kapłański.

Nareszcie wezwano ich przed wodza.

Posłani od księdza przeora byli: ksiądz Benedykt Jaraczewski i Marceli Tomicki, obaj wytrawni, mężni, pokorni, cierpliwi, a duchem mocni: pierwszy wprawny do mówienia kilku językami, drugi, łacinnik szczególnie, umysłu żywego, nie dającego się pożyć łatwo ani przekonywaniem, ani strachem.

Gdy stanęli przed gniewnym Wejhardem, nie wiedział z początku, jak sobie postąpić, czy zrazu gniewać się i rzucać, czy traktować chytrze a łagodnie; znać było z błysku oczów jego chwilę tej niepewności, która szybko minęła, i wódz przybrał ton wyższości, państwa i powagi, szyderskiej niekiedy, starając się utrzymać na wyżynie, którą zajął sobie na stanowisko tego boju.

Ksiądz Benedykt postąpił kilka kroków, skłonił się poważnie i począł:

– Nie możemy wyjść z podziwienia, jasnie wielmożny panie, oczom własnym nie dowierzamy, widząc cię tutaj i przekonując się, że was, a nie kogo innego, oglądamy sprawcą wczorajszej napaści nocnej. Mieliliśmy prawo widzieć w tobie, panie, opiekuna, obrońcę, czciciela tej Matki Bożej obrazu, do którego stóp przybywałeś niegdyś z modlitwą wcale innej postaci. Godziło się nocą najeżdzać to miejsce, szturmować do bram przybytku, wrzawą usiłować nas zastraszyć i pod obrazem cudownym sprośne okrzyki żołdactwa i rozpuścić?...

– Co się stało – przerwał Wejhard – to się stało, i nie myślę, bym za to w sumieniu moim odpowiadał. Uczyniłem to dla własnego dobra. Nie taję, że chcę i muszę zająć Częstochowę. Czyż nie wiecie jeszcze, co się dzieje i co was otacza? – dodał z uśmiechem. Poddanie wasze nieuchronne, dziś, jutro nastąpić musi; taka jest wola Karola Gustawa. Jako protektor klasztoru, jako przyjaciel wasz, muszę strzec, byście w gorsze nie popadli ręce. Śpieszyłem, pędziłem, dla waszego dobra tylko... Ksiądz Benedykt, osłupiały, zamilkł na chwilę.

– Ależ – rzekł powolnie – my wcale nie widzimy konieczności i musu poddania się komukolwiek; mnisi, modlimy się, chwalim Boga, pilnujemy miejsca, które nam powierzone zostało.

– A którego nie obronicie – dorzucił Kaliński.

Wejhard wzrokiem nakazał mu milczenie i sam dalej mówił łagodnie:

– Nie tajno wam, ojcowie, że zawsze miał cześć dla świętego miejsca, że was i zakon wasz miłował szczególnie, że was wspomagał nawet i wspierał, o czym bym nie wspomniał, gdyby nie dzisiejsza okoliczność, która mnie to wymienić dla opamiętania waszego zmusza. Bądźcie pewni, że nowe okoliczności wcale starego przyjaciela nie odmieniły. Przychodzę może w postaci wroga, ale w istocie jako przyjaciel i obrońca. Nie lękajcie się, zaufajcie mi, zdajcie natychmiast klasztor. Czasy dzisiejsze i obrót, jaki rzeczy wzięły w całej Polsce, radzą wam to dla spokoju i bezpieczeństwa waszego. Zaręczam wam za całość wszystkiego niczego od was nie żądam, owszem, sam jeszcze was wspomóc będę się starał.

– Panie – rzekł ksiądz Jaraczewski – dziękujemy ci za te wyrazy, ale my podobno lepiej z natchnienia Bożego widzimy, co czynić wypada. Zostaw nas losowi.

– Chcecie więc zginąć? Za mną sroższa idzie burza: generał-lejtnant Miller zmierza tu nie prosić was, ale opanować siłą zamek; a wiecie, co przy zdobyciu umie żołnierz rozjuszony, zwłaszcza innowierca; ani was,

ani miejsca, ani obrazu nawet ocalić nie będziecie mieli środka, jeśli nie uczynicie zaraz, co radzę. Boję się, byście potem z bólem serca nie skarżyli się na mnie, że was do poddania nie zmusił.

– Na Boga i na wiarę waszą zaklinamy cię, panie – przerwał Tomicki – na tę wiarę świętą katolicką, której jesteś wyznawcą, zostaw nas w spokoju, nie zmieniaj dawnej swej dla klasztoru łaskawości.

– To są słowa! – odparł żywiej hrabia. – Słów słuchać nie będę, to próżno. Idźcie raz jeszcze i odnieście przeorowi radę moją; powtórzcie mu, co powiedziałem, i wracajcie z rozkazem otwarcia bram natychmiast. Ręczę za całość wszystkiego, ani włos z głowy nie spadnie nikomu, ani jedna słomka z zapasów waszych nie przepadnie; inaczej; wiecie, że was czeka. Idźcie – dodał – idźcie i mówcie stanowczo, lub za nic nie ręczę potem.

Tu pożegnał posłów, ręką wskazując im na drzwi, a zakonnicy wyszli, ścigani oczyma, w milczeniu smutnym i, przebywszy znowu szeregi żołnierzy, które śmiechem przeprowadziły ich pod górę, pośpieszyli do klasztoru.

U bramy czekali na nich wszyscy, ciekawi skutku poselstwa, w małej izdebce księdza furtiana posiadawszy na zydełkach. Znaleźli tu przeora, Zamojskiego, Czarnieckiego, Moszyńskiego i kilku zakonników. Wszyscy wyglądali wysłanych niecierpliwie z powrotem, jeden ksiądz Kordecki, milczący, ale pogodnego oblicza, najmniej wzruszony, najspokojniej, najobojętniej na oko przyjął przybywających, jakby z góry wiedział, co mu przyniosą.

Wnet zarzucono ich gradem pytań, na których mnogość w pierwszej chwili zamilkli, a gdy się uciszyło nieco, rzekł ksiądz Jaraczewski, z czym ich odesłano, i wkrótce całą swą bytność opowiedział.

Przeor ani się zdumiał, ani zastraszył, ani niecierpliwił; przyjął to dosyć zimno.

– Takem się spodziewał – rzekł, widząc wszystkich wejrzenia na siebie zwrócone i zdania jego wyglądające. – Gdyby o nas tylko szło, odpowiedziałbym hrabiemu jeszcze pokorną prośbą i stałą odmową, ale tu i o panów także chodzi – dodał, wskazując Zamojskiego i szlachtę – a więc radźcie, zbierzmy się, pomódlmy, i powiecie, co też wedle was czynić nam wypada.

– Zbierać się, radzić – zakrzyknął Czarniecki – nie ma czego i po co; ot ta ciupka i ta nasza kupka wcale dostateczne są na wojenną radę; nie wpuszczać Szweda i kwita. Obiecować mu łatwo, bo czegoż nie

przrzekał już i czego nam nie ofiaruje; ale u niego zawsze zdrada pod jedwabnymi słowy, d a j t y l k o k u r z e g r z ę d ę... Pięknie śpiewa sam Wejhard, a czemuż wczora tak niepięknie wpadł i zdradą chciał ubiec święte miejsce z hałasem, z wrzawą, jakby gospodę nachodził? Co tu radzić! Co tu długo myśleć! My wszyscy nie więcej warci od was, ojcowie kochani, a prochem jesteśmy w obliczu Świętej Matki i Opiekunki naszej. Możemy się poddać losowi, który Jej zgotowany i wam. Zatem – co Bóg do serca księdzu przeorowi podda, to niech czyni, a my podzielim dołę z wami ochotnie.

Pan Zamojski odchrząknął, wyprostował się i gotował do długiej perory, ale mu przerwał ksiądz przeor uściskiem serdecznym.

– Dzięki Bogu! – zawołał Kordecki. – Wierzycie w pomoc niebieską, wiara nas zbawi! Wierząc w opiekę Opatrzności, wymodlimy ją sobie. Słabi na duchu giną tylko, i modlitwa ich, przestachu pełna, ziemską bojaźnią przesiąkła, nie dochodzi do Boga, jako mgła roztaczając się po ziemi. Wierzcie, a ujrzycie! Niech serca wasze biją ku Bogu, a Bóg usłuszy ich bicie. A zatem nie ma co dłużej myśleć i naradzać się: nieście, kochani bracia, odpowiedź hrabiemu w tych, co i przedtem, słowach.

– A! – rzekł pan Moszyński. – Z tym ptaszkim nie można jednym się kontentować: nowego mu co zaśpiewać – zwłóczyć, odkładać... Czy nie byłoby dobrze, na przykład, powiedzieć mu, że gdybyś wasza przewielebność nawet chciał co stanowczego uczynić, musisz się wprzód, stanowiąc o losie klasztoru, odnieść do księdza prowincjała?

– *Recte dixisti* (dobrześ powiedział) – potwierdził pan Zamojski. – Ksiądz Teofil Broniowski na Śląsku w Głogowie; nim się porozumiemy, zwłoka konieczna, a tymczasem zyska się trochę, i – aby dalej!

– Ha! I to dobre – rzekł przeor – zapewne wszelkiej broni przeciw takiemu nieprzyjacielowi użyć się godzi; choć, Bogiem a prawdą, wiemy dobrze, że ksiądz prowincjał radzić nam poddania się nie będzie.

– Ale forma taka.

– Powiecie więc – rzekł Kordecki do posłów – niech z przyjaciela nie czyni się wrogiem, a resztę złóście na prowincjała; chwala Bogu, że daleko i za granicami. Wreszcie, niech was Bóg natchnie co mówić macie, i pobłogosławi.

– Ale ojcowie może by spoczęli – spytał Czarniecki – albo się posilili, bo u Wejharda nie bardzo suto, myślę, będą przyjęci?

Spojrzeni tylko po sobie księża i ukłonem odmówili. Kordecki kilka słów im jeszcze szepnął i, błogosławiąc, dodał:

– Wracajcie rychło, bo najgorsze niebezpieczeństwo... niepewność.

Wypuszczono ich znowu furta. Poszli, a Kaliński pierwszy postrzegł, pierwszy zwiastował powrót oczekiwany. Na ten raz nie trzymał ich Wejhard pode drzwiami, otwarto je szeroko, spodziewając się pożądanej odpowiedzi; ale po twarzach zaraz domyślił się wódz, że mu jej nie przynieśli.

– A cóż? – spytał stanowczo. – Zdajecie się, czy nie?

– Prosimy cię, panie, żebyś pamiętać raczył...

– Zdajecie się, czy nie? – spytał powtórnie Wejhard.

– Nie możemy o tym stanowić sami – odrzekł Tomicki. – Zwierzchność klasztorna rozstrzygać nie śmie, gdy idzie o kościół i obraz tak wielkiej wartości; potrzebujemy zgody prowincjała

– Gdzież wasz prowincjał?

– W Głogowie na Śląsku.

– Wasze ustawy mnie nie obowiązują – odparł hrabia. – A zatem macie do wyboru: zaraz się poddać na spisane warunki (tu rzucił im kartę) lub ogniem i mieczem spustoszymy najprzód włości i sioła waszego konwentu, a potem Częstochowę...

– Cóż winne włości? – spytał ksiądz Tomicki.

– Winne czy nie winne; za winę waszą pokutować będą; puszcze je w perzynę, słyszycie? Oto moja ostatnia odpowiedź.

Mówiąc to, Wejhard okazywał się nie tym, co z rana, łagodnym panem, protektorem i obrońcą, ale wyraźnym nieprzyjacielem, który się srożył i groził, i niecierpliwił na myśl, że mu się śmieją i myślą bronić.

– Czytajcie i podpisujcie! – krzyknął zjadły i wyszedł.

Zostali sam na sam potrwożeni trochę zakonnicy z panem Kalińskim, który z westchnieniem zbliżył się do nich grzecznie i układnie bardzo.

– Okropny człowiek! – rzekł cichuteńko. – Nie zwłóczcie, zmiłujcie się, jeśli wam życie miłe! Uczyni, jak mówi, wątpliwości nie ma. Jako katolik, jako przyjaciel, radzę, zaklinam, śpieszcie się; nie wiecie, co na siebie ściągniecie.

– Ale my sami nie tu stanowić nie możemy – powtórzył ksiądz Jaraczewski.

– A zatem śpieszcie do klasztoru. Głęboką czuję litość nad waszym losem; radzę, proszę, szczerze radzę, przebłagajcie go, a nie bawiać!

Ledwie tych słów domawiał, wpadł Wejhard, ubrany w zbroję błyszczącą.

– A cóż? – rzekł. – Jeszcze stoicie? Jeszcze myślicie? Widzicie mnie gotowym, daję wam godzinę czasu jeszcze, śpieszcie do klasztoru... lub ogień i miecz nikogo nie oszczędzą.

Śpiesznym krokiem dążyli znowu posłannicy do bramy z ową daną im kartą, nie więcej przerażeni, niżeli wprzód ujęci prośbą.

Ledwie ich zobaczono, odryglowano furtę i nim ksiądz Jaraczewski przemówił, już przeor czytał warunki poddania się z uśmiechem litości.

– Co za zuchwalstwo! – rzekł. – Co za pycha! Patrzcie, jak wcześniej rozkazuje! Ale Bóg upokorzy dumnych... Czytajcie, panie mieczniku...

Zamojski wziął kartę z rąk Kordeckiego i czytał warunki, które były istotnie surowsze, niżeli się można było spodziewać. Rozkazywał poddać zaraz Jasną Górę Karolowi Gustawowi i uznać go najwyższym protektorem (taki tytuł przybierał wcześniej, nim by się królem polskim ogłosił), wymagał od zakonników przysięgi wierności i zaparcia się wszelkich stosunków z Janem Kazimierzem; uznania Wejharda dowódcą twierdzy i złożenia przysięgi jemu i jego podwładnym; przyjęcia załogi szwedzkiej, której nadal już powiększać nie miano; zdania dział, prochów i broni hrabiemu, nic nie tając, pod karą śmierci; okazania schodów podziemnych i kryjówek wszelkich; rozpuszczenia ludzi; a w dodatku (tu okazywała się jawnie chciwość Wejharda) żądał opłaty pewnej sumy dla siebie i Millera.

Okrzyk oburzenia nie dał doczytać Zamojskiemu.

– Przysięgi! – zawołał przeor. – Chcą przysięgi! Jak im to one lekko przychodzić muszą, gdy tak nimi szafują. Każą łamać dawne, składać nowe, jakby szło o zdjęcie jednej; a wdzianie drugiej sukni! I karą śmierci nam grożą za szczyptę prochu, która by się gdzie znaleźć mogła! – dodał, składając ręce. – Jakaż odpowiedź być może na to urągawisko? – rzekł; tocząc wzrokiem po przytomnych księżach i szlachcie.

– Ognia do nich! – krzyknął Czarniecki.

– Gdybyście usłuchali impetu naszego – zawołał Zamojski radzilibyśmy także surową odpowiedź.

– Nie! Nie! Zakonnikom przysłała pokora – podchwycił ksiądz Kordecki.

– Poślę do nich księdza Mieleckiego, żeby im powiedział, że ludzie poświęceni Bogu lekko przysięg nie łamią i nie składają; wolą umrzeć poczciwie, niżeli żyć bezecnie. Miejsca świętego poddać nie możemy, a hrabia niech czyni, co mu się podoba.

To rzekłszy, gdy nikt głosu nie podniósł, a wszyscy zgadzać się zdawali, zaraz do furty wysłał księdza Mieleckiego; a że ten po polsku tylko i po łacinie mówił, dodano mu znowu księdza Jaraczewskiego i wyprawiono ich do opuszczonych budynków nowicjatu.

Z daleka widać było gotowość żołnierza szwedzkiego i ruch w taborze. Wejhard siedział na koniu, Kaliński związał się koło niego, zdawali się coś mieć do spełnienia i krzżeli się, jakby zaraz szturmem zająć chcieli Jasną Górę. Przeor z panem Zamojskim, szlachtą i kilku ojcami wpatrywali się z wierzchołka bramy w stronę kościółka, widzieli, jak mnisi przyszli ku wozowi, jak chwilę krótką pomówił z nimi, rękę podniósł do góry, spał konia, zakomenderował żołnierzem, i dwaj zakonnicy śpiesznie nazad ku twierdzy wracać poczęli.

Równocześnie prawie gęsty dym wzniósł się od budowli kościołek otaczających i widocznie podpalonych. Był to krok zaczepny, nieprzyjacielski; więc ledwie furta zamknęła się za posłami, działa z murów, na znak dany przez przeora, pobłogosławione jego ręką, dały ognia do Szwedów.

Stanął Wejhard, usłyszawszy huk dział, poglądając na klasztor, potem na swoich, z których kilku uderzonych padło, i puścił konia szybko, lecąc sam przodem, a za sobą wiodąc tłum zmieszany. Żywo poczęli uchodzić najezdniczy drogą ku Krzepicom, i widać było, że Wejhard, zmuszony do odwrotu, bo ze swą garścią oblężenia przedsiębrać nie mógł, wściekle się rozjadł na zakonników, których chciał ustraszyc, a powitany został niespodzianie kulami, których się nie spodziewał.

Przeor patrzył na to i modlił się natchniony, a łza toczyła mu się po męskiej twarzy; jeden Zamojski tylko stał przy nim w tej chwili. Wzruszony, chwycił go za rękę i wskazał mu cmentarz odbiegających w nieporządku Szwedów.

– Szarańcza to – rzekł – którą Bóg posłał na tę ziemię za grzechy nasze. Gdzie my? Gdzie oni? Jestli stosunek między nami i skąd mogła wyrodzić się nieprzyjaźń? Jak dziwnych Bóg używa narzędzi, by grzesznych ukarać! A! Tak! Grzeszni jesteśmy i dojmować nam będzie moc Boża, aż dopóki nie obaczmy się w grzechach i nie padniemy głową posypaną popiołem, piersią skrwawioną, okiem załzawionym – na ziemię, uznając winy... Jak karał Bóg Izraelitów za bałwochwalstwo i niestałość ich, tak skarci i nas za bałwochwalstwo samych siebie, zaoziebłość na sprawę kraju, za nieposłuszeństwo prawu i za wszystkie przestępstwa, którymi skalani jesteśmy. Nie chcemy słuchać prawa

własnego, nauczym się tej cnoty od drugih... I będziemy łkać i jęczeć, i prosić, i wzywać miłosierdzia, a długo, długo głuchym będzie Bóg na wołanie nasze... I mordy, i srogie pożogi rozlegać się będą po ziemi naszej szeroko, głośno, i zdawać się będzie, jakby o nas Ojciec zapomniał, jakby nas odrzuciła Matka. Bo wielkie grzechy nasze! Wielkie i nie przepokutowane, gdyby Chrystusowa krew, to święte źródło przebaczenia, i za nie się nie łała. Chrystusowi słudzy, dzieci Jego, my krzyż nosim na piersiach, nie w piersi, słowo w ustach, nie w sercu, prawo w księdze, nie w czynie; modlimy się, a nawet modlitwą grzesznym, płaczemy, a złe są łzy nasze, jęczym, a jęk nasz występny, krzyże stawim i ubieramy w nie kraj nasz, a pogańska pycha, pogańska chciwość a bałwochwalstwo panują w nim i płamią krzyż Boży. Zaiste! Łacniej ślepym by Bóg przebaczył, niżeli tym, którym dane jest światło, a nie użyli go, którym dane prawo, a przekreścili je dla nieprawości swoich, którzy przysięgli na chrzcie, a zapomnieli świętych przysięg swoich, jak dzieci zabawki. Wielkie grzechy, i kara być musi wielka, okropna, na którą wzdrygnie się ziemia i ludy płakać będą nad nami, jak nad najbiedniejszą sierotą. I staniemy się bezsilni, bo wielkie są grzechy nasze! Patrząc na kraj i widząc go z końca w koniec skalanym, czarnym, jak niebo burzliwej nocy, na którym tylko świeci błysk piorunowy i gwiazda mignie chmurami zawleczona... Bóg sprawiedliwy, ale wielki i potężny, i nieprzebrane miłosierdzie Jego...

To mówiąc, płakał, a miecznik, słowy jego wzruszony do głębi, drżał cały złękniiony, stojąc, jak przed prorokiem, zbłądły i oniemiały. Zamilkł nareszcie przeor i spuścił głowę, jakby go straszliwe widzenie złamało. Ręką dał znak Zamojskiemu, aby ustąpił, ukląkł na ceglanej posadzce i, złożwszy ręce, modlić się począł...

IX

Odeszli Szwedzi, a dym na zgłiszczach domostw przy kościółku św. Barbary całą po nich został spuścizną. Zostawili ogień, jakby groźbę, jak upomnienie, rozżarzyli płomień, mówiąc nim, że powrócą.

Gdy Wejhard uchodził na koniu, gniewny i rozjuszony, opodał już nieco od klasztoru żebraczka Konstancja zastąpiła mu drogę. W początku, jak tylko działa zagrzmiały i zaświstały kule, poczęła była tańcować i śpiewać, jak gdyby ją ta muzyka w szal wprawiła; potem zabiegła przed hrabiego, zajrzała mu w oczy ze śmiechem, ruszyła ramionami i powtórzyła, kłaniając się, kilka razy:

– Do zobaczenia! Do zobaczenia!

Wejhard udał, że tego szyderstwa nie widzi i nie słyszy, nie chciał się bowiem mścić nad bezsilną staruchą, do której tylko z własnego natchnienia wystrzeliło kilku Szwedów, ale jej nic nie zrobili. Krzyczała ciągle, wycierając ręce, niby łapiąc kule w powietrzu:

– Do zobaczenia, panowie! Do widzenia, panie Kaliński! Księża kłaniają się pięknie! Słyszycie, jak was uniżenie proszą, jak was zaklinają... cha! cha! Jaki na nich strach... ze strachu aż strzelać zaczęli. Zmiłujcie się, jedźcie sobie dalej i nie przerażajcie ich tak szkodliwie!...

Znikli wkrótce nieprzyjaciele, a z miasteczka zaraz nadbiegli, dziwy o nich i ich pogroźkach prawiąc, mieszczenie, u których co nabrano na rzeź krów i cieląt po oborach, co nazabijano bydła, co narabowano sprzętu i naspijano gorzałek, miodu, w stosunku do czasu zdawało się niesłychanym. Jak wszyscy psotliwi rabusie, których wojna rozbestwia, Szwedzi, czego zabrać i spotrzebować nie mogli, pozarzynali i powytaczali, żeby się po nich nie zostało; nahuczeli, nakłuli, napodpalali i poszli, gnani przekleństwem ludu. Przestрах po nich wzmógł się jeszcze groźbami, jakie miotali. Opowiadali się bowiem tylko przednią strażą ogromnego wojska i oznajmywali Millera z wojskami posiłkowymi, z działami burzącymi, z siłą potężną.

Miller właśnie w Sieradzkim płądował, gdy Wejhard przybiegł zajątrzony do niego nagle do uprojektowanej wprzód, potem odłożonej wyprawy na Jasną Górę. Złość Wejharta, którą źle ukrywał, bo była zbyt wielka, by ją w sobie mógł zatrzeć, pędziła go do obozu Burcharda

Millera, aby przyspieszyć napad, nie dając się mnichom przeciwko niemu do obrony przygotować.

Zawiedziony w nadziei, że pierwszy zajrzy do skarbcza częstochowskiego i Wittembergowi przysłuży się posłaniem apostołów, na talary przeznaczonych, sreber kościelnych, wotów i naczyń, którymi miał wozy łądować, chciał się zawodu pomścić koniecznie na mnichach, tak mu się opór ich zdawał występny. Wpadł on do kwatery generała z Kalińskim, którego wcześniej gadać nauczył, i oba, z miną wymuszenie wesołą, poczęli prawić o Jasnej Górze, zdobycie jej malując łatwym niezmiernie a bardzo korzystnym.

Miller był wojakim wcale innego od Wejharda rodzaju; innego kraju człowiekiem, żołnierzem bez myśli uszlachetniającej to rzemiosło krwawe, wzniesienia się, sławy lub przyłożenia do dobra kraju, bez przyszłości, cały w dniu dzisiejszym. Dla niego schwycić co najwięcej, użyć jak najrozkoszniej, z bogacić się, nie patrząc środków, było celem jedynym. Dróg, którymi szedł do celu, nie wybierał, ale też nie miał pozorów cnoty i pięknych słów w ustach, jak Wejhard. Żołnierz a gbur, szedł po żołniersku przebojem, nie licząc krwi, którą rozlewał, śmiejąc się z psot i występków żołdactwa, wieszając i bijąc, siekąc, rabując i nie czując ani zgryzoty sumienia, a obrzydliwości swojego zawodu. Większa część Szwedów przeszła tak Polskę, i do dziś dnia stare ich zamki świadczą, jak wściekle, bez sumienia i litości kraj ten rabowali. Zabierali nie tylko sprzęt i złoto, ale nawet dzieje nasze, księgi i ślady naszego żywota. Kradli przeszłość nawet najdroższą.

Sam protestant, nie tylko nie szanował świętości, ale, jakby się na nich mścił swojego odstępstwa, kłał je chętnie, naigrawał się im i nie szczędził ani kościołów, ani ludzi Bogu poświęconych. Hulaka przy kielichu i biesiadzie, miał czasem dzikie popędy, a nie mogąc ścinać, rozbastwiony bił i wymyślnie karał, bawiąc się męczarnią. Mało mówił, śmiał się tylko lub łajał. Zresztą prosty człowiek, pióra w rękę nie lubił, a gdy szło o traktowanie, o listy, chętnie się drugimi posługiwał. Straszniejszego człowieka nie miało wojsko szwedzkie, dla bezbronnych zwłaszczą, bo, wcale nie myśląc o Karolu Gustawie i przyszłości jego, szedł wszędzie jak plaga, bez litości, a po sobie zostawiał tylko pustki i węgle... Dla niego krwi przelew, jęk, prośba, łzy były widokiem lub całkiem chłodnym, albo szmerem dokuczliwym, ale niczym wstrętliwym i poruszającym. Patrzył, słuchał, trawił spokojnie, bez wzdrygnięcia siekł i siec pozwalał, zabijał z zimną krwią, z sumieniem dziecięcą, co

drgające rozdziera zwierzątko, i nie pojmuje nawet, żeby to mogło być inaczej. Wiara jego była całkiem powierzchowna; spełniał jej obrzędy dla żołnierza z punktualnością przykłądną, prowadził na nabożeństwo jak na przeglądy; ale ani się kiedy zamyślił nad rzeczami wiary, ani czuł jej potrzebę. Żył na ziemi brzuchem tylko i ciałem, a oczy jego; brwią i powieką zarosłe, nigdy się wyżej nie podnosiły. Wierzył za to we wszystkie czary, gusła i tym podobne mary bardzo szczerze, bardzo bojaźliwie i niczym się tak nie przerażał, jak nimi.

Ktoś mu tam wcześniej szepnął, że mnisi częstochowscy są wielkimi czarownikami, i może dlatego nie bardzo miał ochotę śpieszyć pod Jasną Górę. Wstydził się tego, ale niemniej ukryć się z tym nie mógł.

Oznajmiono mu Wejharda, którego, jako dworaka i wytwornisia, nie lubił; musiał go jednak przyjąć, ale widać było z wejrzenia, które rzucił na drzwi, że gość wcale mu nie był pożądany. Miller stał naówczas w szlacheckim domku, z którego bez ceremonii gospodarza wyrzucił, i w najlepszej izbie na kobiercach się przewalał, grzejąc się przed trzaskającym ogniem komina.

– A co? – rzekł, nieco podnosząc się z posłania, do wchodzącego hrabiego, mierzając okiem szyderskim jego strój wykwinny i pańską postawę. – A co, hrabio, Częstochowa?...

– Czeka na jenerała Millera... .

– Doprawdy? Hrabio! A! A czemuż się wam poddać nic chciał?

– Ba, nie bardzom nalegał, a mnisi, uparci trochę i zarozumiali, chcą koniecznie działać, jak widać. Strach ich opanował wprawdzie, ale z dwojga bojaźni: zdobycia i bronięcia, wybrali dalszą, choć i mnie się niepospolicie zlekli... Wiedzieli wszakże, iż z moimi armatkami oblegać ich nie będę i...

– A zatem? – przerwał Miller.

– A zatem, idziesz pan, panie jenerale, ze mną, z Sadowskim i z Kalińskim, z panami: Zbrożkiem, Krzeczkovskim i Komorowskim, z księciem Heskim może.

– O! O! A na cóż nas tam tyle na ten kurnik? – spytał Miller.

– Dla większego postrachu.

– Albożby się mnisi bronić myśleli?

– Nie wiem, wątpię...

– A was tam jak przyjęto?

– Proszą z początku, kulą na ostatku.

– A do diabła! Kulą nawet! Cha! Cha! – zagrzemiał głośny śmiech Millera. – Proszę, proszę, jakie zuchy z tych zakonników, szalone pałki! Gdyby czas tylko, nauczyłbym ja ich rozumu!

– Wszakże potrzeba koniecznie zająć Częstochowę.

– Ale to wypadnie podobno znowu odłożyć.

– To by było najgorzej! – zakrzyczał Wejhard z zapalem. – Pan wiesz, jenerale, że tam go kto uprzedzić może, a to jest kasek królewski. Sreber po uszy brać, złota ogromne kupy... klejnotów, pereł i brylantów cembrami; win i miodów starych lochy niewyczerpane, choć się w nich kąpać...

Jenerał się uśmiechnął i poklepał po brzuchu.

– A jak wie, w co uderzyć, by mnie poruszyć! – rzekł kiwając głową. – No, ale cóż tu począć? Wittemberg i Duglas do Prus mnie pędzą.

– My się, zobaczysz, jenerale, uwinie my duchem w Częstochowie. Sami mówicie, że to kurnik; istotnie wam tylko przyjsć, huknąć i wziąć.

– No! A wy czemu żeście nie wzięli?

– Dział nie miałem, a wreszcie – dodał skromnie Wejhard – ja a jenerał Miller to wcale co innego; nie myślę się z nim równać.

Niezgrabnie tym pochlebstwem zakadziwszy Millerowi, Wejhard uśmiechnął się, rad z siebie, jak gdyby psu rzucił kawał zatrutego mięsa, i dodał:

– Radzę, idźcie, bo nigdzie się, jak tam, zbogacić nie możecie; a spóznicie się, to wam kto inny ten kasek sprzed ust pochwyci.

– A cóż będzie z Prusami?

– Poczekają! – rzekł Wejhard.

– Do Częstochowy kawał drogi pójść i tam trzeba pomarudzić, a nim się nazad powróci...

– To wszystko razem nie zabawi – rzekł hrabia. – Przyjdiesz pan tylko, krzykniesz, poddadzą się, zabierzesz, co ci się podoba, i wrócisz. Cóż mnisi przeciwko nam poradzą?

– To prawda, to prawda! – odparł Miller, popijając i dumając. – Ale...

– Nie ma ale; potrzeba iść i iść prędko, żeby nie mieli czasu obwarować się, wzmocnić, lud zwołać i szlachtę... Trzeba korzystać z ich przestachu...

– A skarbiec że nie wywieziony? – spytał po chwili Miller.

– Nie, ręczę, że nie; lecz gdyby nawet część jaką ukryli, zawsze dosyć zostanie, i ze szlachty, która się tam schroniła, dobrze obładować się można; dadzą okup dobry. Mnisi, ufni w mury, nie śpieszyli się z

wywózką swoich skarbów, a teraz już by się bali ruszyć dla gęsto snujących się po kraju oddziałów. Wittembergowi dość będzie kilka posągów srebrnych, reszta nasza.

Miller namyślał się głęboko, ale cały wieczór męczył go Wejhard i Kaliński, tak że wreszcie słabnąć począł, i upiwszy się z nimi, wydał rozkazy gotować się na Częstochowę. Nim się jednak oddziały jego pościągały, nim działa posprowadzał i żołnierzy skupił, kilka dni upłynąć musiało. Tymczasem, szerząc postrach i wcześniej oznajmiając o sobie, Wejhard wysłał z załogi w Krzepicach oddział żołnierzy na włości klasztorne dla rabunku i nakazał zajmować bydło, palić wioski i folwarki, żeby pokazać mnichom, co ich czeka, jeżeli się nie poddadzą.

X

Wiść o tym doszła dnia czwartego po odejściu Wejharda od klasztoru; przeor przyjął ją z westchnieniem żalu, ale w gotowości do wytrwania. W chwili, gdy mu ją przyniesiono, był właśnie otoczony piszącymi, którym listy do pana Stefana Czarnieckiego, do króla, do księdza Teofila Broniowskiego, prowincjała, i do kasztelana Warszuckiego dyktował. Zawiesił pisanie i do definitorium posłał zwołać wszystkich zakonników na nową naradę, chcąc ich umocnić na duchu i przygotować do wytrwania.

Czuł on, że bronić się powinien, a jednak były chwile, choć krótkie i przemijające, zwątpienia i bojaźni, która go obarczała; na barkach jego spoczywała odpowiedzialność obrony miejsca świętego, całość tylu osób, tylu rodzin życie i losy. Chciał więc utwierdzić braci i wzmocnić siebie ich zdaniem o konieczności oporu; chciał usłyszeć myśl swoją; powtórzoną usty drugimi. Nie wątpił wcale o pomocy niebieskiej, obawiał się raczej ludzi, by mu od nich współczucia, wytrwania i męstwa nie zabrakło. Szwed pozornie mówił, że chce zająć Częstochowę dla jej własnego bezpieczeństwa, zapewniał całość mienia i swobodę nabożeństwa; lecz same te zaręczenia nie były już upokarzające i groźne? Z drugiej strony, gdyby go nie wpuszczono do twierdzy, zagrażał swą zemstą, jeżeli nie klasztorowi, to ubogiemu ludowi jego włości. To wszystko przedstawiało się umysłowi przeora i walczyło w nim jeszcze, lecz silniej nad wszelki postrach mówił głos wewnętrzny, który mu powtarzał: Walcz, a zwyciężysz!

Na wezwanie dzwonka zeszli się ojcowie, tak spokojni, jak gdyby nie widziano nieprzyjaciela i nie wiedzano o nim. Twarze ich nie okazywały bojaźni, więcej z nich tchnęło męstwo pogodne i zapal pobożny niż przestrach i zwątpienie; z jednego wejrzenia zdanie ich wyczytał ksiądz Kordecki. Wszakże gdy zasiedli i odśpiewali: *Przyjdź, Duchu Stworzycielu...* począł do nich mówić powolnie, wszystko im przedstawiając, co było za i przeciw obronie Częstochowy, i tak zakończył:

– Teraz zdania waszego czekam, bracia; każdy niech zbierze ducha, westchnie do Boga i wyrzecz to, co On mu natchnie. Zdejmiecie wielki ciężar z ramion moich.

Najpierwszy znowu odezwał się ojciec Mielecki:

– Będziemy pod opieką Bożą bronić się, ojcze, i umrzemy godni się chcąc okazać stanowiska, które nam powierzono na straży świętości. Nie godzi się, raz ofiarowawszy swe życie, cofać się, gdy, Bóg zsyła próbę. To zdanie pierwszego prawie jednomyślnie, jak poprzednio, przyjęte zostało. Nawet ksiądz Lassota wotował za obroną Jasnej Góry, dodając, że należałoby może posłać do Wittemberga, prosząc o listy bezpieczeństwa dla klasztoru.

– Do Wittemberga pismo podobnej treści dawno już posłałem – rzekł przeor.

Ksiądz Lassota umilkł. Wszyscy inni byli zdania przeora, żeby się bronić do ostatka. I tak powtórna narada dodała Kordeckiemu odwagi, utwierdzając w przekonaniu o konieczności stawienia czoła Szwedom.

Należało tylko co najpilniej przedsięwziąć resztę rozporządzeń, potrzebnych do zabezpieczenia twierdzy; napad na włości, odejście wojsk Wejharda rozjuszonego zwiastował rychłe nadciągnięcie sił znaczniejszych. Posłano zatem do kasztelana kijowskiego, do króla na Spisz, do Warszzyckiego i do wojsk kwarcianych listy przeora i pana Piotra, a do bliższych wsi Janasza Węgrzyna, aby więcej jeszcze ludu do zamku sprowadził.

Przeor z panem Zamojskim, Czarnieckim i Małachowskim obesзли znowu mury. Pan Piotr rzucił okiem na kramiki, które zewsząd przypierały do murów i bastionów, na poprzylepiane drewniane zewnątrz przybudówki i kletki drewniane, na szopy i domki, rozsiane na pochyłości góry ku jej podnóżom, i rozpatrzywszy się odezwał się do przeora, wskazując na nie:

– A co, ojcze kochany! Potrzeba by to nie wahając się, poświęcić.

– Co? – zapytał ksiądz Kordecki.

– Kramiki i wszystkie bliższe drewniane budowle – dokończył pan Piotr.

– Będzie w nich nieprzyjaciół szukał przytułku i schronienia, ułatwi mu się podkradanie pod mury. Gdyby tylko na ogrzanie się nawet służyć miało i tak zniszczyć potrzeba; niech marznie! Co jest dachów, pod które by się mógł schronić, wszystko to z dymem bym puścił, nim przyjdzie.

– Tak! Tak! – podchwycił nieco zawstydzony Zamojski, że pierwszy tej uwagi nie uczynił. – Wyrwał mi to z ust pan Czarniecki. Rzeczą jest niezbędną; według wszelkich prawideł sztuki strategicznej, kletki te pozostać tu nie powinny.

Kordecki westchnął.

– Ale to biednych ludzi schronienie i chleba kawałek, to są naszych mieszczan sklepiki i budki.

– A lepiej, żeby dla nich Częstochowa cierpieć miała?

– *Necessitudo frangit legem* (konieczność łamie prawo) – dodał Zamojski. – Tu nie ma co myśleć.

– I co najspieszniej spalić je potrzeba, a gruzowiska porozrzucać, nie czekając Szweda.

– Co spalić? – podchwycił dziwny, ze śmiechem zmieszany głos poza rozmawiającymi.

Obejrżeli się, i pan Czarniecki postrzegł żebraczkę, która niskim pokłonem witała przeora; całując kraj sukni jego, a szlachtę pozdrowiła przysadzystym dygnieniem. Zamojski i Czarniecki spojrzeli na to zjawisko i umilkli. Kordecki odwrócił się do niej i rzekł powolnie:

– Nic ci do tego, moja kochana, co my tu radzimy.

– Przepraszam, ojczy dobrodzieju, ale bardzo mnie to obchodzi, bo to kramiki podobno palić będzie potrzeba, a wiadomo, że to moje pałace letnie i zimowe.

– Będziesz się musiała schronić gdzie indziej.

– Tak, prawda, zostanie się fosa, aby gdzie trochę od wiatru stare kości przytulić. A jak trzeba, to trzeba – dodała żywo. – Ja stara na Jasnej Górze pokutnica, rada bym zawsze miejscu świętemu służyć. Jeśli każecie, własną siedzibę gotowam podpalić, tylko powiedzcie słówko.

Spojrzeli po sobie.

– Nie bójcie się; ksiądz przeor mnie zna, jestem sługa Matki Boskiej, zrobię, jak należy, podpalę na cztery rogi; jak mieszczenie zobaczą, no, to przynajmniej na nikogo, prócz mnie, płakać i narzekać nie będą. Powiedzą: wiariatka! Przyszło jej coś do głowy i podpaliła.

– Myślę, że zrobi, jak mówi, ochoczo i roztropnie – rzekł przeor.

– Tylko się na mnie spuście! – żywo podchwyciła baba. – Ja chcę koniecznie służyć Najświętszej Pannie i księżom paulinom, a niczego się nie boję w świecie, bo życia i za grosz nie mam.

– A zatem – odezwał się Zamojski – dziś wieczorem zróbcie, co wam powiedzą, tylko wiatru potrzeba patrzeć, żeby na dachy klasztorne ogniem nie rzuciło.

– Na to ludzi pošlemy – szepnął przeor.

Konstancji już nie było, poleciała za bramę.

Skoro padł mrok, gdy ludzie poczęli rozbierać budowle na pochyłości góry i rozrzucać kletki, stara z żagwią zapaloną, skacząc i śpiewając,

pobiegła do kramów, z których dawno mieszczanie się byli wynieśli, i na cztery rogi je podpaliła. Ogień objął suche tarcice i liżąc mury klasztorne wprędce w kupę popiołów sklepiki i stragany obrócił.

Przez cały czas gorzenia siedziała Kostucha pilnując, żeby nic nie pozostało; a gdy ostatnie główne dogasały, spuściła się w fosę zamkową i obszedłszy nią dokoła, obrała sobie suchy kątek, w którym położyła snopek słomy, przeżegnała go i rzekła z cicha dziwnym, szyderskim głosem:

– Ot tobie nowa chata!

Nazajutrz rano ze wszystkich budowli, które na pochyłości góry rozsiane były, ślady tylko w zgliszczach pozostały, lecz nigdzie zrab się już nad ziemię nie wznosił. Jedyna od wschodu figura murowana między miasteczkiem a kapliczką św. Jakuba ocalała; pobożny Kordecki, choć mu przedstawiano, że za nią kryć się będą mogli Szwedzi, zrzucić jej nie pozwolił.

– Krzyż Pański – rzekł – nigdy szkodzić nie może; obalać się go nie godzi...

XI

Straszna jest wojna, gdy, wlokąc za sobą niezliczone klęski, kraj ogniem i mieczem przechodzi z dopuszczenia Bożego. Jak w życiu natury burza, tak w żywocie narodów bój ludów wszystko niszczy, druzgocze, obala, co na drodze spotka; postrach i rozpacz rozrywają wszystkie węzły społeczne, walka rozbiewia braci, chciwość, rada bezkarnemu gwałtowi, rzuca się namiętnie na otaczające skarby, rozpusta szaleje, a słabi, bezbronni, których tylko osłaniało prawo i spokój, mrą tysiącem śmierci... I jak wiatr pędzi złomy gałęzi i liście z drzew oszarpane, tumany kurzu, a z nimi kwiaty i owoce, tak bojaźń gna w zakąty niedostępne, w szałas leśne, w warowne grody, do miast i kościołów rozbitków wojny, słabych i przelekłych. Lecz iluż to nie ma się dokąd schronić i nie może ustąpić przed nawałą, nie wie o niej, czeka, ociąga się, bo żal rodzinny kątek porzucić, bo straszno się rozstać z ukochaną strzechą, z zagonem swoim, z ludźmi, co się do nas przywiązali, bo wstyd jakoś ze spuszczoną głową za mur się schronić... Młody naówczas, gdy uczuje serce w sobie, przypasze oręż i pójdzie za sercem; ale starcy, ale kobiety i dzieci? Zawsze okropna wojna, a cóż dopiero tam, gdzie obcy żołdak, którego wiara, język, przesąd nieprzyjacielem czyni, w ciągłym szale rozpasuje się na występki jak bydlę i chluby w nim szuka. Z wielu Polski okolic Szwed wygnał szlachtę, która się garnęła do zamków, miast i klasztorów, i rzucono mu na łup majątności, nie mogąc ich obronić; lud nawet w lasy biegł, gnając przed sobą bydleko i owce, na wyspy wśród trzęsawisk, w zarośla i góry się chroniąc i obozując smutnie, a co dzień wysyłając na zwiady, by zobaczyć, czy jeszcze dwór stoi, czy wieś z dymem nie poszła. Z początku najścia Karola Gustawa trzymał Radziejowski Szwedów, jak mógł, na ostrzejszym wędzidle, wmawiając im przez wodzów, by się po ludzku obchodzili z krajem; ale, dalej, dalej, żołnierz zebrany z różnych świata krańców, włóczęgi i rabusie poczęli, a na widok nieładu dokończyli go regularni. Płonęły więc dwory i wioski, rżnięto stada, łupiono kościoły i zamki zdobyte, brano okup i zakładników, a Tatarzyn sroższym by nie był nad Szweda. Szlachta sieradzka, u której gościł Miller, wszystka się rozbiegła, gdzie kto mógł; puste dworki zapelniali Szwedzi, opalone parkany, porozwalane ściany, porąbane słupy, pospasane zasiewy, stratowane

zboża, których skosić nie miano czasu w jesieni, świadczyły o nieprzyjacielu. Gdzieś tam smutny wieśniak włókł się drogą, z rodzajem rozpaczy niemej, osłupiałym poglądając okiem na pustynię z wesołego uczynioną kąta, i powtarzał zadumany: Koniec świata! Koniec świata!

Taki był obraz tej okolicy i wielkiej części Polski i Litwy w chwili, gdy Miller z namowy Wejharda ruszał, szybko dążąc pod mury Częstochowy, do której coraz liczniej zbierała się szlachta, tuląc się pod płaszcz gwiazdzistej Bożej Matki. Kordecki nikomu bramy nie zamknął, a gdy go pytano, czy wpuszczać do twierdzy, odpowiadał:

– Wszystkich do nas, od nas nikogo.

To rozporządzenie czasu wojny było konieczne; potrzeba było obwarować się takim zamknięciem, by nieprzyjaciel nie wiedział, co się działo na Jasnej Górze, którą tak dumnie zwał kurnikiem.

Zbiegów mieszczono, jak było można; wozy, konie i lud mnogi zawały wszystkie podwórce. Codziennie przybiegali posłańcy z najdziwniejszymi nowinami do klasztoru. Przeor o każdym kroku Millera był uwiadomiony i choć siły szwedzkie przesadzano, on się ich wcale nie lękał. Przyjaźni klasztorowi sąsiedzi nadsyłali, śpiesząc i korzystając z chwili wolnej, zapasy żywności ogromne, broń i ludzi; jeden kasztelan Warszucki dostarczył dwanaście sporych dział, które w samą porę nadciągnęły.

Księża, jakkolwiek wszyscy jednomyślnie postanowili się bronić, w miarę zbliżania się niebezpieczeństwa, widząc postrach szlachty, która się tu zbiegła, owiani bojaźnią powszechną, wyraźnie tracili serce. Kordecki z litością spoglądał na przestraszonych, bo w jego duszy nie powstało zwątpienie; owszem, w miarę jak się groźne zbliżały tłumy, nabierał ducha, ożywiał się i zdawał w dwójnasób nabywać powagi wodza i przezorności dowódcy. Dnie całe spędzał w podwórzu i na murach, nocę na modlitwie i czujnej straży, ciągle czynny, zawsze wesół i pogodnej twarzy, niósł z sobą ufność, rozsiewał spokój, pocieszał i wskazując nieustannie na niebo, podnosząc myśli do cudu, kazał wien ufać i wierzyć. Modlitwa była jego wielką zbroją bojową i nią, jak żelazem, obwarował piersi słabszych, dźwigając umysły, rozgrzewając serca, od ziemskich trosk wiodąc je do śmiałego wejrzenia na przyszłość pogodną. Zimna rachuba nie miała do niego przystępu, olbrzymimi rozmiary posiłki niebieskie i potęgę zapału, natchnienia, wiary oceniał; gdzie mu czego zabrakło, dopełniał nimi.

Mimowolnie widok jego ufności i wytrwania przeważny wpływ wywierał nawet na najsłabszych. Gdy się oddalił, szemrano i stęskano może, obawiano się i przepowiadano zgubę, lecz zaledwie się ukazał, przemówił, odezwał, uśmiechnął – bojaźń, jak mgła, rozpierzchała się cudownie, wstępowało w serce męstwo i nadzieja. Korzystano w klasztorze z chwili swobodnej jeszcze, by się potężniej obwarować i przygotować do boju, ruch był nieustanny dniem i nocą; lecz wśród tych zajęć paulini nie opuszczali żadnej z modlitw, do których byli obowiązani, i chór północny, i jutrznie z największą odbywały się ścisłością.

– Módlmy się! – powtarzał przeor. – Żołnierz ostrzy broń przed walką, my zaostrajmy ducha, który jest bronią naszą, módlmy się i czuwajmy. Przypomnijmy tu, że zakon paulinów, nazwany od świętego Pawła, pierwszego pustelnika, choć z czasem, upłynionym od założenia jego w wieku XIII, nieco w zachowaniu ścisłej reguły pierwotnej mógł zwolnić, był jednak jednym z najostrzejszych. Przypominanie nieustanne ostatniej godziny śmierci było jednym ze środków, których reguła dla podniesienia ducha w zakonie używała. Ta myśl śmierci panowała całemu życiu zakonnika; niektóre klasztory na szkaplerzu białym nosiły nawet znamię śmierci: wyszytą głowę trupa, czego jednak w Polsce nie zachowywano; ale to godło znikomości powtarzało się często w kościele i klasztorze, i uderzało oczy co chwila. Ostre posty, włosiennice, praca ręczna pustelników niegdyś, dziś zakonników już tylko, przygotowywały nieustannie do zgonu. W refektarzu pod wielkim krzyżem, który zajmował główną ścianę, naprzeciw stołu przeora, leżała trupa głowa, którą wszyscy bracia całowali, nim do stołu zasiedli; lektor, pobłogosławiwszy stół, kończył słowa:

– Pamiętajcie na godzinę śmierci, a nigdy nie dopuście się złego.

W każdej celi stało na klęczniku pod krucyfiksem to przypomnienie śmierci. Gdy przyjmowano profesę do zakonu, na uroczystych obłóczynach kładziono go w pokrytą całunem trumnę, a chór zakonników śpiewał nad nim:

– Panie, nie pomnij grzechów jego w godzinie strasznego sądu...

Przerazające *De profundis* dzieliło go na wieki od świata, przenosiło w to pośrednie stanowisko swobody i zrzeczenia się siebie, na którym żywot cały był tylko przygotowaniem do śmierci. Potem z kolei przychodzili wszyscy bracia przed trumnę nowego zakonnika i, kropiąc go wodą święconą, wołali mu:

– Bracie, umarłeś światu, żyjesz Bogu.

W ostatku śpiewano *Libera* i modlono się jak za umarłego: *Panie, nakłoń uszy Twoje...*

Ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma powstawał z trumny zakonnik nowym, rzec można, człowiekiem, bo wielka, straszna, niepojęta jest siła modlitwy. Zakonnicy i w XVII wieku jeszcze od głównych przepisów reguły świętego Augustyna nie byli wolni; modlitwy nocne, włosiennice i paski, dyscypliny, posty, spowiadanie chorych, grzebanie umarłych nieustannie wprawiały ich w to zaparcie się ciała, które jest najpiękniejszym zwycięstwem na ziemi, bo ze wszystkich najtrudniejszym. Kordecki, pilnujący reguły ze ścisłością, którą przechodził wszystkich poprzedników swoich, od czasu, jak stał po dwakroć na czele zgromadzenia, podniósł je na duchu i wzmocnił w poświęceniu. Natchniony, jak ci wielcy mężowie, co pierwsi byli założycielami zgromadzeń pustelniczych i zakonnych, owiany pobożnością, wyzuty, rzec można, z ciała, które podbił duszy, ani sobie, ani drugim nie przebaczał. Ale surowość jego była ojcowska i łagodna, nikogo milej i serdeczniej nad niego nie słuchano; bo proroczym wejrzeniem zawsze zajrzał w głąb człowieka i uczucie a myśl skłonniejsze ku światu wnet, jak czujny ogrodnik gałąź pochyloną, troskliwą podnosił ręką.

W miarę jak się zbliżali Szwedzi, szły z zapalem i pośpiechem dopełniane przygotowania obrony, wspierane gorącą modlitwą. Długie godziny pobożnego zachwyty usposabiały ludzi do poświęceń, wznosiły ich ponad ziemię i marne rachuby zacierały w ich oczach. Wszystko potężniało i rosło w olzawionym wejrzeniu pobożnych... a strach odlatywał, jak dym, wlokący się po ziemi. Pomimo tego potrzeba było największej pilności, czuwania i pracy nieustannej, by utrzymać męstwo w trzódce zebranej bojaźnią, spędzonej postrachem. Szlachta; mieszczanie, przybyłcy siali popłoch co godzina nowy, a przeor codziennie chwast ten z serc wyrывать musiał.

We środę, dnia siedemnastego listopada, ku wieczorowi, pomimo że klasztor był już zbiegami zapełniony, usłyszano pukanie do bramy, a ksiądz Piotr Lassota, z polecenia przeora dodany furtianowi do straży wrót pierwszych, otworzyć kazał wołającym przytułku.

Maleńki wózek ukazał się na moście, a na wózku jechał brat księdza Piotra, Jan Lassota, z wnuczką Hanną. Na koniach jego, spędzonych i bokami robiących, znać było pośpiesznie przebytą niemałą drogę.

Ksiądz Piotr Lassota pobladł, ujrawszy brata i jego wnuczkę, których się nie spodziewał. Oczom swoim zdawał się nie wierzyć, żywo, przybiegł do wózka i więcej okazywał przestachu niż radości. Ścisnął rękę pana Jana, pocałował dziewczę w czoło i, załamując dłonie, zawołał:

– A! I ty tu, bracie? Jakimże losem, jakimże trafem?

– Ledwie zdołałem uciec przed Szwedami; daj mi kątek, bym spoczął; czuję się złamany drogą. Znasz moje cierpienia, miarkuj, jak mi ich przybyło, w wilgotną porę, niewygodnie jadąc dniem i nocą dla ocalenia tego dziecięcia.

Ksiądz Piotr chciał coś mówić, ale zbladła twarz brata, jego lice schorzałe nie dozwoliło mu; Hanna wołała szybko:

– Kochany księżu Piotrze, daj kątek dziaduniowi, biedny, ledwie się przywłókł, jęczał całą drogę...

Oniemiały, zamyślony, pośpieszył przodem ksiądz Piotr, zapomniawszy bramy i straży, prowadząc wózek brata i w odległym dziedzińcu, w wielkiem skrzydle zabudowań klasztornych, wychodzącym ku murom okolnym, wskazał izdebkę wśród mnóstwa już przez szlachtę pozajmowanych mieszkań. Gdy z pomocą ludzi złożono paralityka na słomie i pierwsze jego zaspokojono potrzeby, dwie łzy puściły się z oczów zamyślonemu kapłanowi.

– Czego płaczesz? – spytał go Jan. – Wszakże i my tu bezpieczni pod opieką Matki Bożej?

– Wieszcze, gdzie jesteś? – odparł ksiądz Lassota. – Oto... pod jednym dachem z tym, któremuś nie przebaczył.

– Jak to? – schwycił się Jan, porywając na nogi i opierając o ścianę. – Jak to? Krzysztoporski tutaj? Ja z nim?... Puszczajcie mnie! Wolę wpaść w niewolę Szweda!

I podniósł się cały drżący, a Hanna objęła go rękami, zanosząc się od płaczu.

– Uspokój się, bracie! Nic on ci tu uczynić złego nie może; lecz musiałem wcześniej oznajmić ci; że go znajdziesz...

– Krzysztoporski tu! Krzysztoporski tu! ... Ja z nim? – powtarzał Jan Lassota, rozdzierając na sobie odzienie. – Puszczajcie mnie, puszczajcie! Pojadę dziś, zaraz, zostać tu nie mogę...

– Na Boga! Uspokój się, bracie! – zawołał ksiądz Lassota powolniej. – Chciałem, byś od razu połknął tę gorycz i przeniósł ten cios po chrześcijańsku.

- I będę patrzył na niego, na tego, co mi wydarł wszystko, co zabił tych, których kochałem?... na wroga, na ciemiężcę mojego!
- Bracie, wszyscyśmy dzieci Chrystusowe...
- Ja tu nie pozostanę – zerwał się powtórnie z łoża starzec. – Nie, nie! Nie chcę, nie mogę! Jadę, Hanno, prowadź mnie, jedźmy...
- Gdy to mówił i wciąż silił się ruszyć z okiem zaiskrzonym, z usty drżącymi, przeor ukazał się we drzwiach z pogodnym swoim obliczem.
- Kogóż to nam Bóg sprowadził? – zapytał księdza Lassotę.
- To biedny brat mój, ojcie – rzekł ksiądz Piotr.
- Dlaczegoż chcecie jechać? – cicho i łagodnie wymówił Kordecki, którego uszu doszły ostatnie słowa starca.
- Ksiądz Piotr spuścił głowę i, jak zwykle zmieszany, zarumienił się tylko, a szlachcic, drżący i wzburzony, podniósł głos zaraz.
- Proszę mnie wypuścić – rzekł, nalegając na księdza Kordeckiego. – Przybyłem tu, nie wiedząc, że z najsroższym wrogiem moim pod jedno schroniłem się skrzydło, z wrogiem, co mi prześladowaniem odjął jedyne skarby moje: żonę, córkę... co nas nękał i chleba pozbawił, co i tu spokojności nie da... Ojcie, każ mnie wypuścić! ...
- Moje dziecko – odezwał się przeor poważnie – tu nie ma wrogów i nieprzyjaciół; tu są dzieci jednej matki, nieszczęśliwi a mężni jej obrońcy. Nie rozumiem cię...
- Mówcie za mną, bracie! – w najwyższym uniesieniu zawołał z rozpaczą starzec.
- Przeor go przeżegnał.
- Bóg z tobą – rzekł. – Bóg z tobą! Nie godzi się tak nienawidzić i tak mściwie i wstrętliwie na brata poglądać; uspokój się, uspokój!... – Wjechać tu wolno każdemu, lecz wyniść stąd nikt nie może.
- Bezsilny upadł pan Lassota na słomę i począł się miotać, a Kordecki, zbliżając się do niego, rzekł z uczuciem:
- Wiek powinien cię być uczynić skłonniejszym do przebaczenia. Pomiarkuj się; nikt ci tu pod opieką moją złego i przykrości najmniejszej wyrządzić nie może. Nie pytam nawet o imię prześladowcy, nie chcę go wiedzieć; lecz jam tu starszy, ja opiekun wszystkich i nie dam nic uczynić...
- Wypuście mnie, wypuście! – powtarzał jakby z obłąkaniem Jan Lassota.
- Szwedzi nadchodzą; mógłbyś wpaść w ich ręce; ani wiesz, czego żadasz w rozjątrzeniu i gniewie. Bóg z tobą! – dodał znowu, żegnając go

Kordecki. – Zaufaj mi, proszę; nikt tu ani słowem, ani wejrzeniem nawet cię nie dotknie.

– Ale ja będę patrzył na niego, a widok jego serce mi krwawić będzie! – wołał starzec.

Przeor nic już nie odpowiedział, szepnął kilka słów księdzu Piotrowi Lassocie, zostawił go z bratem, a sam odszedł śpiesznym krokiem do celi.

XII

Na czwartek zapowiedział ksiądz Kordecki uroczyste nabożeństwo przed ołtarzem Najświętszej Orędowniczki. Kościół i kaplica przedstawiały obraz dziwnej piękności, godzin owych czasów. Myśl męczeństwa jak jasna aureola opromieniała głowy starców, dzieci, niewiast i żołnierzy pod sklepieniem kościelnym zgromadzonych. Gorące były modły wszystkich, jak zwykle w chwili niebezpieczeństwa. Na większej części twarzy osiadły przestרח chwilami i łzy z powiek wyciskał. Jedni krzyżem leżeli, drudzy klęczeli w pokorze, inni, jakby ust otworzyć nie mogli, siedzieli na ziemi z głowami spuszczoneymi, w odrętwieniu, które czasami przerywała krótka, natchniona modlitwa... Wśród ciszy wznosił się z chóru głos zakonników, śpiew chwały i jak wstęga rozwijał splotami jasnymi; w powietrzu muzyka brzmiała, kadzidła sinymi kłęby leciały pod sklepienia... a szmer modlitwy z westchnieniem zmieszany w przestankach śpiewu szumiał jak las stary o wschodzie słońca. Wtem ksiądz Kordecki wszedł na kazalnicę, pomodlił się i odezwał słowami Pisma Świętego:

„Lepiej jest, abyśmy umarli na wojnie, niż patrzyli na zło ludu naszego i świętych. A jaka będzie wola na niebie, tak niech się stanie”.

Nie był to mówca owych czasów napuszony i wyuczony, ale natchniony kapłan, którego wymowa płynęła z serca strumieniem wezbranym; toteż, gdy zagrzawszy oziębłych, głos wznosił do Matki Najświętszej z błagalną modlitwą, do krwawych ran Jej Syna, wszechmocność Bożą, wielkość i potęgę Pana Panów malując, schylone głowy dźwignęły się wszystkie i zatętniły serca... Żołnierze uczuli się mężnymi przeciwko tysiącom, starcy odmłodnieli odwagą, siła klasztoru wydała się w oczach wszystkich olbrzymią, bo ją zwiększały zastępy aniołów i nadzieja napełniła dusze zwątpiałych.

Po mszy nastąpiły suplikacje, te wołania strapionych, tak wymowne, a tak proste, których najwyszukańsza nie zastąpi modlitwa; rozległ się, kościół powtarzaniem: **Ś w i ę t y B o ż e,**

Ś w i ę t y m o c n y ! Ś w i ę t y a n i e ś m i e r t e l n y , z m i ł u j s i ę n a d n a m i !

I ze wszystkiego nabożeństwa to może najgoręcej odśpiewane zostało. Kapłan wziął z ołtarza wystawiony Przenajświętszy Sakrament, rozstąpił się lud, panowie Zamojski i Czarniecki ujęli celebrującego pod rękę i

procesja poszła ku drzwiom kościelnym, a za nią falą potoczyli się wszyscy...

Tak w powolnym pochodzie ze śpiewem, wśród bicia dzwonów i odgłosu uroczystej tłumy modlitwy, dokoła murów obniesiono monstrancję, zakreślając nią jakby czarowny pas, który miał bronić Częstochowy. Ilekroć zbliżali się do dział, które zimne jeszcze paszce zwracały na pustą okolicę, do kupy broni; kul i bomb, stawali wszyscy, kapłan występował i święcił te narzędzia śmierci w imię Boga zastępów. Piękny to był obrzęd i widok wspaniały, któremu słońce jesienne, wychylając się zza chmur, towarzyszyło promieniem jasności, z góry także zdając się błogosławić wierze tej garści ludu, co w ciasnych murach miała się bronić stokroć potężniejszemu nieprzyjacielowi. Była to uroczystość jedyna i równie jak mowa przeora podniosła ducha w obłączonych. Jeszcze się nie skończył obchód, gdy nagle wszystek lud zastanowił się, poglądając w stronę Częstochówki.

Wojsko szwedzkie zajmowało w tej chwili, wioskę i poczynало rozsiewać się po wzgórzach, zapelniając jakby mrowiskiem ruchomym puste jeszcze przed chwilą drogi i pola. Na ten widok krzyk wyrwał się z piersi wszystkich; wszyscy poklękli, a Kordecki rozpoczął śpiewać: *Przed oczy Twoje, Panie...*

Te pokutne wyrazy znalazły odgłos w sercach wszystkich. Każdy uczuł, że ma co złożyć przed Bogiem, i śpiewał, gorąco przejęty. Procesja wśród bicia wszystkich dzwonów i odgłosów muzyki, towarzyszącej pieśni, powoli weszła nazad do kościoła, gdzie się miało dokończyć nabożeństwo. Wszyscy rozeszli się wkrótce, jedni do mieszkań, drudzy w dziedzińce, inni na mury, a Kordecki śpieszył rozstawiać ludzi, opatrywać działa, polecać jednym czujność, w drugich wlewać odwagę, weselem swym, pogodą i męstwem zbrojąc wszystkich.

Widok z murów był zajmujący i ożywiony. Szwedzkie wojsko, jak szarańcza rozsypało się u podnóża góry i obejmowało ją zewsząd. Widać było proporce z trzema koronami Gustawa, halabardy połyskujące, pierzaste kapelusze Szwedów na koniach, w błyszczących zbrojach i jasnych sukniach galonowych, a przy nich towarzyszącym im dla rozpoznania miejsca Polaków, którzy powolniej i jakby gwałtem ciągnięni, szli, okiem przerażonym poglądając na Jasną Górę. Po drogach wlekły się działa, prochy, wozy z namiotami i kulami. Wiatr powiewający z tej strony donosił niekiedy do twierdzy nawet krzyk gawiedzi i odgłos trębaczy. Jakaś kupko jezdnych objeżdżała i

opatrywała mury z daleka, opasły Szwed jej przewodniczył, kilku innych jechało za nim.

Polacy stanęli obozem opodal ku miasteczku i oddzielili się widocznie od wojsk Karola Gustawa. Tymczasem Szwedzi już opanowali Częstochówkę i od południa leżący folwark klasztorny zajęli w oczach Kordeckiego.

– Dałbym do nich ognia – rzekł pan Zamojski.

– Nie – odpowiedział przeor – pierwszym nam kroków nieprzyjacielskich rozpoczynać nie przystoi; niech oni zaczną, a na nich spadnie krew przelana.

Wtem gwałtownie dobijać się zaczęto do wrót. Furtian przybiegł z doniesieniem, że Polak jakiś, poseł od Millera, z listem przybył.

– Wpuścić go! – rzekł Kordecki, a sam pośpieszył do bramy pierwszej.

Tu wąsaty towarzysz z chorągwi Gołyńskiego wręczył mu list dowódcy, a zarazem przyszła wieść, że Szwedzi w folwarku klasztorным zabili rządcę tamtejszego, Jana Konopskiego. Był to pierwszy krok nieprzyjacielski.

– A zatem, księżę przeorze dobrodzieju, poznajemy nieprzyjaciół – rzekł pan Zamojski. – Niech się nam nie uwijają tak blisko pod nosem; za odpowiedź dać ognia.

– Słuszna – rzekł Kordecki – oni pierwsi niewinną krew przelali – i, wstępując na mury, krzyżem wielkim przeżegnał działa, wołając:

– W imię Boże!

Na to hasło wydano – rozkaz wystrzału i pierwszy grzmot dział rozległ się, jak grom silny, po dolinie. Kule przeszły powietrze, a gdy dym nieco opadł, ujrzeli stojący na murach popłoch, który w Szwedach zrobili. Millerowscy bowiem wcale się tak śmiałej nie spodziewali zaczepki. Ogień działowy nieprzerwanie aż do oczyszczenia Jasnej Góry z nieprzyjaciela trwał ciągle, i wśród huku wystrzałów czytano list Millera. List to był widać jeszcze pisany w nadziei łatwego i rychłego poddania się klasztoru; tchnął niby radą przyjazną, a groził z daleka tylko. Rozkazywał Miller natychmiast wysłać do siebie zakonników dla traktowania o warunki, oznajmując, że przybył zająć Częstochowę w imię Karola Gustawa. Obiecywał łaskę swego króla, poszanowanie świętości, wiary, obrzędów, własności wszelkiej; „lecz jeśli – kończył – opierać się będziecie śmieli, gdy już cała Polska zajęta, będę zmuszony nastąpić na was siłą, i wówczas biada wam!... Życzę raczej nie myśleć nawet o próżnym oporze”.

Przeor z uśmiechem złożył odczytany list na stole. Wtem wprowadzono dwóch z komendy Gołyńskiego Polaków, przysłanych od generała z prośbą, aby ognia zaprzestano i umówiono się o zawieszenie broni. Oznajmił o nich brat Paweł, furtian, który ich chwilę poprzedził.

Brat Paweł, pokornie wchodzący na zgromadzenie, był jednym z najzarliwszych, choć najmniej znaczących członków zakonu. Prawdziwie powołany do niego, z niskiego stanu wyszedłszy, pracował i modlił się z taką gorliwością, na jaką tylko natchnieni prostaczkowie zdobyć się mogą. Mały, niepozorny, czarniawy, ale silny i krzepki i zawsze gotów do pracy, dopełniał i obowiązków stanu, i nakazów przełożonego z zapalem nadzwyczajnym. Cały dzień przy robocie, nigdy nie stęknął, ani się zniecierpliwił, a przeora uważając za świętego, czcząc go jak wyższą od siebie istotę, gdy mu sił zabrakło, gdy na duchu podupadł, szedł do niego i dla pokrzepienia prosił o ojcowskie błogosławieństwo. Nikt nad brata Pawła nieustannie nie nosił włosienicy i gdy inni ją tylko na Adwent i Wielki Post chowali, on ani jej, ani paska żelaznego do snu nawet nie zrzucił. Noce spędzał klęczący, dnie na pracy ciągłej, w posługach ostatnich, które mu były najmilsze, z rozrzewnieniem oczekując dnia, gdy go osądzą godnym wyniesienia z bractwa na dostojność kapłana. Takim był brat Paweł, wzór tych prostaczków świętych, których, jako skromnych pracowników w winnicy Pańskiej, tylu zapisały karty dziejów zakonnych w Polsce. Wszedł on do sali i ze skrzywioną, kwaśną twarzą wymienił dwóch Polaków przybyłych, a na rozkaz przeora drzwi im szeroko otworzył, sam oddalając się śpiesznie.

Dwaj panowie towarzysze weszli z rumieńcem na twarzy, zafrasowani widocznie i zmieszani swym położeniem. Obaj byli lat średnich. Jeden rodem z Wielkiej Polski, znać wojak od młodu, drugi nowy jeszcze, w pierwszym polu, trzymał się za panem bratem i, nadstawiał tylko miną, niewiele wiedząc, jak sobie dać radę. Przeor przyjął ich, okazując zadziwienie.

– Kochani panowie! – rzekł. – A cóż to ja widzę? Polaków z Najświętszą Panną Częstochowską wojujących! Czyście katolicy?

– Katolicy jesteśmy – odpowiedział odważniejszy – i Bóg widzi, jak nas to boli, że ze Szwedem tu przybyliśmy; wojować wcale nie myślimy ani wojującym pomagać, ale stać musimy.

– Taki to skutek płochego rzucania się – zawołał Kordecki. — Przystaliście do Szweda, a Szwed was na Matkę prowadzi.

– Nie zapomnieliśmy czci winnej miejscu świętemu, wielebny ojcie – rzekł znowu pierwszy – i wojować nie myślimy, uchowaj Boże...

– To więc z zimną krwią i założonymi rękoma patrzeć będziecie, jak z nami Szwedzi borykać się będą?

Towarzysz westchnął.

– Wstyd! Wstyd! – dodał przeor. – Mało wiary w nas! Opuściliście ojca–króla, porzuciliście sprawę ojczyzny–matki, związaliście się z najeźdźcami, jacyżecie synowie tej Rzeczypospolitej?

Wielkie widać było pomieszanie na twarzach posłów, gdy drugi, bełkocząc, począł prosić o zawieszenie broni, nie wiedząc już, z której beczki zacząć.

Kordecki spojrział na Zamojskiego, który obok siedział i do mowy gotować się zdawał, na Czarnieckiego potem, który tarł łysinę i wąsy targał niecierpliwie.

– Niechże panowie Szwedzi ustąpią z folwarku – odparł po chwili – a my ognia dawać przestaniemy.

Spojrzeni po sobie towarzysze, jakby się radzili, kto z nich pójdzie, i młodszy oddalił się szybko. Drugi pozostał, użalając się na swój los i położenie Polaków, usiłując przemówić do przytomnych i zbratać się z nimi; ale na próżno, bo wszyscy od niego jak od zapowietrzonego się usuwali. Przeor jednak przyjął go, jak przystało, i kielichem i miską; aż i drugi powrócił z oznajmieniem, że Miller z folwarku ustępować nie myśli.

– Wola wasza; więc i ja nie ustąpię i strzelać każę – odpowiedział przełożony, i tym ich pożegnał.

Posłowie odeszli smutni i przejęci; sumienie się odzywało do nich grożąc, zbudzone raz pierwszy słowami Kordeckiego. Działa grzmiały do nocy.

XIII

Noc ta nie uśpiła nikogo ani w twierdzy, ani w obozie. Ruch, gwar i rozpalone ognie świadczyły, że sen nie zamknął powiek przybyszom znużonym; na wysokiej wieży kościelnej, z rozkazu przeora zapalony, gorzał świecąc daleko kaganiec, jakby wzywał pomocy i ratunku. We wszystkich oknach płonęły światła, a obóz Millera połyskiwał mnogimi ogniskami, rozrzuconymi w różnych kierunkach i ukazującymi stanowiska oddziałów. Niebo było pochmurne, działa odzywały się aż do ciemnego zmroku, ale coraz rzadziej i w dłuższych przestankach. Kordecki na południowej kortynie przechadzał się po blankach z Zamojskim.

– Mieczniku – mówił – uczycie mnie wojny.

– Pan Bóg to, nie ja, was uczy – odparł Zamojski. – Lepszy to nauczyciel ode mnie.

– Widzę, że jeszcze jedną ofiarę spełnić nam potrzeba.

– Wojna żyje ofiarami – odparł miecznik z westchnieniem.

– Powiedzcie raczej, że wszystko, co żyje, ofiarą tylko utrzymuje życie. Tam tylko żywot, gdzie ofiara; ale tu nie o tym mowa. Widzicie stąd nasz folwark; mozoły tam naszych wieśniaków, bogate zapasy zboża, chleba, darów Bożych, a Szwed sobie w nich pościela snopki naszym potem zlane i cieszy się, że się nimi przeżywi. Cóż wy na to?

– Spalić by potrzeba – rzekł Zamojski.

– A! Widzę ja to od rana, a rozkazu nie daję – odparł przeor z cicha z boleścią wyraźną. – Tak to kosztuje pracę ludzką i dary Boże zniszczyć. O! Nie nasza to rzecz wojna, nie nasza, panie mieczniku! Niech rzucą bomby; ja na ten ogień patrzeć nie chcę; zbyt wiele mnie on kosztuje.

To mówiąc, śpiesznie odszedł, a Zamojski zawołał. Wachlera, Niemca od dział, do siebie.

Niemiec to był całą gębą, bo i brzuchaty, i gębaty, serca w nim ani za grosz, ręce do pracy niechętne. Z potrzeby tylko wzięli go księży, bo nikt go nie lubił. Cały boży dzień ujadał się ten niezdolny człowiek za karm, za płacę, za nagrody, za wygody; a przyszło robić, to niechętnie i dumnie, mrucząc posługiwał. Od czasu przyjścia Szwedów jeszcze się stał mniej ochotny i gderliwszy, i rzekłbyś, patrzył tylko, którędy do nich droga. Z Polakami zawsze nadęty, nie bardzo posłuszny, postępował jak z czymś niższym od siebie; nabożny był tylko w niedzielę, a wesoly do

pieniędzy; ale że znał swoją sztukę, musiano go trzymać, choć to była plama załogi częstochowskiej. Cóż począć, gdy się czasem obejść bez takich pomocników nie można? Ujmowano go datkiem, jadłem, darem, obietnicy, choć niejednego chętką brała ten kawał mięsa przez mury przerzucić. Wachler, mrucząc po swojemu, poszedł do pana miecznika.

– Macie przygotowane bomby ogniste, widzicie to światło na folwarku? – rzekł pan Zamojski.

– Rzucić ogień i spalić stodoły i gumna.

Wachler spojrzął, ruszył ramionami i stanął jak słup.

– Słyszysz waść? – rzekł Zamojski.

– Po nocy? – odmruknął nareszcie.

– Po nocy, zaraz; wołać kanonierów, działa sztyftować i ognia nie czekając!

Chciał się choćby pospierać Wachler, ale przy świetle stojącej w strzelnicy latarni ujrzał twarz Zamojskiego i wzrok jego rozkazujący; szepnął coś niezrozumiale i zajął się spełnieniem rozporządzeń. Nie odszedł miecznik, aż pierwsza bomba, kreśląc ogniste koło w powietrzu, padła na zabudowania folwarczne. Za nią, jakby ścigając się, leciały inne, mierząc wszystkie na dachy brogów i zabudowań, z których natychmiast buchnął ogień, a czarne drobne postacie Szwedów rojem sytać się poczęły. Wiatr dał od wschodu i niósł płachty ogniste w pola, tak że nawet pozostała z pierwszego Wejhardowskiego ognia kaplica św. Barbary nie zajęła się od tego pożaru. Ogień, szerząc się, rozwidniał obozowiska Szwedów w nieładzie będące i miasteczko, którego fary wieża na tle nieba ciemnym błyszcząc się malowała ze swym krzyżem; kaplica też św. Jakuba, klasztor, wszystko odbitymi blaski gorzeć się zdawało; pozostała tylko w cieniach część murów północna i północno-zachodnia. Grzmiały działa do dwunastej, popłoch i ruch był wielki, aż wreszcie pożar, nie mając co niszczyć, ustawać począł i strzelanie przzerwano.

W chórze śpiewali zakonnicy. Po zabudowaniach klasztornych szlachta pierwszą tę noc oblężenia przeżyła w strachu i niepokoju największym. Modlili się jedni, przysłuchiwali drudzy, niektórzy wchodzili na mury, poglądali na zniszczenie i tęskno dumali o jutrze. Przeor, wyszedłszy z chóru, udał się po cichu na mury ku stronie północnej, bo mu pożar folwarku, z przeciwnych baszt widoczny jeszcze, był przykrym nad miarę widokiem. Obszedł część kortyny, a potem zstąpił w podwórze i począł oglądać wszystkie twierdzy zakątki,

wszędzie witany hasłem... – A hasło dnia tego było: „Maryja Panna –
Paweł święty!”

XIV

Świeciło się jeszcze w mieszkaniu, które zajął pan Jan Lassota, i tu Kordecki kroki swe zwrócił, zapukał, gdyż wprzód jeszcze jęk głuchy i mowa niewyraźna oznajmiły mu, że nie spano. Wszedł więc i zastał na pościeli starca z głową schyloną, ze wzrokiem martwym. Przy nim Hanna siedziała, płacząca na niskim pieńku, który jej za stołeczek służył. Błade światelko migającej lampy rozwidniało sklepioną izdebkę, smutną, nagą i pustą. Starzec podniósł głowę ku przeorowi, sądząc, że wchodzi brat jego – ale ujrzawszy Kordeckiego, spuścił ją znowu, jakby mu mówił milczeniem, że obcy nie był mu pożądanym gościem. Kordecki nie zważał na to i usiadł przy pościeli.

– Bracie mój – rzekł – cierpisz, widzę to; chciałbym cię pocieszyć, chciałbym ci dodać odwagi i wytrwałości.

– Jakże nie mam cierpieć? – odparł po chwili Lassota. – Widzisz, mój ojczu, to dziecko; tyle mi tylko zostało na świecie, resztę wszystko mi wydarł nieprzyjaciel. Czuję przychodzącą śmierć i tej ostatniej drogiej istoty nie mam komu zostawić...

– A Bóg, mój bracie, a Bóg?

– Bóg o mnie zapomniał.

– Co mówisz, stary! Co mówisz?... pomiarkuj się, nie Bóg o tobie, ty chyba zapomniałeś o Nim?

Lassota milczał pośpnie.

– Nie chciałbym ci się naprzykrzać, panie Janie – mówił dalej przeor – ale jako pasterz tutejszy, dla zapobieżenia niemiłych spotkań, rad bym wiedzieć, co cię tak boli, kogo to masz wrogiem.

– Alboż nie wiecie jeszcze?

– Nie pytałem nikogo. Nie ulży wam to bólu, gdy mi się zwierzycie? Spróbujcie...

– Chciałbym... nie wiem, czy potrafię... – spojrzał na wnuczkę.

– A naprzód – rzekł przeor – wiedziecie, że nie ma strasznieszego bólu w duszy nad ten, jaki zadaje nienawiść. Jest to trucizna, której kropla psuje w nas wszystko, co wielkie i święte; z nią się ani modlić, ani kochać Boga ni ludzi nie można; wszystko kwaśniej od niej w duszy i w ocelet się zamienia. Starajcie się podnieść do Boga i darować winy, a ujrzycie,

jak lekko odetchniecie potem, jaka nadzieja i spokój wstąpią w duszę waszą.

– Darować! Przebaczyć! – zawołał stary. – O! Nie mogę, nie mogę... darować boleści lat kilkudziesięciu, darować moje cierpienia, wszystko, com przeżył; w imię Boga potrafiłbym może, byłem go, nie widział, ale przebaczyć, co ucierpeli drudzy, ci, których kochałem, których mi wydarli... nigdy!

Przeor pomilczał chwilę.

– Wszystko – rzekł – przebaczyć potrzeba, wszystko, jak Bóg przebaczył i darował, chceszli, by ci było przebaczone.

– Wiem – rzekł powoli szlachcic, podnosząc głowę i na rękach ją wspierając – bo powtarzam co dzień słowa modlitwy, ale ich winy przebaczyć nie mogę...

– I dlatego cierpisz – mówił Kordecki.

– Można darować upokorzonym; ale zuchwałym i urągającym?...

– Powtarzam ci, mój bracie; jeśli kiedy, to nad grobem trzeba wszystko i wszystkim przebaczyć. Chrystus dla nas przykładem: On modlił się za zabójców swoich, gdy Go katowali, i przebaczył nie tylko mękę swoją, ale cierpienia swej Matki...

Szlachcic boleśnie jęknął, spojrzał na wnuczkę i dwie łzy zbiegły mu po żółkłej twarzy, której policzki ceglany rumieniec choroby zapalał.

– Posłuchaj mnie, ojcie – rzekł po chwili, widząc, że Hanna odeszła do pierwszej izdebki – trzeba, żebyście poznali życie moje, a osądzicie, czym winien, że przebaczyć nie umiem; życie to niepowszednie. Wiecie może od brata mojego, żeśmy nie byli ubodzy, nie, a Bóg dał kawał ziemi pięknej i chleba dostatkiem, i imię pocziwe, i poważane u ludzi. Było nas tylko dwóch u ojca, ale młodszego wcześniej przeznaczono i oddano do klasztoru, bo matka kochała mnie tylko i pieściła nad miarę. Stare to dzieje, ojcie! Ja dziś starzec siwy, ale to były najszcześniejsze życia chwile, bo spokojne, bo wesołe, a bez troski na przyszłość. Wychowałem się po części w domu, po części w szkołach jezuitów, a potem, gdy mi Pan Bóg ojca odebrał, powróciłem matce w gospodarstwie pomagać. Byłem już dorosły, ale pstro w głowie, jak u każdego młokosa, a do tego jedynaka, bom się już za takiego uważał. Wszystko mi dogadzało. Z psami, z końmi, z wesołymi towarzyszami uganiałem się dnie i noce od kniei do kniei, rzadko nawet, czego mi dziś, Bóg widzi, żal okrutnie, do starej zaglądając matki. Niewielką też byłem jej pomocą. Tylko że na mnie spojrzała kiedy niekiedy i pocałowała w głowę, a choć

sama jedna długie dnie wysiadywała nad swoją książką pobożną i różańcem, nie poskarżyła się nigdy. Jam z młodości szumiał i szumiał... Jakoś, nie wiem już po co, zaniósł mnie interes do Sandomierza, gdzie musiał kilka dni przebawić, a i tu znaleźli się koło mnie towarzysze do hulanki. Wypadło tak, że podczas mojej bytności najbogatszy z tamtejszych mieszczan, niejaki Franciszek Gallar, wyprawiał starszej swej córce wesele. A jako to za owych czasów bywało, na wesele prosili, kto żyw i kogo gdzie spotkali, bo i z ulicy ubożsi i szlachta, znajoma i nieznajoma nawet, cisnęli się do otwartego domu kupca. Odbywało się to po staroświecku, z maszkarami, z błaznami, z muzyką, z wielkim stołem i wielkim strojem, a trwało dni dziesięć. Że to jakoś było blisko domu, w którym stałem, a moi przyjaciele już tych Gallarów znali dawniej, pociągnęli i mnie na bankiet weselny. Ot! Jak czasem całe życie ludzkie od jednego zawisło kroku (i starzec westchnął ciężko), ale mi nie żal, nie żal. Starsza córka Gallarowa szła za szlachcica, bo to był mieszczanin bogaty co się zowie, kupiec wielki i mówił o sobie, jakoby był wygnańcem *religionis causa* (z powodu religii) z jakiegoś tam niemieckiego kraju, gdzie katolików prześladowano. Opowiadał też, że był szlachcicem i dla musu się tylko udał do handlu. Bóg tam zresztą wie jego niemieckie szlachectwo. To pewna, że i sam był personat, okazała i poważna figura, i familia jego wyglądała jakby coś lepszego niż prości mieszczenie. Osobliwie też obie córki były piękne, bom podobno mówił, że ich miał dwie; starsza, co już szła za mąż za pana Otrębowskiego z Przewałowa, była śliczna jak obrazek, ale młodsza świeciła się niby gwiazda między tym mieszczaństwem. I tak mnie zaraz za serce chwyciło to dziewczę, żem i rozumu zbył z głowy, i zapomniał się o sobie. Już tedy wesela pilnowałem do końca i poznałem się bliżej z Gallarami, którzy zamożnego szlachcica przyjmowali – mile, uczciwie i jak się należało. Konstancja (było imię młodszej) szła ze mną w taniec raz w raz i uśmiechała się do mnie. Jeszczem innych od niej odsadzał, aż mało do bójki i szabel nie przyszło; i tak mignęły się te dnie weselne, gdyby z bicza trzasł. Ale ostatniego dnia nie obeszło się bez awantury. Już to ja widział zrazu, że koło niej ćma gachów się kręciła, alem ich rozpędził łatwo, bo to byli mieszczenie; tylko jeden pozostał wąsacz z szabelką, szlachcic, niejaki Krzysztoporski. Ten się nie dał zjeść w kaszy i kroku mi nie ustępował. Starliśmy się raz i drugi na słowa cierpkie, przemówili ostro, ale mnie jakoś przyjaciele odciągnęli od bójki, dla domu to czyniąc, bo Gallar stary był człowiek, poważny i przykro by mu

było, żebyśmy się popłatali, a do tego wróżba zła dla nowożeńców. Mój tedy przeciwnik nie ustępował wcale, a Konstancja, choć się zdawała dla mnie bardzo przyjazna i szła ze mną tańcować, i mówiła bardzo pięknie, uważałem, że byłem się odsunął, to jednakowoż z tym Krzysztoporskim śmieszkowała i gziła się. Jakoś mnie to po sercu drapało, ale nic... Tu i wesele się kończy, a ja w Sandomierzu siedzę i matka pisze: powracaj, a ja już od Gallarów ani krokiem. Tu rano, tu i wieczór skrzyпки za sobą prowadzę, a oni przyjmują ochotnie.

Tylko że ów szlachetka uparty siedzi na nosie i siedzi, ani wykurzyć; i co odstąpię, to on do panny. Nareszcie, tak dni jeszcze z dziesięć po weselu przeskakawszy, trzeba było do domu, bo się i pieniądze wyszastały, i u Żydków jeszcze napożycało. Matka, choć wiedziała o wszystkim, bom miał przy sobie starszego sługę, co jej donosił każdą rzecz, nic mi nie powiedziała. Ale gdy wkrótce potem znowu do Sandomierza się siodłam, już nie wycierpiała i mówi mi otwarcie:

– Myślisz, że to ja nic nie wiem? Otóż z tej Gallarowej imprezy nic nie będzie. A ja matce do nóg i taki od razu, że bez niej żyć nie mogę. Było tam dosyć sporu i próśb, ale jak to serce macierzyńskie mięknie dla syna ulubionego, a ja wołałem, że do kozaków pójdę, jeśli mi się zenić nie pozwoli, i począłem jej jeszcze wmawiać szlachectwo Gallarów, jakoś się rozplakała, umitygowała – i pojechałem. Tu znowu miesiąc czasu spędziłem na biesiadach, już otwarcie konkurując, ale mi ten Krzysztoporski nie ustępował. Tedy bez ceremonii wyzwałem go na rękę; aleśmy się porąbali na próżno, bo skoro odleżał i wylizał się, ja do panny, aż i on z drugiej strony. A Konstancja, póki sama, to do mnie oczy zwraca; jakeśmy we dwóch, to jakby nie wiedziała, kogo sobie wybrać. Człek to był przystojny i śmiały, a żywego języka, co się kobietom podoba. Jużem ja to miarkował, że z tego pociechy nie będzie, ale jakby na mnie czary rzucono, bo nawet matka moja i ludzie mówili powszechnie, że pewnie mi coś w winie zadano: od razu tak obcesowo rozmiłowałem się, ani na to rady. Tymczasem w czasie tych starań o pannę matka moja umarła, Panie świeć nad jej duszą i domieść ją zbawienia wiekuistego! Ja zostałem panem swojej woli. Ale żałoba rok i sześć niedziel trwała; więcem już bez muzyki dojeżdżał do panny i wprost oświadczyłem się Gallarowi, który to przyjął dobrze i zaraz mi podziękował za zaszczyt jego familii uczyniony. Panna, przy której zawsze ów Krzysztoporski siedział, trochę popłakała; jam to miał za zwyczajne ceremonie i pierścionki zamieniliśmy, a ślub odłożony został

po wyjściu żałoby. A jakoś też zaraz ludzie mówili, że w żałobie zaręczyny niedobrze wróżą; ale się na to nie zważało wówczas.

Ile razy przyjadę, bywało, do Gallarów, jest mój gach koło panny. a czasem zjadę z cichu, to siedzą jedno podle drugiego i szepczą coś poufnie. Już to mnie okropnie po sercu krajało, żem go drugi raz chciał wyzwać, ale rodzice, pomiarkowawszy się, dom mu wypowiedzieli. Z tego już tuk byłem szczęśliwy, żem do reszty głowę utracił. Tymczasem stary Gallar chodził koło mnie, różnymi racjami dowiadując się o majątność, chcąc niby zapewnienia losu dla córki, ze swej strony złote góry obiecując. Majątek mój był czysty, w ziemi, a jego w szkatułce i gębie; ale się to wówczas wszystkiemu wierzyło. Dosyć, że jak począł mi ukazywać, iż broń Boże śmierci mojej, córkę wyzują krewni ze wszyskiego, a to i owo przywodzić dla przekonania, tak ja, rozmiłowany, ruszyłem głupi wspaniałomyślnością i, znajcie szlachcica, zapisałem całą majątność swoją, jakby sprzedając ją przyszłej żonie, a nic sobie nie wyjmując i nie zostawując. Wkrótce potem i żałoba się skończyła, a jam zawiózł Konstancję na wieś, ożeniwszy się. Kilka miesięcy upłynęło szczęśliwie, alem się rychło spostrzegł, że z piękną twarzą nie takim szczęście kupił, jak mi się widziało. Żona, moja do miasta i do rozrywek przywykła, do skrzypków, skoków i gwaru, nudziła się, a niczym zając nie chciała. Gospodarstwo matczyne szło wniwecz. Ażeby ją zabawić, potrzeba było nieustannie sprowadzać muzyki i szaleć. Już mi to dojadło, myślałem, że się przecie kiedy skończy; ale gdzie tam: co dalej, to lepiej. A do tego żona posmutniała i ani rozkołysać, ani ją rozbawić. Tymczasem Bóg dał córkę; myślę już znowu: otóż ją do domu przywiąże, ale i to nic: jak była, tak została. Dziecię z mamką poszło do czeladnej izby, a pani, gdy pozdrowiała, to ją wieź do Sandomierza, to sprawuj w domu bankiety, czy jest, czy nie ma za co.

Aż tu i Krzysztoporski się zjawia. Tu jest, tu go nie ma, pokaże się i zniknie, i donoszą mi już ludzie, że liściki biegają. Żle, trzeba radzić. Jadę do starych Gallarów; ale Niemiec to sobie lekko waży, półuśmiechem, półniedowiarstwem mnie zbywa i poczyyna, jakby nie znał się do tego, co szlachcicowi winien. Jejmość wciąż swoje, a gdym przyszedł do wymówek, ona w gniew. Jam także nie z kamienia, dość że przemówiliśmy się raz i drugi, i trzeci, a coraz kwaśniej z sobą: Aż jednego razu powracam do domu. Nie ma. Gdzie? Do Sandomierza. Już mnie ten Sandomierz kością w gardle siedział. Bez zapytania, bez wiedzy mojej, ale że to do rodziców, nie śmiałem nic powiedzieć i jadę za nią.

Tu mnie przyjmują kwaśno, do żony nie dopuszczają i znowu najrzałem Krzysztoporskiego. Już nie żartem wziąłem się do rodziców i do niego, ale hałasu narobiwszy, przepędziwszy piekielnego gacha, gdym chciał żonę odebrać, nie dają. Odjechałem do domu, gdzie mi córeczka pozostała. Myślę: przegniewa się i przyjedzie: aż mija miesiąc drugi i słyszę: w konsystorzu zabiegi o rozwód. Aż mnie krew oblała, bo tu żal i sromota. Ja znowu do niej, ale gdzie tam! pozamykano – i dają mi znać, że stary Gallar nie żartem koło sprawy chodzi, a ludzie, com ich przepłacił, powiadają, że Krzysztoporski tam nieustannie koło niej. Cóż długo mówić? Rozstaliśmy się. Musiałem, rad nierad, na rozwód pozwolić, bo mi już i to życie dojadło. Jejmość zaraz, nie czekając, wybrała się za Krzysztoporskiego. Jeno się to stało, aż z innej beczki poczęli i do majątku mi się biorą. Majątek był wprost zaprzędany, ani się wywikłać; przeczyć swojej robocie hańba, wyroku okazać niepodobna; na łascem został. Krzysztoporski goły, ona bez serca... Toczyła się jednak sprawa, toczyła i przegrałem ją, naciągawszy się po sądach, natraciwszy zdrowia, pokoju i życia. Jużem i postarzał, a tylko mi córka została jedyną pociechą, bo i ubóstwo przyszło i późny żal, a przyjaciele, jak wymiótł, przed biedą pierzchnęli wszyscy. Krzysztoporski, pamiętny sadła, com mu zalał za skórę, zajadłe na mnie powstawał; odebrawszy mi żonę, zagarnawszy majątek, jeszcze na sławie mi szkodził gdzie tylko mógł, ujmował. Już tego dalej ścierpieć nie mogłem, bo srogi ból był w sercu – i znowu wyzwalem go na rękę. Po długich ceregielach stanął. Ale cóż? Mnie z gniewu ręka drżała, on miał całą głowę i obciął mnie tylko. Wyleżałem, wykurowałem się i z reszty pozostałej majątności żyłem, jakem mógł, a i córka podraślała. Choć mi się ciężko za mój afekt wypłaciła Konstancja, jeszcze dla niej zostało jakieś w sercu uczucie, jako do matki dziecięcia mego. Zresztą Bóg wie!

Tu dochodzą mnie wieści, że i ona nieszczęśliwa. Pan Bóg jej oddał za moje. Krzysztoporski był w początku dobrym mężem, ale potem gdyby bisurman jaki obchodzić się z nią począł. Już jak to tam było, to było, a żal mi się zrobiło kobieciska. Wielem przez nią wycierpiał, przecież miałem ją zawsze za żonę i anim myślał o innej, choć wiek był po temu i trafiały mi się dobre partie, bo serce znarowione ciągnęło ku niej. Jeden, drugi z sąsiadów zaczęli mi prawić dziwne rzeczy o losie pani Krzysztoporskiej, aż mnie niecierpliwość porywała, ale myślę sobie z początku: a mnie co do tego? Jednakże z drugiej strony była to matka

mojego dziecka. I tak, i owak myślałem, rozbiegałem, rzucałem się, nie wiedząc, co począć, aż słyszę, a tu już ją Krzysztoporski zamknął w domu i jak w więzieniu trzyma, że biedna kobieta szaleje. Tu już i wytrwać było trudno. Zebrałem ludzi, kilku krewniaków, uzbroiliśmy się dobrze, porachowali z czasem i nocką do dworu pana Krzysztoporskiego zajazdzamy.

Kilkanaście lat było, jak jej nie widziałem na oczy, a jednak mi coś w piersi zatłukło; gdym pod dom podjeżdżał... Ciemno było i cicho, a pusto; obeszlśmy domostwo, wszyscy spali – w jednej tylko izdebce na górze świeciło się mdle światelko.

Miałem ja z sobą człowieka, co mnie tam prowadził. Ten wwiódł nas do izby Krzysztoporskiego, że gdyśmy go już otoczyli, dopiero się zbudził, krzyknął na służbę (a ci już byli wprzód powiązani) i za oręż pochwycił, aleśmy od niego odebrali szable i rusznice. Naówczas, stanąwszy przed nim jak mściciel, spytałem go o wydartą mi żonę, co z nią uczynił? I mierząc do niego jak do psa, rozkazałem, by mi ukazał, gdzie była, i wytłumaczył się, jak się z nią obchodzi. „Nie moja rzecz – rzekłem – słuchać cię liczby, którą sąd ludzki i Boży weźmie z ciebie, ale ścierpieć nie mogę, by ta, która była żoną moją, znosiła niewolę. Jeśli więc okaże się nieprawdą, co na cię mam, jam winien, żem ci spokój zamącił; jeśliś winien, ja tę sprawiedliwość opieszalą przedstawiam”...

Na te słowa pobladł Krzysztoporski, ale schwytany musiał wreszcie wieść do żony. Ażem zdrętwiał, gdym ją ujrzał na kłódki i klucze zamkniętą w górnej izdebce, samą jedną, w podartej sukieneczynie, z włosom rozczochranym. Siedziała na ziemi tak wymizierowana. błada i straszna, że gdybym nie wiedział o niej, już bym jej nie poznał. Włos mi na głowie stanął... A być to przecież matka jego syna, bo mu zaraz w rok po świętokradzkim małżeństwie dała następcę. Wymógł na niej zapisy majątku, który mnie wydarli, a obawiając się widać zalotności jej, bo była do zbytku rozmiłowana w sobie i lekka niewiasta, tak ją niegodziwie zamknął.

Kobieta zrazu przeleżała się napadu tego i mnie nie poznała. Powiedziałam jej, z czym przyszedłem, żeby ją bronić i niegodziwego ciemniejąc upokorzyć. Popatrzała na mnie i zalała się łzami; padła mi do nóg, milczała długo, nareszcie głos jej powrócił.

– Zbawco mój! – zawołała. – Jam ciebie nie była warta, byłam winna, wielem była winna! Bóg mnie pokarał, za resztę grzechów moich sama odpokutuję. Nie godnam cieszyć się dziećmi, nie godnam żyć z nimi,

grzesznica wielka! Bóg mnie w tej niewoli i zamknięciu oświecił i poruszył; dziękuję ci, wyzwalasz mnie, abym resztę życia spędzić mogła na pokucie...

– Gdzież chcesz iść? – spytałem, widząc, że się wybiera.

– Gdzie mnie oczy nie ujrzą ludzkie i Bóg jeden widzieć będzie odpowiedziała. – Ale pozwólcie mi wprzód pożegnać i, choć niegodnej, pobłogosławić dziecię moje.

Zeszliśmy z nią do alkierza, gdzie spał syn, którego płacząc ucałowała i pożegnała. Potem mi się jeszcze do nóg rzuciła raz drugi, prosząc, abym jej winę przebaczył, i wymógłszy na mnie, że jej szukać więcej nie będę, uszła zaraz nocą.

– Cóż się z nią stało? – zapytał przeor.

– Odtąd jej nie widziałem – kończył szlachcic powolnie – ale nie tu jeszcze koniec historii. Odeszliśmy Krzysztoporskiego we wściekłości i gniewie. którego pohamować nie mogłem. Łązał mnie, aż do tego przywiódł, żem go wypłazował. Jakoś wkrótce potem umarł mu syn jedynak, a jak się to stało, wścieklej jeszcze obrócił zemstę swoją na mnie. Pozostała mi córka, którą wydać chciałem za uczciwego młodziana z sąsiedztwa. Krzysztoporski póty chodził, póki mi nie przeszkodził. Usunął się on, ale znalazłem jej drugiego i temu ją z błogosławieństwem poślubiłem. Nie skończyło się prześladowanie. Taiłem przed córką historię matki, by jej życia nie zatruwać, mówiłem zawsze, że umarła. Krzysztoporski, widząc o tym uwiadomiony, wszystko opisawszy najszkaradniej, wybrał chwilę, by biednej kobiecie przesłać te czernidła, właśnie gdy wydawszy na świat córkę, leżała jeszcze chora. Przeczytała, rozboleła się i umarła... Pozostało mi tylko po niej to wnuczę i...

Tu przeorowi przerwał słuchanie grzmot dział, lecz nim powstał, ścisnął za rękę starca i rzekł:

– Bóg długo czeka na upamiętanie, a my wierzyć powinniśmy w Jego sprawiedliwość. Można mieć żal w sercu, ale nienawiści nie ; godzi się. Zły człowiek więcej godzien litości niż gniewu. A na wszystkie rany duszy jedno jest tylko lekarstwo – modlitwa...

Tu powstał Kordecki, błogosławiąc uśpioną wnuczkę starca, która, znużona podróżą, w pierwszej izdebce oparłszy się o ścianę zdrzemnęła... Grom dział wywołał przeora na mury.

XV

Noc cała zesła bezsennie: jeszcze się nie byli oswoili zakonnicy i szlachta z wojną, która ich żelaznym opasała kołem; jeszcze każdy szelest, każdy krzyk ich przerażał; zdawało im się, że słyszą szturm, że widzą zdobycie; brzask wschodzącego dnia zastał wszystkich na nogach. Stosownie do rozkazów przeora, pomimo zajęcia nowego, które i mnożyła walka, nic nie zmieniło się w nabożeństwie, w obyczajach zakonnych. Dzwony ozwały się o swojej godzinie, zwołując na mszę do kaplicy Najświętszej Panny, gdzie odśpiewywano godzinki i primarie. Gdy się to dzieje, Szwedzi płaczą się dokoła i po wczorajszym popłochu, po spędzonej także bezsennej nocy, wygnani pożarem, z folwarku, szukają stanowisk nowych i zabierają się do silniejszego natarcia. Z murów widać oddziały, rozchodzące się w różne strony i zabierające robotników do sypania baterii. Główne obozowisko, które za przewodnictwem Wejharda w początku się było położyło poza spalonym folwarkiem, prawie przeciwko wrót zamkowych, przeniosło się na stronę przeciwną i część wojsk silniejsza przeszła, okrążając z nieufnością górę, od południa na północny wschód. Przy kościółku św. Barbary zostali tylko książę Heski z pułkownikiem Sadowskim, prawie u pogorzelisk folwarcznych się szykując. Miller po wczorajszym oglądzie twierdzy zrozumiał lub może miał to od szpiegów, że północna i północno-wschodnia część murów była słabsza od innych – w istocie tak było. Tu więc sam, przyparłszy się do Częstochówki, nie opodał od figury Zbawiciela stojącej na pochyłości, obrał nowe stanowisko i zamyślał sypać baterie dla dział, które z sobą, przyprowadził. Część twierdzy i tej strony, dachami gontowymi klasztoru górująca, zwrócona ku niemu, dawała nadzieję, że ją łatwo potrafi kulami ognistymi zapalić. Działa zaledwie były ustawione na dylach, które z pogorzelisk powywlekano i jako tako obrzucono ziemią; ledwie Miller przeszedł tu i żołnierza swego rozłożył, natychmiast grad kul sypnął się na klasztor. Jenerał nazywał to „d z i e ń d o b r y” dla zakonników, a Wejhard nie przedstawiał utrzymywać, że byle ich trochę nastraszone, zaraz się poddadzą; Kaliński potakiwał zdaniu hrabiego. Sadowski uśmiechał się, milcząc i ruszając ramionami.

Dzwony właśnie na prymarię zwoływały, gdy grom dział i gdzie indziej padające nieszkodliwie kule bezsilne popłoch wielki zrzuciły w podwórzach. Na pierwszą zabłąkaną kulę, co się potoczyła po bruku, okiem podziwu i strachu, rozbiegając się, wszyscy poglądali z daleka. Kordecki, który obchodził stanowiska, wobec wszystkich zbliżył się do miejsca, gdzie upadła, podniósł ją i głośno się odezwał:

– Złożym ją na ołtarzu Bogarodzicy, ofiarując Jej boleść naszą.

To mówiąc, wziął ją w poję habitu i poniósł do kaplicy.

Z murów też już odzywały się działa jasnogórskie, odpowiedź na dzień dobry niosąc Millerowi. Jego wojska, wczorajszymi stratami nieulekniome jeszcze, cisnęły się tłumami od wschodu do północy, szykując się i stanowiąc. Pierwszy wystrzał w tę stronę przerzedził ich szeregi; widać było, jak się rozbiegać, mieszać i rozsypywać zaczęli, cisnąc na zgłiszczą wioski. Kilka tam jeszcze domostw, szop i stodoł stało nie podpalonych, i Miller kazał do nich cofnąć się swoim, którzy pod dachami broń swoją i rynsztunek składać poczęli. Sam, obrawszy kwatery w chacie nie obalonej, rozsyłał starszyznę, by pilniejsze poczynić rozporządzenia sił, wystawionych przez chwilę na ogień twierdzy i w nieładzie rozproszonych.

Zdawało się, że Szwedzi, korzystając z dalszych domostw nie dopalonej Częstochówki, tu się rozłożyć przy nich myślą, i sam miecznik, zobaczywszy to, plasnął aż w ręce.

– Rychtować armaty na budowlę, puścić na nie bomby ogniste... Jeszcze i to spalić musimy.

Przeor, który stał za nim, nic już nie rzekł, ale widać było, że bolał.

– Wola Boża! – odezwał się po chwili. – Wola Boża!

Dano chwilę Szwedom, żeby się bezpieczniejszej roztasowali po budynkach, których dachy słomiane były łatwą pastwą płomieniom. Po jakimś czasie, gdy sądzić było można, że już się w szopach rozgościli, część dział z twierdzy puściła kule ogniste.

Jakby cudem wzniecony pożar rozgorzał natychmiast. Płomień z dymem wypędził żołnierza, i ujrano go uciekającego żywiej, niż przyszedł. Broń, złożona w szopach, której uciekając pochwycić nie mogli, po chwili rozżarzona, strzelać poczęła do swoich. Żołdacy rozpierzchnięci na wszystkie strony i kupami podbiegając bliżej murów, padali od kul Jasnej Góry. Widać było przestrach, zamieszanie i złość Millera; trąby żywo zaczęły zwoływać ludzi; mundury szwedzkie uścielały górę... biegali, mijali się, uciekali ku dołowi.

– Dzięki Bogu – rzekł pan Zamojski. – Udało się, jakeśmy chcieli. Szwedzi wyparowani z budynków, strata w ich szeregach znaczna. Dobrze i to na początek; nie chwaląc się, rozporządziłem, jak należało.

Obrócił się do przeora z uśmiechem zadowolenia, ale na twarzy kapłana wyczytał smutek.

– Cóż to, wasza przewielebność, witacie pomyślność twarzą tak posepną?

– Czyż pomyślność taka może radować kapłana? – odparł Kordecki. – Konieczność tylko czyni z nas żołnierzy, a widok tych umarłych w grzechu... w złości, jak nie ma boleć i smuć?

– Na to wojna – rzekł Zamojski – lecz jeśli myślicie tak oplakiwać każdą nieprzyjaciela stratę...

W tej chwili uwaga ich odwrócona została sceną szczególniejszą. Z fosy pod murami klasztoru wysunęła się postać niewieścia w płachtach białych, jakby mara z grobu wstająca. Ze śmiechem poczęła witać Szwedów i kłaniała im się od ust, wskazując na bramę klasztoru, na kościół i mury.

– A, to nasza żebraczka – rzekł przeor. – Dziwna rzecz, jak jej to wszystko nie zastrasza, nie schroniła się nawet do klasztoru. Kostucha wyszła ze swojej kryjówki śmiało i w oczach wszystkich poczęła, powolnym krokiem obchodząc mury od strony północnej, coraz się schylać ku ziemi, jakby co zbierała. Ogień Szwedów, acz nie zawsze dosiegający murów, z tego właśnie boku był najżywszy. Kule padały tu i ówdzie, na wpół w ziemię wryte, niektóre bezsilnie zostały na wierzchu, inne, od murów odskoczywszy, toczyły się z przeciwnego brzegu ku fosom. Wśród nich Konstancja spokojnym krokiem szła, śpiewając i zwiesiwszy płachtę u pasa jak kobiety, co na grzyby wychodzą, poczęła podnosić, zbierać je i w fartuch składać.

Zamojski stał osłupiały.

– Wielka dla nas nauka – rzekł ze zdumieniem – jak się tu nam chlubić z męstwa! Ona go ma więcej od nas i więcej wiary niżeli my wszyscy; patrzcie, jak śmiało idzie i zbiera, aż Szwedzi posłupieli.

Kordecki łzy miał w oczach, serce mu biło.

– Tak nieulekli, tak ufni, tak weseli powinniśmy być wszyscy – rzekł powoli.

XVI

Miller, niedługo w szopie na częstochowskich zgliszczach posiedziawszy, musiał się z niej wybierać i rozkazał nieco opodać na rumowiskach namiot swój rozbić. Na twarzy jego malował się gniew i upokorzenie tym gwałtowniejsze, że sobie poczynił jak z mnichami, a znalazł w nich ostrożność, przebiegłość i znajomość najlepszych żołnierzy. Z każdego opuszczenia się jego i błędu korzystano natychmiast, a poczynione ofiary oznajmowały, że klasztor myśli się bronić do upadłego. Chodził i mruczał. Wejhard, który go tu sprowadził, nie pokazywał się teraz; wściekając się, wysyłał po niego posłańców, aż nareszcie hrabia, nie mając powodu i wymówki, przybyć musiał.

Miller spotkał go zaraz wyrzutami.

– Widzicie – rzekł ze złością – tu co innego wcale się święci; to się zabiera na zapalczywą obronę, tracimy czas i ludzi.

– Prawdziwie, nie pojmuję – rzekł Wejhard łagodnie. – Oni się bronić nie mogą, targują się tylko o poddanie, o warunki...

– A, śliczny mi targ – zawołał Miller. – W zadatku, patrz, co trupa!

– Przypadek! Przypadek! – rzekł Wrzeszczewicz.

– Co? I spalenie folwarku, i tych szop? I ci pobici? To wszystko ma być przypadek?

– Ale powtarzam jenerałowi, mnisi bronić się tak długo nie mogą – zawołał Wejhard. – Z czym? Ze stu kilkudziesięciu ludźmi przeciwko dziewięciu tysiącom? Ani biegłych dowódców nie mają. Wysilili się dzisiaj, trochę im też szczęście, trochę, nieostrożność nasza posłużyła, i po wszystkim.

Miller odwrócił się z gniewem.

– Ale to tak trwać nie może! – odezwał się wysapawszy. – Potrzeba kończyć.

– Skończymy, jenerale; niech Kaliński jedzie do klasztoru i pocznie się z nimi targować.

Miller wskazał tylko ręką Kalińskiemu klasztor.

– Ruszaj, pułkowniku – rzekł – a żwawo, i przynoś mi punkta od mnichów; nie, to klasztor w perzynę obróć!

Pan starosta bractawski, któremu wcale nie smakowały kule, świstające dokoła klasztoru, i szwedzkie, i częstochowskie, kwaśną dosyć zrobił

mine, ale grać rolę statysty i mieć sobie powierzone traktowanie pochlebiało mu z drugiej strony; zresztą Miller wymówek nie cierpiał, potrzeba było słuchać.

Kaliński siadł na konia, przodem na jakie dwieście kroków jednego i drugiego żołnierza wyprawivszy z białą chorągwią, i okrążywszy poza kapliczką św. Jakuba, ostrożnie zbliżył się ku bramie. Kule świstały tymczasem, a w drodze, wskutek ich nieregularnego biegu, tysiąc uwag moralnych czynił sobie pan starosta, czując dreszcz przechodzący po skórze. Kaliński był człowiekiem bez siły i charakteru, bojaźliwym a dumnym, pragnącym wyniesienia i płaszczącym się dla niego, wymownym kłamcą i wzorowym pochlebcą; właśnie podobnego mu do traktowania, potrzebowali Szwedzi.

Na wezwanie trębacza otwarła się furtka i starosta, z oczyma zawiązanymi, wprowadzony został sam jeden wewnątrz twierdzy.

W milczeniu prowadzono go korytarzami i gdy chustka opadła mu z czoła, znalazł się w definitorium, naprzeciw krzyża i obrazu Matki Boskiej. Przeor siedział w krześle, kilku zakonników w ławkach, kilku szlachty stało z boku. Kaliński miał zupełnie pozór obwinionego, którego stawia przed trybunałem. Spłoszony przez chwilę i niespokojny jeszcze po przejażdżce, opamiętał się rychło i odezwał słodkim powitaniem.

Uklon zbyt grzeczny, by serdeczność zwiastował, odpowiedział mu na nie.

– Przychodzę tu już raz drugi – odezwał się starosta. – Ojcowie kochani, przychodzę z radą, serdecznym napomnieniem. Nie myślcie, by nas, Polaków, nie kosztowało, co czynimy; ale przekonani jesteśmy, że się poświęcamy dla waszego dobra. Nasza tu przytomność, tyle nas samych bolejąca, jest jakby ochroną od okropności, jakie by was od Szwedów spotkać mogły, gdybyśmy między nimi a wami nie pośredniczyli, nie stali...

– Ale o cóż tu idzie, panie starosto? – spytał, zimnym zagadnieniem przerywając czułą mowę, Kordecki.

– O cóż ma iść, jeśli nie o prędkie poddanie? – kończył Kaliński łagodnie i z pozorem głębokiego uczucia. – Zaklinam was, nie narażajcie się! Jestli to podobna w kilkuset ludzi, przypuszczam nawet w tysiąc żołnierza, oprzeć się takiej sile?... Zmiłujcie się sami nad sobą, chciejcie zimniejszym okiem wejrzeć w to, co czynicie. Nie znacie Millera, nie macie pojęcia potęgi Karola Gustawa:... nie wierzycie może, że cała mu już Polska przysięgła.

– O! Niecała, panie starosto – oburzył się ksiądz Kordecki – i da Bóg, odprysięgną się go tak rychło, jak mu przysięgli pośpiesznie, nowi jego poddani.

Starosta zarumienił się, ale jakby tego nie brał wcale do siebie, mówił dalej:

– Nie znacie Millera; jest to wódz najbieglejszy, pełen przebiegłości, umiejętności, doświadczenia, energii, dowcipu... Łagodnie z nim postępując, dobry i łaskawy, przyjaciel Polaków największy.

Pan Zamojski mimowolnie się roześmiał.

– Ta przyjaźń – rzekł nawiasem – jawna i dowodów nie potrzebuje, pełne są jeneralskie wozy polskich pamiątek; tak nas kocha, że zewsząd coś zabiera.

– To są potwarze! To są potwarze! – odparł starosta. – To żołnierz winien, nie wódz.

– Za żołnierza zawsze wódz odpowiada – dorzucił miecznik.

– Wojna! Czasy takie! – kończył nie zważając Kaliński. – Powtarzam, Miller jest wódz wielki. Jego myślą ubezpieczenie Polski od najazdów, bo taka wola dobrotliwego monarchy naszego Karola Gustawa. Potrzebuje się tu umocnić na granicach Śląska i musi zająć Częstochowę, jedynie dla dobra całego kraju naszego. Poddanie się wasze jest nieuchronnym, ale może być dwojakie: dobrowolne, a zatem łaskawe ze strony jego, lub zmuszone, więc gniewne i mściwe. Jeśli go rozdrażnimy...

– Nie mieszajmy spraw, panie starosto – przerwał poważnie Kordecki. – Raccie mówić o nas z osobna...

Jakby nie słysząc, Kaliński ciągnął dalej:

– Jeśli go rozdrażnicie, stanie się srogim i nieubłagany. Ogniem i mieczem mścić się będzie. Przebaczać zwyciężonym, a nękać zuchwałych – to prawo wojenne. Wierzcie mi, ojcowie, chwili nie ma do stracenia.

Wysłuchał tej mowy Kordecki dosyć cierpliwie, a gdy Kaliński skończył, odezwał się łagodnie:

– Jakim to prawem napadnięta została Częstochowa, powiedzcie mi, miłościwy panie, skąd na to przyszły rozkazy?

– Jak to? – zawołał Kaliński zdumiony. – Jakim prawem, pytacie?...

– Bo my tej napaści nie pojmujemy i rozumieć jej powodu nie możemy. Król jegomość szwedzki – dodał z przyciskiem – nie tylko że tego nie

rozkazał, ale wolą jego było, żebyśmy zostali spokojni i bezpieczni; weźmijcie i czytajcie.

To mówiąc podał staroście papier z wielką pieczęcią Karola Gustawa.

– Co to jest? Co to? – zdumiony, chwytając w drżące ręce podane pismo, zawołał Kaliński.

Był to list Karola Gustawa, dany dnia 30 września w Kazimierzu pod Krakowem, zapewniający Częstochowie bezpieczeństwo od najazdów i napaści wojsk szwedzkich.

– Jenerał ma zapewne późniejsze rozkazy – odparł przeczytawszy poseł.

– Ale że my o nich nie wiemy – rzekł przeor – i sądzim, że późniejsze pierwszym obietnicom przeciwne być nie mogą, mamy więc Millera za rabusia i napastnika.

Starosta się ofuknął zaperzony.

– To więc cała wasza odpowiedź? – rzekł po chwili.

– Cała i bardzo prosta – odpowiedział przełożony.

– Poślijcież sobie z nią zakonników swoich – zawołał starosta – bo ja jej nie poniosę.

– Ojcowie! Którzy się z was ofiarują? – spytał Kordecki.

Wszyscy prawie przytomni okazali gotowość, a z nich dwaj, Tomicki i Mielecki, wskazani zostali przez przeora i natychmiast, odebrawszy polecenia, wyszli do obozu. Kaliński, usiłując jeszcze kilkakroć i różnymi sposoby niepokonanych zakonników zastraszyć, odszedł na koniec kwaśny i gniewny.

– Wkrótce tu inaczej przyjdziemy – zamruczał dumnie, zatraskując drzwi sali.

Gdy białe suknie paulinów ukazały się od twierdzy, Miller, który swoich szykował właśnie, spojrzął na wskazanych mu przez Wejharda mnichów z triumfem i dumą.

– A przecież – rzekł – idą, opamiętali się nareszcie!

Wejhard tylko się uśmiechnął.

– Byłem tego pewny, jenerale; opierać się myśli nawet nie mają; to proste i jasne niepodobieństwo.

Wysłano zaraz kilku żołnierzy i wkrótce ojciec Marceli Tomicki stanął przed Szwedem, który, siedząc na pniaku pokrytym kobiercem z herbami polskimi, zabierał się uroczyste dać posłuchanie.

– No, cóż powiecie? – spytał, spoglądając na nich wzrokiem pańskim i ośmielić pragnącym.

– Przyszliśmy – odparł ksiądz Tomicki – wyrazić waszej ekscelencji podziwienie nasze: nie możemy pojąć, co znaczą pierwszy i drugi teraz napad tak gwałtowny na klasztor nasz, wbrew wyraźnej woli króla jegomości szwedzkiego, którego listy zapewniają nam spokój i bezpieczeństwo. Nie możemy w was uznać wodza szwedzkiego, gdy idziecie przeciwko rozkazom wyższym, a tym mniej traktować z wami nie możemy, zastanawiając się...

Jeszcze tych słów nie dokończył ksiądz Tomicki, gdy Miller, jak piorunem rażony, z siedzenia się pochwycił.

– Co to jest!? – krzyknął. – Wy śmiecie mi to powiedzieć, że nie chcecie traktować ze mną! Że mnie nie uznajecie wodzem! Wiecie, że władza moja jest nie ograniczona niczym, że z buntownikami mogę się wszędzie rozprawiać i kazać ich, jak mi się podoba, i że gdybym was obu na suchej wierzbie powiesić kazał, włos by mi za to nie spadł z głowy?

– Panie jenerale – rzekł Tomicki – nie buntujemy się wcale, nie przez zuchwalstwo to mówimy, jątrzyć was wcale ani byśmy chcieli, ani pora; ale rzecz jest wielkiej wagi, potrzebuje namysłu, wymaga ostrożności. Mamy listy bezpieczeństwa, które składamy, mamy wyraźną wolę monarchy.

– A już to jego woli nie jestem dla was wiarogodnym tłumaczem? – zawołał Miller w gniewie.

Zakonnicy umilkli, generał odwrócił się ze złością od nich i rzekł.

– Idźcie sobie! Idźcie! Ale zapowiadam wam, że tu kamień na kamieniu nie zostanie, ani się wasze bałwochwalskie świętości obronią moim działom. Precz!

Tak odprawwszy mnichów, wpadł na Wejharda.

– Słyszałeś, hrabio? – zakrzyczał z gniewnym śmiechem. – Słyszałeś to zuchwalstwo wygolonych pałek? Ja się mam przed nimi tłumaczyć? Ja usprawiedliwiać z tego, co czynię! To nie są mnisi, to nie bojaźliwi starce, jakimiście mi ich wyobrażali, nie zdzięczniali ludzie, ale przebiegli i chytry zwodziciele i oszusty! ...

Ogień tymczasem w ciągu tych parlamentacji z obu stron nie ustawał, ale dziwnym skutkiem położenia wojsk i klasztoru, śpiesznego urządzenia się Szwedów, kule ich dnia tego rzadko dosięgały twierdzy jasnogórskiej, żadnej w niej nie czyniąc szkody, a oblężeni puszkarczami swymi, jakkolwiek mniej doskonałymi, spaliwszy w nocy folwark, z rana ostatki Częstochówki, teraz kładli trupa co chwila. Nie można tego jednak było wcale przypisywać Wachlerowi, który niechętnie koło dział chodził,

mruczał, poglądając na potęgę szwedzką, źle wróżąc klasztorowi, z musu tylko spełniając rozkazy.

Już się zbliżał wieczór, gdy jenerał, wydyszawszy się, wyłajawszy wkoło, kto mu się na oczy nawinał, kazał szukać w skrzyni papierów ordynansu królewskiego, polecającego mu zająć Częstochowę, Bolesławiec, Wieluń i Krzepice razem. List to był dawnej daty, bo Szwedzi nie od dziś w Krzepicach i Wieluniu siedzieli, a zatem poprzedzał później wydany do paulinów w Kazimierzu, ale nie został odwołany. Zawsze do posyłek używając Polaków, Miller i tą razą niejakiego Kuklinowskiego z regimentu konnego pchnął z nim do klasztoru, choć się ten nieco od honoru poselstwa wymawiał i składał różnymi racjami, byle nie iść do Częstochowy; kazano jednak, musiał.

XVII

Była już noc prawie, gdy list ten doszedł do rąk Kordeckiego. Znajdował się on w swojej celi z kilku zakonnikami, miecznikiem, panem Czarnieckim i Małachowskim. Działa z obu stron o zmierzchu ustawać poczęły, a rozkaz przeora, dany na murach, aby poprzestać ognia, skoro Szwedzi niepokoić twierdzą ustaną, ściśle i ochotnie spełniony został.

Profes Rudnicki przyniósł pismo i wprowadził Kuklinowskiego, którego nie odprawiono, zasłaniając się spóźnioną porą i odkładając na jutro.

– Ha! Zobaczymy też, co nam generał pisze! – rzekł, rozpieczętowując, Koredecki.

– Ciekawym – dodał pan Zamojski – ale choćby się lizał, nie bardzo mu dowierzam. Cóż to ja widzę! – zawołał, rzuciwszy okiem na papier – wszak ci to wyraźny rozkaz króla jegomości zajęcia Częstochowy. A co, księżę przeorze, nie mówiłem, żeście się źle wzięli i że z tej beczki nie należało poczynać? Otóż zbili nas z tropu! Pokonali nas, jakem pocziw, patrzcie! Stoi czarno na białym: zając Częstochowę! A co teraz poczniemy?

Wszyscy zdawali się mocno zafrasowani, tylko przeor się uśmiechnął.

– Bynajmniej to nie przekonywa – rzekł spokojnie.

– Wy się śmiejecie, ojcze, a to źle, bo nie zaprzeczycie, że nas spędził ze stanowiska.

– Nie, kochany mieczniku.

– Jak to? Mówicie, nie ma rozkazu królewskiego, a on wam okazuje rozkaz jego, i w dodatku przysłał własnoręczny; chyba zażądacie, żeby był w aktach grodzkich poświadczony.

– Już ciż to prawda! – dorzucił pan Piotr. – Wcale to nie moja rzecz; bić się to, ale w te korowody z nimi wchodzić – nic potem. Każcie na każdy list ognia dać. Posłańców nie puszczać, bo to wszystko szpiegi; rokowaniom wszelkim dać pokój i siec... taka moja rada.

– Dłaczegóż, panie Piotrze, nie mamy używać wszelkiej broni godziwej, jaka się trafia? – zapytał Kordecki. – I owszem, słowami z nimi walcząc, mniej się może krwi przeleje.

– Ba! Ale nas tymi chytrściami pokonają... pismo to niebezpieczna rzecz...

– Nie, panie mieczniku; nie, panie Piotrze; przy pomocy Bożej i tego się nie ulękniemy.

– Ależ na przykład tu argument niepokonany, jak go zgryźć?

– Bardzo łatwo.

– Przynajmniej ja, w pokorze ducha, niemożność uznaję – rzekł kłaniając się Zamojski.

– A taka rzecz prosta i jasna – mówił z uśmiechem przeor, wskazując na kartę. – Częstochowa to miasto Częstochowa, zrozumcie mnie; klasztor, czyż nie wiecie, że się zowie zawsze i wszędzie Jasną Górą, po całym świecie słynąc pod tym nazwaniem? Niechże sobie Miller zajmuje Częstochowę, a Jasnej Góry mu nie damy.

Ze wszystkich ust razem wyrwał się wykrzyk radosny i wesoły. – Doskonale i wybornie, księżo przeorze dobrodzieju! Ślijmyż mu zaraz zwycięską odpowiedź.

– Czekajcie, nie mamy czego śpieszyć – odparł zakonnik. – Dziś już noc, dobrze nam i kilka godzin mieć w zysku; jutro, i to nierychło, pošlemy do niego z listem... Musimy godzinę każdą cenić, bo ta chwila życiem ludzkim się płaci; zwlekać, marudzić, targować się, na tym rzecz...

Z uszanowaniem, w milczeniu znowu spojrzeli na przeora przytomni i słowem mu się nikt nie sprzeciwił: trafił do przekonania wszystkich.

– A teraz – dodał Kordecki do szlachty – pójdźmy mury obejrzeć i żołnierza pokrzepić.

To mówiąc, narzucił płaszcz i poprzędzając gości, ruszył ze swej celi ku korytarzom w podwórce, od strony północnej zaczynając przegląd hetmański, z wodza powagą, natchnieniem, ze spokojem kapłana, z męstwem żołnierza. Działa już wszystkie milczały. Rozpalone ich paszcze dymiły jeszcze wśród chłodu nocy, okrywając się parą, jakby ze znużenia, przy nich leżał lud, puszkarze pod namiotkami, jedni modląc się na różańcach, drudzy pożywając posiłek wieczorny, inni gwarząc o wypadkach dnia tego. Żadna śmierć nie zasmuciła początku walki w twierdzy; a choć Miller siłił się wyłom zrobić w słabszych murach od północy, to jeszcze i jednej nie skruszył dotąd cegiełki. W jednym miejscu weselszy śmiech i gwar ludzi zastanowił przeora. Jakaś postać w ciemności, na mur się prawie wdrapawszy, rzuciła coś żołnierzom. Przelekły Zamojski; widząc kogoś z zewnątrz się wydobywającego, poskoczył z wołaniem:

– Kto to? Co to jest?

Głowa w płachty owinięta odpowiedziała mu zza muru:

– Sługa Matki Boskiej! Nic to, mieczniku dobrodzieju, nie! To ja, stara sługa Najświętszej Panny Częstochowskiej, przyniosłam żołnierzom trochę szwedzkich gruszek. Sama już nie ukąszę ich, bo zębów nie mam; oni niech się pożywią.

– Jakież to gruszki szwedzkie? – podchwycił Zamojski.

Żołnierze się śmiali i zbierali po blankowaniu rozsypane kule różnego kalibru, które stara żebraczka im rzucała, zbierawszy ich od rana dobry zapas. Przeor nadszedł i twarz mu się rozpogodziła.

– To nasza ranna, którąśmy to widzieli pod murami, pomocnica. Widzicie, w amunicję nas opatruje. Weźcie, weźcie, od przybytku głowa nie boli, i to dar Boży; kto wie, jak długo się pociągnie oblężenie, zapas nie szkodzi.

– Ale jakże się na mur wdrapała? – spytał miecznik.

– Bóg to wie – odpowiedział Kordecki. – Żle tylko, że może nieprzyjacielowi wskazać drogę.

– Nie bójcie się, nie bójcie; Szwed tu nie wlezie rzekła Kostucha – to moja chata, a ja swojego kąta obronię... Po murze, jak po schodach, a tu i bramka jeszcze, i gzymsy... Nic osobliwego nie dokazałam. Brat Paweł puścić nie chciał, musiałam wtedy oddać, co się zebrało... Dobranoc panom, bo i mnie czas odpocząć, życzę spokojnej nocy! Szwedzi śpią – sza! Nie budźmy licha, kiedy śpi... luli, luli!

Głos schodził; słabnął i ustał...

XVIII

Nazajutrz była niedziela i święto Ofiarowania Najświętszej Panny. Obłężenie nie mogło przerwać nabożeństwa uroczystego, które przeor rozporządził wcześniej ze zwykłą wystawnością, bo to był dzień Patronki, dzień Jej pamiątką uczniony, który wśród niebezpieczeństwa obchodzić chciano gorliwiej jeszcze niż zwyczajnie. Kordecki sam śpiewał sumę przed ołtarzem Maryi z tym świętym przejęciem, z tym zapalem ognistym, co jak iskra rozpala, kogo dotknie; i gdy dnia tego przypadające we mszy słowa odśpiewał: *Dusza moja pożąda i omdlewa, pragnąc wniknąć do domu Bożego, serce moje i ciało drżą z radości do Boga żywego* – znać było, że wyrazy te płynęły mu z duszy, że ich zimno nie powtórzyły usta, ale się wyrwały z uczuciem, z uniesieniem i zapalem...

I mury kościoła drżały od śpiewu, od muzyki, od dzwonów bicia, a Szwed, jakby zawstydzony – milczał.

Ksiądz Jan Stradomski miał dnia tego rzewne kazanie, które poruszyło serca wszystkich i wlało męstwo w złęczonych, potrzebujących nieustannej podniety, aby ich duch nie opuścił. Twarz Kordeckiego jasna, ufna, blaskiem wiary świecąca, była drugą mową całą, była najlepszym bodźcem do odwagi... Na jego ramionach leżały losy tylu ludzi, świętości tak drogich, a on stał spokojny. Z wołaniem do Boga: „Święty” znowu wyszli wszyscy obejść mury z Przenajświętszym Sakramentem. Wyszły się chorągwie, powiały z wiatrami wizerunki świętych, srebrny krzyż dźwignął się nad strzelnicę, wysypał się za nimi lud gromadnie. Szwedzi patrzeli w zdumieniu, osłupieniu, jak na coś niepokojącego dla nich, na ten spokój modlitwy po wieczorajszym dział grzmocie. Śpiewy przejmowały ich jakimś niepojętym strachem. Gorzej było w obozie polskim: tu zgryzota sumienia, tu żal ciężki panował: wszyscy z odkrytymi głowami witali procesję daleką, czując przytomność Bożą na tych uświęconych murach. Ich dłonie, skalane podniesieniem oręża na świętości własne, ciężły bezwładnie, nie mogąc złożyć się do modlitwy, spadały ku ziemi; czoła pokutniczo kłoniły się, przyklękały kolana, dreszcz przejmował, a ze śpiewem, co ich dochodził, zdawały się słyszeć przekleństwo, odrzucenie, wyrok skazujący ich na wyłączenie z bratniego grona, które krzyż łączył.

Milczenie głuche, przeciągłe, grobowe, westchnieniami tylko przerywane panowało nad tą częścią obozu; szwedzkie bluźnierstwa, śmiechy bezbożnych, co urągali uroczystości, nie mogąc jej dzielić wobec tej arki, którą niesiono na postrach Filistynów, miotane obelgi i przekleństwa najboleśniej Polakom czuć się dawały. Widzieli dziś, komu rękę podali, kogo posiłkowali i przeciw komu; poznawali, że samobójcy targnęli się na siebie samych, na to, co mieli najdroższego w świecie – na wiarę!

Kto by wówczas spojrział na Polaków w obozie szwedzkim stojących, na pobladłe ich twarze, na zmartwiałe usta, chmurne czoła, nie wróżyłby Gustawowi długiego związku z nimi. Wobec religijnego obrządku odskoczyły od siebie te dwie związane, ale nie zrosłe części nieforemnej całości i groźnie patrzyły jak wrogi. Wejhard nawet, nie-Polak, katolik tylko, udając wesele, czuł się niespokojnym; dźwięk dzwonów i śpiew zdawały mu się czynić wyrzuty.

Miller także patrzył, niecierpliwił się trochę, ale mu to było obojętne. Żartować by był chciał, a żart mu nie szedł, bo za czary jakieś uważał ten obchód; a czarów się obawiał. Odwracał głowę, krył oczy, rzucał się niespokojny, rad, żeby to rychlej ustało.

– No! Długoż ci mnisi, pod pozorem nabożeństwa, zwodzić i nudzić mnie będą? – zawołał w ostatku znecierpliwiony. – Każę dać ognia do ich chorągwi i bałwochwalczych obrazów!... Czemu mi nie przysyłają odpowiedzi? A! Tyś katolik – odwrócił się do Wejharda z przekąsem – powiedźże, długo to jeszcze potrwa?

– Skończy się około południa – odpowiedział hrabia poważnie.

Ale i południe nadeszło, a z klasztoru śpiewy, dzwonów dźwięki dochodziły, procesja krążyła jeszcze, powiewały chorągwie.

Gdy tak pobożnie za Świętym Ciałem umęczonego Boga idą wszyscy dokoła murów, ledwie chorzy i niedołęgi pozostali po izbach – stary Lassota wywłókł się także z wnuczką swoją, a Krzysztoporski w tłumie szlachty siwą, ołysiałą głową, ponurą i groźną górował. Wzrok jego, zasępiony brwią nawisłą, a zimny i chmurny, ciężko obracał się dokoła; szedł, ale się nie modlił, jakby mu kamień usta nacisnął. Postać to była poważna, lecz straszna: starzec z wyrazem siły i niepokonanej woli na czole, ustami dumnymi, silnymi barki i ruchami gwałtownymi jak dusza. Znać było w rysach, znać w zmarszczkach głębokich, że silne namiętności życie jego przepaliły, że cierpiał, używał i bolał, a walczył, nie poddając się do końca. Ciężka szablica wlokła się za nim, brzękając po bruku, jakby się na niego skarżyła; jedną ręką trzymał się w bok, w

drugiej niósł pogniecioną czapkę z kitą. Oblicze to, podniesione nad tłum wzrostem Krzysztoporskiego, przerażało zamartwym na nim wyrazem uporu i samowoli. Znać myślą był gdzie indziej, bo wzrok błdził nieuważny, szklany, to tu, to ówdzie zwracając się, z jedną ciągle, dziką obojętnością, z duszy na wierzch wypędzoną.

Opodał nieco szedł Lassota, złamany wiekiem, wsparty na wnuczce, tylko na twarz dziwny występował mu rumieniec, bo czuł, choć nie widział jeszcze nieprzyjaciela swojego w tłumie. I chciał się modlić, a zrywała mu się w ustach poczęta modlitwa; drgał, ile razy go kto dotknął, na każdy szelest głowę odwracał, słowa marły na wargach, oko z księgi zbiegało na lud, z ludu na księgę. Hanna podtrzymywała go i śpiewała pieśń szybko, żywo, jakby nią chciała myśl jakąś w sobie przygłuszyć, czegoś zapomnieć, do czegoś się ośmielić.

Podniesiona głowa Krzysztoporskiego, wciąż z obojętnym wejrzeniem, stała nad tłumem i długo, długo wzrok jego szklany nie objawiał nic krom jednostajnego cierpienia. Nagle oczy jego zaiskrzyły się, zabłyśły, jak ogniem piorunowym, głowa rzuciła się na ramiona, wargi zatrzęśły się konwulsyjnie i włos pozostały na czaszce zdawał najeżać; ręka ścisnęła szablę, posunął się żywo – i stanął. Ale lud popychał go z sobą i unosił dalej. Szedł, ale już inaczej, krokiem urywanym, namiętnym, jakby go co pędziło i wstrzymywało. Oczy, utkwione w jedno miejsce, zniść z niego nie mogły: zobaczył Lassotę, a przy nim dziecię, pociechę! On nie miał nikogo; jego życie płynęło jak krwią zakrwawiony strumień wśród błot zapadłych. Tamtemu Bóg promieniem jasnym ustroił czoło zmarszczone; jemu wszystko odebrał i zostawił go samego, znękanego, zbolalego. Chęć zemsty przeleciała przez głowę, złość i gniew obudziły się w sercu, ale oko padło mimowolnie na Ciało Chrystusa... na świętość. I czy raz pierwszy w duszy jego obudziło się coś niepojętego, ręka opuściła szablę, wzrok upadł na ziemię, piersi ulżyło westchnienie. Zastanowił się i tłum go popychał, a wzrok jego znowu padł na żywego Boga; Krzysztoporski uczuł się świętokradcą, idąc z uczuciem zemsty za Tym, który wszystko zabójcom swoim przebaczył. Ale to była chwila tylko, chwila jak promyk słońca w zimie, przelotna i krótka, i Krzysztoporski znowu zapłonął gniewem, znów chwycił oręż, znów oko krwawe, posępne, straszne żądzą zemsty zwrócił na starca, jakby go nim chciał pożyć.

I rzekłbyś, że tę potęgę wzroku uczuł schorzały starzec: zadrżał także, zaniepokoił się, zatrzymał, siły go opuszczały; odwrócił oczy i wrogie

wejrzenia spotkały się z sobą. Zwarli się jak mieczami, jakby barki z barkami się ścięły. Nic odmalować nie potrafi tej chwili krótkiej, w której ich oczy same stoczyły walkę śmiertelną: wlepili je w siebie, jakby się wyzywali, a żaden ustąpić nie chciał, i stali oba, i patrzeli, a jedli się wzajemnie. Całe życie, cała siła ich zbiegła do zakrwawionych oczów; uczyli, jakby życie przez nie uciekało, i po walce złamani zostali i bezsilni. Krzysztoporski stał jak wryty, wnuczka ciągnęła starca; on pierwszy wrócił do modlitwy ustami, choć jej jeszcze zakrwawione serce nie rozumiało długo, pierwszy on przebaczył w imię Boże.

Nikt nie spostrzegł tego dramatu jednej chwili, nikt, a raczej jedno tylko obce oczy. Stara żebraczka, którą wpuszczono do twierdzy na nabożeństwo z resztą kul, co ich wczoraj przez mur przerzucić nie zdążyła, szła także za procesją, ale ze zmienioną twarzą. Wzrok jej osmutniały i niespokojny wyszukał w tłumie tych dwóch ludzi i wracał ku nim nieustannie. Śmiech, co jej usta wyginał zwykle, zbiegł z warg zmarszczonych, które posępny wyraz przybrały. Szła i patrzała, a oczy jej rade by się rozedrzeć na dwoje; to padały na starca, to na Krzysztoporskiego, z litością i strachem na przemian; to na Hannę, na którą z niewysłownym miłości spoglądała wyrazem. Długo tak szła aż pod drzwi kościelne, i gdy się dwaj nieprzyjaciele zwarli oczyma, zadrżała, odwróciła się, poznała, co się w ich duszy działo, stanęła jak przykuta w miejscu i już nie powróciła do kaplicy. Wsparła się o mur i pozostała przy nim, coś szepcąc, czegoś się miotając dziwnie; lecz, że ją z dawna miano za szaloną, nikt na to nie zważał.

Wszyscy wyszli z kościoła i dopiero wówczas w puste jego mury, kadzidłem i modlitwą świeżą przesiąkłe, wstąpiła powoli żebraczka, wprost idąc przed obraz Bogarodzicy. Tu padła krzyżem na posadzkę i tak została, dopóki jej zakrystian wyjść nie rozkazał, zamykając kaplicę. Tymczasem Miller czekał i złościł się bezsilnie, aż wreszcie nierychło przyniesiono mu list przeora. Wiemy już jego odpowiedź. Wejhard, który na widok posłańca nadbiegł, spodziewując się triumfu, punktów ugody lub czegoś podobnego, czytał list generałowi. Szwed poskoczył z miejsca, usłyszawszy odpowiedź przeora, choć była pokorna i uszanowania pełna. Ale ten spokój mnichów, to ich zaufanie, mimo ogromnych sił szwedzkich, ta śmiałość wśród otaczającego niebezpieczeństwa, którego nie zdawali się widzieć i uznawać, w głowie mu się nie mieściła.

– To szaleńcy! – zawołał.

– To tylko mnichy – odrzekł Wejhard. – Gdyby tam był choć jeden żołnierz, nauczyłyby ich, co im grozi.

List Kordeckiego czytano. Przeor przybrał w nim nową dla siebie postać dyplomaty-kapłana. Wywijał się, jak mógł, z Millerowskich zagadnień: „Naszym powołaniem – pisał – jest nie wybierać królów, ale naznaczonym od Boga dotrwać w raz poświęconej wierze”.

– O! To już co innego! – rzekł Szwed. – Nie uznają znowu króla szwedzkiego, buntownicy!

„Wybrany – czytał Wejhard, zakąsając wargi – dochowujemy niezłomnie posłuszeństwa i wierności wszyscy z tym miejscem świętym, które dotychczas zawsze, jako w protekcji, tak w weneracji¹ wielkiej królów zostawało, nie ręką orężną, gdyż to nie nasza jest potencja królom przeciw się, ale naszą zakonnością napomnieni do tego. Widzieliśmy rozkaz kró¹⁰la J.M. szwedzkiego, ale ponieważ załogę dostateczną mamy, którą wszelkie najazdy swawolnych...”

– Najazdy swawolnych! – zakrzyknął Miller zajadle, biorąc to do siebie i czytającemu każąc powtarzać Wejhardowi. – Ha! Mnie to tak częstują i waści, panie hrabio. Czytajmy dalej...

Gdy Wejhard doszedł do miejsca, w którym przeor różnicę Częstochowy od Jasnej Góry położył, Miller począł się znów srożyć, rzucać, łąać i nie dał już dokończyć czytania listu.

– Słyszysz? – rzekł do posłańca. – Chytrym mnichom za całą odpowiedź ponieś słowa moje: Zniszczenie ich czeka! W gruz i popioły ten ich kurnik obróć!

To mówiąc, odegnał go i natychmiast siadł na koń, gotując się całą siłą wyrzucić na klasztor.

¹ To jest: we czci.

XIX

Dzień to był straszny dla obleżonych, ale Kordecki zaraz po nabożeństwie sam stanął na murach i w natchnieniu, rozplomieniony wiarą, kierował obroną, którą potrafił uczynić dalszym ciągiem modlitwy. Zamojski, co się spodziewał dowodzić i był pewien, że jego znajomość sztuki rycerskiej wielką tu będzie pomocą, Czarniecki i inna szlachta uznali hetmana w przeorze. Nikt ust nie śmiał otworzyć. Inny to był już człowiek i potęga jego słowa, jego skinienia tak była wielka, że jej nikt, nawet miłość własna wojaków starych sprzeciwić się nie mogła. Pogodna była twarz jego, wzrost zdawał się olbrzymić, głos dwoić, myśl obejmowała wszystko i przewidywała jak widzeniem przyszłości to, co się stać miało.

Jeszcze się Szwedzi nie byli zgarnęli do usypanych naprędce pięciu swych baterii, z których żywy ogień postanowił Miller zwrócić na klasztor w nadziei, że go zapali, a już po dachach wszystkich, po drewnianych budowlach ludzie, woda, haki, mokre opony i stróżowie byli gotowi. Kordecki sam to wszystko przysposobił zawczasu. Miecznik, spoglądając z podziwieniem i czcią, stanął pod rozkazy przeora.

Jemu dostało się strzec baszty i części kortyny północnej, Czarnieckiemu dowództwo nad ludźmi ustawionymi na północo-wschodzie; Moszyński wziął wydział od wschodu, Skórzewski i Krzysztoporski od południa i południo-wschodu. Lud czerniał na murach dokoła. Do dział gotowych niewiasty, dzieci, księża sami nosili kule, zataczali kamienie i drzewo. W dziedzińcach szybko wdziewano zbroje, opatrywano rusznice i szcęk oręża zewsząd słyszeć się dawał.

Tymczasem z rozkazu przeora, dla dodania serca żołnierzom i jakby na urągowisko Szwedowi, na górnej wieżycy zabrzmiała muzyka klasztorna starą pieśnią wojenną: *Bogarodzica Dziewica*.

Kto żyw, z przejęciem wtórował, aż po kaplicy rozległ się ten hymn i uderzył znowu uszy i serca Polaków u Szweda będących, którzy mu wtórować nie mogli. Oni nie warci już byli śpiewać *Bogarodzicy*.

– Wszystko w pogotowiu! – wołał Kordecki – ale nie nasza rzecz poczynać; czekajmy, niech Szwedzi pierwsi się odezwą; pomnijmy, że się im tylko bronimy.

I pieśń wśród ciszy rozlewała się daleko, wspaniale, jak rzeka srebrzysta. Każdy stał w miejscu, spoglądał i czekał. W obozie Szweda widać było ruch wielki, trąby i kotły zwoływały lud i chorągwie, starszyzna przelatywała na koniach, hufce ściśnięte przechodziły na stanowiska, w bateriach świeżo usypanych celowano działa. Miller, otoczony pułkownikami, z księciem Heskim, Sadowskim i Wejhardem, stanął na wzgórku i patrzył.

Pięć baterii, w ciągu nocy przygotowanych, zagrażało Jasnej Górze: pierwsza naprzeciw samego klasztoru, na dachy jego zdawała się wymierzona; druga, czterodziałowa, dalej nieco ku Częstochowie posunięta była; trzecia, największa, z boku od dwóch pieszych z północy wymierzona, bardzo mocno z koszów plecionych zbita, którą Szwedzi przez te dni przygotowywali, wodą polewana i obmarzła, najstraszniejszy miała pozór; w niej dział ośm stało obwarowanych szańcem twardym i podniosłym; dwie ostatnie ustawiono od kościoła św. Barbary i od zachodu.

Chwila oczekiwania przerażająca była dla żołnierza w Częstochowie, szczęściem niedługo potrwała: Szwed szybko się gotował. Kordecki chodził, zachęcał, rozgrzewał i ukląkł wreszcie na stopniach bastionu, wołając:

– Módlmy się: *Zdrowaś Maryja!*...

Cicha modlitwa, która kończyła głośnie *Bogarodnicę*, poprzedziła wystrzał szwedzki. Ale razem z nim odezwała się znowu muzyka starą pieśnią kościelną, która serca podniosła.

Zadymiły baterie, huk rozległ się straszliwy, i bomby, kule, granaty, karkasy¹ z ogniem, ze śmiercią wleciały nad mury klasztorne.

– Teraz w imię Boże ognia! – zawołał przeor, wznosząc do góry krzyżem Pańskim uzbrojoną rękę. – Ognia!

Odpowiedziały razem działa jasnogórskie, a na mury posunęli zewsząd żołnierze, bo piechota szwedzka, minąwszy strzał działowy, biegła do szturm. Na dachach gorzały bomby rzucone, ale ogień gasili stróżowie, w podwórcach kule padały gradem, mijając żołnierza: jedno, złe skierowane, przenosiły klasztor i kościół, drugie ich nie dosięgały. Śpiew na chwałę Maryi brzmiał ciągle i głuszył chwilami rozlegające się po górach strzałów grzmoty. Przeor z krzyżem siedł i śpiewał, zatrzymując się przy złękniionych błogosławiąc mężnych. Gdy po pierwszej chwili

¹Karkasy – kule zapalające przeznaczone dla odległych obiektów.

przestrachu, po kilku wystrzałach szwedzkich nieszkodliwych nikt nie padł, a wszyscy, jakby cudem, ujrzeli się cali, z nowym zapalą każdy się rzucił do walki. Działa szwedzkie, na bateriach ustawione, dość szczęśliwie napastowano kulami, a z ręcznej strzelby rażono bliżej się podkradającą piechotę.

Wśród tego zgłęku wojennego nieustraszona żebraczka, która przed chwilą wyszła z posłańcem za mury, przechadzała się spokojnie, jak gdyby wśród lasu zbierała jagody lub grzyby, kule szwedzkie do fartucha gromadząc. Strzelano do niej na próżno, nic jej zastraszyć nie mogło; powolnym krokiem szła dalej, stawiała, wcale nie zważając na świszczące nad nią kule.

Zajadłość Szwedów, którzy wysilali się na pokonanie tej garści, a dopiąć nawet nie mogli, by ją nabawili strachu, dochodziła do najwyższego stopnia. W przestankach odzywająca się jeszcze muzyka dokuczała im jak naigrawanie i szyderstwo. Miller rozsyłał rozkazy, gniewny, rozgorączkowany, i dziwiąc się, że karkasy nie zapalały dachów, mieniał puszkarzy, becześcił swoich ludzi, łajał Wejharda. Wszystko na próżno. W kilku miejscach błysnął pożądany płomyk, ale zaledwie się ukazawszy, gasnął i dym tylko działowy otaczał twierdzą. Szwedzi padali od kul Jasnej Góry, z dział i śmigownic miotanych, a tak celnie mierzonych losem, choć nimi wprawne kierowały ręce, że ilekroć pokusili się Szwedzi ku górze, odparci zostali ze znaczną szkodą. Słabe mury północne wytrzymały nadspodziewanie.

Tak przeszły szybko godziny do wieczora wśród huku dział, muzyki na wieży, wśród krzątania w obozie i klasztorze. Miller wysilał się na gęste strzały, Kordecki mu odpowiadał powolniej, ale ciągle, i bronił od rzuconego ognia. Większa część ludu jasnogórskiego ze śpiewem ochoczym spełniała poruczone sobie prace. Wszyscy prawie mieli u pasa lub na szyi różańce, na piersi blaszane obrazki Najświętszej Panny, a w ustach chwałę Patronki. Szlachta stała na wyznaczonych miejscach, kierując obroną i ludem z gorliwością niezwalczoną. Bojaźliwi tylko, słabi, starcy, niewiasty i dzieci w głębi zabudowań klęczeli na modlitwie. Mnisi, którzy nie mieli wyznaczonych stanowisk dozoru, szli tymczasem, jak innych dni, na nabożeństwo o zwykłej godzinie, dzwon ich zwoływał w chwilach regułą zakonną opisanych, a chór napępiał razem głosy modlitwy i wrzawa niedalekiego boju, od którego trzęsły się okna i chwiać zdawały mury. Niekiedy padająca kula, która za sobą odłam ściany niosła, trzask łamiącej się krokwi na dachu, wołanie stróżów,

chlust wody przerywały silniej jednostajny śpiew mnichów. Kordecki był razem wszędzie: i na modlitwie z braćmi, i na murach z żołnierzem; rzekłbyś, że się podwajał. Głos jego brzmiał donośnie na wszystkie strony, a pogodne oblicze ukazywało się niespodzianie, przewodnicząc do śpiewu i boju. Chwilami tylko wpadał w głębokie zamyślenie, prorocze, posępne, jak gdyby postrzegał przed sobą wszystkie przyszłości klęski i ofiary, jakby go duch przenosił w cięższe jeszcze czasy, którym i wodzów, i proroków zabraknąć miało. Niekiedy łza zabłysła mu na oku, ale prędko spaliła ją na licu odwaga, i mnich-wódz z przytomnością żołnierza, co wzrósł w bojach, znowu wydawał rozkazy, znowu zachęcał i kierował.

Noc nadchodząca uśmierzyła napaść i dozwoliła zwolnić obronę. Szwedzi, ufni w siły swoje i przewagę, chcieli swobodnie odpocząć, a zakonnicy radzi byli, że się opamiętają po całodniowym gwarze. Obóz jeszcze szumiał, jak oddalająca się chmura. Między wodzami, których zwołano na radę, znać było waśń jakąś i rozsianie niechęci. Miller w duchu obwiniął o wszystko Wejharda, który go namówił rzucić się na ten – jak go nazywał – kurnik. Widział już, że z mnichami tak łatwo mu nie pójdzie, jak sądził; wstydził się odstąpić z niczym. Myślał, że przyszedłszy, zagarnie, zbogaci się i wróci, a tu zabierało się na formalne, długie oblężenie, w którym bez dział szturmowych obejść się było trudno. Dzień ubiegły dowiódł mu silniej jeszcze, że małe jego połowe działa nie podolają tym murom i odwadze, że zakonników huk i stukot, groźby i łajania nie zastraszą. Wejhard prześladowany wymówkami widocznie unikał Millera, który nań kwaśno spoglądał. Sadowski milcząc spełniał, co mu było polecane, bez zbytku gorliwości, ale ściśle. Kaliński zajmował się ciągle to przypochlebianiem Wejhardowi, to na wszelki wypadek usiłując sobie pozyskać względy Millera, przed którym się płaszczył, starał się na każde jego zawołanie okazywać gotowość. Miller kwaśny był i zły ciągle, mieszkał w chłodnym namiocie, pił miód i niewyśmienite wino własne, nie miał co jeść, bo się był jeszcze nie uposobił w potrzebne na stół zapasy; słoty dojmowały mu, a najgorzej cierpiał na tym, że walczył z mnichami i od razu ich nie pożył. Zaraz tegoż wieczora wysłano gońca do Krakowa po burzące działa wielkie, których konieczna okazała się potrzeba. Wejhard na próżno usiłował jeszcze dowieść; że się bez tego obejdzie.

Ponuro zeszedł wieczór w obozie: choć flasze i szklanki krążyły, choć hrabia starał się rozbawić i poweselić Szweda, ten milczał zasepiony.

– Trochę cierpliwości, panie jenerale – rzekł w końcu, urażony ciągłymi wymówkami. – Mówilem i mówię, że to długo potrwać nie może, mnisi na kolanach łaski błagać będą. Zresztą znajdziemy na nich sposoby.

– Tak! Gdy wielkie działa nadejdą.

– I bez tych dział się obejdzie – znacząco odparł Wejhard. – Zobaczymy...

– I bez dział? – spytał Miller. – A cóż je zastąpi?

– Są różne sposoby prowadzenia wojny – tajemniczo rzekł hrabia.

– Na przykład? – spytał Horn, gubernator krzepicki, milczący Szwed, który Wejharda nie lubił.

– Na przykład, hrabio? Chciejże nas nauczyć!

– Nie potrzebuję ich wyliczać... – odparł Czech. – Wszakże wszyscy zarówno wiemy, że nie tylko kulami się wojuje. Więcej teraz powiedzieć nie mogę.

Miller ręką machnął i roześmiał się szydersko.

– Obiecujesz nam zawsze złote góry, które się kończą na śliskich i skalistych, jak i tu. Już teraz nie dam ci wiary. Częstochowa daleko mi się inaczej z bliska wydała.

Wejhard umyślnie przerwał i coś do Kalińskiego przemówił, spojrzał na zegarek, znacząco skinął na starostę i oba oddalili się do swoich namiotów. Tu gdy stanęli, zbliżył się do pułkownika i spytał po cichu:

– A co? Idzie?

– Powoli, jak zwyczajnie w początku.

– Dajcież mi tego Niemca, niech się z nim rozmówię.

– Każemy go zawołać.

Klasnął w dłonie Kaliński, wszedł pacholik i wyprawiono go, coś mu szepnąwszy.

Wejhard chodził żywo po namiocie i zdawał się niecierpliwie marzyć, gdy we drzwiach płotek się podniósł i wszedł mały, niepoczytny człowiek, z oczyma pod czołem zakłętymi, z twarzą płaską a szeroką, jak u Tatara, szeroki w plecach, silny, a w rysach mający coś odrażliwego i przykrego.

Wejhard obejrzał go wprzód bacznie i odezwał się do niego po niemiecku:

– Kto ty jesteś?

– Do usług waszych, panie pułkowniku. Niemiec, rodem z Prus Książęcych, w służbie króla jegomości szwedzkiego, oddziału księcia Heskiego.

- Jak ci na imię? – Nathan Purbach.
- W jakiej służysz broni?
- W piechocie.
- To ty się podejmujesz zawiązać w klasztorze stosunki i przeciągnąć puszkarza na naszą stronę?
- Ja to tak mówiłem pułkownikowi – wskazał na Kalińskiego – że mógłbym spróbować. W twierdzy jest mój krewniak, Wachler, przy działach; wiem, że jemu tam między Polakami nie musi smakować, można by pogadać...
- Jak się możesz do niego przybliżyć?
- Jak? – rzekł uśmiechając się Purbach. – Ja tego sam jeszcze nie wiem, trzeba nocą podkraść się pod mury na rozmowę. Wachler w namiotku koło dział, noce ciemne; wiem trochę, z której strony go szukać.
- Potrzebujesz pieniędzy? – spytał kusząc Wejhard.
- A cóż bez nich zrobić? – odparł, ruszając ramionami:
- Próbuj – rzekł zbliżając się Wejhard i dając mu kilka talarów – i daj mi zaraz znać, co uczynisz; o tym zaś nikomu, ani księciu Heskiemu, ani starszyźnie twojej ani słowa. Nagrodę sowitą będziesz miał ode mnie. Wachler niech tak działami kieruje, żeby nam nie szkodziły, niech powie, gdzie mury są najsłabsze, z której strony przez furtkę wpuścić nas może do twierdzy. Jeśliby załogi nie namówił do poddania, może działa zagwoździć i do nas uciekać... Zresztą wiadomo, o co chodzi... Idź i powracaj rychło.
- Purbach powoli przeliczył pieniądze łakomym okiem, pokiwał głową i, podniósłszy zasłonę namiotu, znikł w ciemności.

XX

Jak tylko rozwidniało, szwedzkie działa odezwały się znowu zajadłe gęstymi kulami rzucając na klasztor. Kordecki, który zawsze oczekiwał, by nieprzyjaciel pierwszy poczynął, odpowiedział ogniem z twierdzy na wszystkie strony wymierzonym. Ludzie po przetrwanym szczęśliwie dniu wczorajszym, który w początku taką ich nabawił bojaźnią, a skończył się bez ofiar, z zapalem tym większym brali się do obrony. Wachler tylko niedbale koło swoich dział się krzątał i lichy je celował, i powoli strzelał a mruczał ciągle. Gdy kto go dozierał, sprawiał się jeszcze jako tako; zostawiony sam sobie, zaraz ręce zakładał. Nie uszło to oka tych, co nadzór mieli nad strzelbą, i pan Zamojski kilka razy go ofuknął; ale dojdź z Niemcem sprawy; on swoje, ten swoje: ledwie się odwrócił starszy, Wachler się znów ociągał. Niewiele też szkody kule z tej strony zrządziły nieprzyjacielowi. Z innych za to pilniej szło i lepiej. Co chwila widać było zmieniających stanowiska Szwedów, bo im na nich dokuczano; najwięcej kręcili się koło baterii, które wzmacniali, sypali, oblewali wodą, aby ich kule łącznie nie nabrały.

W klasztorze, gradem kul osypanym, nie było wielkiej szkody, choć postrach szerzył się powoli, jak potajemnie zapuszczony ogień. Kule zwijały się cudownie, jakby ręka Bożej Matki wszelką im siłę odbierała; staczały się w podwórce, leżały po brukach, służąc później do obrony. Na gontowych dachach, wśród suchego drzewa, ogniste pociski nie potrafiły tak pożądanego Szwedom rozniecić pożaru; na próżno się wysilali, by klasztor zapalić; dnia tego nie udało się jeszcze. Kilka kul, przeniósłszy przez mury, padło z drugiej strony twierdzy, gdzie nikogo nie raziły; inne w samym klasztorze ledwie zarysowały ślady przejścia po grubych jego ścianach; jedna, odbita od komina, wpadłszy do izby pani Jaroszewskiej, gdy matka z krzykiem na widok jej leciała ku kolebcedziecięcia, na którą groźny pocisk zdawał się mierzyć, stoczyła się powolnie i stanęła pod biegunem kołyski. Na widok tej łaski Bożej dla siebie, pani Jaroszeńska, pochwyciwszy dziecko, pobiegła złożyć je u ołtarza Najświętszej Panny. Rozrzekwienie, zapal, męstwo były we wszystkich, którymi kierował Kordecki, oddalając się tylko na modlitwę, resztę dnia stał na murach. Już zmierzchało, gdy u bramy brat Paweł posłyszał znajomy głos żebraczki Konstancji.

– A co ty tam powiesz? – spytał rzucając różaniec.

– Nie, braciszku! Proszę mnie tylko wpuścić do klasztoru; trochę się kul uzbierało i tęskno mi za Matką Najświętszą, żeby Jej się pokłonić. Puśćcie mnie, proszę; całą noc, cały dzień w fosie siedziałam wśród huku i łoskotu, teraz mi się chce pomodlić, a za to wam zapłacę kulami i o Szwedach coś powiem; niebawem pójdę nazad, bo mi trzeba pilnować swojej baszty, tać to i ja teraz żołnierz.

Powoli, rozpatrzywszy się, że sama jedna była, brat Paweł z uśmiechem otworzył staruszce i zaraz pilno za nią zaryglował. Kostucha pokłoniła mu się i wedle zwyczaju koniec jego szkaplerza ucałowała, okręciła się szybko i żywo rzuciwszy kule pod nogi, poszła do kościoła. Wkrótce wysunęła się z niego.

Z okiem zaiskrzonym a łzawym pod murami się ciągnąc, zdawała się czegoś szukać i poglądać. Wtem Krzysztoporski, który na swojej kortynie wartował, groźnie ją zastanowił.

– Kto ty taka i dokąd idziesz?

Na dźwięk tego głosu, ponury i gniewny, cofnęła się stara i zadrżała.

– Czego się podkradasz i taisz? – rzekł dowódca.

– Idę pod murem; bo się opierać muszę – zasłaniając twarz, odparła starucha.

Aż ktoś z załogi poświadczył, że ją znano, i Krzysztoporski odwrócił się od niej, więcej już nie wstrzymując.

Żywo szła dalej Kostucha, ale w podwórcach, choć dobrze znajoma, trafić nie mogła, gdzie chciała; podsuwała się pod okna, pod drzwi, podsłuchiwała głosów i nigdzie nie zdawała się zaspokojona. Wtem z dala ukazał się ksiądz Piotr Lassota, i stara, coś podumawszy, poszła w ślad za nim, w pewnej trzymając się odległości.

Ksiądz Piotr poszedł do brata, a żebraczka przytuliła się do drzwi mieszkania, przysiadła przy ścianie, przyłożyła ucho do niej, przyłgnęła cała, osłaniając się chustami, jakby drzemała.

Wtem na próg wyszła Hanna, i ta nieforemna kupa łachmanów ożywiła się na widok dziewczęcia, głowa wychudła spod chust się wysunęła ze szczególnym zajęciem, z pragnieniem, z jakąś miłością pałającą w wejrzeniu, które zwróciła ku Hannie. Zbliżyć się do niej jednak nie śmiała, tylko drząc, powoli suwała się po ziemi, nie mogąc nawet ust otworzyć.

– Moja piękna panienko – słodząc głos; jak mogła, odezwała się wreszcie – moja śliczna panienko, może wam w czym posłużyć, może wam w czym pomóc?

– Dziękuję ci, staruszko – odpowiedziała Hanna z miłym uśmiechem, dźwięcznym głosem, którego stara słuchała jakby w zachwyceniu – nie mi nie potrzeba; wyszłam tylko, bo tam mój dziad z księdzem Piotrem rozmawia po cichu, nie chcę im przeszkadzać. A tyś, matko, tutejsza?

– Tutejsza; moje złote jabłuszko, mój kwiateczku różany, moje słoneczko jasne; biedna żebraczka i sługa Matki Boskiej.

– Więc ci może jałmużny albo chleba?

– O, nie... nie! – odpowiedziała szybko stara i po chwili poprawiła się. – Tak, tak... chleba... drobny, mały kawałeczek chleba, jeśli łaska twoja, mój śliczny aniołeczku...

Hanna pobiegła szybko i wróciła z chlebem do starej, a gdy się zbliżyła do niej, drżały Konstancji ręce i chwyciła dłoń Hanny, białe jej paluszki do ust cisnąc z wdzięcznością, jakby ten chleb życie jej dawał, jakby go rok nie jadła.

Hanna aż zapłonęła wzruszona cała, sama nie wiedząc czemu; to nagle żebraczki do niej zbliżenie, jej łzy, jej uczucie onieśmialały ją i zmieszały; wychwyciła rękę.

– A toś ty była taka głodna! – zawołała.

– Głodna! O, głodna – odpowiedziała Konstancja. – Ty nie wiesz, mój aniołku, coś mi dała z tym kawałkiem chleba: życie, pociechę, radość, szczęście...

– Jak to! Czyż cię tu nikt nie pożałuje, nie nakarmi? – mówiła Hanna. – Przychodź tu co dzień, moja staruszko, a ja się z tobą chlebem podzielę chętnie; pomodlisz się za to za duszę mojej matki, za dziada mojego zdrowie.

– Pomodłę się gorąco, pomodłę! – odparła żywo Konstancja, po ziemi pełznąć ku nogom dziewczynki, z wzrokiem w nią wlepionym jak w tęczę. – Będę się modlić u Matki Boskiej ołtarza, że wam szczęście i spokój wymodłę...

– Dziad bardzo mi słaby – mówiła dalej Hanna. – Na nogi zapada coraz gorzej, smutny, popłakuje często, a tu jeszcze i strach ciągły nie pomoże mu.

– Matka Boża was pocieszy.

– A! Ale mnie tam wołają! – odwróciła się Hanna.

– Pozwolisz mi przyjść jutro? – zawołała żebraczka. – Pozwolisz, złoty aniołeczku? Nie dla chleba, ale...

– Dobrze, dobrze, przyjdź jutro!

To mówiąc znikła Hanna. Konstancja ów chleba kawałek przycisnęła do piersi, poczęła całować, zawijać go w chusty i chować naprzód do torby; potem położyła go sobie na sercu i zdjęła jeszcze, i chwyciła, jakby go jej kto wydzierał.

Potem zerwała się na nogi i żywo pobiegła do kościoła. Kościół stał ciągle otworem dzień cały i część nocy nawet. Lampy płonęły na ołtarzach, dwóch zakonników odmawiało modlitwy na cześć Maryi i śpiewali pieśni. Mrok już padł we wnętrza budowy milczącej, wśród której te kilka świateł mglisto płonących, te modły cicho szemrane miały coś w sobie pogrzebowego. Żebraczka poszła do ołtarza Matki Boskiej, padła przed nim, powstała i, przełamując chleb Hanny na dwoje, większą jego połowę położyła na stopniach, modląc się gorąco. Rzekłbyś, że skarb swój największy podzieliła z Bogiem.

XXI

Nazajutrz nieprzerwany ogień wszystkich baterii i kule na dachy klasztorne padające nieustannie spocząć nie dały na chwilę. Od rana potrzeba było zacząć ubezpieczać się od ognia i oddawać Szwedom niepokój, który tu zrzadzili. Po wczesnej mszy i suplikacjach, muzyce grać rozkazawszy ciągle na wieży dla dodania serca, Kordecki w płaszczu swym, w białej sukni, chodził, rozporządzał, umacniał słowem i przykładem. Szlachta dotrzymywała mu dotąd dobrze męstwem i ufnością w Bogu. Osobliwie też Zamojski, który często przemawiał do ludu i okazać swą wysoką umiejętność sztuki wojennej miał sposobność, nie ustawał w pracy. Czarniecki na powierzonej mu części murów dumał posepniejszy; w pocziwym jego sercu roily się olbrzymie marzenia i plany; niepokój jakiś, na twarzy widoczny, oznajmiał, że dumał głęboko. Trochę też i czynność gorąca pana Zamojskiego spać mu nie dawała; chciał się także odznaczyć, jeśli nie tak uczoną strategią, to mężnym sercem. Stawał, poglądał, coś ważył, coś myślał i szukać się zdawał oczyma przeora, którego w ostatku się doczekał. Aż mu rozjaśniało lice, gdy go spostrzegł. Kręcąc węża, pośpieszył ku niemu z pogodniejszą twarzą, z uśmiechem szerokim.

– Na stanowisku, księżę przeorze, wodzu! Na stanowisku stoimy i witamy cię.

– Niech was Bóg błogosławi, niech wam Bóg nagradza!

– Nigdy tak waszej przewielebności nie czekał, jak dnia dzisiejszego, bo mi myśl po sercu chodzi i muszę ją wypowiedzieć, jak grzech mi ciąży.

– A cóż to znowu, kochany panie Piotrze? – odezwał się z uśmiechem Kordecki.

– Odejđmy tylko nieco na stronę, żeby nas nikt nie słyszał, a chcecie posłuchać mnie bacznie... Oto tak. Szwed widocznie ma. nas za bajbardzo; trzeba mu to wybić z głowy, żeby nas inaczej przecie uważał, niech się lepiej lęka. Przeszłej nocy dobrze opatrywałem ich obóz. Z wieczora ze wszystkich stron wychodziłem mu się przyglądać. Nie mają najmniejszej ostrożności i żartują z nas sobie, nie licząc nawet jasnogórzan za żołnierzy. Ich oddziały podsuwają się pod same mury bez straży, bez podjazdów, nie dbając o nas wcale; Bóg to widocznie tak ich zaślepił, a nam trzeba przy tym upiec swoją pieczeń.

– Jakim sposobem? – spytał przeor.

– Jak najłatwiej. Oto biorę ludzi ochotczych, wysuwam się branką od wschodu, po cichu przechodzę czaty, jeśli są, i z tyłu na oddział ich napadam, który w rogu od północo-wschodu leży, ognie paląc, pijąc i hulając noc całą; nic łatwiejszego, nic pewniejszego. Nim oni za broń pochwycą, my ich pobijemy...

Kordecki się zarumienił.

– Takich mi ludzi dawaj! – zawołał, ręce podnosząc do góry. – Takiej wiary, takich serc, a nasz kraj nie padnie ofiarą pierwszego zdobywcy, co się o niego pokusi. Wśród zwątpienia, rozpacz, spodlenia, jak kwiat wśród chwastów rosną jeszcze wielkie dusze. Idźcie, idźcie w imię Boże, panie Piotrze, ale ostrożnie, bo życie ludzkie drogie!

– A zatem mam pozwolenie zajęcia się wycieczką? – podchwycił radośnie szlachcic.

– A nie poradzić by się to pana Zamojskiego? – spytał przeor po chwili. Czarniecki zagryzł usta, widać mu to było nie po myśli, ale żywo odparł:

– A i owszem, i owszem, chodźmy.

Podeszli kilkanaście kroków. Pan miecznik coś rachował stojąc, czy może nową mowę układał w myśli na jaki wypadek; odwrócił się, powitali się.

– A! Coś nowego! – spytał, poglądając po twarzach, widocznie myślą rozjaśnionych.

– Nieprawdaż – zaczął Czarniecki – że Szwedzi z nas sobie żartują, panie mieczniku; myślą nas postraszyć jak dzieci i jak z dziećmi wojować; w nocy, z wieczora, samiście to widzieć musieli: ani dbają, idą spać bez straży lub hulaj dusza w obozie. Można by ich trochę nauczyć rozumu nocną wycieczką z klasztoru; noce ciemne, Szwed nieopatrzny, a nam, dzięki Bogu, serca nie brak.

Zamojski aż w ręce plasnął.

– W to mi graj, panie Piotrze! – rzekł. – Zeszliśmy się na myśl jedną, z tą różnicą, że ja jeszcze strategicznie rozważałem i plany kreśliłem, gdy myśl ta już z serca waszego wybiegła żywa i calusienka... Plan wysmienity! No, a skądże uczynimy wycieczkę?

– Ze wschodniej strony, przez furtkę wschodnią – rzekł Czarniecki – obejdę oddział, który leży naprzeciw Częstochówki i tył im zajmę.

– Przewybornie! A teraz o wykonaniu radźmy, panie Piotrze – przerwał Zamojski – wszak pójdziemy z ochotnikiem, któż wozem, kto żołnierzem i wiele nas?

Wtem przeor im przerwał:

– Do takiej sprawy nie bierzcie jeno tych, co się sami nastęrczą; kogo Bóg natchnie iść, niech idzie, nie zapraszać nikogo, ja z murów patrzeć, żegnać i modlić się będę, a nie ustane, dopóki Bóg mi was nie powróci, mężne dzieci sławnej Matki!

Natychmiast wśród łoskotu wystrzałów i muzyki brzmienia, mieszających się z sobą, poszli panowie dowódcy zbierać głosy na wycieczkę.

W początku zamiar ten kilkudziesięciu śmiałków wobec kilkutysięcznego nieprzyjacielskiego wojska zdawał się tak zuchwały, tak dziwny, tak niebezpieczny większej liczbie, że wszyscy go przyjęli niedowierzaniem; ale pan Piotr dobył z piersi głosu, co umiał przekonywać.

– Co u licha! – rzekł prosto po szlachecku, a dobitnie – a toć jak orzech zgryźć rzecz łatwa! Ledwie bym nie rzekł, że w niej niebezpieczeństwa nie ma. Wczoraj jeszcze mógł się pod mury podkraść pan Hiacynt Brzuchański i wieści nam przynieść z miasteczka, a my byśmy nocką nie mogli ich obejść i trochę przetrzepać? Pójdziem, chluśniem i powrócim. Ot, tak! A zatem, komu Pan Bóg dał wolę, kto łaskaw, ze mną.

– Ja pierwszy! – podchwycił Zamojski.

– Nie, kochany mieczniku – wstrzymał go przeor. – Dwóch wodzów na los oddać nie mogę; wy musicie zostać ze mną.

– Jak to! Ja miałbym zostać?

– Tak być musi! – rzekł przeor.

– Rozkaz?

– Wyrażny rozkaz.

– Ha! To go muszę słuchać z rezygnacją – westchnął miecznik – ale powiem wam, że mnie nigdy drożej posłuszeństwo, nie kosztowało. Czarnieckiemu w oczach błysło i pobiegł.

Zaledwie wezwanie jego rozeszło się po ludziach, gdy zewsząd głosy towarzyszyć mu się oświadczyły i wkrótce liczba ich już była dostateczna; nie tyle tu bowiem liku, co doboru potrzebowano.

Nadszedł i Janasz Węgrzyn.

– A i mnie z sobą weźmiecie? – rzekł posepnie.

– Co? Przecież się śmierci boisz? – zawołał ktoś z boku.

– Bać się nie boję, ale mi ten głupi strach kością w gardle siadł; mam zginać, to im prędzej, tym lepiej; więc i ja z wami.

Przeor ze łzami pobłogosławił tę kupkę, która w dziedzińcu już zebrana naradzała się, szemrała, zbroiła się i umawiała, wśród padających

zewsząd kul szwedzkich i łoskotu łamiących się murów. W zajęciu tą nową wycieczką, wśród przygotowań i planów dzień upłynął szybko, a przeznaczeni do niej niecierpliwili się, wyglądając ciemności.

Coraz to pan Czarniecki wychodził na mur, spojrzał na niebo, na słońko i pokiwał głową, jakby wymawiał dniowi, że na złość mu trwa tak długo. Z południa, gdy jeszcze waży; rozmyśla i już wcześniej zwyczęża – nagle uczuł, że go ktoś z lekka trącił w ramię; odwrócił się, była to stara żebraczka. Powitała go z uśmiechem i ukłonem do ziemi.

– Czego chcesz, moja kochana? – rzekł, podkasując połę kontusza i myśląc dobywać sakiewki.

– Nie jałmużny – odpowiedziała po cichu. – Nie, nie! Wszak nocą macie iść na obóz szwedzki?

– Co! Już i żebracy o tym wiedzą?

Stara się zaśmiała.

– Alboż to ja nie służka Matki Boskiej, żeby ze mną robić tajemnicę? Otóż, posłuchajcie mnie: jak do fosy zejdziecie furką, z cicha trzy razy klaśnijcie w dłonie, ja się do was przystawię.

– A ty nam po co?

– Zobaczycie! Czasem i mały przydać się może! Ja nocuję w fosie zewnątrz murów, w dzień przechodzę do miasteczka i z miasteczka kilka razy przez obozy. Poprowadzę was tak między św. Jakubem a baterią, że żywa dusza nie postrzeże i wpadniecie z tyłu na plecy Szwedowi śpiącemu, że się nie opamięta, skąd nań ten piorun zleciał.

– A to śliczna wycieczka, której baba wodzem! – zaśmiał się pan Piotr.

– No! No! Śmiecie się sobie, jak chcecie, panie Czarniecki – wesoło odpowiedziała Konstancja. – Nie ja to, ale Bóg was prowadzić będzie. Więc pamiętajcie!

– Ha! Nie odrzucam i tej pomocy – rzekł odważny wojak. – Jakże nam tu nie walczyć, gdy i to biedactwo ma tyle męstwa w duszy, stojąc nad grobem.

Mrok padał, ognie szwedzkie, z daleka widne, znaczyły doskonale miejsca, w których się obóz rozłożył; tak byli nieopatrni, tak pewni siebie, że skoro działa wieczorem spoczęły, rozkładać się, noclegować, pić i hulać, a potem usypiać poczęli bez zwykłych w takich razach ubezpieczeń. Millerowi ani się śniło, by wystraszeni mnisi z garścią ludu napadać go mieli we własnym obozie. Tymczasem mała kupka odważnych, uzbrojona w żelazne pancerze, rusznice, hełmy, pałasze i kosy nawet, pod wodzą Czarnieckiego zbierała się już w podwórzu.

Coraz to z głębi ciemności nocnej wychodził orężny żołnierz i stawał, pomnażając liczbę ochotnika. Gromadka ta nie miała wcale pozoru żołnierzy dzisiejszych, dobranych i ubranych jednakowo. Każdy odziany był i uzbrojony po swojemu, każdy przypasywał doświadczony miecz pradziadowski, karabełę, co mu do ręki przypadała, którą był nawykł machać i płać, wdziewał hełm wygodny, opasywał pierś pancerzem dobranym do niego. Na wielu z tych zbroi połyskiwały krzyże mosiężne, zwykła ozdoba XVII wieku w Polsce i dziś jeszcze na wykopanych widoczna, bo gdzie ten znak rdza wyjadła, cztery po nim otwory zostały. Inni mieli na szyi blachy z wizerunkami Matki Boskiej, inni różańce pozawieszali na szyi, brzęczące na zbroi, lub z tyłu i z przodu wiszące szkaplerze z imieniem Maryi. Garść ta śmiałków, oświecona kilku pochodniami, dziwnie się malowniczo przedstawiała ze swą różnaitością stroju, twarzy, zbroi... Czarniecki przeglądał każdego z osobna. Ciężko zbrojnym ulżył nieco, rozkazał nie obciążać ładunkami i zbytkiem zawadnego oręża, szable pobrano pod pachy, aby nie brzęczały, pozakasywano kontusze do kolan i już wszyscy byli w pogotowiu, gdy Kordecki nadszedł z krzyżem w ręku.

– Wszystko – odezwał się – poczynajmy od Boga; pomódlmy się naprzód, bracia, ucałujcie ten krzyż, za który walczyście!

To mówiąc, podniósł ręce i z natchnieniem począł modlitwę, którą skończył przeżegnaniem. Wszyscy potem, od Czarnieckiego do ostatniego ciury, ucałowali znak zbawienia, a gdy maleńka furtka, ukryta w fosie, otwierała się i wypuszczała w milczeniu idących mężnych obrońców Częstochowy – przeor na murach ukląkł na kamieniu i w zachwycie jakimś pozostał obcy wszystkiemu, co się wkoło niego działo. Wśród ciszy szli wszyscy fosą do miejsca, w którym przez –kontraskarpy wydobyć się z niej mieli, i nim pan Czarniecki klasnął w dłoń, już Konstancja pokazała się na przedzie z kijem w ręku, wiodąc wycieczkę i szepecząc *Zdrowaś Maryja*. Sam zresztą naczelnik, nie spuszczać się na nią całkowicie. miarkował kierunek, aby obejść Szwedów. Szli tak dobre ćwierć godziny, gdy Konstancja rzuciła się na ziemię i zdawała chwycić coś pod nogami, wołając cicho o pomoc; wszyscy podbiegli ku niej z przestachem. Jakiś człowiek (było to jeszcze niedaleko murów) leżał na ziemi, szamocząc się, ale mu żebraczka tak silnie ręką zatkała gębę, że krzyczeć nie mógł. Natychmiast schwycono go, zakneblowano i zwiąawszy rzucono w fosę aż do powrotu, a wycieczka poszła dalej.

Przestrach chwilowy zmienił się w niecierpliwe pragnienie walki. Janasz Węgrzyn nade wszystko przodkował, jakby chciał mierzyć się ze śmiercią, jakby jej szukał i pragnął. Na lewo już pomijali Szwedów, chętka brała spróbować, mając ich pod ręką, ale Czarniecki ciągnął dalej i dopiero tył im wzięwszy, miał rozpocząć utarczkę. Ten czas powolnego i ostrożnego przejścia wśród ciemności wydał się wiekiem ludziom słabszego serca, co niepewności więcej się bali niż nieprzyjaciela. Nie dawano znaku do boju, lecz coraz a coraz zwracano na lewo powolnie i widać było, że minawszy część śpiących po namiotach i szałasach Szwedów, wkrótce uderzyć miano.

W obozie było cicho i bezpiecznie, nigdzie czat, nigdzie posunionej straży. Żołnierz opity wylegał się na mokrej ziemi, na garści słomy, osłaniając od wilżącego deszczu. Nagle żebraczka im znikła z oczów, a Czarniecki wyjął szablę z pochew i błysnął nią w powietrzu z okrzykiem: – J e z u s, M a r y j a, J ó z e f !

Z tym hasłem śmierci w ustach mężni żołnierze rzucili się na bliższych żołdaków, o których się prawie oparli. Kilkadziesiąt strzałów razem zagrzmiało w powietrzu długimi pasy płomienia i nic nie potrafi odmalować obrazu, jaki przedstawiała część obozu szwedzkiego, schwycona tak niespodzianie. Ludzie porywali się ze snu, nie wiedząc, co się stało, nie umiając rozpoznać, gdzie uciekać mieli, i wprost na strzały Czarnieckiego się kierując. Janasz z szablą już krwią ociekłą rznął się w obóz nieprzyjacielski jak szalony; straciwszy nakrycie głowy, opętany bojem, nie syty zabójstwa, gnał w prawo i lewo rozpierzchłych Szwedów, tego po łbie, tego po krzyżach, innego po rękę płatając. Wpadł do namiotów i mordował uśpionych, deptał nogami, rozbijał piersią powstających. Popłoch rozchodził się w całej tej części obozu, którą objęli jasnogórcy. Przytykała ona do namiotu Millera i lud coraz się szerzej rozbudzać zaczął dokoła, tak że wycieczka znalazła się wkrótce wśród przeważnej siły szwedzkiej. Ale z nią była przytomność i męstwo; tu niespodziana napaść siała postrach, a napad nie od strony klasztoru, ale ze środka samego obozu zdawał się jakąś obcą odsieczą... Gdzieniegdzie wśród krzyków wrzawy ozwał się bęben krótko i rozbity ucichł, ówdzie piszczałka i trąba poczęły zwoływać i umilkły. Pan Piotr, trupem kładąc Szwedów, szybko, żywo rznął się przez nich ku klasztorowi. W drodze napadli na dwa działa i natychmiast je zagwoździli. Tuż przy małej baterii był namiot pułkownika de Fossis, który z wieczora, nadowodziwszy się u Wejharda o nicości człowieka i przesadach ludzi,

obiecujących im inne życie, legł spać z uśmiechem zadowolenia. Janasz wpadł do jego namiotu i miecz utopił w piersi bezbożnej; oczy tylko otwarły się straszliwie, głowa podźwignęła konwulsyjnie, ręce zadrgały, jakby szukały miecza, i nieszczęśliwy upadł, wiecznym snem do ziemi przykuty. Janasz szedł dalej a dalej, rzucał się w strony i, niepamiętny kierunku ani trzymając się kupy, pojedynczo na swoją rękę rzeź sobie sprawiał. Długo mu się to udawało, aż Szwed wpólnagi zaskoczył go i wzięli się za barki szamotać. Jak dwa wilki wściekle zwarli się z sobą zębami, nogami, rękoma; wtem wystrzał z boku obu ich na ziemię obalił. Poskoczyli Czarnieckiego ludzie, chcąc ratować Węgrzyna, ale już ducha wyzionął i ręką tylko wskazał na klasztor. Wycieczka biegła coraz żywiej do fos i furty, bo za nią rozbudzony obóz cały ruszał się, kupił, opamiętywał i gonił. Miller, ze snu się porwawszy, skoczył na konia z Hornem i ufny w swoją siłę, poznawszy, że to robota klasztorna, pędził za wycieczką. Zatrzymał go namiot pułkownika de Fossis, którego chciał zbudzić, by działa na śmiałków wymierzono. De Fossis leżał we krwi swej brocząc. Jenerał za głowę się pochwycił.

– Ognia! Ognia! – krzyczał.

Ale dwa działa, które szkodzić mogły uciekającym, zagwożdżone były na głucho. Horn, który, jak Miller, niecierpliwił się i oburzał tym zuchwalstwem garści ludu. puścił się konno naprzód pomimo ciemności i zawałów, z podniesioną szablą mierząc na wodza, gdy któryś z ostatnich i już minionych Polaków przyskoczył i ciął go silnie kosą w piersi. Horn zachwiał się, chwycił oburącz i upadł z koniem razem, postrzelony jednocześnie. Już leżał na ziemi, gdy Miller nadbiegł i zatrzymał się wściekły, nie mogąc rzec słowa, drżący od gniewu, zdumienia i jakiegoś wielkiego strachu, który czuł, widząc ulubieńca rannego. Krzyknął, dając rozkaz ścigania i rozporządziwszy ratunek dla Horna, sam śpiesznie zawrócił się ku namiotowi.

Już też, co żyło, zerwało się ze snu i biegło, chwytając muszkiety. Bębny biły alarm, trąby grały, ognie się zapalały, a nasi śmiałkowie, ku twierdzy przerynając się, coraz żywszym śpieszyli krokiem. Czarniecczycy jako hasło powtarzali zbierając się: „Jezus, Maryja, Józef!” Z tym okrzykiem zwycięskim dobili się do murów twierdzy, spuścili w fosę i dopadli furtki. Wszyscy prawie, co się byli puścili na tę niebezpieczną wycieczkę, wrócili nazad cali, zagrzeni na duchu, jakby ognistą kąpielą nabrawszy sił nowych. Kordecki klęczał i modlił się jeszcze. Całując kraj

jego szaty Czarniecki, który z wzruszenia i zapału nic powiedzieć nie mógł, obudził przeora z tego pobożnego zachwycenia.

– Otóż macie nas nazad – rzekł pan Piotr – i szczęśliwie...

– A! Bogu niech będą dzięki... lecz ofiary?... Kto zginął?

– Jednegośmy tylko podobno stracili: biedaka Węgrzyna.

– Biedaczysko! Bóg mu oznajmił zgon przeczuciem, módlmy się za jego duszę!

Wtem nadbiegł Zamojski.

– A co? – zapytał gorąco.

– Wszystko dobrze, jak z masłem poszło. Popatrzcie no na Szwedów, cośmy im za sztukę splatali; kręcą się jak w ukropie.

W istocie widok obozu z murów przedstawiał jakby mrowisko, w które padnie gałąź drzewa. Migwały wszędzie drobne ognie i wśród ciemności poruszały się żywo w różnych kierunkach ku podnóżu góry. Znać Szwedzi, nie wiedząc dobrze, co to było z nimi, obawiając się jeszcze, że stanowisk bliższych na dalsze i niższe się cofali, stawiali czaty i rozpalali ogniska; lud biegał, ruszał się i szumiał.

– O! Jak to Bóg wielki! – krzyknął z uniesieniem Zamojski, biegnąc do dział, których Wachler strzegł na wpół śpiący. – Ognie ich posłużą na za cel... Niemcze! Celuj i pał do obozu!

Wachler chwycił się, acz niechętnie, z posłania pod namiotkiem, spojrzął na Zamojskiego, pomruczał, ale widząc, że nie przelewki, posłuchać musiał i działa poczęły grzmieć z bliższych stanowisk, do reszty płosząc Szwedów.

XXII

Wschodzący dzień oświecił obraz zamieszania i nieładu. Rychło świt objechał Miller swój lud, policzył straty, z których go najwięcej bolała śmierć pułkownika de Fossis i śmiertelna rana Horna; kazał pościagać trupy, działa zagwożdżone zdjąć z baterii, nowe na ich miejsca naprowadzić – i z całą złością i gniewem, do jakich doprowadziło go to zuchwalstwo, jął się nowego szturmu. Działa, nie ustając na chwilę, były do murów, ale na próżno, bo szkoda nie była ani tak wielką, ani tak widoczną, żeby go pocieszyć miała. Wejhard, dowiedziawszy się o śmierci de Fossisa i ranie Horna dopiero nazajutrz, gdyż nocnego alarmu, stojąc opodal w innej stronie, nie słyszał nawet, pobiegł ku Millerowemu stanowisku, ale mu w oczy zajrzeć nie śmiał. Miarkował, że generał wściekać się musi i że wszystko na niego zrzucić gotów.

W istocie Szwed był tak straszny, jak każdy w bezsilnej złości szatan. Czując swoją potęgę, wyższość, umiejętność, nie potrafić ani dobyć, ani zniszczyć tego kurnika, którego bronili wieśniacy, szlachta i księża! Wszystkie laury wodza tracił tu nadaremnie w nierównym i wstydliwym boju. Było czego oszaleć! Toteż szalał opasły wódz i chodząc w swoim namiocie coraz powtarzał:

– Żeby tu głowę miał położyć, nie ustąpię, aż zdobędę!

Po działa burzące posławszy do Krakowa, gnał posłańca za posłańcem, aby dniem i nocą wieziono je co najprędzej. Tymczasem dano mu znać, że górnicy z Olkusza, przypędzeni do robienia miny, którą chciano od północy podłożyć pod mury, przybyli. De Fossis miał tą robotą kierować, plan już był gotowy, ale komu innemu teraz, i to mniej świadomemu, pozostało jego wykonanie.

Spędzono nieszczęśliwych górników, którzy pod strażą, jak więźniowie trzymani, stali smutni i przelekli. Jeden tylko pomiędzy nimi, starzec silny, barczysty, górujący całą głową, z włosiem posiwiałym, wsparty na kiju, z dumą na twarzy, a ze wzgardą spoglądał na Szwedów, jakby ich wejrzeniem miał pobić, nie mogąc dłonią. Reszta znużona stała i leżała na ziemi, raczej niewolników, niż posiłków mając postać. W zamieszaniu rannym rozkazał Miller prowadzić ich ku górze i wyznaczyć robotę, ale około południa znać mu dano, że olkusczy górnicy opierają się i miny nie chcą rozpoczynać.

Sądząc, że to tylko nieporozumienie jakie lub trudność w robocie, posłano do nich Kuklinowskiego, chętnego służkę Szwedów. aby się z nimi porozumiał.

Zastał ich otoczonych żołnierzem, na ziemi leżących, z pospuszczanymi głowami, tylko starzec, ciągle na kiju wsparty, o swej sile się trzymał i na wodza wyglądał.

– Ho! Do roboty! Rozpoczynajcie! – zakrzyczał Kuklinowski.

– Abośmy to Szwedzi czy zdrajcy jak ty – zawołał oburzony starzec – żebyśmy mieli na Matkę Najświętszą ręce podnosić?

– Co! Jak to?

– A! Tak ci to – żywiej jeszcze rzekł stary. – Chcecie nas pozabijać, to pozabijajcie sobie; lepiej zginąć od was, niż w piekle ginać przez wieczność; nie będziemy robić i po wszystkim.

Kuklinowski spojrzał i szybko odjechał, dając o tym znać generałowi. Miller, ledwie uszom wierząc, zakrzyczał:

– Wieszać łajdaków! Wieszać!

– Ale – zawołał Kuklinowski, stojący blisko – jak ich powiesimy, to któż będzie minę robił?

– Wziąć tylko tego, co tam ich buntuje, na próbę, a reszta się upokorzy – powtórzył generał – a nie, co dziesiątego na stryczek!

Kaliński wystąpił.

– Pozwólcie mi do nich pójść, panie generale.

– Idź, mości starosto, ale ich nie proś: nieposłusznych na gałąź, jak psów wywieszam!

Staroście podano konia, pośpieszył do górników. Stali w miejscu, jak przedtem. Spojrzawszy na te chmurne oblicza ludzi, zwrócone ku kaplicy Matki Boskiej z czcią, pobożnością, z przestrachem wiernych Jej dzieci, starosta uczuł jakby wstyd, coś na kształt zgryzoty, naukę wielką, którą odpędził od siebie. Prędko ochłonawszy z pierwszego wrażenia, rzekł łagodnie:

– No, do roboty, dzieci! Co to wy sobie myślicie? Nie znacie generała? Nagrodzi za robotę, ale ukarze nieposłusznych; już wyrok śmierci wydany na was: kto do młota się nie weźmie, pójdzie na szubienicę.

– Ano! To wieszajcie! – odparł starzec dumnie. – Czegóż czekać?

– Co to wam w głowie?

– Co w głowie? To, że Szwedowi heretykowi przeciw Matce Jezusowej nie będziemy pomagać jak wy, panowie szlachta.

Zarumienił się Kaliński.

- Ty, starcze! – krzyknął – pierwszy pójdziesz na szubienicę!
– I Chrystus wisiał – rzekł górnik spokojnie. – Szubienica za Bożą sprawę nie hańbi.

Kaliński stanął jak wryty, słów mu nie stało, myśli mu brakło przeciw temu bohaterowskiemu starcowi, który tak zimno, tak mężnie urągał śmierci. Znać było po twarzach reszty, że on sam tylko ich trzymał; więc kazał zaraz porwać Jana Waćka, starszego górnika, i odwieść na stronę.

– A wy – odezwał się do reszty – czy także robić nie myślicie i czekacie, aż dziesiątego wieszać zaczę?

Ktoś się odezwał: – Wieszajcie i nas! – Inni milczeli.

– Do roboty! – krzyknął Kaliński, a Szwedzi stojący wokoło prętami poczęli bić górników, którzy stali niemo i ponuro. Jeden ukląkł uderzony.

– Nie mam siły Jana; Panie Boże odpuść, róbmym bracia, póki siłują nas; nie my to, ale szwedzka przemoc winna będzie.

– Nie, nie! – rzekł drugi. – Pójdziemy, gdzie i Jan, niech nas wieszają! Szwedzi ciągle smagali i gnębili, ale żaden jeszcze z górników za młot nie chwycił. Kaliński zagrał z innego tonu.

– Co chcecie, żeby wam za to zapłacono? – zapytał.

– My się sami okupim, czym marny, byleście nas nie brali

Krzyk bitych, zamieszanie, które powstało, nie dozwoliło dłużej mówić Kalińskiemu. Rozkazawszy Szwedom pędzić do roboty siłą, postawiwszy dozorców, starosta pobiegł do Millera chmurny i niespokojny.

Sumienie mówiło, walczył z nim.

W drodze spotkał żołdaków wiodących Jana Waćka ze związanymi w tył rękoma. Górnik spojrzał w twarz staroście, nie prosząc mu się, nie mówiąc słowa, jeszcze zdając mu się urągać; szedł bez postrachu, bez lży na śmierć, której oczekiwał. Kalińskiego przemogło to męstwo tak wielkie i rozkazał go puścić.

– Idź – rzekł – idź, uciekaj!

Górnik nic nie odpowiedział, uczuwszy ręce wolne, bo mu je zaraz rozwiązano; obejrzał się i zawrócił w stronę, z której go wiedziono, do towarzyszków swoich. Kaliński nie miał czasu i nie chciał oglądać się na niego. A tymczasem stary Waciek poszedł do miny, którą rozpoczynali płacząc olkusecy robotnicy pod razami Szwedów; stanął na pagórku, ręce złożwszy.

– Ej! Bracia, słyszycie? – zawołał. – A toż na was patrzy Bóg i Matka Jego Najświętsza! A wam nie wstyd małego serca, wam nie żal pracować

przeciwko Częstochowie? Niech biją i zabijają, rzućcie młoty i nie róbcie!

Kilku się wstrzymało z płaczem.

– Co my poradzimy przeciwko sile? Przeciwko tyłu?

– Niech katują! – zawołał górnik. – Prędzej u Pana Boga pomstę wywołają. A co to wy cierpieć nie umiecie? Komuż to, jak nie nam, dać przykład? Niech biją! Cierpmy!

Wtem, chwyciwszy za kołnierz, żołdak przerwał mu mowę; starzec się nie bronił, powleczono go ku ogorzałym belkom niedalekiego rozrzuconego domostwa; zwróciły się oczy braci na ten widok straszny. Jan Waciek szedł na śmierć, a nigdy może męczeństwo nie było zniesione duszą silniejszą, stalszym umysłem. Szwedzi nie czekając zarzucili pętlę na belkę i uwiązawszy stryczek do szyi Jana, podnieśli go... Oczy wszystkich spoczywały na nim. Kordecki z dala stał na murze i odmawiał wieczorne modlitwy za umarłych, dając mu rozgrzeszenie, bo widział i czuł, że człowiek ten za swoją wiarę umiera.

W chwili gdy pętla szwedzka zadrgała na szyi górnika, wszyscy jego bracia rzucili młoty o ziemię i bicie żołnierzy nie potrafiło na nich wymóc roboty.

– Gińmy jak on! Gińmy jak on!... – wołać zaczęli.

Szwedzi patrzyli na to w głupim podziwieniu; dla nich było to niepojęte; jeden tylko litościwy odciął nieszczęśliwego wisielca, którego ciało upadło bezwładnie na ziemię. Olkuszanie rzucili się twarzą na kamienie i płakali.

Tak minął cały dzień prawie i plagi szwedzkie nie mogły ich do roboty przymusić. Znekani, zbici, gwałtem parci, dopiero dni następnych, znużeni, na siłach upadłszy, poczęli robotę, ale tak niechętną, tak ciężką, tak łzawą i smutną, jakiej jeszcze świat nie widział.

XXIII

Zdziwili się wracający z wycieczki pan Czarniecki i jego towarzysze, nie znalazłszy za powrotem owego więźnia związanego z zakneblowaną gębą, którego w fosę rzucili; knebel tylko i sznury zostały w miejscu, gdzie leżał, a Niemiec uszedł cało; był to bowiem ów Nathan Purbach, wysłany przez Wejharda, schwytanie zaś jego chwilowe nie tylko że nie posłużyło, ale raczej zaszkodziło obłożonym.

Wypadkiem zostawiono go pod basztą, u której stał Wachler, a Niemiec, uwolniwszy się od zapychającego mu gębę, naprędce uwiązane kłaka, począł jęczeć i cichym wywoływać głosem Wachlera. Usłyszał to puszkarz, pochylił się za mur i zawołał:

– *Wer da?* Kto tam?

– *Wachler?* – zapytał Nathan.

– Ja! ja! Ale któż tam u licha woła i skąd?

– Pst! Nathan Purbach.

– Co ty tu u licha robisz?

– Można mówić?

– Mów, tylko niegłośno, co cię tu przyniosło?

– Służę w regimencie księcia Heskiego.

– Jakżeś ty tu przyszedł? Chyba nie wiesz, że nasi poszli na wasz obóz?

– Gdzie zaś nie wiem! Oniż to mnie schwycili, związali i rzucili tutaj, żem ledwie teraz knebel z gęby wykrztusił; wrócą i porwą mnie, bo dobrze sznurami opasali; ratuj, bracie, ratuj...

– A jakże cię poratuję? Włazłeś sam, sam wylaż...

– Zlituj się, oni mnie zabiją, męczyć będą i twoje ze mną przepadnie; szedłem do ciebie właśnie – wołał Nathan – obiecują ci dwieście talarów, jeśli ułatwisz poddanie.

Wachler milczał i myślał.

– Cicho – rzekł. – Cicho leż, milcz; zobaczę, może cię potrafię wyratować.

To mówiąc, podniósł się nieco, popatrzał na mury i krokiem cichym złodzieja spuścił się w dół ku furtce, którą wyszła wycieczka. Strach dodawał mu szybkości i zwinności.

Wybiegł, posłuchał, zbliżył się do Purbacha i oderwał sznur wiążący mu ręce.

- Idź, idź, uciekaj!... A pamiętaj, zem ci życie ocalił.
 - Nim powrócę, mamy czas – rzekł żywo Nathan. – Twierdzę zdobyć musimy; jeśli do tego dopomożesz, masz dwieście talarów i życie darowane.
 - Patrzą na mnie i pilnują dobrze.
 - Ależ musicie mieć niechętnych, tchórzów, znieś się z nimi; byleście tylko furtę nam otworzyli, reszta już nasza rzecz.
- Wachler głową pokiwał.
- Zobaczymy – rzekł – zobaczymy.
 - Gdzież i jak rozmówimy się? – żywo mówił posłaniec. – Drugi raz nie będę się już śmiać podkrasć.
 - O północy dam ci znak wywieszoną czerwoną latarką; jeśli ją zobaczysz na prawo od baszty, przychodź śmiało. Ja tu sam nocą na stanowisku u dział, nikt nie przeszkodzi.
 - Do jutra...
- Nathan wyrwał się jak oparzony, a Wachler pośpieszył furtką nazad do twierdzy.
- Nazajutrz Wachler zszedł rankiem w podwórze do ludzi i Zamojski pierwszy postrzegł, że co dawniej milczał jak kamień, to teraz gardłował ciągle między tłumem, narzekając na upór księży i groźnie malując siły szwedzkie. Opieszale szedł do roboty, a gorąco narzekał. Wpadło to i innym w oko, że skutkiem może głośnych Niemca przemówień, ci, co niewiele mieli odwagi, i tę tracić zaczynali. Postrach między ludem rozszerzony, stopniami przeszedł do szlachty. Twarze blade obracały się z trwogą na wszystkie strony, jakby już Szwed miał się pokazać na murach. Poczęto szeptać tajemnie i częste schadzki u baszty Wachlera postrzegano dnia tego i następnych.
- A Szwedzi wciąż strzelali do twierdzy, a górnicy olkucy opieszale twardą rąbali opokę, którą ledwie dotąd napoczęli, niechętną ręką i sercem biorąc się do niej. Miller wszystkich pędził, na wszystkich się gniewał, a w głębi najwięcej sam na siebie, że tu przyszedł. Wajhard milczał, knując zdradę. Zdawało im się, że co chwila powinni byli ujrzeć posłów z klasztoru, przynoszących warunki poddania; ale nikt się nie ukazywał. Nathan tylko z rana po wycieczce przyszedł do namiotu Wejharda, blady i posiniałymi okryty plamami.
- Co się stało? – spytał go hrabia.

– Co? Nieszczęście! – rzekł Nathan. – Wczoraj właśnie podkradłem się pod mury, gdy ta szalona wychodziła zgraja, anim się opatrzył, jak mnie pochwycili.

– Jak to? Byłeś w ich rękę?... I jakżeś się uwolnił?

– Cudem i nie bez szwanku, jak jaśnie wielmożny pan widzi – rzekł Nathan. – To są dowody, że służę gorliwie (wskazał na sińce i obdarcia). Zakneblowano mi gębę i związanego jak psa rzucono w fosę.

– I jakżeś się wyratował?

– Cudem, panie, bom z knebla wygryzł się jakoś. Wachler się do mnie furtką wyrwał i rozwiązał mnie.

– Mówiłeś z nim?

– Mówiłem; obiecuje wszystko, ale chce dużo pieniędzy.

– Cóż powiada o murach, o murach? Wszakżeś go pytać musiał?

– Nie było tam czasu na długą rozmowę, ledwieśmy słów kilka do siebie przemówić mogli. Ale mi zaręczył, że niechętnych wiele, że przeor tylko i kilku upartych mnichów wszystkich trzymają i zmuszają do obrony, bez czego by się pewnie poddali.

Wejhard chodził po namiocie.

– Będieszże się z nim widział? .

– Dziś lub jutro.

– Idź i spocznij.

Odwrócił się do Kalińskiego.

– Starosto – rzekł – tobie wypadnie jeszcze raz pójść do klasztoru, nie w charakterze posła od nas, ale przyjaciela i doradcy. Tyś wymowny (Wejhard znał potęgę pochlebstwa) i Polak: łatwiej ich przekonasz o szaleństwie...

– Jeśli każecie? – rzekł polechtany starosta. – Nie wątpię; że generał się na to zgodzi, chodźmy do niego.

Nie było blisko do namiotu Millera, konno aż przejechać musieli do niego. Zastali generała nad stołem jako tako ustawionym w ogromnym jego namiocie, wśród posępnej pijackiej biesiady. Widać, że przedmiotem rozmowy była wycieczka nocy ostatniej, która, dowodząc Szwedom ich nieopatrzność, generałowi jego niedbalstwa, dwakroć ich wobec tych, których mieli za nieuków, upokarzała. Namiot wodza przedstawiał obraz godny wejrzenia. Otwarty od przodu, patrzył na twierdzę otoczoną dymami i odstrzeliwającą się zajadłe.

Po dolinie i wzgórzu rozsypany był żołnierz szwedzki; krzyk bojowy, huk dział, trąby i bębny, odzywając się w różnych stronach, wtórowały

biesiadzie. Stół, nakryty kilku obrusami różnego pochodzenia, ozdobionymi szlakiem szytym w herby domów polskich, a gdzieś tam w krzyże dowodzące, że nie szczędzono ołtarzy Pańskich, zalegały srebra staroświeckie niemieckiej, trybowanej roboty, a na każdej z tych sztuk bogatych znamię rodowe świadczyło, że były owocem rabunku. Były tam ogromne półmiski pańskie i kubek szlachecki, jednak pieszczony, co stał niedawno w szafie za szkłem w spokojnym gdzieś dwórku, potężne puchary misternych kształtów i owe sztucce podróżne z figurkami na rękojeściach, które dawniej każdy przy sobie nosił i ulubionymi stroił napisami i godłami. Książę Heski, Sadowski, kilku Polaków, pułkownicy szwedzcy stół dokoła obsiadali. Gdy wszedł Wejhard z Kalińskim, Miller się namarszczył, bo go za pierwszą przyczynę tych trudów i niesmaków uważał, i zaraz na pierwszym wstępie pokazał mu wiszącą jeszcze opodal na belce pętlę, na której skonał stary górnik olkuski.

– Ot, widzicie, jaka to tu wojna: wieszac potrzeba sprzymierzeńców tych, których obiecywaliście nam u ludu.

Wejhard ramionami ruszył i usiadł.

– Ha! – rzekł. – To są chwilowe nieprzyjemności, ale przecież idzie...

– Ślicznie idzie w istocie – odpowiedział Sadowski. – Noc dzisiejsza dowodem.

– To wina nasza – przerwał Miller. – Zdawało nam się, że wojujemy z mnichami, a tam są tędzy żołnierze. Nauka nie pójdzie w las, przyjdą i działa z Krakowa.

– Wszystko to nie będzie potrzebne – rzekł po chwili Wejhard.

– Wy mi zawsze nie wiecie co obiecujecie.

– Twierdza ostatkiem goni, bliska poddania.

– Tak jest; gdyśmy tu szli, mówiliście, że dnia pierwszego poddać się miała.

– Teraz to trochę pewniejsze, jenerale – rzekł ciszej Wejhard. – Wiem, że wszyscy są już do ostatka znużeni walką, zniechęceni i radzi by to skończyć.

– Tak, a jednak posłów nie przysyłają.

– Potrzeba znać stosunki wewnątrz twierdzy – tajemniczo rzekł Czech.

– Na przykład?

– Tam kilku utrzymuje kilkuset w oporze.

Miller splunął z niechęcią.

– Przyszedłem właśnie prosić jenerała, żebyś pozwolił z radą i namową wysłać starostę braclawskiego. Jestem pewny, że ich przekona i

przyniesie nam punkta, które się już gotują. Mnisi tylko cokolwiek uparci, załoga bije się zmuszona...

Miller się rozśmiał.

– Niech idzie starosta, kiedy ma ochotę, ale ja wolę traktować kulami niż parlamentarzami; moi posłowie to krakowskie działa.

Wszyscy milczeli.

– Jak na mnichów – krzyknął Miller, stukając pięścią – o stół dobrze sobie radzą. Na szatana! Jeszcześmy nigdzie takiego nie spotkali oporu... kule ich nasze nie biorą... dachów im nawet zapalić nie umiemy. Jeszcze śmieli garścią robić na nas wycieczkę. To rzeczy niepojęte! Straty wielkie, cała ich myśia dziura tego nie warta! Ale pomszczę się straszliwie, wytnę ich do nogi i to gniazdo zniszczę ze szczętem. De Fossis zabity! Horn ranny śmiertelnie, mówią doktorowie. Kilkadziesiąt na placu poległo, u nich ani jednego trupa. Myśmy dziś wyszli na mnichów i partaczy.

Mówił i pił, i wstrząsał się z gniewu.

– A tu – dodał – użyjże ludzi do robót, to ich wieszać potrzeba, żeby zmusić do kopania góry! A jesień ciężka, a lud mój marznie i choruje, a zima za pasem! Ślicznieśmy się tu wparli!

Wejhard milczał.

XXIV

Kaliński z trębaczem i białą chorągwią śpieszył znowu do klasztoru i mało co poczekawszy u furty, przez brata Pawła, po oznajmieniu przeorowi, przyjęty został i wpuszczony zwykłym sposobem. Za nim wcisnęła się żebraczka Konstancja, która większą część dnia spędzała za murami, na chwilę za wchodzącymi wbiegając do klasztoru.

Postać jej więcej niż kiedy wyrażała to obłąkanie wesołe, na które patrzeć tak smutno i ciężko. Z uśmiechem wyprzedziła starostę, który kroczył z miną poważną, i gdy mu już wchodzącemu do klasztoru oczy rozwiązano, pokłoniła się nisko.

– Do nóg upadam jaśnie wielmożnego Szweda – zawołała – do nóg upadam!

– Co to za baba? – spytał brata Pawła Kaliński.

– E! To sobie kobiecina biedna, sługa Najświętszej Panny; tak ją tu nazywają...

– Tak! Tak! – szybko podchwyciła Konstancja. – I bardzo się cieszę, że pan tak często chodzi do nas.

– Alboż co? – spytał starosta.

– A! – z uśmiechem kończyła stara. – Bo już ja wiem, co tu pana do nas sprowadza. O! O! Ja to wiem! Jaśnie wielmożny Szwed chce się, widzę, nawrócić! Chwała Bogu! Tu już, panie, i Tatarów, i Turków, i wszelkiego heretyctwa siła się nawróciło, to i pana przyjmą, byle ze skrucą...

– Co ona plecie, ta opętana! – z oburzeniem odezwał się Kaliński. – Alboż to ja nie katolik?

– Może Bóg da, że i to przyjdzie! – mówiła sobie Konstancja. – Ale dotąd co mi za katolik, co z Najświętszą Panną wojnę prowadzi!

Kaliński zarumienił się i ramionami tylko ruszył.

– A ja jaśnie wielmożnemu Szwedowi powiem – ciągnęła dalej żebraczka – który tu ksiądz najlepszy do dyscypliny, to ksiądz Paweł; do spowiedzi nie ma lepszego, jak ksiądz Mielecki: nałaje, to prawda, ale tak sumienie wypatroszy, jak potrzeba... a do...

– Ale dajże mi pokój, babo! – krzyknął Kaliński z gniewem. Brat Paweł umierał ze śmiechu, pragnąc go utaić, baba nie puszczała posła.

– Już niech każdy poświadczy, że prawdę mówię – wołała. – Brat Paweł dyscyplinuje siebie dobrze, a co by to dopiero było, jakby się do cudzych pleców dobrał! Od tego bym życzyła jasnie wielmożnemu Szwedowi rozpocząć nawrócenie.

Kaliński wytrzymać nie mógł i śpieszniej coraz pędził korytarzem, ale zwaśniej jeszcze biegła przodem żebraczka.

– Nawrócenie się, nawrócenie! To wam z oczów patrzy – wołała ciągle. – Nie wstyďteć się, toć to nie grzech! Tylko co prędzej, to lepiej, bo widzę, że wam we środku diabeł siadł i wierci, i kręci; jeśli go nie wypędzą, to was rozedmie wniwecz... na diabła nie ma lepszego sposobu nad dyscyplinę...

Brat Paweł buchnął ogromnym śmiechem, nie mogąc go już utaić, a Kaliński łajał; ale wtem i przeor wyszedł naprzeciw starosty, a Konstancja, postrzegłszy go, ukłoniła się, zakręciła i znikła.

Ledwie odeszła kilka kroków, twarz jej, tak dziwnie wesoła, zmieniła się zupełnie. Smutek głęboki, nieuleczony, ciężki, osiadł na jej czole i ustach... dobyła kawałek chleba z torby, pocałowała go, schowała i śpiesznym krokiem pobiegła pod okno Lassoty. Przysiadła na ziemi, oparła się na rękę i zadumała.

Tymczasem przeor do definitorium wprowadził Kalińskiego, wiedząc o jego przybyciu, bo mu od furty znać o tym dano. Tu już zgromadzeni byli umyślnie ojcowie i szlachta, aby wobec nich mógł z nim pomówić. Kordecki spodziewał się podpory w towarzyszach. Lecz jakże się mylił! Oprócz Zamojskiego, który ochoczo życie swoje i syna ważył, wyjąwszy Czarnieckiego, który śmierć wcześniej liczył za prawdopodobne zakończenie swojej pracy przy oblężeniu, prócz kilku jeszcze, reszta nie miała ducha, co tamtych ożywiało. I nie dziw; niewielu w cud uwierzyć może, ba niewielu są go warci. Z samych duchownych część znaczna trzymała się Kordeckiego tylko siłą i zagrzewana stawiała gorąco; zostawiona sobie, chłodziła. Przy przeorze wszyscy wotowali za wojnę, sami wzdychali; w długie noce, gdy słuchali bicia dział i krzyków, strach ich przejmował błady, drżały serca, biły piersi niespokojnym oddechem, modlitwę szeptał nie o zwycięstwo, o pokój tylko.

Mnisi to byli, a inna zaprzętała ich wojna, ta nieustanna wojna z sobą, z ciałem, z myślą, z wątpliwością, z szatanem, z tym wszystkim, co nigdy najświętszemu z ludzi nie daje pokoju. Inni nie mieli męstwa, bo im wlewała je liczba i szczęście, a przeciwność i osamotnienie wydzyrały. Dla nich potrzeba było zwycięstw, by wzbudzić odwagę, a Polska upadła

wszędzie, a wieść, skądś przyszła, to głosiła klęski, to opowiadała niedolę, i oplakana a krwawa leciała osłonięta szatą żalobną. Skądże dobyć miało męstwo dwustu ludzi wśród tysięcy; mnichom, szlachcie i wieśniakom, garści na wyspie jasnogórskiej, wśród oceanu szwedzkich żołnierzy?

Stan umysłów ludu, księży i szlachty w Częstochowie cały zależał od Kordeckiego, cały na nim spoczywał. Gdyby on ciągle nie utrzymywał ducha, wszyscy by upadli. Ale najłżejsza przeciwność obalała dzieło pobożnego przeora, a rozważa zimna, trochę samotności, zbliżenie się dwóch bojaźliwszych święty ten zapal rozpędały. Oprócz kilku wymienionych, każdy potajemnie przewidywał poddanie i myślał, jak je najmniej strasznym uczynić, uważając za nieuchronne, bolejąc nad tym, co po cichu zwano uporem Kordeckiego. Niejeden, co wstrząśniony mową jego głośno podniósł rękę i przysięgał do tchu ostatniego walczyć w obronie świętego miejsca, wróciwszy do izby, sam siebie nie poznawał, sam sobie się dziwił, gdy spojrzawszy w serce, znalazł je tak zmienionym. W niższych rzędach obrońców Częstochowy, nad którymi Wachler pracował, by je zniechęcić, toż samo rozszerzało się zwątpienie. Ludzie to byli po większej części zgromadzeni nagle, bez wyboru, których oddalenie od domów, niepokój o nie i sam widok Szwedów w takiej liczbie a słuch, że cała Polska już się im pokłoniła, czynił bojaźliwymi. Wprawdzie i tu głos Kordeckiego, stara wiara i pobożność wyrabiały chwilowe męstwo i do poświęceń gotowość, ale jakże łatwo onieśmielić głos, gdzie odwaga cudem tworzyć się musiała! Najemnicy Niemcy, Węgrzy i Ślązacy, stanowiący główną część załogi, wprawniejszą w żołnierkę i umiejętniejszą w swym rzemiośle, nadzieją tylko zapłaty, darami i groźbą utrzymywani byli. Położenie więc klasztoru zależało zupełnie od wodzów, od nieustannej ich baczności, od pilnego wglądania co chwila nie tylko w stan murów twierdzy, ale w stan serc i umysłów. Ileż to niepokoju, ile trosk codziennych, ile obawy przetrwać było potrzeba, jak czytać w twarzach, jak podsłuchiwać uczucia, by iskra zgubna nie zapłonęła w przygotowanych na jej przyjęcie umysłach!

Nie była więc całkiem fałszywą rachuba Wejharda i Kalińskiego, którzy liczyli na to, że przypomnienie stanu Polski i stanu twierdzy, zamkniętej oblężeniem, przydać się im mogło. Taki był cel wysłania starosty, który dziś zamierzał sobie być nie parlamentarzem Millera, nie urzędowym posłem, ale doradcą i przyjacielem oblakanych współbraci. Stosowną też

do tego przybrał twarz i postawę. Na korytarzach rozgniewany przez żebraczkę, rychło ochłonął i zgromadziwszy myśli, z całą usilnością, na jaką się tylko mógł zdobyć, postanowił użyć swych argumentów. Przyjmowano go jednak jako posła, co było widocznym z uroczystego wszystkich zebrania. Ale zaraz na wstępie zrzucił z siebie ten charakter, witając przeora słodziuchną miną, pokorą i grzecznością wyszukaną.

– Rad jestem – rzekł z uśmiechem – że mogę u waszej przewielebności odetchnąć; nie przychodząc tu wcale jako poseł, ale jako współobywatel i brat między swymi spędzić chwilę swobodną, a jeśli się ona na co wam przyda, będę bardzo szczęśliwy; proszę mnie tylko dziś nie mieć za Millerowskiego posłańca, bo nim wcale nie jestem.

– Tym lepiej – odpowiedział Kordecki, wskazując mu siedzenie – bo poselstwo do nas byłoby nadaremne po tylu silnych przemówieniach kulami, które stoją za najlepsze argumenty, a przecież, jak widzicie, upartych nie przekonały.

Starosta, unikając zaczepki i mowy o drażliwych sprawach, umyślnie obrócił ją na inny przedmiot.

– Nie uwierzycie – rzekł – jakie to ciężkie położenie nas, katolików, w tym wojsku szwedzkim; ale to konieczność, niestety! Żelazna konieczność!... Jesteśmy widzami wojny z bólem serca, a w dodatku nikomu na nic nieprzydatni, chyba tylko że powiększamy ciżbę.

Wszyscy milczeli; on mówił dalej ze swym uśmiechem dobrodusznym:

– Toteż podwójnie dziś miło znaleźć się między swoimi, spocząć trochę i zapomnieć o nieszczęściach kraju, co na nas to jarzmo włożyły.

Milczano jeszcze; starosta z nikogo ani potakiwania, ani oporu wydobyć nie mógł i nie wiedział, jaki skutek sprawiają słowa jego, bo ani twarz, ani usta nie objawiały go dotąd. Przykre to było położenie, obracał głową, szukał, do czego by się ucześcić, a nic nie mógł znaleźć. Baczniejszy rzut oka byłby mu oznajmił, że ubolewanie to zręczne znalazło odgłos w umysłach wielu – ale przytomność przeora i poważne a śledcze wejrzenie jego tamowało objawienie tego, co się w sercach kryło. Kaliński mówił dalej:

– Prawdziwie od zgonu Zygmunta Augusta nasza Polska widocznie dążyła do upadku. Oczy to nasze widzą, serca czują, a każdy jak umie ją rabuje.

– Szkoda – przerwał Kordecki – że nie możemy się zgodzić na jedno lekarstwo; każdy ją do siebie ciągnie, każdy się do niej przyczaja, i jak z

dziecięciem, Salomona sądu w końcu z nią być nie może... Ale Bóg łaskaw i wielki.

– A! To też prawda; w Bogu jednym nadzieja nasza – rzekł pobożnie Kaliński. – W Bogu, co jej daje takich bohaterów jak wy, księże przeorze... ludzi godnych uwielbienia i lepszej, nade wszystko szczęśliwszej sprawy.

To pochlebstwo, wprost i niezręcznie rzucone, żadnego nie sprawiło skutku. Kordecki rzucił okiem na krzyż Zbawiciela, jakby Mu ofiarował boleść swoją, i milczał.

– Można wam oddać tę sprawiedliwość – kończył starosta – której i nieprzyjacielowi nie skąpię, że z niczego potrafiłście wyrobić rzecz wielką i dokazujecie cudów. Gdybyż to na co, prócz sławy waszej, przydać się mogło – rzekł ciszej.

– Jak to? – żywo ofuknął się przeor, którego to słowo do niecierpliwości, wręcz pohamowanej jednak, przywiodło. – Wy myślicie, że mi o mizerną, o lichą i znikomą, o ludzką sławę idzie?... A! Jakże się grubo mylicie, panie starosto! Jakże się mylicie!

– Pewnie – przerwał Zamojski. – Ksiądz przeor z nami wszystkimi powiedzieć może z głębi serca: Nieśmiertelna to rzecz, czego pragnę. Nie idzie tu o sławę lichą i o poklask ludzi, ale o wiarę, o duszę, o obowiązek, o stokroć wyższe i potężniejsze pobudki czynów naszych. Prawo Boże prawdziwe jest – począł, unosząc się pan miecznik – temu prawu posłuszni, czynimy, cośmy powinni.

– A toteż z uwielbieniem patrzymy wszyscy – rzekł Kaliński – na stracone usiłowania wasze i daremną pracę.

– Dlaczego daremną? – spytał pan Czarniecki. – Nic nie jest daremnego; zda się choć dobry przykład. .

– Daremną – powtórzył Kaliński – bo stoicie szlachetnie przy sprawie zgubionej.

– Czyżaż to sprawa zgubiona? – posępnie spytał Kordecki. – Sprawa Boża i sprawiedliwości?

– Nie spierajmy się, księże przeorze – zawołał Kaliński, zawsze słodko i przymilająco – lecz pozwólcie mi mówić. Wy, od dawna zamknięci w klasztorze, oddani modlitwom, zagrzebani w pobożnym rozmyślaniu, nie wiecie i nie widzicie, co się wkoło was dzieje. Dla was bieg rzeczy ziemskich jest obcy. My, cośmy się do niego wmieszali, co z tym potokiem płyniemy, jaśniej widzimy stan Polski i zgubę jej nieuchronną.

Tak, potrzeba się rozstać ze słodką myślą wierności Janowi Kazimierzowi, bo Jan Kazimierz Polskę zgubił i gubi...

Zamojski wzdrygnął się, ale nie przerwał.

– Od Zygmunta III – mówił poważnie Kaliński – którego na tron powołało przywiązanie nasze do krwi Jagiellońskiej¹, przywiązanie tak ślepe, żeśmy jej szukali w zmieszanej z inną, byle choć kroplę jej mieć na tronie, wszystko szło opak i na zgubę; Zygmunt III był obcy, nigdy się nie stał naszym, nigdy nie zjednoczył z Polską. Obcy umysłem, sercem, nałogami, niewczesny lub nieumiejętnym ubieganiem się za władzą nieograniczoną.. wywołał opór, niesnaski, rozdwojenia i pierwszy skłonił nas ku upadkowi. Władysław IV trzymał jeszcze ręką silną, ale niepewną tego, co czyniła, na pochyłości góry losy państwa. Jan Kazimierz ze swą niestałością, ze swym płochym umysłem do ostatka nas przywiódł. Stan kraju okropny! Car z jednej., Szwed z drugiej, Kozacy, własni poddani, z trzeciej szarpią nas strony, w środku zamęt nie rozplątany... Komuż to wszystko przypisać, jeżeli nie jemu?

– Samym sobie! – przerwał przeor. – Sobie tylko! Cóż winien monarcha, któremu nieustannie wiążą ręce, pod pozorem, aby ich na własnych poddanych nie użył, który pogląda tylko, skąd mu zawieje rokosz, i wojować musi nie z nieprzyjacielem tylko, ale z poddanymi swymi? Dalżeście mu siły potrzebne do dzieł wielkich? Dalżeście mu serca wasze?

– Dlaczegoż nigdy tak źle, jak teraz, nie było? – podchwycił starosta. – Dlaczego nawet za ojca i brata nie widzieliśmy tych klęsk bez ratunku dzisiejszych? Tu nie los sam i nie my, ale głowa narodu jest winną. Pierwszym dla nas kraj być powinien, a gdy sternik na przepaście prowadzi, okrętu raczej niżeli sternika patrzeć winniśmy. Żał mi z serca Jana Kazimierza, boleję nad losem jego jako człowieka, ale nie żałuję go jako króla i z przekonania idę z Karolem Gustawem. Król, co z kolei dwie rzucił na łup stolice, którego opuściło wojsko, lud, wodzowie, już winien być musi.

– O, sroga Boża karo! – zawołał przełożony. – I to mówi poddany, syn to na ojca tak się odzywa!

– Jestem naprzód synem kraju – rzekł Kaliński. – Boleję, ale patrzę, płaczę, ale wybieram, gdzie zbawienie. Dziś najmniejszej nie ma

¹ Zygmunt III był synem Katarzyny Jagiellonki, królowej szwedzkiej, siostry Zygmunta Augusta, ostatniego Jagiellończyka

wątpliwości, że z Janem Kazimierzem trzymając wszyscy byśmy na Spisz pójść powinni, płakać, lamentować i coraz dalej uciekać. Ale Bóg łaskaw dał nam cudem swej dobroci we wrogu obrońcę, podpórę, opiekuna, nowego i silnego króla.

Kordecki zżymnął się, milczał. Zamojski ręce ścisnął. Czarniecki się żywo przechadzał, jakby mu ciężko było w miejscu wytrwać; reszta zgromadzenia wymową Kalińskiego zdawała się zdumiona razem i zajęta.

– Palec to Boży widoczny – mówił dalej starosta. – Cała Polska zwraca się ku temu obrońcy i poddaje mu zgodnie: wojska, województwa, wodzowie, panowie, miasta, zamki, lud garną się pod jego opiekę. Polska w tej chwili w jego rękach. Wy jedni jak wyspa wśród morza stoicie, opieracie się sile, oczywistości, rachubie i, rzekłbym, rozumowi, gdybym nie umiał cenić uczuć pięknych i świętych, ale czczących i do niczego nie wiodących, które was ożywiają.

Kordecki jeszcze milczał, a Kaliński, którego oka nie uchodziło, że wiele uczynił kilku słowami, pośpiesznie ciągnął dalej:

– Rozumiem to, że zakonników wiąże przysięga złożona królowi silniej niż innych, bo sądziecie w pobożności swej, że jej życiem nawet broniąc dotrzymać powinniście. Ale przysięga o tyle tylko obowiązuje, o ile jest z obu stron dotrzymaną, a Jan Kazimierz ją złamał, opuścił nas i uciekł. Sam się rzekł, czego utrzymać nic mógł, sam się wyrwał i powiedział, wychodząc z Krakowa: „Róbcie, co się wam zda lepiej”. Jakoż miliony, cały naród uznał się swobodnym od przysięgi. I dziś może być heroizmem, ale jest szaleństwem stać przy Janie Kazimierz, który królem nie jest. Szanuję to obłąkanie, ale go podzielać nie mogę.

– Obłąkanie! – szepnął chodząc Czarniecki. – Gadzina, gadzina! A jak słodko argumentuje! Niepoczcziwe lichy!

Kordecki wstrzymał się widocznie.

– Nie chcę być doradcą – z westchnieniem mówił Kaliński –bo rady odrzucacie, choć z serca pochodzą; ale wobec tego, co się dzieje, inaczej jak rychłego poddania radzić wam się nie godzi. Sami jednak nie zwyciężycie wszystkich. Król Karol Gustaw, którego sobie malujecie jakąś straszną poczwarą, obiecuje dla Polski być ojcem. Wszystkie prawa nasze potwierdza, wszystkie zachowuje swobody, katolickiej wiary niszczyć nie myśli, nie prześladowa, owszem na równi z własną opiekować się nią przyrzeka. Kto wie, czy dla nas nie nawróci się jak Jagiełło? Jego zamiary względem Jasnej Góry są ojcowskie; nie

opanować ją, ale bronić jej pragnie, chcąc ją umocnić załogą. Jeśli zniszczona zostanie, wy sami tylko temu winni będziecie.

– Co za troskliwość ojcowska! – mruczał Czarniecki.

Przeor zadumany milczał, okiem mieniać twarze wszystkich, a między szlachtą już widoczne zwątpienie i bojaźń widać było. Niektórzy szeptali między sobą znacząco i gdyby ich Kordeckiego nie wstrzymywała przytomność, znać, że gotowi byli traktować z Kalińskim.

– W istocie – rzekł odważniejszy Moszyński – wszyscy to poniekąd czujemy, co pan starosta tak wymownie powiada, wszyscy to czujemy, ale cóż, kiedy Millera strach...

– Tak! Tak! – dodał pan Jan Skórzewski. – Gdyby choć dobre przynajmniej wyjednać warunki...

Kalińskiego oczy zabłyśły radością. Szlachta się odzywała, przeor zdawał milczeć umyślnie i tylko wyglądać, jak przystąpić od siebie do traktowania. Starosta widział się już u celu i mówił dalej żywo:

– Z jenerałem, między nami mówiąc, łatwa sprawa. Jego pieniędzmi ująć najłatwiej, a co raz podpisze, tego dochowa; dać mu okup, na który się złożycie łatwo, i po wszystkim.

– Ale kościoła, skarbcza nie poszanuje – odezwał się Moszyński.

– Co się tyczy kościoła, jest dekret królewski, który całość jego zabezpiecza – rzekł Kaliński. – Nie poważy się go przestąpić Miller; do jednej rzeczy mógłby się tylko przypaść, do dzwonów, miedzi i spiżu, ale i to mu zapłacić można, porozumiawszy się z dowódcą artylerii: to jego sprawa i zarobek.

– A bezpieczeństwo osób? – coraz więcej ośmielony milczeniem Kordeckiego, spytał Skórzewski.

– O! Za to ręczyć mogę – odparł starosta. – Zresztą z dwojga złego mniejsze zawsze wybrać należy. Szwed wchodząc jako przyjaciel inaczej, jako wróg – inaczej sobie postąpi. Rozjątrzony, szturmem biorąc twierdzę, nie oszczędzać nie będzie.

Niektórzy zadrżeli ze strachu, starosta korzystał z usposobienia i rzekł:

– I choćby chciał, to żołnierza nie utrzyma, skoro rozjadły na mury, a przez mury do twierdzy wpadnie. O! Naówczas biada wam, bo wściekły będzie i mściwy, a dość go rozdrażniliście.

– Ale wy, panie starosto – przerwał Moszyński – co macie ucho łaskawe u niego, czy nie moglibyście...

Kordecki cierpiał i słuchał; zdawał się twarzą nie przeciwiać tym mowom, jakoby ludzi próbował; a gdy coraz większa liczba szlachty i

kilku zakonników ku Kalińskiemu się już zbliżali, gdy starosta zwycięzca rozpromieniał, widząc skutek swej mowy, i gotował się zbierać jej owoce – powstał dopiero ze zgrozą na twarzy, której odmalować niepodobna; płomień miał w oczach, a czoło oblekło się, wyrazem oburzenia.

– A! – zawołał, wznosząc ręce. – Ludzie małej wiary, ludzie słabi i biedni! Jakże to was lada wiatr nagina, gdzie zechce! I jakże kraj nie ma ginać, jak się do upadku nie chylić, kiedy dziś bohaterowie w obronie świętości waszych, jutro je gotowicie dla kilku słów miodowych oddać sami w ręce wroga. Słuchałem cię, panie – obrócił się do Kalińskiego – z cierpliwością, ze zdumieniem. Zwykli Polacy kłaść winę swoją na barki cudze i dziś się to tak dzieje! Król wam winien! A któż go opuścił?... Kto mu wojska odmówił? Kogo miał przy sobie wiernym w nieszczęściu? Kto robił związki dla żołdu po obozach? Kto zrywał sejmy, gdy ojczyzna gwałtu rady wołała? Nie król, nie król, ale my sami... Kto Ruś oburzył, jeśli nie my, obejście z nią nie braterskim, ale pańskim? Kto pierwszy, jeśli nie zdrada wwiodła Karola Gustawa? Wierzcie, jeśli chcecie, że zginąć musimy, ale Bóg silniejszy jest nad wszystkich, Bóg zwycięstwa, Bóg siły i sprawiedliwości. Karze, ale się lituje Bóg. Wygnańcy wracają, padają zwycięzcy... Nie cieszcie się za wcześniej. Obietnice Szwedów wielkie, patrzcie ich owoców. Z przysięgi nikt nas nie może rozwiązać krom śmierci; nie jesteśmy i nie będziemy poddanymi Karola Gustawa, króla obcej nam wiary i nieprzyjaciela naszej... A, panie starosto, żał mi cię, bo to tylko widzisz, co cię z bliska otacza, a ślepy jesteś na resztę. Podnieś się, a spojrz w świat i Polskę z myślą Bożą: inaczej i jaśniej zobaczysz...

To rzekłszy i wstrzymując wybuch pobożnego gniewu, który go przejmował, Kordecki jął żegnać starostę, aby się pozbyć gościa, co siał przestrah i zwątpienie.

– Zmierzcha – rzekł – powrót z twierdzy do obozu mógłby być niebezpieczny po nocy, zatrzymywać zaś przez noc nie śmiemy, bośmy tu obleżeni, ściśnieni i nie mielibyśmy czym przyjąć godnie tak znakomitego gościa.

Kaliński chwycił za czapkę, oglądając się dokoła po twarzach i śledząc skutków, jakie sprawiła mowa jego, lecz pożegnany, szybko odejść musiał. Zamojski dumnym wzrokiem odwiódł go do drzwi, a Czarniecki odstąpił, aby uniknąć zbliżenia przy rozstaniu.

Oddano go w ręce brata Pawła, który uradowanego i upokorzonego razem odprowadził do bramy. Ledwie się przez nią dostał na pole, gdy

jadący przed nim z białą chorągwią żołnierz od kuli szwedzkiej poległ. Można miarkować, z jakim przestachem uchodził starosta do obozu.

Z okien sali, w której jeszcze wszyscy zgromadzeni byli, jedni szepcząc niespokojnie, drudzy milcząc ponuro, a Czarniecki niecierpliwie łajał – ujrzał przeor wyjazd starosty i wystrzał, który powalił o ziemię biednego żołnierza.

– Patrzcie! – rzekł wskazując na to. – Nie jestli to palce Boży i przestroga? Przyszedł sypać niezgodę między nami i kula go śmiercią przestrzegła, że nie same doczesne rzeczy w rachunek życia wchodzić powinny. Cóż strach, co słabość nasza wobec sumienia, wiary i Boga? Bracia! Korzmy się i pokutujmy, bośmy słabi jak dzieci – wołał przeor. – Widziałem, jakżeście chciwie chwyтали słowa węzowe, słowa kusiciela, który jak dzieci straszyl was i jak dzieci nakłaniał, gdzie chciał; widziałem serca wasze i płaczę... Dopóki tak niestali a tak niewierni będziemy Bogu i sobie, jakże kraj nie ma płynąć krwią i łzami? Opamiętajcie się, ludzie małego serca, i wiercie Bogu; większych On zwycięstw dokonał. Oto ubożuchny Syn przybrany cieśli z dwunastu prostaczkami bez oręża, krom słowa, podbił świat cały, a nie mógłby nas obronić?

– Lecz czy zechce? – cicho spytał Moszyński.

– Zechce, jeśli mu uwierzym, odrzucim małowiernych! Ale tu i ludzka rachuba nawet tyle przestachu płonnego wzbudzać w nas nie powinna. Musimy się obronić i obronim się. Zima sama odpędzi Millera, posiłki mogą nadejść od króla.

– Od króla, który ich sam nie ma? – odrzekł pan Skórzewski.

– Bóg mu je da.

– Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże – dodał szlachcic.

– Wstyd słuchać takiej mowy, żal na nią odpowiadać. Zamknęliście się, ufając opiece Matki Bożej; ufajcież Jej do końca, a włos wam z głowy nie spadnie. Niedowiarków tylko a nieszczerych Bóg ukarać może. Módlcie się, pracujcie i ufajcie!

Chciano coś mówić jeszcze, ale przeor wyszedł z sali. To wyjście powiodło za sobą mnichów, a szlachtę rozdzieliło na kilka kupek różnych jak zdania. Jedni już o traktowaniu zamyślali, drudzy jeszcze o obronie, inni chcieli zbijać to, co zwali uporem Kordeckiego.

XXV

Wachler pracował usilnie około knującej się zdrady, zmagając się z Nathanem, który nocą podchodził pod basztę z poselstwami wejhardowymi, siał strach między łatwowiernym ludem i włóczęgami od kortyny do kortyny, od baszty do baszty, w czasie gdy nikogo z główniejszych wodzów nie było, jednych zyskiwał sobie obietnicami, drugich postrachem. Niemal połowa załogi ujęta już była i przystała na poddanie się Szwedowi, znajdując zbawienie swe w Wachlerze. Niemiec, widząc, że mu się nadzieje wiodą, aż zhardział i już tylko wyglądał sposobnej chwili, żeby furtę oblegającym otworzyć. Coraz mniej słuchał starszych, coraz opieszalej chodził około dział swoich, wcześniej się Szwedom wysługując. Oni tymczasem, nie doczekawszy się dział z Krakowa, bo te złymi drogami szły bardzo powolnie, szturmowali, jakimi mogli, nie tylko dniem, ale już i nocą nie dając spokoju Jasnej Górze. Bezsenność, znużenie, nieustanna praca na dachach i murach, ciągła walka z tak przemagającą siłą do reszty wyzuła z odwagi lud najemny i większą część szlachty. Już się zdrady, zasnuta potajemnie, od załogi poczyniała rozszerzać się między schronionych w twierdzy. Kilku ludzi szepnęło coś o tym bojaźliwej szlachcie, tchórze podali ręce. Znać też było ze zwolnionej obrony, z twarzy bladych i ostygłych, że początkowy zapal wygasł. Kordecki pierwszy to spostrzegł, a raczej przeczuł. Zamojski także doznawał w podwładnych tego oporu bezwładnej masy, która sobą kierować nie dawała. Potrzeba było powtarzać rozkazy, a większa ich część zostawała nie spełnioną lub na wpół tylko i niechętnie dokonaną. Najlepsze chęci dowódców rozbijały się o obojętność coraz widoczniejszą ludu. Czarniecki gniewał się i rzucał niecierpliwie, a czekając podnosząc, nieraz już chciał karcieć; ale go Kordecki wstrzymywał jeszcze, wmawiając, że gwałt zraża raczej niż jedna serca. Dla wszystkich wytrwałych widoczniejszą co chwila stawała się uknuta zdrada i chęć załogi, ale nici do odkrycia spisku pochwycić nie było można.

Nazajutrz po bytności Kalińskiego, który wrażenie, jakie uczynił, potrafił odmalować i przedstawić w obozie jako potężne, obleżeni ukazali się na murach bezzilni, potrwożeni, jakby już czekali, rychło ich Szwedzi zagarną.

Rano wcisnęła się do klasztoru Konstancja i z niezwykłym pośpiechem krocząc, naprzód poszła do kaplicy na prymarię, potem pod Hanny okienko. Tu próżno wyjścia dziewczęcia czekała. Lassota był chory, Hanna wybiec nie mogła. Jakby sobie coś nagle przypomniała, ucałowawszy mur, zerwała się staruszka i pobiegła w dziedziniec. Widocznie szukała tu kogoś. Wtem znany głos przeora i biała jego suknia zwróciła ją ku niemu; pośpieszyła naprzeciw Kordeckiego, ze smutną twarzą idącego od kościoła na mury.

– Ojczy! – zawołała zdyszana, całując habit jego. – Czy pozwolicie biednej grzesznicy powiedzieć słowo?

– Mów, dziecko moje, czegoż ci potrzeba?

– Mnie nic, ale mam coś ważnego do powiedzenia waszej przewielebności – odpowiedziała Konstancja. – Tylko nie tu... nie trzeba, żeby nas słyszano.

– Wszak nikt nas nie słucha.

– O! Mury uszy mają, gdy idzie o życie i losy ludzkie.

Przeor wyszedł z nią na środek dziedzińca, gdzie nikt rozmowy posłyszeć nie mógł, a stara poczęła ostrożnie i cicho:

– O tym miałam księdzu przeorowi powiedzieć, że się w twierdzy knuje zdrada.

– Jakże ty o tym wiesz? – zapytał niewzruszony Korecki.

– Ja nocuję w furcie za murami, a w nocy słyszę, jak się ktoś podkrada i rozmawia tu, tylko z kim? Dojść nie mogłam.

– Jakże ci się zdaje, któż to być może?...

– Zdaje mi się, że szwargocą po niemiecku, ale trudno ich było zrozumieć i podchwycić. To pewna, że znoszą się Szwedzi z załogą, jak Bóg Bogiem prawda; niech ksiądz przeor ratuje i radzi!

– Niewiele żeś mnie nauczyła – rzekł Kordecki. – I ja sam się czegoś domniemywałem; ale gdzież te rozmowy? W którym miejscu?

– Różnie; najczęściej od południowo-wschodniej strony, mój ojczy.

– A! A! Wachler! – szepnął przeor do siebie. – Dawno mi podejrzany. Bóg ci zapłać, stara, poczcziwa sługo Matki Boskiej; idź, a nie mów nikomu! Pan Bóg wynagrodzi twoją pracę.

To mówiąc, przeor żywiej pośpieszył na mury, wszedł na nie i prosto dążył do Czarnieckiego, który z obuszkami latał i ludzi opieszłych do dział spędział i do strzelnic. A już mu się ofukiwali niektórzy i nie słuchało wielu, jakby rozkazów nie rozumieli. Czarniecki był w gniewie i

biegał od jednego do drugiego, posyłał szlachtę, a leniwszym nawet się po uszach dostawało. Kordecki odwołał go na stronę.

– Panie Piotrze – rzekł – chodźcie no z Zamojskim na radę do mnie; chwili nie ma do stracenia, zdrada się knuje, potrzeba o sobie myśleć.

Czarnecki aż się za głowę pochwycił, ale pomiarkował, że ten ruch zdradzić go może i udał, że czapki poprawia, ramionami rzucił, a choć stary, biegiem pośpieszył do pana miecznika. Słowo mu tylko szepnął cicho i razem żywo zwrócili się do klasztoru. Po drodze ściągano tych, którym więcej wierzono, i już wchodzili w korytarze, gdy trąbka ozwała się u wrót pierwszych, zwiastując jakiegoś posłańca. Brat Paweł nadbiegł zdyszany i ucałował rękę przeora.

– A kto tam?

– Wczorajszy starosta – odrzekł braciszek. – Co z nim robić? Chce pomówić.

– Zobaczyc, jak wczorajsze nasienie zeszło! – rzekł Kordecki. – No, przyjmijmy go w bramie; wpuszczaj, bracie, i wstrzymaj w swojej izbie. To mówiąc, puściwszy przodem furtiana, poszli sami do bramy także i zastali już w ciasnej celce brata Pawła Kalińskiego uśmiechnionego, pełnego nadziei i zdającego się wybierać z nim do wnętrza klasztoru.

– Daruj, panie, że cię tu tylko przyjmijmy – rzekł Kordecki. – Czas nasz na godziny policzony obrona i nabożeństwo zabierają, nie możemy korzystać z miłej jego obecności. Co rozkażecie, panie starosto?

– Nic, chciałem się tylko dowiedzieć, póki pora jeszcze, czy nie mogę wam na co być przydatnym; ofiaruję się chętnie do pośredniczenia z Millerem.

– My jeszcze, dzięki Bogu, o tym nie myślimy – odpowiedział przeor.

– A! To bardzo winszuję! – odparł starosta. – Ale jeszcze raz pozwólcie sobie powiedzieć: źle radzicie, źle czynicie.

– Zostawcie nam z łaski swojej pieczę o siebie! – kwaśno a dumnie rzekł Zamojski.

– Ha, jak wola wasza – podchwycił Kaliński, odprawiony z kwitkiem. – Jeśli tak gardzicie moją dobrą chęcią, nie będę natrętnym.

I zniechęcony odwrócił się szybko, myśląc, że go wstrzymają, gdy ich tak zastraszy; ale nikt o tym nie myślał i Kaliński wyszedł tak żywo z bramy, że jeszcze brat Paweł nie zdążył zaryglować za nim, a już mu odryglować było potrzeba.

– A teraz do klasztoru – zawołał przeor. – Kto ma Boga i wiarę w sercu, radźcie i pomóżcie!

W milczeniu przeszli dziedziniec i zgromadzili się wszyscy w celi przeora. Tu już niespokojni otoczyli go kołem. Postawiono u drzwi Rudnickiego, profesora, aby pilnował i nikogo nie wpuszczał bez oznajmienia, a przeor tak począł:

– Niebezpieczeństwo nagle, zdradę mamy w klasztorze dojrzewającą; choć nie wiem spełna, kto, co i jak, ale Bóg dopomoże i dowiemy się z Jego łaski reszty. Nieprzyjaciół ma związki z naszymi, nocne schadзки i zмовы pod murami; trzeba to przerwać, ukarać... Powiedźcie naprzód, nie podejrzewacie kogo?

– Wszystkich – rzekł gorąco Czarniecki – a zwłaszcza Niemców. Już ja to widzę jasno, że jakieś лихо się plecie, bo ani posłuszeństwa, ani ochoty, jak uciął od dni kilku.

– I ja spostrzegam toż samo – rzekł Zamojski – lecz nikogo mianować nie mogę i nie umiem; niemal wszyscy z załogi muszą być w spisku; od kilku dni nie wymodlić, nie wybić, nie wyłajać posłuszeństwa. Jak z kamienia idzie, ruszają się niechętnie, strzelają miękko, a ledwie z oka spuściwszy, już w podwórzu rady, szepty i jakieś konszachty.

– Jawno tedy, że zdrada jest – rzekł przeor. – Może niesprawiedliwy jestem, ale mi coś mówi, że Wachler puszkarz jest sprawcą i głową.

Na te słowa wszyscy, jakby nagle światłem olśnieni, zawołali:

– Niechybnie to on.

– Widziałem go, jak omamiał ludzi.

– Po nocach się włóczy i szepcze.

– Zewsząd do niego chodzą...

– Pozostaje nam sprawdzić to i zapobiec złemu – kończył przeor.

– Zawołać go tu – rzekł Zamojski. – Złęknie się.

– Taka była i myśl moja pierwsza – odparł Kordecki. – Zasiądźcie wszyscy, pójdą po niego.

I wnet Rudnicki wysłał braciszka po puszkarza, którego pozorem odebrania płacy zwabić miano.

Niepokój tymczasem wielki opanował przytomnych. Twarze były zmienione, przestrach każdemu czuć się dawał, bo niebezpieczeństwo tajemniczością swą olbrzymiało w ich oczach. Krzyki na murach zdawały się oznajmywać nieprzyjaciela, huk kul, wyrwanie miną wyłomu. Przeor tylko zatopiony w myślach, siedział milczący.

Wtem drzwi się otworzyły szeroko i wpuszczono Wachlera. Na widok siedzącej dokoła stołu starszyny i przeora, którzy, jakby go sądzić mieli, wszyscy surowymi twarzami zaraz się obrócili do niego, puszkarz zbladł

jak chusta, zabełkotał coś niezrozumiale i chciał się nazad cofnąć za drzwi, jakby mu przyszyła myśl ucieczki. Pomiarkował jednak, że wydałby się tym jednym, i nadrabiając odwagę, postąpił krok – ale wejrzenie Kordeckiego, który z niego oka nie spuszczał i wzrok badający w nim utopił, zmieszało go znowu; głowę pochylił, chciał się zawrócić, sam nie wiedział, co robił. Głuche milczenie panowało w celi. Wszyscy za przeorem wzrokiem go ścigali; pod wejrzeniami tymi, jak pod strzałami, coraz bardziej tracąc przytomność, zdrajca gwałtownie do drzwi się rzucił, złorzecząc.

– Wachler! – zawołał łagodnie przeor. – Odpowiadaj na zapytanie!

– Co, na co? Na co ja mam odpowiadać? – bełkotał niezrozumiale puszkarz.

– Z kim, kiedy i jak ułożyłeś się o zdradę i poddanie Częstochowy?

Na te słowa, rzekłbyś, że piorun w niego uderzył; wryty, osłupiały zdrtwiał. Pań Czarniecki przyskoczył ku niemu.

– Tak jest, szoldro jakiś! Wszystko wiadomo! Nie myśl mi się zapierać, a chceszli życie unieść całe, mów tu zaraz prawdę; nie, to zaraz na gotową szubienicę!

Wachler padł na kolana i ręce złożył drżący; nim usta otworzył, uznał się winnym. Pozostało go wybadać.

Przeor za ten cud dzięki Bogu składał.

Krzysztoporski posunął się ku niemu groźny, surowy, wziął kartę ze stołu i udawał, że z niej czyta.

– Mów – rzekł – jacy są spółnicy twojej zbrodni?

– Ja... darujcie... ja nie wiem... ja... Nathan...

I jękając się, przerywał co chwila łzami, składając ręce, w obawie śmierci, którą uważał za niechybną. Opowiedział, jak go skusił Nathan, jakie z sobą mieli rozmowy i że już stanął układ o otworzenie furty i wpuszczenie nocą Szwedów.

Wszyscy zadrżeli.

Spisek, jak zaraza niewidocznie się rozchodząca i szerząca dotknięciem, oddechem, spojrzeniem niemal, jak posłaniec strachu przez czas krótki rozpostarł się ogromnie. Cała niemal załoga cudzoziemska, wszyscy najemnicy, kilku nawet szlachty należeli do niego. Wejhard, uwiadomiony o liczbie, umawiał się, rachował na nich. Niewysłownym strachem to cudowne odkrycie mającej już wybuchnąć zmowy przejęło wszystkich. Jeden Kordecki pozostał nie wzruszony, odnosząc to, jak wszystko – do Boga.

Wyprowadzono Wachlera pod strażą i osadzono tymczasowo w celi pustej, na jego miejsce innego do dział wyznaczyszy. Zamojski, Czarniecki, Krzysztoporski, kilku innych świeckich i księży pozostali radzić, co czynić należało. Czarniecki przebaczyć nie chciał.

– Wachlera, ojcie przeorze dobrodzieju – rzekł żwawo – na murach koło baszty powiesić, niech dynda na odstraszący przykład innym; od tego nie odstępuję, potrzebne dla postrachu...

Wszyscy poszli za jego zdaniem oprócz Kordeckiego.

– Dość będzie go wygnać z fortecy – rzekł – a z nim głównych spółników jego.

– I samym się pozostać? – spytał Zamojski. – To być nie może!

– Gdy tylko przywódcę ukarzymy, reszta – podchwycił Czarniecki – kajać się musi; aby tylko Wachlera powiesić. Reszty tych trutniów z oka nie spuścim i pilnować będziemy.

– Niechętnym zresztą – rzekł Krzysztoporski – podwoić płacę, zachęcić ich nagrodą, a strzec ciągle; my i księża nieodstępnie będziemy przy działach i na murach dniem i nocą. Wszystkie stanowiska obsadzone być mogą przez półszlachtę i księżmi co młodszymi i silniejszymi; na nikogo się nie spuszczać i nikomu nie ufać... oto moja rada.

– I na nowo wziąć przysięgę od załogi, że do ostatniej kropli krwi bronić się będą – zawołał Zamojski.

– Ale co z puszkarzem zrobić?

– Puścić go i wypędzić – rzekł przeor.

– Jak to? Żeby o stanie fortecy, murów, o duchu załogi i o wszystkich okolicznościach dotyczących się nas dał nieprzyjacielowi wiadomość? To być nie może!

– Puścić! – powtórzył Kordecki. – Wiedzą oni i bez niego, jak się mamy. Wieszać go nie pozwolę, dość i tak ludu ginie, zostawmy go zgryzotom sumienia i oddajmy Szwedowi, którego pokochał...

– Wspaniałość piękna, ale zbyt uczciwa – odezwał się Czarniecki. – Gdyby tak na mnie; dyndałby szoldra na murach, spółników bym przecwiczyl co dziesiątego i tak by służyli, aż miło!

– Ale pamiętajcie, panie Piotrze, żeśmy nie żołnierze, lecz księża; karać nie nasza rzecz. Niech truteń idzie precz z łąką, dość dla niego kary. Co się tyczy załogi, dobra była rada Zamojskiego. Przebaczyć musim i pilnować będziem. Każcie, proszę, zwołać wszystkich w podwórze, trzeba się z nimi rozmówić.

Już po twierdzy, gdy spostrzeżono długą nieobecność Wachlera, wezwanego do klasztoru, trwoga szerzyć się zaczynała. Spiskowi domyślali się odkrycia występku i obawiali się kary. Przeczuwając coś, biegali przerażeni, niepewni, co z sobą czynić, ale ich z oka nie spuszczano. Gdy posłyszano rozkaz, żeby się wszystek lud zgromadził w podwórzu, pobladły twarze winnych i zabiły serca. Kilku chciało uciekać furtką, dwóch poczęło się już spuszczać z murów; reszta posłuszna być musiała i szła jak na ścięcie. W towarzystwie kilku księży i dowódców przeor z krzyżem w ręku wyszedł do zgromadzonych, spojrzał po twarzach złękłych żołdaków i tak się odezwał:

– Uknuto zdradę, ale Bóg ją odkrył; wiemy, kto do spisku należał, bo przywódca jego schwytyany jest w ręku naszym. Niech Bóg ukarze lub przebaczy tym, którzy przeciwko Niemu, przeciw przysiędze swojej i sumieniu postąpili; my obłąkanych sumieniu własnemu zostawujemy. Słuchajcie i korzcie się, dzieci moje! Głowa tej niepocziwej zdrady przeciwko miejscu świętemu odepchnięta zostanie i wyłączoną spomiędzy nas. Wy macie czas upamiętać się i nagrodzić gorliwością złe, któreście uczynić zamierzali. Nieszczęsna bojaźń oślepiła was. Myślicie, że wpuszczając tu Szweda, bylibyście osłonili się od mordu, współbraci tylko na rzeź i okup swój wydając? Nie! Padlibyście razem z nimi. Ale Bóg nie chciał zguby wszystkich, bo opieka Jego wyraźna czuwa nad nami.

Czarnecki, nie mogąc wytrwać, przerwał:

– Słowem, ksiądz przeor przebacza na ten raz niepoczciwość waszą, ale na znak najmniejszej zlej woli, na najlżejsze podejrzenie, żołnierskim i szlacheckim słowem upewniam, że zdrajcom przepuszczone nie będzie i powywieszać ich każem. A zatem posłuszeństwo nadal!

– Rozporządźcie według myśli waszej – odezwał się Kordecki do Zamojskiego i pana Piotra. – Potrzeba podejrzanych oddać pod dozór najmocniejszy.

– Przeliczyć piechotę – rzekł Zamojski żywo. – Rozdzielimy ją na oddziały, do każdego stanowiska dziesięciu szlachty i dziesięciu zakonników dodamy dla pilności...

– Płacę waszą – dodał Kordecki – powiększam we dwójnasób i dziś ją z góry wypłacić polecę, ale mi złożycie przysięgę, że do ostatniej kropli krwi bronić będziecie tego przybytku Matki Bożej, gdzie się schronił ostatek wiary przed napaścią heretyków. Idźcie Boga prosić o przebaczenie; za mną do kościoła!

To mówiąc, zwrócił się ku murom, wiodąc tłum za sobą milczący, na którego twarzach różne i dziwne malowały się uczucia. Przebaczenie to gorzej kary zgromiło i upokorzyło. Wstyd i gniew na tych, co przywiedli do zdrady, przejęły obłąkanych; jeli się żywo tłumaczyć i uniewinniać, jedni na drugich składając winę, wszyscy na Wachlera. Otoczyli przeora i gwarnie poprzysięgali wierność i posłuszeństwo.

– Myśmy niewinni, ojcze! To Wachler! Wciągnęli nas, zdurzyli!

– Ja nie należałem – mówił inny.

– Jam do końca ich gromił.

– Ja chciałem nawet donieść, ojcze przeorze...

– Co było, stało się; opłakiwać potrzeba, że i tu w tej gromadce musiała być zdrada. Do kościoła! Twarzą przed ołtarzem Matki Boskiej padnijcie, Ją o przebaczenie proście!

To mówiąc, prowadził ich przed ołtarz i wszystek ten tłum, wylękły i niespokojny, ukląkł pokornie, nową zagrzany gorliwością, pragnąc co rychłej zmasać występki swój męstwem i pracą.

Dwóch księży wyznaczono do odebrania nowej przysięgi po nabożeństwie. Kordecki tymczasem kazał dzwonić do definitorium i wszystkim tu zebrać się zakonnikom.

– Ojcowie – rzekł do zgromadzonych – w wielkich razach wielkich należy użyć środków. Nie dosyć pracowaliśmy jeszcze, Matka Boża chce z nas mieć stróżów pilniejszych i prawdziwszych żołnierzy. Zdrada uknuta groziła nam przed godziną wydaniem w ręce nieprzyjaciela na rzeź i rabunek. Opatrzność ją wskazała i wyrwała jej żądlę, umiejmy się na przyszłość od niebezpieczeństw podobnych obwarować. Czterdziestu z nas, silniejszych i młodszych, na cztery stanowiska rozdzielić się musi, by z oka już nie spuszczać puszkarzy i załogi. Starsi tylko odtąd, których wiek uwalnia, zostaną obowiązani do chóru północnego, młodszy, mieniając się naienne i nocne modlitwy, wedle reguły naszej, pilnować ich będą... Nie wzdragajmy się pracy na chwałę Bożą, nie skarżmy się i nie frasujmy! W tej chwili oczy kraju całego zwrócone są na Jasną Górę; myśmy od Boga wyznaczonym przykładem, myśmy skałą, o którą się rozbija moc Szweda...

Wszyscy skłonili głowy, nikt od rozporządzeń nie śmiał się wymawiać.

– Działa i zapasy powierzam w dozór ojcu Piotrowi Lassocie. Nie chciałeś wojny, ale ją znosisz mężnym sercem, pracując gorliwie; oddaję ci, co mam w tej chwili najdroższego, bo narzędzie naszej obrony... Wy starsi, ojcowie Ignacy i Kazimierzu, do gaszenia ognia z ludźmi

przeznaczeni jesteście, bo wam ciężko by było do boju, a i tu pilność konieczna, a samej czeladzi ufać już nie można. Ojciec Marceli Dobrosz z ojcem Małachowskim wezmą na się dozór murów i stanowisk, ogólny dozór całej twierdzy. Dotąd ufaliśmy szczęściu i opiece Matki Bożej, której nowy dowód dziś mamy, ale przy ufności należy też z nas każdemu, siebie nie szczędząc, pracować z ludem.

– Ojcowie, bracia! – zawołał w ostatku Kordecki. – Na macierzyński żywot Najświętszej Panny, który nosił Zbawiciela świata, na mękę Syna Bożego i cierniową Jego koronę, na zbawienie wasze, na życie przyszłe zaklinam was, proszę, błagam, nie upadajcie na duchu Wielki i potężny Pan Zastępów, ufajmy Mu! Myśmy wśród tej nieszczęśliwej krainy przykładem, otuchą dla tych, co jeszcze w zginienie ostatnie nie wierzą i zmartwychwstania oczekują! Kto wie, czy w tej garści mnichów bezsilnych nie spoczywają losy Rzeczypospolitej, czy my nie jesteśmy punktem, od którego zmieni się szczęście nieprzyjaciół naszych... Nie opuszczajmy sprawy, której przysięgliśmy bronić, ze strachu, z braku wiary, dla mizernego spokoju doczesnego... a wielkie będzie dzieło wasze... Kto się nie czuje na siłach, bracia mili, niech powie, niech się usunie. Pożaluję go jako obłąkanego brata, ale mu przebaczę; nam potrzeba mężnych i wytrwałych...

Na to wezwanie nikt nie odpowiedział, owszem wszyscy niemal wołali:

– Co każesz, spełnim ochotnie! Życie nasze w rękę Boga. Praca nie oderwie nas od modlitwy, bo dusza zakonnika zawsze się modlić powinna i może.

– Za mną więc, kto siły w sobie czuje, za mną, bracia!

I wyszli procesjonalnie po dwóch, a Kordecki powiódł ich wprost na mury, rozjaśniony, promieniejący nową odwagą, którą wszystkich natchnąć umiał. Zastali całą szlachtę zgromadzoną w podwórku i oczekującą na nowe rozporządzenia. Słuch o zdradzie już się był rozszedł wszędzie i wzbudził przerażenie największe. Kobiety, starcy, dzieci, kto tylko schronił się do Częstochowy, wysypali się wszyscy na dziedzińce i ze łzami otoczyli przeora, jak tylko go spostrzegli.

– Ojcze, nie opuszczaj nas, nie oddawaj w ręce nieprzyjaciół... zdrada, nieszczęście!

– Co się stało? – wołali inni. – Gdzie zdrada? Wskażcie nam winnych!

– Nic, nic, dzieci moje; bądźcie spokojni i wracajcie do swoich zatrudnień. Kto dźwignie broń, kto użytecznym być może, na mury z

nami; reszta módlcie się i siedźcie: waszym orężem modlitwa. Nie obawiajcie się, Bóg łaskaw!

– A! Zmiłujcie się – zawołała jedna z niewiast, całując ręce przeora. – Nie pozwalajcie oddawać nas Szwedowi...

– Nie! Nie! Będziemy się bronić do upadłego – odparł Kordecki. – Nic wam nie grozi, rozchodźcie się i nie trwóście, a kto pomóc może, niech rąk nie żałuje. Wy, panowie bracia – obrócił się do szlachty – wraz z nami na stanowiska; złożyliście w murach twierdzy, coście mieli najdroższego, żony i dzieci wasze; brońcież ich z nami razem!

Tu jął wyznaczać dowódców, a każda kupka szlachty i zakonników poszła strzec swej dzielnicy na kortynie. Pan Zygmunt Moszyński z ojcem Hilarym Sławoszewskim stać mieli na północo-wschodzie u tej baszty, której Wachler pilnował wprzód; od zachodu zlecono straż Mikołajowi Krzysztoporskiemu i ojcu Ignacemu Mieleckiemu, mnichowi-żołnierzowi, który jeszcze dawnego nie zapomniał rzemiosła; od południo-wschodu. był pan Piotr Czarniecki i ksiądz Adam Stypulski, od południo-zachodu Jan Skórzewski i ojciec Daniel Rychtański.

Pobłogosławieni przez przeora, rozeszli się wszyscy z nową gorliwością do pracy. Ksiądz Piotr Lassota, mający prochy i działa w dozorze, był także nocnym stróżem ogniów na murach i wieży. Panu miecznikowi Zamojskiemu z ojcem Ludwikiem Czarnieckim, bratem pana Piotra, milczącym, ale zimnowytrwałego charakteru mężem, zwierzchnia władza oddana została, nad którą kierunek przeorowi powierzali chętnie wszyscy, czując jego wyższość nad sobą. Mury całkiem nowy przedstawiały widok, jak gdyby załoga świeża, lud krzepki i nie znużony jeszcze wszedł na nie, bo duch nowy ożywiał każdego i wodzowie poczuli, jednocząc się z nim, że znowu serca były zgodnie i silnie, że załoga wróciła do spójnej, potężnej całości z nimi. Zwątpienie już na żadnej nie ukazywało się twarzy. Każdy patrzył skinienia, biegł, garnał się, leciał, starał się pociągnąć za sobą drugich i okazać, że nic dla niego trudnym nie będzie. Białe habity paulinów po raz pierwszy gęsto powiewały na murach i przy działach, i mężowie zakonnicy z różańcem w ręku, z krzyżami w dłoni oparli się o oręż, czoło pobożne podnosząc przeciwko nieprzyjacielowi z zimną pogardą śmierci. To rozporządzenie przeora wielki zaraz i widoczny sprawiło skutek, bo dozór księży i szlachty nieustanny ogarnął duchem ufności i męstwa lud, który sam sobie zostawiony, wątpił i trwożył się bez przyczyny.

Pod pilną pieczę starszych, pod okiem kapłanów, każdy dreszcz potajemny, każde słowo bojaźliwe wnet uleczone być mogły, i zdawało się, że nic nie potrafi zmóc chrztem przebaczenia umocnionych żołnierzy.

Ale słabe, słabe są serca ludzkie!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TOM DRUGI

I

Pozostało rozporządzić losem Wachlera i spór był wielki między szlachcią a zakonnikami o niego. Przeor chciał go koniecznie wygnać, dowodząc Szwedom, że jeden zdrajca nic dla nich nie znaczy, że gardzą podobnymi spiskami i nie obawiają się nawet tego, co o stanie twierdzy powiedzieć im może. Zamojski chciał go zatrzymać w więzieniu do końca oblężenia, a Czarniecki uparcie dopraszał się o powieszenie. Martwy ze strachu, gotował się na śmierć zdrajca i, ochłonawszy nieco z pierwszego odrętwienia, wpadł w złość, miotając się bezsilnym gniewem, rzucając do drzwi i okien, grożąc murom Szwedami i pomstą Wejharda. Około południa otworzyły się drzwi i Wachler myślał, że go już powiodą na stracenie... upatrywał tylko kata. Ukazał mu się brat Paweł, furtian, a zanim dwóch pachołków.

– Chodź! – zawołali.

Przelekły chwycił się za kraty okna i wrzeszczeć począł, wzywając ratunku, tak że go oderwać musiano gwałtem i gwałtem pociągnięto do bramy. Bronił się jeszcze w dziedzińcu, aż gdy ujrzał, że go do wrót prowadzą, nieco ochłonął, niepewien jednak jeszcze, co z nim zrobią, aż do otwarcia furty. Ujrzawszy się swobodnym, bo go tylko pogardliwie wypchnięto za mury, wśród świstu kul odzyskał przytomność i szybko uciekać zaczął ku obozowi szwedzkiemu.

Wejhard właśnie rozmawiał z Nathanem i budowali sobie łatwe zamki na lodzie, że jutro Częstochowę zdradą owładną, i hrabia już w myśli triumfował nad Millerem, który go dotąd obwiniał o zwodne łudzenie fałszami i karmienie urojoną nadzieją, gdy niespodzianie ukazał się u drzwi namiotu wylekły, błady, odarty, zdyszany Wachler.

Nathan osłupiał z podziwienia.

– Co to się stało? – zawołał.

Wachler padł na ziemię znużony.

– Co to za człowiek? – spytał Wejhard.

- A to nasz puszkarz z Jasnej Góry.
- Cóż tu robi po dniu?
- Nie rozumiem, dopytać się go trzeba.

Ale długo słowa z niego dobyć nie było można, aż wreszcie, bolejąc naprzód nad stratą manatków, klnąc Nathana i podmowę jego, począł gadać; ale mówił, jakby sam do siebie, nie zważając na Wejharda, a rozżalając się nad położeniem własnym. Był to rodzaj obłąkania, ostatek strachu i obudzona żalność nad stratami, wyrażająca się z całą siłą niepohamowanego samolubstwa.

Wejhard, zrozumiawszy łatwo, że zamiary jego na niczym spełzły, zasepił się, rzucił ramionami z gniewu i wszedł do głębi namiotu, zostawując Nathana z biegiem. Ale wprędce powrócił.

- Wstrzymać go tu – rzekł do swoich ludzi. – Dać mu przytułek, człowiek ten zdać się nam może.

Stał już koń osiodłany, skoczył nań hrabia i podążył ku miejscu, gdzie stał Miller. Jenerał przyglądał się górnikom, co minę kopali; potem ruszył objeżdżając Jasną Górę po raz może dziesiąty, upatrując na murach, gdzie by się łatwiej wyłom dał zrobić, i w ten punkt chcąc wszystkie działa swoje skierować. Przybywszy, w pierwszej chwili lekce sobie ważył twierdzę i jej obrońców; gniew też nim miotał, gdy tyle czasu stracił na zdobycie tego, jak nazywał, kurnika; dziś już widząc, że z ludem mężnym, z żołnierzem wprawnym i z mocnym dosyć zamkiem ma do czynienia, uważniej działać poczynął. Wycieczka z Częstochowy nauczyła go, że nie z samymi mnichami prowadzi wojnę.

Zobaczywszy podjeżdżającego Wejharda, który mu zawsze krew psuł, odwrócił się z widoczną niechęcią. Hrabia miał dobrą minę, choć w sercu był zły i smutny; postanowił inaczej rzecz malować, niż była, i z Wachlera uczynić Millerowi rzecz wielką, a sobie zasługę. Panując doskonale nad wyrazem twarzy, rozjaśnił ją i pozdrowił jenerała wesoło.

- A co? Poddają się? – rzekł Miller, szydząc.
- Poddadzą – odparł Wejhard z uśmiechem tajemniczym.
- Jakoż są i znaki przepowiednie: strzelają.
- Są znaki i bardzo widoczne.
- Nie moglibyście wytłumaczyć mi, jakie?
- Zdaje mi się, że kiedy im najlepsi puszkarze uciekają z twierdzy, to coś znaczy...
- Gdzież? Jacy? – odwrócił się Szwed.
- Jednego już mamy.

– Gdzież jest?

– U mnie; zwabiłem go nadzieją dobrej zapłaty i mnisi już na tej baszcie – wskazał palcem – nie mają kogo przy działach postawić. Mniej jednym umiejętnym człowiekiem i to wiele; a co lepiej, przynosi nam szczegółowe wiadomości o stanie ducha i murów. Załoga niechętna, buntują się ludzie, mnisi tylko i szlachta za łeb ich trzymają; co chwila można się spodziewać, że nam bramy otworzą.

Z niedowierzaniem słuchał generał opowiadania i głową kiwał.

– A jednak – rzekł – od tej baszty opuszczonej dobrego ognia na nas dają.
– A! Oczywiście – odparł Wejhard – muszą się maskować i to już pewnie postawili, co mieli najlepszego, ale zawsze odebraliśmy im prawą rękę. Jest to cudzoziemiec. Polacy z szablą w rękę a w polu zuchy; ale u dział a w kąt zaparci długo nie wytrzymają, pośpią się zaraz lub pokłócą.

– No, i gdzież ten puszkarz tak ważny? – spytał wódz.

– U mnie w namiocie.

– Na cóżeście go sobie przywłaszczyli? – rzekł posepnie Miller. – Dawajcie nam go tutaj!

– Każę go odstawić do waszej kwatery, panie jenerale; teraz jeszcze nie przyszedł do siebie, bo uciekającego gonili podobno wystrzałami i ledwie z życiem uszedł.

– Jak to? Uciekł tak w biały dzień?

Pokiwał głową Miller z niedowierzaniem.

Wtem dwa białe habity zakonne ukazały się z daleka od twierdzy. Wejhard pierwszy je spostrzegł i, korzystając z tego, odwróciwszy się zaraz, jakby ich nie widział, mówił:

– To pewna, że ta ucieczka dobrze nam wróży i niechybnie dziś parlamentarzy od nich mieć będziemy; twierdza się podda.

To rzekłszy, odskoczył na bok w stronę przeciwną, a Miller nierychło potem postrzegł sam zbliżających się księży.

– A! A! Zgadł ten lis, jeśli ich nie widział – rzekł, zacierając ręce. – Przecież może skończy się ten wstyd; rozrachujemy się z papistami! – Twarz mu się rozśmiała z radości. – Boć wstyd – szeptał sam do siebie – tak długo tysiącom z kupką mnichów się targać.

I rozkazał Wejharda nazad przywołać, bo mnisi się zbliżali; chciał go mieć do pomocy. Zsiadł z konia, rzucił się na podesłany dywanik i czekał. Posłańcy już byli o kilka kroków. Ich postawy pokorne, twarze fraszobliwe i blade zdawały się dowodzić, że przyszli w istocie prosić a błagać przebaczenia.

Byli to księża Dobrosz i Stawiski.

Już samo ich ukazanie się usposabiało Millera do dobrego humoru; czas był piękny, a dotąd trwały mgły i sloty, jenerał zjadł smaczne śniadanie i jakoś mu się twarz śmiała. Ujrzawszy paulinów, powitał ich grzecznie łaciną, której trochę umiał.

– A co? Dokuczyło wam! Nie wasza rzecz! – rzekł, przeciwko zwyczajowi uprzejmie się kłaniając. – Pomiarkowaliście się.

Mnisi pokornie powitanie mu oddali.

– Panie jenerale – rzekł ksiądz Dobrosz – istotnie wojna nie nasze rzemiosło, radzibyśmy jej już co prędzej poprzestać; ale cóż robić z musu?

– Poddajcież się! – zawołał Miller. – Nie ma na to innej rady. Częstochowę mieć musimy.

– Ale warunki? – spytał ksiądz Dobrosz.

– No, spiszcie mi swoje, a pogadamy – dodał Szwed – ja tymczasem moje przygotować każę. I nie obawiajcie się mnie jak wilka, bom ci to i ja człowiek, a niektórzy nawet mówią, że niezgorszy.

To mówiąc, skinął na pacholę swoje, żeby podał wina, i prosił nawet ojców wypić zdrowie. Tak niezwykle przyjęcie przejmowało ich zdziwieniem. Nie wiedzieli, że Miller mógł być tak uprzejmym i miłym. Tymczasem zbliżył się i Wejhard nie bez wahania i całkiem w innej postaci, niżeli przed chwilą z Millerem rozmawiał; rzucił wejrzenie ostre i groźne na mnichów, ani ich pozdrawiając, ani się do nich odezwawszy. Ojciec Dobrosz skłonił mu się nisko, on pogardliwie się odwrócił z pańską dumą.

– Prawdę mówiłeś – rzekł jenerał, obracając się do niego. – Dobry z ciebie prorok, hrabio; otóż i są!

Wejhard milczał; wiedział on może lepiej od Millera, że ci posłowie nowe zwłoki zwiastują, nowym są sidłem; obawiał się przy tym, by o Wachlerze całej nie powiedzieli prawdy, i dlatego starał się ich pozbyć najprędzej.

Miller jednak nie odstąpił od poczęstowania, usiłując okazać się ludzkim, grzecznym, powolnym i skarbząc sobie, jak sądził, serca mnichów.

Odprawieni z tym, aby punkta swoje przynieśli, wrócili nie bawiąc do klasztoru. Przeor czekał u furty; sam bowiem wysłał ich, chcąc wygrać na czasie, postanowił zaś, sił swych szcędząc, traktowaniem przeciągnąć o ile możności. Wejhard wiedział, a raczej domyślał się, na czym się to skończy, ale mówić nie chciał, uwodząc Millera rychłym poddaniem.

- A co? – spytał Kordecki powracających.
- Nowa całkiem rzeczy postać – odparł śmiejąc się ksiądz Dobrosz. – Jak my pokorni, tak on grzeczny; nie fukał, nie groził, nie bił, nie łajał, ale częstował, pił zdrowie nasze, kazał wychylać swoje, jakby chciał nas z sobą oswoić, ośmielić i zbliżyć do siebie. Ale na biedę tej słodczy wierzyć trudno.
- No, a o Wachlerze?
- Cicho o nim; ani słowa.
- A Wejharda widzieliście?
- Posępny, groźny.
- Nie dziw, robota się, dzięki Bogu, nie udała. Cóż wam powiedział Miller?
- „Przynieście nam punkta swoje”.
- Zapewne – zaśmiał się Kordecki – a nużby się na nie zgodził, wpadlibyśmy w matnię. Nam tylko uciśnionym o godziny chodzi, które liczymy. Jutro więc posłać wypadnie znowu, prosząc, by nam dał swoje warunki. Aby dalej, aby dalej, a Bóg na końcu okaże moc swoją. To mówiąc, weselszy poszedł z nimi do klasztoru. Ojciec Dobrosz, nie znużony, udał się zaraz na mury towarzyszyć w dozorze panu Małachowskiemu, a ksiądz Stawiski na wieczorne nabożeństwo do chóru.

II

W izdebce Lassoty cicho było i smutno; starzec, wstrząśniony ucieczką z domu i doznanymi wrażeniami, codziennie przestraszany pogłoskami, które to poddanie się, to szturmy, to zdrady wróżyły, leżał, nie wstając z pościeli. Przy nim siedziała nieodstępnie Hanna, to go ciesząc, to z nim płacząc. Rzadko biedne dziecko wybiegało z rana do kościoła, śpiesząc z modlitwą, by do dziada wrócić; a wieczorem, gdy czasem brat pana Jana, ksiądz Piotr, nadszedł na chwilę, wymykała się stanąć na progu sieni, odetchnąć świeżym powietrzem i podumać swobodniej. Przy starcu i westchnąć się obawiała, aby go nie zastraszyć i nie przysporzyć mu boleści. Owszem, zmyślała wesele, uśmiechała się, poskakiwała, opowiadając mu baśnie, jak dziecięciu.

Wieczorem też prawie co dzień przychodziła pod ścianę stara żebraczka, siadała i czekała na ukazanie się Hanny.

Dziewczę osamotnione oswoiło się z nią prędko, a nie mając nikogo, przywiązało się do Kostuchy. Stara przynosiła jej świeże wieści, które ubierała po swojemu, aby nie wystraszyć jej zbyt, i z dziennych wypadków pogadanki. Czasem rozpytywała Hannę o jej życie, o dziada, o dom – a gdy dziewczę poczęło malować spokojne ubóstwo swoje i dworek, i ogródek, i wiejskie życie, jak wianek różany wonne i jak on z liścia, kwiatu i ciernia złożone, to się starucha rozkwiliła nieraz i jakby ją to za serce chwytało, poczyniała płakać i śmiać się na przemian, przysuwała nieznacznie do dziecka, czepiała się jej sukienki, całowała po nogach. Ów ułamek chleba od pierwszego wieczora z piersi jej nie schodził, a że jeszcze niczym za niego wywdzięczyć się nie mogła, to ją widać bolało.

Ale czymże mogła wywdzięczyć się żebraczka? Chodziła, dumiała długo nadaremnie. Jednego dnia oddała dziecięciu medalik z Najświętszą Panną, po który aż do Częstochowy, do miasteczka, przez obóz szwedzki, wśród kul i żołnierstwa chodziła. Teraz już nie wiedziała, co przynieść swej Hannie. I wieczorem wkradła się biedna do szklarni klasztornej, w której ojcowie hodowali trochę zieleni i kwiatów dla przystrojania ołtarza na święta, narwała szybko w fartuch, co jej pod rękę wpadło, i z tą zdobyczą przybiegła żywo pod okienko.

Hanna była przy dziadzie, a nie mając co, opowiadała mu o żebracze, która tak dziwnie do niej się przywiązała. Stary słuchał i zdawał się niespokojny. Ta tak nagle, tak silna wdzięczność za chleba kawałek zdawała mu się niezwykajna; postanowił brata rozpytać o starą kobietę, którą wszyscy znali w Częstochowie, a Hanna poświadczyła o tym, bo widziała, jak ją każdy przechodzący witał.

Posłyszawszy szelest u okna, dziewczę wybiegło i w progu spotkało z kwiatami staruszkę.

– Naści, moje dziecko drogie – szybko odezwała się Konstancja, całując róg jej sukienki – schowaj, bo zdaje mi się, że ksiądz Piotr idzie, a to kradzione...

Zawinęła się i wymknęła szybko; jakoż i ksiądz Lassota wchodził na próg, zobaczył zaraz kwiatki u Hanny i spytał ją, skąd ich dostała.

– A! To ta staruszka mi przyniosła – odpowiedziało zaskoczone dziewczę.

I weszli razem do izdebki Jana.

– Właśnie o tę starą żebraczkę miałem się ciebie spytać, bracie – podnosząc się z łoża, rzekł chory – bo to coś nadzwyczajnego: przywiązała się do Handzi i co dzień do niej przychodzi. Przyniosła jej pozawczoraj medalik, dziś widzę kwiatki. Co to za kobieta?

Mówiąc to, dźwignął się stary, a oczy mu jaśniały jakby ciekawością i przestachem jakimś.

– Dawno ona tu w Częstochowie? – dodał żywiej.

– Doprawdy, że nie wiem – odpowiedział ksiądz Piotr – to tylko pewna, że osobliwsze z niej stworzenie. Zdaje się, że ma umysł cokolwiek pomieszany; jałmużny nie bierze lub rozdaje ją między ubogich, nocuje i teraz w fosie pod gołym niebem, a kule nam szwedzkie, od murów odbite, zbiera i przynosi codziennie. Czasem aż do zbytku wesoła, ale spokojne to pomieszanie nikomu nie szkodzi; stara pobożna i stateczna: obawiać się jej nie ma czego. Zowią ją tu sługą Matki Boskiej, a i ona tak się najczęściej tytułuje.

Lassota powoli upadł na łóżko; rozmowa na inny zesła przedmiot. Mówiono o obłężeniu, o zdradzie, o nowych przeora rozporządzeniach, a że to gorąco zajmowało wszystkich, zapomniano o starej.

Izba, w której mieszkał Jan Lassota, szczególnym trafu zrządzeniem wychodziła oknem i drzwiami ku tej części murów właśnie, na której Krzysztoporski z ojcem Mieleckim dozór mieli. Z blankowania łatwo było można widzieć drzwi izdebki, kto do niej wchodził lub wychodził, a

Krzysztoporski często też wpatrywał się w piękną Hannę, której twarzyczka zdawała się coraz to nowy budzić w nim niepokój, nową jakąś wywoływać zgrzyotę. Patrzył na nią jakby mimowolnie, odwracał się, potęgą woli panując nad sobą, i znowu poglądał chciwie. Parę razy przemknęła mu się stara Konstancja, na której z Handzią rozmowy i pieśczoć, ukrywając się za węgiel bastionu, z gniewem się wpatrywał. Wszyscy postrzegli po jakimś czasie odmianę w tym człowieku. Dumny, groźny, surowy i milczący zawsze, zdawał się term dwakroć jeszcze zajadlejszym do boju, szukał niebezpieczeństwa, narażał się na nie, a dniem i nocą pracując, jakby się chciał złamać pracą, pokonać trudem, gdy inni spoczywali, chodził, sam spełniał strażę. I wśród głuchej nocy, gdy po murach wiatr jesienny szeleścił, gdy krzyki warty i chód jej powolny uszu tylko dochodziły, stawał z założonymi rękoma naprzeciw okna Lassoty, w którym się zawsze przy chorym świeciło, zgrzytał zębami, nieraz pięść ściśnioną wyciągając ku niemu w ciemności.

Ojciec Mielecki, wesół z natury i rubacha, wcale nierad był towarzyszowi, z którym ani się rozmówić, ani pośmiać nie było można; ten ledwie słowo konieczne wybąknął, odwracał się zaraz i milczał. Ale cóż było robić? Począł pracować nad udobruchaniem pana Krzysztoporskiego, choć mu szło jak z kamienia.

Żebraczka była przedmiotem szczególnej baczości Krzysztoporskiego; poglądał na nią jak na niepokojącą zagadkę; spytał nawet parę razy księdza Mieleckiego; który mu tyle powiedział, co ksiądz Lassota bratu; nic się nie dowiedziawszy, z oka jej jednak nie spuszczał. Dziwił się jednak, że ją tak puszczano samopas do klasztoru o każdej godzinie, a gdy rozmawiała z Hanną, nadstawiał i wytyczał ucho, rzucając się niespokojnie. Szukał potem sposobności, żeby się zbliżyć do tej tajemniczej postaci; ale jak on jej szukał, tak ona zdawała się go unikać. Ledwie spostrzegła z daleka, wsuwała się to do kościoła, to do bramy, to do mieszkań śpiesząc. Po próżno usiłował się z nią spotkać; zawsze mu się wyślizgiwała.

Nareszcie dnia tego, gdy rzuciwszy kwiatki, odbiegła szybko, uchodząc od księdza Lassoty, Krzysztoporski zaparł jej drogę i, wpatrując się chmurnym okiem w odartą żebraczkę, zawołał grzmiąco:

– Stój! Dokąd?

– To ja! – drżącym głosem w początku odpowiedziała schwytna; lecz jakby przypomniawszy sobie zaraz swoją wesołość zwykłą, dodała raźniej: –

Sługa Matki Boskiej, stara żebraczka... Czego pan ode mnie chcesz? Kule już pooddawałam...

– Dokądże się tak po złodziejsku wymykasz? – spytał okiem ją mierząc Krzysztoperski.

Ona tymczasem wstrząśnięciem głowy chustę sobie na oczy zarzuciła, żeby jej w twarz nie mógł spojrzeć.

– E! Puśćcie, panie, bo nie mam czasu: idę do kościoła.

Szlachcic ciągle się wpatrywał, ale gdy miał w oczy zajrzeć, wyrwała się od niego, wołając:

– Cóż to? Czy już w Częstochowie sługi Matki Boskiej nie znają, czy co?... Co to ja Szwed przebrany? Nie, kochanku – dodała z przymuszonym uśmiechem – nie jestem Szwedem ani heretykiem.

Ojciec Mielecki, którzy z murów patrzył na to, zawołał w tej chwili:

– E! panie Krzysztoperski, co tam się darmo frasujecie! To nasza żebraczka, dajcie jej pokój, to Konstancja.

Na to imię Krzysztoperski szybko zdarł jej chustę z twarzy, a stara, wyszczerzając żółte zęby i nagle udając wesołość szaloną, krzyknęła ze śmiechem trupiej głowy.

– A co? Buziaczka mego chciałeś zobaczyć?... Piękny, nieprawda? Cha, cha! Wstydziłbyś się, stary szpaku, panienki po ulicach zaczepiać!

– To ona! To ona!... – odezwał się, gwałtownie odskakując, z poruszeniem wstrętu i podziwienia szlachcic

– Aha! Dopieroś poznał sługę Matki Boskiej, dopieroś się przekonał. Cha, cha! Prawda, że ładna? Kochanku, piękniejsze w trumnie gniją.

Zawróciła się i podrygując a skacząc odeszła.

– Cóżście wy od niej chcieli? – zapytał ojciec Mielecki. – To nasza dobrodziejka; kule nam nosi, szpieguje, Szwedów tropi, a wczoraj olkuskich górników tak nastraszyła, wyszedłszy nocą z klasztoru do nich z kazaniem, że rzuciwszy młoty, choć się Szweda bali, jeszcze gorzej zlekli się starej i puciekali przebojem.

Ale mnich-wojak nie dopytał słowa od Krzysztoperskiego; szlachcic wszedł na mur milczący i zamyślony, wsparł się na strzelnicę, okiem zbłąkanym rzucając na daleki kraj. Paulin widział, że coś dziwnego działo się w duszy tego człowieka – i odstąpił. Chwila tak upłynęła, aż zbudzony Krzysztoperski chwycił stempel i począł sam działo czyścić; zrzucił z siebie zbroję, zrzucił suknię, zdjął hełm, odpasał miecz, rozdział się do koszuli, jakby mu wewnątrz ogień jaki dojmował, i nużąc się do

bezsilności, całą noc przetrwał w stanie jakiegoś obłąkania i szału, który nim gwałtownie miotał.

Nie mogąc pojąć, co mu się stało, ksiądz Ignacy ruszył ramionami i począł się modlić.

– Ani chybi – rzekł w sobie – obłąkanie być musi dla niektórych zaraźliwe: jeno na nią popatrzał, jakby go szatan opętał. Jeśli tak długo potrwa, żeby tylko nie potrzeba było egzorcyzmu. Bo uważam, że się nie modli nigdy i na zbroi nie ma ani krzyżyka, ani obrazka, ani różańca. Zła sprawa; muszę na niego pilnie baczyć; żołnierz dobry, ale coś mu jest. Czy go tam co tak gryzie wewnątrz, jakiś robak?... I milczy: ani słowa z niego dobyć, ani się kiedy rozmarszczy.

To powiedziawszy ksiądz Mielecki głową pokiwał, wsparł się na działo i różaniec rozpuściwszy, odmówił pacierz na intencję towarzysza.

III

Noc była, a noc jesienna, nie uśmiechająca się ziemi słodkim odpoczynkiem, nie kołysząca pieśnią rozkoszną i wonią rozkwitłego świata dzieci Bożych; nie gwiazdzista a oczów tysiącem czuwająca nad czarną ziemią, ale chmurna, czarna, straszna, co to, jak zajrzysz, przepaściste ciemności, a na tle głuchego milczenia wrą wichry, jakby szatany w powietrzu pasowały się z sobą o jakieś nieszczęśliwe dusze... I słyszeć jakby jęki, jakby śmiechy i stękanie, i westchnienia, kwilenie dzieci i groźne huki zaświata tajemnic... Trzeba wielkiego hartu duszy i ciała, żeby na nas pora taka nie czyniła wrażenia. Nawet w ciepłej izbie, u jasnego komina, coś tęsknego uciska serce; coś dopiero pod gołym niebem, na powietrzu, gdzie każde wichru szarpnięcie, każdy głos burzy w piersi się odbija, gdy tajemnicze głosy stworzenia łapie ucho, a każdy jęk niebios w rozdrażnionej odzywa się duszy.

Przy baszcie swej siedział ksiądz Mielecki, z żołnierza zakonnik, z zakonnika żołnierz znowu; Krzysztoporski się przechadzał. Pierwszy powolnie spuszczał paciorek po paciorku różańca, a z nimi modlitwy swoje do skarbnicy niebieskiej; drugi biegał, rozdziawszy się, wpólnagi, z piersią odsłoniłą, miotał się po murach i stękał.

Przed nimi dokoła czarno było, jakby kirem oblókł się świat cały. Straże tylko porozpalały ognie daleko, przy szwedzkim obozie, a na wieży płonął, jak zawsze, wzywający na próżno odsieczy kaganiec; na murach gdzieś gorzały wartujące latarnie, a z kaplicy, u wejścia do klasztoru, błądły połysk lampy, gorejącej wiecznie przy obrazie, przez okno mdłym się wybijał promyk, mrugając, rozpalając się i przygasając, jakby chciał skonać, a nie mógł. Te błyski wśród ciemności zdawały się zawieszone w powietrzu; nie rozeznawałeś ziemi od niebios, i twierdza, rzekłbyś, wisiała z nimi w czarnych obłokach.

Straże ponuro, posepnie, smutno odzywały się z hasłem pobożnym. Jedne wołały: „Ratuj, Maryjo!” drugie im odpowiadały pobożnym: „Memento mori”. I jakby klasztor był ogromnym katafalkiem, a wszyscy stali u łóża konającego lub nad trumną zmarłego, tak było smutno i straszno.

Ksiądz Mielecki modlił się, modlił, spod oka coraz spozjrzał na towarzysza, a Boga prosił, żeby go uspokoił. Bo tam, w tej nagiej i nie

mającej chłodu piersi, widocznie ogień jakiś gorzał namiętny, choć głowę już przyprószyła siwizna. Ta namiętność tak gwałtowna zagadką była dla księdza Mieleckiego. Skończywszy modlitwy, nie wytrwał stary żołnierz, rozpoczął rozmowę westchnieniem naprzód, którego nie usłyszał Krzysztoporski. Zakaszał zakonnik i drugi raz westchnął głośniejsze – i tego nie uważał ciągle przechadzką zajęty szlachcic; aż nareszcie ojciec Ignacy powstał i kaptur zasuwając na głowę, okrytą czapeczką, odezwał się:

– Starość nie radość, panie Mikołaju; nie otulał się człowiek tak za młodu, gdy za śp. Zygmunta III szliśmy pod Smoleńsk.¹

– Byłeś, ojcze, pod Smoleńskiem?

– A jakże, byłem, i jeszcze noszę pamiątkę od bojarzyna, co mnie skubnął przez głowę, za com mu z nasypką oddał. No! A kto by to powiedział, że się z szablą uwijało niezgorzej! Teraz tylko z różańcem. Ależ to wam nie zimno?

Uśmiechnął się Krzysztoporski.

– Myślicie? Mnie gorąco.

– To chyba choroba, bo na dworze wiatr ostry... Mam pod habitem kożuszyne, a czuję go dobrze.

– A ja wcale nie.

– Cóż to wam, panie Mikołaju?

Krzysztoporski zwrócił oczy na światelko z izdebki Lassoty, wlepił je i westchnąwszy poszedł dalej, ale wróciwszy na miejsce, stanął.

– Wiecie, ojcze Ignacy – rzekł – że mi w życiu dwa razy tylko było zimno.

– No, i kiedy to? – rad rozmowie spytał Mielecki.

– Tobie, ojcze, to by tego mówić się nie powinno – z gorzkim uśmiechem rzekł szlachcic.

– A dlaczegóż?

– Tyś mnich, a dziś jeszcze, ot, jak widzicie mnie starym... Nie dokończył. – Ależ bo ja się nie myślę spowiadać! – fuknął po chwili Krzysztoporski.

– I to źle, boby ci to nie zaszkodziło, widzi mi się.

– Nie, nie!... Jeszcze na spowiedź moją nie czas.

¹ Było to w l. 1609–1611: Smoleńsk poddał się Zygmuntowi III dnia 11 czerwca 1611 r.

- Tak! A potem być może już nie czas.
- Mniejsza o to! – mruknął szlachcic. – Bóg lepszy od ludzi.
- Ksiądz Mielecki zamilkł, a Krzysztorski zaraz dodał, jakby potrzebując wywnętrzenia:
- No, chcesz jegomość wiedzieć, kiedy mi w życiu było zimno, to powiem.
- Jak się wam podoba.
- Otóż raz, kiedym się ożenił – rzekł Krzysztorski – a drugi raz, gdy mi żonę odbierano.
- Jak to odbierano? – zapytał ksiądz.
- A tak, odbierano i odebrano – odpowiedział stary – bo poszła ode mnie w świat...
- Ksiądz znowu zmilczał, ale pan. Mikołaj już miał gwałtowną chętkę dokończenia reszty i zawołał:
- No, wywołałeś biedę, księżu, to słuchajże i reszty!
- Byleście co nic potem mi nie gadali, bo to, jakom powiedział, słucha się, ale to tylko na spowiedzi.
- E! Jużciż pleść nie będę! Choć to o kobiecie mowa, ależ nie, już i słuchać wam nie można, że się kochało; a kochałem, księżuniu, kobietę stworzoną na męki ludzkie, na potępienie i desperację. Szatan to był i anioł w jednym ciebie.
- Tylko, mój panie Mikołaju – przerwał ojciec Ignacy – nie należy mieszać rzeczy świętych z świeckimi. Co to kobiecie do anioła?
- No! A jednak to tak było, inaczej powiedzieć nie można żywo dodał Krzysztorski – bo i zła, i dobra, i twoja, i nie twoja. Dziś cię kocha, że życie, zdaje się, dałaby za ciebie; jutro, patrz, przysunął się nowy gaszek, uśmiecha się nowemu, oczyma go kole, aż z niego wysączy szal, pasję... Dziś twoja do łez, jutro z ciebie szydzi do śmiechu, i kat ją mógł zrozumieć.
- No, to ją tam porzucić było, pókiś się nie ożenił.
- A tak! Porzucić, gdyż to można! Dałby człek życia kawał, żeby się odczepić! Ale cię wiązała jak łańcuchem i płakał człowiek, i wstydził się, i powracał. Dziś, już lat temu wiele dziesiątków ubiegło, wspomnę, a jeszcze gorzej i gniew a zazdrość mnie pali.
- Przeżegnajcie się krzyżem świętym! – rzekł ojciec Mielecki. – To wyraźnie opętanie.
- Dobrzeście powiedzieli, było to w istocie opętanie: człek się nie posiadał, moc jakaś władała nim i pętała go.

- Byłóż się modlić i odżegnać.
- Bóg i modlitwie odmawiał skutku. O! I tegom w nieszczęściu próbował.
- Trzeba było nie ustawać a modlić się.
- Kochałem ją dziewczką, kochałem zamężną.
- A toż zbrodnia! – zawołał ojciec Ignacy.
- Wiem o tym, ojczu, ale to było opętanie. Człek siebie samego nie znał; odebrałem ją mężowi wreszcie, wyrobiłem rozwód i wziąłem za żonę. Mnich się przeżegnał, patrząc spod kaptura na Krzysztoporskiego okiem bojaźliwego zdziwienia.
- Ale – dodał pan Mikołaj – szatan, co mnie do tego prowadził, chłostać poczał. Gdy m ją wydarł mężowi, poczęła mnie męczyć zalotnością swoją, jak męczyła pierwszego, i doprowadziła do wściekłości. Nikt, nikt oprzeć się jej nie mógł; kogo chciała, oszalała.
- No, musiała to być nicpotem kobieta, zła i zepsuta; ale...
- Ale to był szatan! – zawołał Krzysztoporski. – To był szatan, bo kto ją raz pokochał, tego potem pasja i miłość nie opuszczały do śmierci... Doprowadziła mnie do tego, że m ją zamknąć musiał, bom był zazdrosny jak bisurman i szalałem, ażem się mścić poczał nad tą okrutnicą.
- Straszneż to mi opowiadacie dzieje!
- Posłuchajcież do dna! Pierwszy mąż dowiedział się o jej losie; nie wytrzymał, napadł na mnienocką i uwolnił ją z więzienia. Uszła i jużem jej więcej nie widział. No! Alem się nad nim pomścił.
- A cóżeś zyskał na zemście, oślepy człowieku? – spytał ksiądz Mielecki.
- Prawda! Zyskałem jeszcze większe pragnienie zemsty! – zaśmiał się szlachcic gorzko. – Alem musiał się mścić, bom głowy nie miał i dziś jej nie mam jeszcze. Jej córka, córka z pierwszego małżeństwa, umarła. Bóg wie, może i z mojej przyczyny! Wydarłem mu majątek, przyprowadziłem do ubóstwa...
- A lepiejże ci z tym? – powtórzył zakonnik.
- Lepiej! Któż wie? A była chwila triumfu! Alem i ja ujrzał nad sobą rękę Bożą; jedyny syn mój umarł. Nie zostało mi nic krom mojej złości. Nieprzyjaciół całego mego życia ostał się przecie, żyje i ma pociechę jeszcze... ma światełko, co mu świeci.
- Słów tych z gniewem i zazdrością domówił Krzysztoporski. Ksiądz Mielecki obrócił się do niego łagodnie i rzekł:
- Widzicie, Bóg nigdy nie błogosławi zemście.

– Ojcz! – gwałtownie przerwał stary szlachcic – wyście przeżyli lata wasze w pokoju i świętości, wy tego zrozumieć nie możecie, ale są chwile, w których potrzeba zemsty dochodzi do szafu.

– Człek winien się bronić modlitwą.

– Modliłem się, modłę i modlitwy nie rozumiem... jak kamień od muru, odpada od mojego serca.

– Kropla wody nieustanna kamień wyżłobi.

– A znajdźcież mi tę wody kroplę! – zawołał z wykrzykiem Krzysztoporski. – Nie! Nie! Serce to twardsze od opoki, nic go nie weźmie, nic go nie przebiję.

To rzekłszy, szlachcic stanął znowu, popatrzył w okno Lassoty, zżymnął się, zadrżał, zacisnął pięści, zagryzł usta, z których kropla krwi wytrysła, i mówił do siebie, jakby się zagrzewał:

– Jam wszystko stracił, on ma pociechę. Ja nic nie mam, on ma nadzieję, otuchę, radość! Tak być nie może, czymże on lepszy ode mnie? Umrę, ale się zemszczę!

Ojciec Mielecki, przestraszony wywołanymi zeznaniami i wspomnieniami szlachcica, z gorączkowym niepokojem opowiedzianymi, usunął się nieco, nie chcąc ich więcej rozdrażniać, i począł znowu się modlić, żeby zatrzeć w sobie wrażenie doznane – chciał się obmyć z błota, które na niego prysnęło.

Po chwili uderzyła godzina północnego chóru; dzwon się odezwał i ksiądz Ignacy zszedł z murów, śpiesząc do kościoła. Krzysztoporski, jak tylko się go pozbył, obejrzał się, czy go kto nie śledzi, i podszedł szybko pod izdebkę Lassoty. Oczy mu się iskrzyły, twarz pałała, nastawiał ucha, ale nic nie słyszał, a ujrzał tylko przy mdłym świetelku kaganka – dziewczę, siedzące u łóżka starca, który spoczywał snem łagodnym i orzeźwiającym. Hanna, która się była zdrzemnęła, ze złożonymi na piersiach rękoma, jakby ją sen ujął wśród modlitwy, zdawała się zatopiona w jakimś widzeniu niebieskim, w rajskich marzeń zachwycie... usta jej uśmiechały się słodko, twarz tchnęła spokojem nie naszego świata.

Nigdy zjadliwszej nienawiści okiem nie spojrzał człowiek na człowieka, jak w tej chwili stary Krzysztoporski na starca i Hannę. Byłby ich, zdaje się, pożarł wzrokiem, gdyby mógł, byłby zabił; i czy to potęgą wzroku nienawistnego, czy inny powód jaki – Hanna wśród snu spokojnego porwała się nagle z krzykiem bólesci, starzec obudził się przestraszony.

– Co ci to, Handziu? Co ci to, dziecię moje?

- Nic, nic, dziaduniu... tak... wśród snu, wśród marzenia o naszym dworku, o matce mojej, o ogródku, o wiosce naszej, o nie wiem czym, coś mi się przyśniło strasznego i obudziłam się z krzykiem... A! I przerwałam ci sen.
- To nic, to nic, ja nie spałem– rzekł stary.
- Jak to, nie?
- Nie, nie, tylko oczy miałem zmrużone; połóż się, proszę cię; dobra chwila spokoju, póki nie strzelają, zaśnij... zaśnij.
- Ja? Ja spałam do woli w dzień, mnie się spać nie chce.
- Biedne dziecko, ty się zabijasz przy mnie!
- O, mój dziadziu! – i klękła, całując wyschlą jego rękę.
- Krzysztoporski odskoczył żywo i pobiegł na mury.

IV

Dość rano wyprowadził przeor znowu, choć tęsknie i smutno, tych samych posłów, co wczoraj. Zamojski utrzymywał go w tej myśli zwlekania traktowaniem dla zyskania na czasie. Miano zawsze nadzieję w Janie Kazimierzu i znanej pobożności jego dla świętego miejsca. Oczekiwano posiłków, odsieczy od kasztelana kijowskiego może, polegając na staraniach Stanisława Warszyckiego, na naleganiach prowincjała Broniowskiego, na uczuciu szlachty polskiej, która wieści o oblężeniu Jasnej Góry przyjąć nie mogła obojętnie; w ostatku zima nadchodząca powinna była Szwedów odpędzić. Czas więc zyskując, kupowano choć słabą nadzieję. Jeden pan Czarniecki nie był tak dalece za traktowaniem.

– Co tam! – mówił do przeora ze zwykłą rubaszością szlachecką. – Wodę warzyć, woda będzie; nie chcemy się poddać, a filutujemy, to jakoś nie po polsku.

Pan Zamojski wcale był przeciwnego zdania, a Kordecki, nic nie mówiąc, poszedł za radą jego. Jako zakonnik, wstręt miał do podobnych wykrętów, jako wódz, widział ich potrzebę. Wypuszczając za bramę dla traktowania księdza Dobrosza i Stawiskiego, zażądał przeor od Millera zakładników, nie bez przyczyny lękał się bowiem, aby w ostatku zwłokami zniecierpliwiony generał nie mścił się za nie na posłach. Już wychodzili księża, gdy od szwedzkiego obozu jeden tylko ukazał się zakładnik, ale z chodu i miny znać było, że podstawiono przebranego ciurę.

– A widzicie – rzekł pan Czarniecki – tu się jakieś лихо kroi: czemu nikogo ze swej starszyny dać nam nie chce?

– Na cóż zakładnicy? – odparł sam ksiądz Dobrosz. – Tyle razy posyłani byliśmy, a nic się nam przecie nie stało: i teraz cali powrócimy; wreszcie, gdyby co i zamierzał złego, alboż to myślicie, że nie podołamy chociażby męczeństwu?

Te wyrazy, wymówione z prostotą, potwierdził cichym spojrzeniem ksiądz Stawiski. Wyszli obaj zakonnicy rześko i odważnie, a przeor, który zawsze zdawał się mieć prorocze widzenie przyszłości, pożegnał ich smutnie, jakby z tego kroku, do którego zmuszała go potrzeba, zmartwień i zawikłań się spodziewał; odwrócił się potem, przeszedł milczący na bok i rzekł do pana Zamojskiego:

– O, panie mieczniku, co dzień, co godzina powtarzam: nie nasza to rzecz wojna.

– Tym większa zasługa, że ją dla Boga prowadzicie.

– Wszystko to dobrze – przerwał pan Czarniecki – ale traktować ze Szwedami nie po tym; strzelać do nich to, ale...

Pan Zamojski spojrzął na szlachcica z uśmiechem, zaprawnym odrobiną politowania.

– Pomiedzy młotem a kowadłem się znajdując, coś robić mamy? – mówił dalej. – Wszelkimi sposoby bronić się musimy: mieczem i głową. Ale do końca rozpaczć nie trzeba.

Pan Czarniecki ruszył ramionami, także z rodzajem litości.

– Bić i milczeć – rzekł z cicha – to by była moja rada. A kropić ich, a gęsto...

– Ależ i spocząć potrzeba – rzekł przeor. – Jeśli nie nam, którym Bóg niezwykłych sił dla sprawy swej używać raczy, to ludziom, którzy tej siły od Boga, co waszmość, panie Piotrze, nie mają; a tymczasem da Pan szczęśliwy koniec.

Działa milczały na murach i to właśnie pobudzało zły humor pana Czarnieckiego; pokiwał głową i odszedł niechętny.

Księża, wysłani z twierdzy, dążyli ku namiotom Millera, który na nich niecierpliwie oczekiwał z całą wystawą zbroi, ludu, wozów, siły, na jaką mógł się zdobyć, by im potęgę swoją i majestat ukazać. Uśmiech nadziei wypogadzał mu twarz, ale obok stojący Wejhard chmurny był jak noc i milczący.

– No, coś mi przynosicie? – spytał generał księży.

– Przeor sam warunków zakreślać wam nie chce i nie może – rzekł ksiądz Dobrosz żywo. – Zdaje mu się, że stosowniej byłoby, gdybyście mu je dali, oświadczając, czego sobie życzycie.

– Tym lepiej – odparł Miller, nie domyślając się bynajmniej, że tu tylko o czas chodziło. – Pułkowniku – rzekł do Wejharda – każcie spisać warunki, a wy, ojcowie, rozgośćcie się, proszę, tymczasem.

Paulini skłonili się i stali w milczeniu, gdy generał właśnie śniadanie podać rozkazywał i do stołu a kufla ich zaprosił; ale że to był piątek, a stół Millera cały z mięsem, zakonnicy postem się od bankietu wymówili.

– A prawda, że to u was posty – zawołał Miller z uśmiechem. – Jak dłużej w Polsce pogościm, to lepiej pamiętać będziemy. Wy i ryby pewnie w klasztorze nie macie? U mnie tu jej do zbytku, zanieście więc

przeorowi, razem z warunkami, kilka pięknych szczupaków, niech przyjmie jedne i drugie.

Mnisi znowu w milczeniu pokłonili się tylko.

– Widzicie – rzekł dalej generał – że choć sam nie poszczę, post szanować umiem, a kiedy wam z tym lepiej, cóż mi do tego, pościecie sobie; mój brzuch na tym nie ucierpi.

To mówiąc, rozśmiał się i wypił za zdrowie paulinów, zmuszając ich, aby choć po małym kieliszku za zdrowie jego wychylili. Ze wstrętem musiał to uczynić ksiądz Dobrosz, a ksiądz Stawiski, który nigdy nic nie pił, przeprosił generała. Dzikimi i podziwionymi oczyma patrzeli wszyscy na paulinów, którzy wśród tego obozu, wystawieni na nienawistne i złośliwe spojrzenia a szeptu, byli jak w ukropie. Tylko Miller miły był dla nich a drażliwych, począł rozpytywać obojętnie, nie chcąc ich widzieć opuszczonych a milczących. Tymczasem pod dyktowaniem Wejharda pisarz notował punkta, które wkrótce generałowi przyniesiono. On spojrzał na nie i oddał zaraz księdzu Dobroszowi, a przypomniawszy sobie obiecaną rybę, zawołał jeszcze żołnierza i sześć szczupaków ogromnych nieść kazał za paulinami, którzy wkrótce, pożegnawszy go, odeszli.

Zdziwił się wielce ksiądz Kordecki, gdy ujrzał brzemień jakieś na ramionach niosącego żołdaka, postępującego za księżmi; a za otwarciem bramy, poznawszy szczupaki, rozśmiał się wesoło.

– Trafił właśnie, że piątek adwentowy o grzankach odbywamy rzekł, poglądając na rybę. – No, to i chwała Bogu; my i o suchym chlebie wytrwamy przywyklejsi, a panowie szlachta uraczą się szwedzkim darem, jeśli nie zatruty.

– A warunki? – dodał.

– Oto i one – z westchnieniem wyjmując je z sukni, rzekł ksiądz Dobrosz. – Generał, jak wczoraj, choć go do rany przyłożyć; ale czy to długo potrwa?

– Dobra i chwila, bracia kochani! Śpieszę do definitorium – rzekł przeor – chodźcie za mną.

Szlachta, ujrawszy punkta w rękę przeora, pośpieszyła za nim do sali, do której wtoczyli się i starsi zgromadzenia i co było nie zajętych nabożeństwem i pilnością około murów.

Ksiądz Dobrosz czytał począł. Były to prawie też same, co i wprzód, wymagania: wyrzec się Jana Kazimierza, za co zapowiedziano w nagrodę

bezpieczeństwo osób, własności, opiekę wiary i swobodne spełnianie obrzędów; zamek zdać szwedzkiej załodze ze 150 ludzi, którą zakonnicy opłacać będą obowiązani; żołnierz miał sobie sam baraki sklecić przy murach, a oficerów do klasztoru przyjąć miano; szlachcie i żołnierzowi dozwolano swobodnie wynieść z twierdzy za glejtami i powrócić do domów, toż panu Zamojskiemu z jego rodziną, ale wprzód powinien był odprysnąć się Jana Kazimierza.

Miecznik wąsa podkręcił i tylko pokiwał głową, słysząc ten warunek.

Ksiądz Dobrosz czytał dalej: Przeor podpisze kapitulację, bramy otworzą i wpuszczą naprzód generała ze świtą dla obejrzenia twierdzy; załoga wyjdzie nie przetrząsana.

– A! Dojadło mu pod gołym niebem – odezwał się Czarniecki – że się pierwszy prosi pod dach.

– No, i cóż teraz robić? – spytał przeor.

– Zwlekaniem – szybko podchwycił Zamojski – czas zyskiwać, a zatem nowych mu posłów, nowe targi i warunki, a koniec końcem – nic.

– Ale wreszcie spostrzegą się, nie w ciemną ich bito – mruknął Czarniecki – że to sposoby podejrzone.

– No, to wtenczas, jak się spostrzegą – odparł miecznik – radzić sobie będziemy, a tymczasem aby dalej, aby dalej... dzień zyskać dla znużonego żołnierza i to dobrze; a któż wie, może odsiecz jaka nadejdzie.

– Ba! Odsieczy – rzekł pan Piotr – chyba od Pana Boga się spodziewać z mieczem ognistym, bo od ludzi, wątpię. Ma każdy dziś o czym myśleć i komu się oganiać, a my sobie i sami, za łaską Bożą, radę damy, tylko, moim zdaniem, bić a bić i nie ustawać.

– Ale waszmość w półtorasta nie wybiesz dziesięciu tysięcy.

– Powoli, czemu nie? – odparł pan Czarniecki. – Ciupać, ciupać pomaleńku i Boga chwalić, ziarno do ziarnka...

– Ślicznie to mówicie – odezwał się z kolei przeor – ale nie od rzeczy i pana rniecznika rada, bo krwi ludzkiej oszczędza, a krew nam przelewać...

– Konieczność łamie prawo – rzekł pan Piotr – płakać nad koniecznością a bić Szwedów.

– No, ale tymczasem i traktować pozwolicie, bo i to konieczność; tymczasem dziury w murze pozatykamy, a lud trochę odetchnie, to się zwawiej potem weźmie do boju – rzekł Kordecki.

– Otóż na to niezgoda! – zawołał stary szlachcic. – Bo dla żołnierza i dla konia nie ma jak praca ciągła; aby się zastał, to z nim źle... Człek w boju

krzepi się i nabiera siły, a skoro mu dać drzemać, patrz, on znów i odrętwiał, i znów go musisz na nowo rozruchiwać.

Uśmiechnęli się niektórzy, zwłaszcza pan miecznik. Czarniecki. swoim zwyczajem, zżymając ramionami, odszedł na stronę, widząc, że nie ma po sobie nikogo, a pan Zamojski, korzystając z milczenia. dodał:

– No! Tak stanęło: wysłać im nowych posłów i mitrzyć.

– Zgoda! Zgoda! – rzekł przeor. – Ale ksiądz Dobrosz i Stawiski pomęczeni, trzeba kogo na odmianę. Kto z ochotą?

Spojrzał przełożony po swoich braciach i oczyma wskazywał z brzegu księdza Błęszyńskiego i Małachowskiego. Ci natychmiast ruszyli z miejsc swoich.

– Idźcie i traktujcie – mówił do nich – idźcie w imię Boże, ale nie spuszczajcie z pamięci, że nic kończyć, do niczego się zobowiązywać w imieniu naszym nie możecie. Znajdziecie w sercach waszych środki przeciw groźbie, jeśliby nią ustraszyć was chciano, przeciwko ułudnym namowom i sidłom nieprzyjaciela, a pomnijcie, że tu noga Szweda postać nie może. Jak tylko zbliżą się rzeczy ku końcowi, wymawiajcie się, że sami nic stanowić nie macie prawa.

Księża słuchali w milczeniu; wybór obu ich był szczęśliwy, choć zdawał się tylko trafem. Obaj posłannicy byli mocnego i wytrawnego charakteru, woli silnej i gotowi na poświęcenia wszelkie. Ksiądz Błęszyński, w sile wieku, zdrowia i rozumu, zdawał się jednym z tych ludzi, co się niczego nie boją, bo czują w sobie potęgę do pokonania wszystkiego, jeśli nie dłoń, to duszą. Krzepki ciałem miał w nim męskiego i chrześcijańskiego ducha; prawdziwy kapłan i żołnierz Chrystusów, z chciwością prawie przewidywał męczeństwo i wieńce cierniowe, pożądając ich nade wszystko. Ksiądz Małachowski, choć z pozoru słabowitszy, choć milczący, cały w sobie, skupiał w swym sercu także wielką siłę i wytrwałość; religijny zapał nadawał mu ten hart bierny, który się pożyć nie daje, choć się dopiero uderzeniem objawia, a którego często braknie silniejszym. Błęszyński dałby się umorzyć z uśmiechem i śpiewem, Małachowski w milczeniu, ze łzami. Pierwszy byłby psalm nucił na stosie, drugi na nim zajęty by był duszą swoją i cichą modlitwą, zawsze wątpiąc o sobie, a im bliższy doskonałości, tym goręcej jej pragnący, tym bojaźliwszy, by jej skaza jaka nie dotknęła...

Takimi byli wybrani losem, a raczej okiem przeora, które w duszach i przyszłości czytało. Pobłogosławieni przez niego włożeniem rąk uroczystym, natychmiast przywdziali płaszcze i wyszli do obozu.

Miller już na nich czekał, wyjechawszy konno przed namioty, i za sobą wwiódł ich do szałasów.

– No – rzekł – dość już tych ceregielów; przynieśliście mi punkta podpisane?

– Nie – odparł ksiądz Bleszyński – aleśmy przyszli o nich pomówić.

– Jak to? Jeszcze mówić! – zawołał generał, marszcząc się. – Mogą być dogodniejsze? Czegóż stoicie? Co wam w głowie?

Nie ulękniony wybuchem gniewu hamującego się jeszcze, ale już widocznego, ksiądz Bleszyński odezwał się śmiało:

– Przeciwno punktom tym nie mamy nic krom jednego tylko.

– No, a toż jaki? – żywo spytał Miller.

– Przysięga świętą jest dla nas – mówił Bleszyński. – Wyrzec się Jana Kazimierza, złamać złożonej mu raz nie możemy.

– On nie jest już waszym królem! – wybuchnął Szwed, stukając pięścią o stół. – Co to za mowa? Co za myśli?

– Jeśli on nie jest, nie jest nim i kto inny – cicho począł ksiądz Małachowski. – Mamy przecie prawa fundamentalne, na których stoi państwo, mamy prawo elekcji; bez zachowania tych form nikt królem u nas być nie może; jeśli Karol Gustaw wybrany zostanie i przez prymasa obwołany, będziemy go słuchać święcie.

– Słyszysz, mnichu! – zakrzyczał Miller, uderzając po mieczu. – Prawo nasze to siła, to szabla; waszych praw nie znamy, nie wiemy i żartujemy z nich sobie; zwycięzcy, rządźmy siłą, nie prawem! Nie przysięgaliśmy na prawa wasze!

– Ale dla nas siła jest tylko przemocą, a prawo prawem zawsze – odparł stale ksiądz Małachowski. – Wchodzić w polityczne zajęcia i sprawy świata nie nasza to rzecz; obowiązani jesteśmy panującym wiary dochować. Dla nas Jan Kazimierz, choć wygnaniec, panuje dotąd, póki inny obrany nie zostanie...

– Wszyscy jednak odstąpili waszego Jana, wszyscy się go wyrzekli.

– Nie dla nas to przykład – rzekł Bleszyński. – My, zakonnicy, święcie i Bogu, i królowi dochować musimy przysięgi, choćby krew za nią przelać przyszło.

– Ha! – zawołał generał – to taka odpowiedź wasza!... Chcecie krew przelewać? Dobrze! Będziecie jej mieli do pasa. Pokażę ja wam siłę moją i Karola Gustawa, zmuszę, jeżeli nie chcecie słuchać dobrego słowa. I rozżarty coraz widoczniej, chodził po namiocie; gniew nim mიაတ. Sądził się u celu, a znów odepchnięto go od niego.

– To są zwłoki, to są matactwa, to są szalbierstwa niegodne! Macie moc kończyć ze mną?

– Traktować – powtórzył cierpliwie pierwszy.

– Więc po cóżeście przyszli?

– Traktować – powtórzył cierpliwie pierwszy.

– Cóż to? Żarty sobie stroicie ze mnie? – krzyknął rozjadając się coraz Miller.

Ale ojcowie stali wobec płomienistych wybuchów jego gniewu zimni, poważni, wytrwali jak skała, o którą się morze rozbija.

– Raczcie się uspokoić i nie gniewać na nas – odezwał się po chwili Małachowski. – Posłowie, niesiemy, co nam nieść kazano.

– Posłowie! Posłowie! – ze śmiechem szyderskim odparł wzgardliwie Miller. – Dobrze! Zostaniecie tu u mnie, panowie posłowie, a wy i wasze życie będziecie mi zakładem końca tej głupiej sprawy. Żal mi, żem dotąd wam pobłażał i zbyt był powolnym. Jeśli nie skończy się rychło to matactwo, głowy wasze padną.

Bynajmniej nie zmieszani groźbą, paulini spojrzeli tylko po sobie, a ksiądz Błęszyński nieznacznie się uśmiechnął z dumą jakąś ochoczą. Postrzegł to na nieszczęście Miller i wpadł w sroższe jeszcze gniewy, sądząc, że śmiał mu urągać.

– Ty się śmiesz! – zawołał, przyskakując do Błęszyńskiego – śmiesz się, mnichu, wygolona pałko! Myślisz, żem obowiązany szanować kapłaństwo wasze, że się nie poważę! Co wy dla mnie? Proch marny! Za wasze życie włos mi z głowy nie spadnie; wyście buntownicy i spiskowi, każę was dziś jeszcze obwiesić.

Na to paulini nie mogli już odpowiedzieć i zamilkli. Przywołany zaraz oficer pierwszego regimentu wziął ich pod straż i wyprowadził z namiotu w obóz, między żołdactwo. Trębacza wyprawiono zwiastować klasztorowi, aby przysłano natychmiast umocowanych do traktowania ostatecznie, gdyż inaczej spadną głowy posłów, których jakby na żarty i zwłokę wyznaczono tylko. W dodatku obwieścić kazał Miller, że jeśli się jedno działo odezwie z klasztoru, jeden wystrzał da słyszeć, księży natychmiast wieszać każe. Wśród tej pasji i gniewu, który miotał Szwedem, nadbiegł Wejhard, a zobaczywszy, co się działo, pochwalił bardzo przedsięwzięte przez generała środką; nadejechał i Sadowski, ale ten, zapytany o zdanie, zmilczał znacząco i szybko się usunął z widocznym wstrętem.

Tymczasem księża Bleszyński i Małachowski, wiedzeni przez oficera do obozu, wystawieni zostali umyślnie na niesłychane obelgi i znęcanie żołdactwa. Był to początek ich męczeństwa. Uragowiska z nich samych, z ich sukni, z kapłańskiego charakteru niczym by były, gdyby nie srogie bluźnierstwa, jakimi ich karmiono, gdyby nie miotania na świętości, których świadkami pomimowolnymi a bezsilnymi czynili ich heretycy. Otoczono ich zaraz kołem i jak dzieci bawią się bezbronnym owadem, tak żołdacy poczęli się znęcać nad cierpliwymi kapłanami. Jedni targali ich, bili; drudzy kładli na oczy hełmy i dawali w ręce berdysze, jako wojakom; popychali, plwali, słowem, nie było rodzaju szyderstwa i przykrości, poniżenia i sromoty, nie było uczynku i wyrazu, których by na nich nie spróbowano. Ale cierpliwość ich święta przemożła wszystko. Ksiądz Bleszyński chciał się modlić, wyrwano mu różaniec i zdeptano go nogami. Małachowski zakrył się kapturem i natychmiast zrzucono mu go z głowy. Ani przysiąc, ani spocząć, ani jeść nie dali im Szwedzi; a w końcu, dla bezpieczeństwa, by nie uciekli, kazano ich powiązać sznurami – i tak porzucono na wilgotnej ziemi wśród obozu.

O! Nie ma nic straszniejszego nad rozbestwionego żołdaka. Jest to coś okrutniejszego nad zwierzę, bo ono zabija, ale nie męczy wymyślnie; żołnierz katuje z dziką rozkoszą. Tu jeszcze różnica wiary ostrzyła uczucie nienawiści, a pomsta za zabitych towarzyszków do znęcania pobudzała. Szczęściem dla męczenników nie rozdzielono ich i pozostawiono razem; mogli się więc, jeśli nie słowem, to wejrzeniem wzajemnie pobudzać do wytrwania, choć dotąd duch w nich nie osłabł.

Rzuceni na pastwę najpodlejszym ciurom, najemnikom Karola Gustawa, w jednej godzinie, w pierwszej po uwięzieniu swym chwili doznali więcej, niżeli w swych marzeniach męczeństwa spodziewać się mogli, śmierci tylko brakło, a ta była najłżejsza do zniesienia.

Miller ze swoją starszyzną pewien już będąc, że twierdza odstrzeliwać się nie ośmieli, postąpili ku niej usiłując korzystać z groźby i trwogi.

V

Skoro tylko doszła Kordeckiego wieść o uwięzieniu braci, łatwo się domyślił, co ich tam czekało w niewoli u Szweda. Ukłął biedny i zapłakał, aż miecznik musiał trzeźwić go słowy, wystawując, że Miller, jakkolwiek okrutny i samowładny, zbrodni się nad nimi nie dopuści, boby ta po całym polskim kraju gruchnęła i zaszkodziła sprawie Karola Gustawa.

W klasztorze między zakonnikami z powodu uwięzienia Bleszyńskiego i Małachowskiego panował smutek i strapienie. Wszyscy ubolewali nad ich losem, choć go jeszcze nie znali, domyślając się tylko; groźba, iż ich zatrzymają, myśl, że uprowadzić z sobą mogą, że narażono ich na niewolę i wygnanie, dręczyła wszystkich. Starsi przecie, widząc konieczność tego kroku, ten wybuch żalu powszechnego uwagami zdrowymi uśmierzali.

Krom wielkiego strapienia wszystkich był i inny powód niepokoju powszechnego z przyczyny pochwycenia zakonników. Szwedzi zapowiedziawszy, że za pierwszym wystrzałem z twierdzy powieszą mnichów, korzystali z tego fortelu wojennego. Wejhard był pomysłu twórcą. Skutkiem pierwszej chwili popłochu, w której zaniemiały działa jasnogórskie, a lud na murach w obawie o życie księży stanął jak wryty. Szwedzi opasali górę i poczęli rwać się ku jej wierzchołkowi, jakby na straszego lwa, któremu zęby i pazury odjęto. Widać było ruch skwapliwy przy szanicach, które z podwójną gorliwością sypano na strzał działowy od murów. Olkuszanie i wieśniacy spędzeni do miny poczęli ją dobywać i rozszerzać z pośpiechem. Obóz cały widocznie się okazywał zajęty myślą korzystania z tej chwili bezbronności klasztoru; zataczano działa, namioty obwarowywano wałami, a piechota i rajtary podsłaskiwali pod same prawie kortyny, ze wszystkich stron je opasując.

Na nikim to takiego nie uczyniło wrażenia, jak na panu Czarnieckim. Zamojski patrzył poważnie i rachował, a pan Piotr, uniesiony, wpadł do celi przeora cały w płomieniach i ręce podnosząc zawołał:

– Ojcie! Dobrodzieju! Łaskawco! Jak nie każesz do nich dać ognia, to zwariujemy i my, i ludzie nasi; taż to sceny się dzieją pod nosem naszym bezkarnie; Szwedzi podłazą pod nasze mury, latają, krzyczą, łają,

naigrawają się, a tu nie można strzelić! Jeśli tak dłużej potrwa – no, to ja o abszyt proszę.

– Ale, mój kochany panie Piotrze – odpowiedział Kordecki – trzebaż choć pomyśleć, co robić; nie godzi się pozbawiać zakonu dwóch godnych i gorliwych pracowników, nie namyśliwszy się dobrze.

– A ja głowę stracę! – wołał pan Piotr. – I o nic nie proszę księdza przeora, tylko ze mną na mur; zobaczycie, posłyszycie i przekonacie się, że, tu więcej niż anielskiej cierpliwości potrzeba, żeby tych psów nie powitać kulą i prochem. Święty by nie ścierpiał...

Przeor, dogadzając woli pana Czarnieckiego, który był mocno wzruszony, poszedł z nim na blankowanie. W istocie widok, jaki mu się przedstawił w ostatnich dnia blaskach, był przykry i upokarzający. Twierdza milczała jak zamarła, ludzie stali u dział; szlachta i księża wzdychali lub niecierpliwili się tylko, Szwed podsuwał się pod górę, otaczał ją i słychać było bębnow bicie, trąby i hasła: kopacze biegli z rydlami, z faszyną, z koszami na plecach, z kijami i dylami; działa posuwały się na nowo obrane stanowiska; wodzowie przelatywali na koniach z jednej strony na drugą, a ciury ze śmielszymi harcownikami podbiegali pod sam prawie mur z głośnym wołaniem i krzykiem:

– Poddawajcie się, klasztorni! Lub mnichów waszych pobijemy, powiesimy. Oto już szubienicę stawiają dla nich.

– Nie obroni was Matka Boska Częstochowska! – krzyczeli drudzy.

Inni ze śmiechem strzelali, jak do wróbli, do ukazujących się na murach głów załogi.

– A co! Księżę przeorze, a co? – zawołał Czarniecki. – Te psy poszalały, a ja, Bóg widzi, nie wytrzymam; każcie mnie zamknąć, czy co...

– Panie Piotrze – rzekł Kordecki – niech strzelają, my wytrwajmy: żołnierzowi Matki Boskiej przystoi umiarkowanie.

– Juściż i ja, księżę przeorze, kocham Matkę Boską, nie chwając się, ale chybaby mi Ona sama nakazała surowo, to bym nie strzelił; a tak stać, patrzeć, słuchać i milczeć, to oszaleć przyjdzie!

– To idźcież, panie Piotrze, do siebie i doprawdy zamknijcie się może, bo dziś, póki się nie naradzim i nie westchniemy do Boga, nic nie poczniemy przeciwko nim. Trudno strzelić, kiedy to wystrzał w piersi brata.

– No, to ja sobie pójdę – rzekł pan Piotr.

Czapkę na uszy wsunął i uszedł, ruszając ramionami, a wzdychał tak, że go po całej linii słychać było, i oglądał się to na działa, to na ludzi, to na przeora, czy go na powrót nie zawezwie.

Gdy Szwedzi tak harcują i krzyczą, nagle ujrano ich, jak pierchnęli trochę i o paręset kroków, jakby pomiarkowawszy się, stanęli. Z fosy wyszła przeciwko nim wysoka postać biała, o kiju, której płachtę biała wiatr rozwiewał daleko i długo. Przesądni Szwedzi wzięli ją początkowo za jakieś zjawisko; lecz po chwili, widząc, że ta postać zbliża się ku nim, i poznawszy starą żebraczkę, którą prawie co dzień widywali, jęli się znów przysuwać.

Kostucha wzięła kij na ramię, ręką się w bok podparła i, wyprzedzając ich ku fortecy, poczęła, jak buławą hetmańską, machać swoim kosturem.

– A nu! – wołała. – Na mury, panowie! Na mury! Najlepsza sprawa nie zwlekać! Kiedy nie strzelają, bezpiecznieńko i chwalebnie!

To mówiąc rozśmiała się.

Kilku Polaków, co tam byli w tej kupie między hałastrą dla grózb wysłani, zawstydzili się, zafrasowali i stanęli.

– Na mury, panowie! – wołała Konstancja. – A prędzej, wszak to z mnichami do czynienia, nie bójcie się, ja wam hetmanię!

Czy to wstyd tej śmiałej baby, czy inna myśl jaka odpędziła natychmiast Polaków, którzy powoli odciągając jedni drugich poczęli. Konstancja, obejrzawszy się dokoła, jęła zbierać kule po ziemi i po chwili ukryła się w fosie znowu, a już też i zmierzch padać poczynął.

VI

Przez cały ten dzień Krzysztoporski chodził niemy na swoim wydziale murów, jakby myśl jaka w sercu mu dojrzewała; nie odzywał się do księdza Mieleckiego, nie spojrzał na to, co się wkoło niego działo, nie dowiadywał, jak inni, i jakby go już nic walka nie obchodziła, to w okno Lassoty, to za mury poglądał. Na próżno ojciec Mielecki chciał go rozruszać, rozchmurzyć: usiłowania były nadaremne; chodził tak, aż dopóki go z innymi na radę nie wezwano.

Ksiądz przeor z zakonnikami i bracią szlachtą już szumnie a głośno, jak to u nas rzecz zwykła, radzili w definitorium, a ściany sali rozlegały się huczną rozprawą, w której niemal wszyscy mówili, a nikt słuchać nie chciał.

Zdania były wielce podzielone. Jedni chcieli bronić się, poświęcając mnichów, w przekonaniu, że się im Szwed nie uczynić nie odważy; drudzy radzili czekać jeszcze, rachując na zimę, inni przebąkiwali o królu, o kasztelanie kijowskim, inni rozpaczali i poddawać się chcieli. Pan Zamojski myślał, milczał, pan Czarniecki się niecierpliwił, aż mu wargi drżały.

– Co tu myśleć, co tu radzić! – wołał głośno. – Co się stało, to się stało, nam bić się i po wszystkim.

– Nie, nie, panie Piotrze, kochana gorączko – przerwał Kordecki – naprzód musimy wszystkie środki ocalenia naszych posłów wyczerpać. Mówicie, że Szwed nie odważy się na nich nastąpić, a czemuż by to? Alboż mało szlachty powieszał i postrzelał, alboż mało pościnał kapłanów i złupił kościołów? Nie świętość go wstrzyma pewnie. A drogie to nam życie i musimy ich oszczędzać, aby niepotrzebnie nie padli ofiarą. Dzień i drugi, zdaniem wszystkich, Szwedzi podsuwając się, nie nam bardzo złego uczynić nie mogą; działa nasze, skoro się z konieczności odezwą, poprawią to i odepchną ich znowu... Tymczasem starajmy się ich ocalić.

Ledwie tych słów dokończył, wysforował się pan Płaza, jeden ze szlachty schronionej w twierdzy, na którego twarzy malowało się dziwne wysilenie; widać było, że z czymś wystąpił, na co mu niełatwo przyszło się zdobyć, i z wielkim pomieszanem począł:

– Za pozwoleniem waszej przewielebności, to więc widzę, że o zdaniu się nie ma mowy?

– Jak to o zdaniu? – spytał przeor.

– Bo jest nas tu wielu – kończył trochę ośmielony Płaza – cośmy tej myśli, że inaczej nie będzie, tylko potrzeba zdać się Szwedowi i łaski jego prosić. Co tu już darmo bronić, czego obronić niepodobna! Nieszczęście! Król nas opuścił, uciekli wszyscy. Chan nawet wypowiedział traktaty; nie wojować nam z losem, lepiej prosić o warunki dogodne i spełnić wolę Bożą...

Zapłomieniła się oburzeniem twarz Kordeckiego i powstał jak kapłan-prorok, aż dokoła rozstał się przed nim lud wszystek, gdyby popchnięty niewidzialną siłą; ręce i oczy podniósł ku niebu i zawołał przejęty:

– I wy to, synowie tych ojców, co w boju zrodzili się, zrośli i pomarli, co nigdy nie wątpili o zwycięstwo, co nie ulękli się niczego; wy, potomkowie nie zwalczonych, których Tatarowie i Niemcy nie pożyli – wy mówicie dziś o poddaniu i poniżeniu przed nieprzyjacielem, na chwilę zwycięskim?! Takżeśmy to już upadli? To zwątpienie, ten postrach nikczemny, który śmiecie wyrzec już głośno, gubił nas i gubi! I nie wstyd wam nie mieć odwagi na śmierć chrześcijańską, a kochać nędzne życie nad ziemię swą, króla, swoją cześć i sławę! I nie wstyd wam drzeć jawnie i mówić o strachu! Widzę! Widzę – kończył uniesiony – ten postrach dzisiejszy, jak zepsuta krwi kropla popłynie i w przyszłe pokolenia: złękniemy się, gdy odwagi tylko będzie potrzeba; niezgody i kłótnie miotać nami będą; będziemy się chlubić nad dziadami nie mogąc sobą, i legniem pogardzeni w barłogu Łazarza. Małoż jeszcze mieliście cudów, że o cudach wątpicie? Nie obroniłaż was już Matka Boska? Nie opieramyż się stokroć większemu, silniejszemu wrogowi, my, garść starców bezsilnych?... Trzebaż, by mnichy dawali wam przykład wytrwania i wiary?

Płaza cofnął się i pobladł, jak piorunem rażony, ale, odzyskując fantazję i siłę, szepnął:

– To proszę nas wypuścić...

Ale go wnet zahukano, tak że słowo jego nie doszło nawet do uszu Kordeckiego, a pan Czarniecki zaraz mu na kark wsiadł.

– Co to, waćpan oszalał? – zakrzyczał. – Kto waćpanu dał prawo mówić, w czym to imieniu brednie prawisz? I waćpan nie spalisz się, to mówiąc?

– Ale bo... ale bo... – bąkał Płaza – Szwed tak silny...

– Wypuścim waści do Szweda po obłężeniu, jeśli się podoba – kończył Czarniecki. – Smakuje ci Szwed, że silny, pokłonię się i diabłu, bo silniejszy jeszcze od niego!

Argument był za twardy do zgryzienia, choć nie bardzo przyprawny.

Ciż sami, co przed chwilą pana Płazę popychali i do odezwania się skłonili, teraz odstąpili go; obejrzał się, chciał, by go kto poparł, nie było za nim nikogo; zawstydzony wlaź w kąt.

Przeor tak mówił dalej:

– Wiary, wiary! Wołam i wołać nie przestanę, zgody i wiary daj nam, Panie! To słowa wielkie, w nich oręż potężny. Módlmy się o nie, pracujmy na nie, uczmy dzieci w kolebce tych dwóch słów tajemniczych: zgody i wiary, wiary i zgody! Nie opuści Bóg, jeno zwątpiałych i zwaśnionych. Bo rozpacz i swary są znakiem, że w nas duch Boży nie mieszka. Dopóty Bóg z nami, póki wiary, póki zgody.

A pan Zamojski dodał:

– Wszyscyśmy tu przyszli nie po co, tylko by życie położyć w ofierze dla czci Maryi i dać dowód, że niecały jeszcze kraj zwątpił i ręce po więzy wroga wyciąga. Więc ofiary tej, raz uczynionej, nie cofajmy z ołtarza. Życie nasze, jeśli się Bogu podoba, niech idzie na pomnożenie chwały Jego, a zażąda ode mnie wyrostka tego, jedynego mojego dziecięcia, oddam mu go – rzekł, wskazując na syna – i idącego na śmierć pocziwając błogosławie.

Pan Czarniecki rzucił się ku miecznikowi.

– Kochany panie Stefanie! – krzyknął. – Mówisz złotem; każże walić z dział i zaraz na mury, w imię Matki Boskiej.

– O tym dopiero jutro pomówimy – zamknął przeor.

I burzliwa w początku narada skończyła się milczeniem; nikt już głosu nie podnosił, stanęło tylko na tym, by wysłać do Millera, starać się o wydanie księży, a gdyby odmówiono, zdawszy się na wolę Bożą bronić się do upadłego.

Z tym się wszyscy rozeszli i przeor zadumany do chóru na modlitwę pośpieszył; Zamojski z innymi na mury, gdzie dziś, z powodu podkradania się Szwedów, wielka pilność była potrzebna i podwójnymi ogniami oświecić je musiano dokoła, żeby nikt bliżej podsunąć się nie mógł. I nikt krom starców i dzieci nie usnął w klasztorze, bo lękliwi co chwila oczekiwali szturm, niespodzianego napadu i zdobycia, mężniejsi pełnili powinność. Jak cienie, po murach przesuwali się zakonnicy i

szlachta, witając się hasłem i kilku słowy cichymi; gdzieniegdzie szcękala broń, odezwało się głębokie westchnienie, a zegar na wieży bił powolnie ciemnej nocy godziny.

O świecie ujrzano wielkie zamieszanie w obozie szwedzkim, ale trudno było w początku zmiarkować, co ono znaczyło. Jedni w nim odsiecz widzieć chcieli, drudzy zaniechanie oblężenia, inni jakiś postrach paniczny, a najzdrowiej sądzący – zamach na twierdzę. Niektórzy opowiadali, że dostrzegli od Krakowa idący oddział, który Szwedzi przyjęli okrzykami radości, że sam Miller go witał, że jakaś potem ochocza nastąpiła wrzawa. Czekano rozwidnienia, żeby lepiej o powodzie rozruchu tego osądzić. Gdy o tym oznajmiono Kordeckiemu, na wszelki wypadek, wybiegł zaraz, chcąc własnymi oczyma to widzieć, bo się obawiał napaści niespodzianej; ale z gwaru, szumu i wrzawy nie wyrozumieć nie było można.

Wtem też i dzień mglisty rozjaśniać się począł, posępnie słońce weszło gdzieś niewidzialne za obłokami i białą powłoką okryło świat, jakby sinymi dymy osnuty. A już i pod furtą klasztorną grzmiała trąbka szwedzka i parlamentarz przybywał.

Był to wspomniany już przez nas dawniej Kuklinowski, zawadiaka i służbista, zawsze gotów z posługą, byle przy niej był gotowy kufel i miska; na twarzy jego widać było jakąś radość, a radość sprzymierzeńca szwedzkiego źle zwiastowała. Przeor czekał na niego w drugiej bramie, nie chcąc go puszczać dalej, a rad będąc prędzej się czego dowiedzieć; przy nim był tylko nieodstępny miecznik i dwóch starszych zakonników, definitor¹ i kaznodzieja.

Rotmistrz, poświstując zbliżył się, gdyż mu oczu nie zawiązywano, a że to był rubacha i zawadiaka, tak też bez ogródki począł:

– A co, księżu przeorze? Pora już przecie kończyć! Co to sobie myślicie? Na tę mowę i zuchwałą, i głupią nie było co odpowiadać, zwłaszcza że pan Kuklinowski we łbie się mieć zdawał. Zamojski ruszył tylko ramionami wzgardliwie.

– Czego jeszcze czekać? – rzekł Kuklinowski. – Żebyśmy w perzynę obrócili ten kurnik? Ten murowany kopiec, który, gdyby nie litość jaśnie wielmożnego Millera nad waszym zaślepieniem. w, dawno by już w gruzach leżał?

¹ Definitor – godność zakonna, pomocnik prowincjała. i kaznodzieja.

– Dziękujemy za litość – rzekł uśmiechając się przeor – zawsze to piękne uczucie, ale...

– Księżę przeorze – kończył Kuklinowski – tu nie ma co długo bajdurzyć; poddać się i kwita. Czego czekacie? Posiłków?

– No, a gdyby posiłków?

– Od kogo, od pana Czarnieckiego?

– Nic by nie było dziwnego, gdyby i stamtąd przyszły.

– Cha! Cha! – zaśmiał się rotmistrz. – Spójrzycie, spójrzycie! – wskazał przez okno poza mury.

Widok z okna był smutny, choć ożywiony; przeciągała pod fortecą pod ośmiu rozwiniętymi chorągwiami piechota polska Czarnieckiego; łatwo ją było poznać.

– To oddział Wolfa! – zakrzyknął pan Zamojski. – Co to jest? On z wami?

Kordecki popatrzył posepnie z rezygnacją, ale ani się wzruszył zbytnio, ani nadto zadziwił.

– Kraków się poddał – hałaśno odezwał się z triumfem Kuklinowski, jakby go sam wziął – a ot i pan Wolf, co stał w Siewierzu² bezpieczny, otoczony i tu przyprowadzony został; króla nie ma, wojska nie ma, wodzowie głowy pochowali, kraj zawojowany; w czymże teraz nadzieja wasza?

– W Bogu! – rzekł jednym słowem przeor, któremu to wszystko nie odebrało odwagi.

– Jak to? Poszaleliście do tego stopnia, że myślicie jeszcze się opierać? – śmiejąc się odparł rotmistrz.

Wszyscy milczeli. Kuklinowski osłupiał.

– Cóż to jest? Szał? Obląkanie? – zawołał po chwili. – Traktujcie i ratujcie się! Jam katolik, ja za wami i dla was mówię, bo mi was żal.

Kordecki gorzko się uśmiechał.

– No, cóż mi każecie odpowiedzieć Millerowi, który mnie posłał?

² Stefan Czarniecki, zmuszony poddać Kraków, zobowiązał się wraz z załogą, że do dwóch miesięcy nie podniesie broni przeciw królowi szwedzkiemu, i przy odgłosie bębnow, z rozwiniętymi chorągwiami, opuścił Kraków (18 października 1655 r.) z 1800 żołnierzami i 12 działami – i pociągnął do Księstwa Siewierskiego, gdzie miał, nie napastowany przez Szwedów, przeczekać owe dwa miesiące. Aliści Miller, jeszcze przed upływem oznaczonego czasu, napadł zdradziecko na Wolfa, dowódcę piechoty polskiej w Siewierzu, i zabrał 700 żołnierzy razem z dowódcą.

– Żeśmy Wolfa chorągwie widzieli, że wiemy już o wzięciu Krakowa i że modlimy się za króla jegomości.

– A traktowanie rozpoczęte?

– Mamyż jeszcze traktować – dumnie rzekł przeor – z tym, który prawa powszechnie narodów, prawa wojny, szanowane w chrześcijańskim, a nawet w pogańskim świecie zwyczajnie poniewiera? Powiedz mu waść, że będziemy traktowali, gdy posłów naszych wypuści.

Kuklinowski chciał mówić, ale Kordecki pożegnał go i odwrócił się zasepiony, lecz nie pokonany. Poleciał go odprowadzić do furty, a sam z panem Zamojskim pośpieszył wewnątrz twierdzy, gdzie widok regimentów Wolfa, polskich chorągwi w mocy Szweda i wieść o poddaniu się Krakowa niewysłowione uczyniła wrażenie. Zastał już na wszystkich podwórcach jednych klęczących na modlitwie, drugich płaczących, łamiących ręce i wyrzekających, innych cicho szepeczących coś z zajęciem; gwar wszędzie, każdy radził i mówił co innego, a na twarzach ciżby był wyraz rozpacz, strachu. zwątpienia... Pan Czarniecki, w czapeczce od hełmu, w kaftanie łośowym spod zbroi, z założonymi w tył rękoma, z głową spuszczoną, chodził i mruczał:

– Po wszystkim! Teraz trutnie i bić się nie zechcą!

Kobiety z dziećmi małymi na ręku, kapłani, starzy, czeladź, wszystko się było wytoczyło na mury, w podwórza, poczepiało u baszt i, jak w chwili pożaru, znajomi i nieznajomi witali się, pytali, rozmawiali z sobą, zwierzali się sobie, użalali.

Wtem wśród tego zgiełku myśli i głosów stanął Kordecki, zsunął kaptur, który mu twarz zakrywał, i odezwał się:

– Dzieci kochane! Kraków się poddał, Szwedzi zdradą Wolfa wzięli, król opuszczony na Spiszu, Polska zawojowana, oto kres nieszczęść naszych; chwila kary Bożej za grzechy bliska końca. Kiedy się sroży plaga gniewu Wszechmocnego, najbliżej zlitowanie. Dziś nam Bóg powierzył najpiękniejsze stanowisko i chciał nas, słabych a ułomnych, mieć przykładem całemu narodowi. My jedni stale, pocziwie opieramy się Szwedom i wytrwamy, wiary nie złamawszy do końca; korzmy się przed ołtarzem, błagając Boga, módlmy się a czuwajmy zgodni, zwyciężym.

To mówiąc, wskazał na obraz, odmalowany na zewnętrznej ścianie kaplicy, dodając:

– To nasza chorągiew, to zwycięstwo nasze... uciekajmy się pod Jej obronę, a nie traćmy nadziei. Czemuż nie mogę jej wlać w serca wasze!... O Boże! Daj mi siłę... Módlmy się, módlmy!...

Domawiał tych słów, a tłum, jak stał, tak syknął się do kaplicy z zapalem, pośpiechem, z popędem niewypowiedzianym, jakby gwałtowne modlitwy pragnienie pędziło go ku ołtarzowi; i jak na puszczy Izraelici rzucili się czerpać z płynącego pod laską Mojżeszową źródła, tak wszyscy pobiegli przed obraz Matki i Patronki. Muzyka na wieżycy zagrała *Salve Regina*.

Wielka, o wielka jest modlitwy potęga, bo ducha podnosi, bo nas oczyszcza, bo nas tajemniczo przemienia. Gdy wśród śpiewów, grzmotu kotłów i trąb, organów dźwięku, woni kadzideł, jednym głosem wielkim zaśpiewał cały lud, aż się sklepienia wstrzęsły, aż się echo daleko rozeszło za mury, stanęli Wolfowi żołnierze naprzeciw kaplicy Bożej Matki, zdjęli hełmy z czoła zasepionego, pokłękli, skłonili chorągwie... Biedni pojmańcy: ich serce było u ołtarza, a broń ku niemu zwrócona!

Zaledwie Szwedzi to ujrzeli, gdy już regimenty Millerowskie pędziły dalej modlących się Polaków i mało kto postrzegł to przyklęknięcie, które objawiało w użytych przeciw Częstochowie żołnierzach synów Królowej, co tu panowała.

Miller z Wejhardem sądzili, że uwięzienie posłów, ukazanie się Wolfa, wieść o poddaniu Krakowa, o wyjściu Czarnieckiego do Będzina – przyśpieszy, znowu poddanie. Nareszcie, myślał hrabia, zwyciężymy! I już się zemstą cieszył, już w myśli upokarzał dumnych mnichów, którzy śmieli go nie słuchać. Wielkie było zdumienie w obozie, gdy Kuklinowski powrócił z odpowiedzią: „Niech posłów uwolnią”.

Miller się pochwycił z siedzenia.

– Zaraz – rzekł – ja ich uwolnię, gdy na szubienicę pójdą. Co oni mi śmieją prawić o prawach wojny! Alboż to twierdza, ta ich lisia jama, ta buda? Alboż to żołnierze i wodzowie, alboż to posły?

I rozśmiał się ze złością, a rozgniewał znowu namiętniej i kazał otaczać, zbliżać się pod twierdzę, opasywać ją jak najściślej, krzykami, postrzałami uciemniając mnichów, którzy się bronić nie mogli.

Sam, co chwila niecierpliwszy i chmurniejszy, całą swą złość na Wejharda wywierał, zawsze jeszcze przypisując mu wszystek wstyd i klęski swoje.

– Gdyby nie ty, panie hrabio – mówił – byłbym swobodnie i wygodnie w Prusach się wylegał, gdzie i kraj lepszy, i przynajmniej coś byśmy do tej pory zrobili, a tu stoim i sromotnie targamy się z mnichami, którym rady dać nie możemy.

– Ale, panie jenerale, jesteśmy u celu! – powtarzał Wejhard.

- Gdzie ten cel? Racz mi go wskazać.
- Wszakże niemal wzięliśmy Częstochowę, już ostatkami goni... za kilka godzin się podda. Wachler zaręcza, że i prochu nie mają, i załoga ręce wyciąga; byle najmniej jej pomóc, to się zda.
- Czemuż się nie zdaje?

– Szturm przypuścić – rzekł Wejhard.

Rozśmiał się Miller:

- Nie zrobiwszy wyłomu! Nie zasypawszy fosy?
- Bateria od północy pracuje nad wyłomem.
- Przecież go dotąd. nie zrobiła; mur gruby i kule, gdyby powariowane, nie wiedzieć dokąd lecą... Gdyby nie wstyd, już bym odstąpił; tu jest coś niepojętego...
- Istotnie byłoby to wstydem dla wojsk JKMości. Wittemberg wziął Kraków, a Miller nie podolał Częstochowie, i pan Kordecki lepiej sobie dał radę od pana Czarnieckiego, co zęby zjadł na wojaczce. Wiesz, panie jenerale, co byś utracił odchodząc? Maszże wyobrażenie o skarbach tego miejsca?
- Mówiłeś mi o nich, mój hrabio, do syta; ale jak poddanie Częstochowy wróżysz co dzień, a jednak go nie widać, tak i tu musisz bałamucić trochę.

– Na własne widziałem to oczy! – zawołał Wejhard, łechtając chciwość Szweda, którą znał za panującą jego namiętność. – Ołtarze są niemal całe srebrne, okryte klejnotami od stropu do posadzki, skarbiec pełen złota i drogości, naczyń kościelnych, pereł mnóstwo... Posągi nawet lane są z kruszców kosztownych, a lekko licząc kilkakroć sto tysięcy talarów znaleźć się powinno gotówką. Nie liczę już drobniejszych przyjemności i dogodności...

Miller słuchał i rozwidniło się na jego twarzy, poczynął się uśmiechać. Wtem podano mu list od Kordeckiego; przeor w nim, jak przez Kuklinowskiego, nagiął o uwolnienie posłów.

– „Gdybyś – mówił w końcu – na ich życie (czego nie sądzim) nastąpił, zdajemy się wszyscy na wolę Bożą, bez której włos nie spadnie z głowy; niech umrą, jeśli śmiercią swoją mają okupić swobodę, której wszyscy obłożeni do ostatka tchu bronić nie przestaną!”

Zastanowił się wódz stary; na wojaku ta dumna w nieszczęściu moc niepokonanego ducha zrobiła nareszcie wrażenie, ale przelotne, jak błyskawica; zagrał zaraz w nim gniew miłości własnej piosenką.

– Przywołać tu jednego z tych mnichów! – krzyknął do ordynansa.

I za chwilę skřępowanego, bladego, wycieńczonego wprowadzono księdzę Błęszyńskiego, który stanął przed jenerałem niemy, ponury, ale nieugięty. Cała noc urażeń, bezsenności, widok szwedzkich heretyckich porywów na świętości wiary słowy i ręką targających się, wielce zmieniły kapłana, złamały ciało jego, chwiał się na nogach i pot zimny oblewał mu czoło, dusza podniosła się tylko ku Bogu.

Miller był jednym z tych ludzi, na których cierpienie robi to wrażenie, co krew rozlana w boju: rozjusza; uśmiechną się, ujrzawszy księdzę w tym stanie i wskazując mu na klasztor, rzekł:

– Idź do swego przeora, a powiedz mu, coś widział w obozie moim; niech się poddają, póki pozwalam się poddać. A powracaj tu, bo inaczej towarzyszy twój wisieć będzie! Klnę się honorem żołnierskim, jeśli nie powrócisz, zginie, jeśli nie powrócisz, zginie!

VII

Braciszek Paweł na bramie pacierz odmawiał klęcząc, gdy ujrzał z żołnierzem szwedzkim na powrozie wiedzionego księdza Bleszyńskiego, bladego i ledwie mogącego utrzymać się na nogach; po sukni nawet znać było, co wycierpiał, bo na niej i błoto, i sznury, i szarpanie żołnierzy zostawiło ślady. Jak gdyby Bóg wysłuchał gorącej jego modlitwy, bo się właśnie z innymi na tę intencję modlił, ukazał się ksiądz Bleszyński. Poskoczył braciszek otworzyć, ale posmutniał, zobaczywszy, że Bleszyński był sam jeden i w takim oplakanym stanie.

– A, wracacie, dzięki Bogu! – rzekł wznosząc ręce. – Biegnę z tą wesołą nowiną do księdza przeora. Gdzież ojciec Zachariasz?

– Nie cieszcicie się bardzo z mojego powrotu, bracie Pawle! – rzekł ksiądz.

– Wróciłem tylko posłem szwedzkim... a ojciec Zachariasz został między niewiernymi.

– Jak to? Więc... więc was jeszcze nie uwolnili?...

– Daj mi odetchnąć – i rzucił się przybyły na ławę w izdebce furtiana. – A! Bodaj to... – rzekł – bodaj każdemu swoim się parać! Jakże mi żal tych chwil spokojnych w celi mojej spędzonych, w chórze, w kościele... życie zakonne to raj ziemski, trzebaż nam je było zamienić na wojnę i walki?...

– A! Cicho! Cicho! – odrzekł brat Paweł z prostotą i zapałem dziecięcia.

– Jeszcze kto usłyszysz, że narzekacie! To ksiądz przeor kazał... i na chwałę Matki Boskiej cierpimy. Co tu szemrać? Nie rozpaczajcie, wróćcie czasy spokojne. A może byście się czym posilili?

Ale ksiądz Bleszyński spuścił głowę i milczał, spoczywał... Jeszcze wrzawa obozu tętniła mu w uszach, jeszcze ten tłum szalony wirował mu przed oczyma i zdawało mu się, że go ktoś szarpie, że go wiodą. Mimo tych mar strasznych, znużenie było tak wielkie, że usnął siedząc. Zobaczył to brat Paweł i posłał dać znać przeorowi, że Bleszyński przyszedł, ale osłabły, jak siadł, nie wstaje, snem ujęty.

Wszyscy się więc potoczyli dla widzenia z nim do bramy, a trzask wchodzących zbudził ze snu zakonnik, który krzyknął i obłąkanym powiódł wzrokiem po znajomych twarzach.

– Jak to? – rzekł nie oprzytomniony jeszcze. – Jestem tu, w klasztorze? Cóż to było?

– Uspokójkcież się, uspokójkcie! – zawołał Kordecki, siadając przy nim. – Dzięki Bogu, że was widzimy... a coście wycierpieli, ofiarujcie Bogu.

– Prawda – rzekł Bleszyński, wiodąc ręką po czole – wycierpiałem wiele, a Bóg wie, co mi jeszcze zostało do wypicia... może śmierć.

– Jak to? Mówcież! A ojciec Zachariasz?

– Ja wcale nie jestem uwolniony – rzekł Bleszyński – ani on... tamten jeszcze w więzach, a ja tylko posłem od Millera tutaj. Noc i dzień przebyliśmy okropne, napatrzywszy się, nasłuchawszy, nacierpiawszy urągówiska, bicia i obelg, i bluźnierstw, że nam się to wiekiem zdało! Szwedzi wymyślnie znęcali się nad nami. Służyliśmy im za zabawkę nocną, a oka żaden z nas nie zmrużył, bo związani, przyparci do ściany spalonego budynku, prócz mokrej ziemi nie mieliśmy lec na czym. W ostatku śmiercią nam grożą. Dziś rano wysłał mnie Miller, zapowiadając, że jeśli nie wrócę, ojciec Zachariasz powieszony zostanie, na co się zaklął. I nietrudno wierzyć, że zrobić to gotów.

– Jak to? Musicie znowu powracać?

– Wrócę zaraz – rzekł Bleszyński – wrócę, woła Boża, nie obawiam się śmierci, gorsza męczarnia godzina w tej jaskini zbójckiej. I przyszedłem – dodał z westchnieniem – nie pomnożyć waszą odwagę, ale jej odjąć...

– Wy! Wy, ojcie Bleszyński? – spytał zdziwiony Kordecki.

– Ja... tak jest... sumienie mi to każe. Ogrom sił szwedzkich, wprawni wodzowie i wojsko, wszystkie drogi odsieczy przecięte... cóż na to poradzić? Miller zaklął się zdobyć koniecznie i zdobędzie Jasną Górę, a wówczas! A! Nie chcę pomyśleć nawet, co się stanie! Święte to miejsce, które poddaniem tylko ocalić możemy, będzie legowiskiem heretyków i placem ich świętokradzkiego igrzyska.

– Ojcie – rzekł przeor smutno – samiście byli za obroną; mogłóż jednej nocy cierpienie tak zmienić zdanie wasze?

– Nie cierpienie to mnie tak zmogło, ale oczywistość; chybaby Bóg zesłał aniołów swoich, inaczej obronić się niepodobna; samo usiłowanie o to w pośmiewisko nas poda. Głód jeden zmusi do poddania. Czyńcie, co się wam podoba, bo i życie moje oddaję na wolę waszą i nie wzdygam się cierpieć, ale widziałem oczyma własnymi potęgę Szwedów; nam garść naszych niesfornych wieśniaków, w którą co chwila ducha wlewać potrzeba, bo go co chwila traci; i świadczę się Bogiem, że nie dla siebie to mówię, ale dla was. Traktujcie i poddawajcie się lub czyńcie...

– ...jak Bóg natchnie! – przerwał zamyślony przeor z westchnieniem. – Tak – dodał, poglądając na pana Zamojskiego znacząco – traktować

potrzeba, traktować będziemy, ale nie przymuszeni, z nożem na gardle, nie postrachem parci, nie złapani w matnię, jak żacy; traktować będziemy godnie i jak na nas przystało. Niech Miller wyda was naprzód, niech nie postępuje z nami jak z dziećmi, które groźbą brać można, a naówczas pomówimy.

Z wyraźną niechęcią przeor słów tych domawiał, wrywały mu się one jakby przemocą wyciśnięte, jakby z wzdrygnięciem wewnętrznym.

– Co wy na to, panie mieczniku?

– Ja? Zawsze i wszędzie godzę się na zdanie wasze, księże przeorze – odparł Zamojski – bo zawsze i wszędzie to zdanie najlepsze i najzdrowsze; piszcie do Millera w ten sposób.

– Nim się to uczyni, ojcze Bleszyński, chodźcie z nami – rzekł Kordecki – do kaplicy i klasztoru; odzyskanie siły, patrząc w oblicze świętej Patronki, a ducha wam doda męstwo braci.

– Ja na śmierć gotów jestem, a Bóg świadkiem, że się jej nie boję – odrzekł zakonnik – ale mi srogi żal Jasnej Góry, żeby jej w kupę gruzu nie zmieniła ta tłuszcza siepaczy.

– Ojcze! Ojcze! A Pan Bóg? – spytał surowo Kordecki, zawsze swoją śpiewając piosnkę.

– A czyżeśmy warci cudu?

– My nie, ale święte Jego ołtarze.

– Ma On ich wiele po świecie, a gdy ołtarz burzyć pozwala, to na karę ludzi. Jemu chwałę wiekiustą śpiewają archaniołowie.

Ze spuszczoną głową, wolnym krokiem wybladły więzień szedł powoli, a tu go wszyscy otaczać poczęli, z pytaniami, uzalaniem, ciekawością narzucając się natrętną. Odzyskał przytomność i trochę sił zakonnik. Widząc się między swoimi, nie chciał nadaremnie straszyć zamkniętych w twierdzy, a na zapytania ich odpowiedział tylko, że z listem przyszedł i z listem powróci.

Ten powrót, który Bleszyński uważał za konieczność, bo nim ocalał życie Małachowskiemu, wielu się wydał, czym był w istocie – heroizmem: największe bowiem podobieństwo było, że oba poginą. Tak choć jeden mógł ocaleć; ale ksiądz Bleszyński dał słowo i pragnął męczeństwa.

Wielkie znów były narady, wielka wrzawa w definitorium. Plaża, przywódca tchórzów, wystąpił powtórnie z radą poddania klasztoru, ale go Kordecki wprost ofuknął.

– Szukałeś tu waść – rzekł mu – schronienia, siedźże spokojnie, módl się i czyń, co ci czynić dadzą, dla wspólnej obrony, a nie mieszaj mi się do tego, o co cię nie pytają. Ja tu jeden jestem naczelnikiem i wodzem, ja rządę i rozporządzam, ja Bogu i ludziom za to, co czynię, odpowiem.

Usunęli się więc znowu bójaźliwi i już się nie odzywali, a ksiądz Bleszyński z listem powrócił do obozu.

Ledwie kilka upłynęło godzin, aż i ksiądz Małachowski za nim się zjawił, w innej postaci, lecz nie mniej znękany swą niewolą; sił mu nie brakło, bo je oburzenie podwajało, cały w płomieniach, wstrząsał się, zżymał i pioruny Boże wzywał na Szwedów.

– Nowy poseł – rzekł Kordecki, ujrawszy go w swojej celi, gdzie się zgromadzała rada wojenna, i wyciągnięciem ręki powitał ojca Zachariasza.

– Co nam przynosisz, ojczu?

– To samo, co ksiądz Bleszyński, też słowa, też rozkazy, z dodatkiem, że jeżeli się nie poddacie, jutro śmierć nam... Miller na to przysiągł.

Kordecki stanął wryty i wszyscy zamilkli.

– Nic nie pisze? – spytał.

– Nic. Dwa tylko polecił mi rzec słowa: „Jeśli się nie podda Częstochowa, wezmę ją szturmem, ale wprzód wy, przewrotni posłańce, wisieć będziecie”.

Uśmiechnął się przeor dumnie i śmiało.

– Bogu dzięki! – rzekł.

Wszyscy się zdumieli temu wykrzyknikowi.

– Śmiercią – mówił Kordecki – nie może was ukarać, boby oburzył wszystkich Polaków w obozie, a gdyby to i uczynił, wy męczennicy bylibyście może zbawcami Polski, a krew wasza odro dzenia i oswobodzenia stałaby się zakładem. Ale nie... nie! Czuje dusza moja, że nie padniecie ofiarą! Nie! Słowa Millera są dla mnie dowodem siły naszej! Dlatego rzekł: Bogu dzięki! Gdyby zdobycie było łatwe, po cóż by groził, po co by szukał takich sposobów dla zmuszenia nas?... Nie widzicież, że te fortele jak na dłoni ukazują, iż nas pokonać siłą nie umie?

Pogodniejszy wyraz twarzy wszystkich zwiastował, że zrozumieli przeora; on kończył:

– Powiedźcie mi, ojczu Zachariaszu, a obłąkane owieczki, kwarciani i inni Polacy, czy wspomagają Szweda?

– Stoją tylko, płaczą i patrzą – odpowiedział ksiądz Małachowski – ale i to zgroza, i to okropnie, że patrzeć mogą, a ořeż im się nie zapali w rękach, a dusza z nich nie skoczy! Wiecie, co to jest obóz szwedzki. Nie! Nie! Wy go tylko widzicie z daleka różnobarwnym, wesołym, jasnym zbiorowiskiem ludzi; a w środku... to piekło!

I wstrząsnął się ze zgrozą, i przeżegnał.

– Co jest w świecie rozpusty i brudu, to się tam złało, jak do rynsztoka... Ale siła wielka i męstwo szatańskie, bo opite bestie, bydło bezrozumne, jak bydło idzie na śmierć.

– Takie wojsko nie może zdobyć kraju; może go opanować zdradą, strachem, może chwilowo go zalać, ale go, zagarnąć – nigdy. Nie ma tam siły, nie ma żywota, nie ma myśli. Ślepa odwaga żołdaków, umiejętność wodzów nie dosyć; to nie są ludzie przeznaczenia, bo idą bez Boga. Karę Bóg tylko domierzył sromotną i pokazał, kto niezgodnych zwyciężyć może, ale to pierzchnie jak obłok w dzień letni, gdy wybije godzina...

Nikt nie odpowiedział.

– Ojcie – dodał przeor – gdy spoczniecie, zanieście mu odpowiedź jedną: niech was uwolni, a będziemy traktować; powiedzcie mu, że życie nasze i wy, i my wszyscy poświęćm chętnie za sprawę świętą.. Niech się stanie wola Boża!

Wniosek przeora, który z grózb przewidział brak siły, trafił do przekonania wszystkich: milczeli na wpół ubezwieczeni, wpół uspokojeni nadzieją, że Szwed mnichów wyda i traktowanie się rozpocznie.

Dopiero po wyjściu wszystkich, gdy Kordecki sam z sobą pozostał, trzeba go było widzieć, by mieć pojęcie potęgi ducha tego, który walczył ze zwątpieniem, zewsząd mu wlewany słowy i czynami... Z bohatera, z wodza, u stóp krzyża, przed którym pokłękł w pokorze, stawał się pokornym kapłanem, drżącym w obliczu Boga grzesznikiem. Ogrom odpowiedzialności, ciężącej na jego ramionach, przerażał go; truchlało serce, drżał cały; płakał i modlił się. A gdyby godziło się choć z dała święte i boskie z ludzkim porównać cierpieniem, rzekłbym, że tak upadał na duchu Chrystus Pan, gdy się zbliżała męki Jego godzina, choć znieść był gotów męczeństwo.

Kordecki, mężny przy ludziach, sam z sobą trwożył się nieraz; ten ogrom siły szwedzkiej, te zgodne wszystkich rady poddania się, to kraju nieszczęście miotały jego duszą... Ale gdy pomyślał, że Jasną Górę splamiał heretycy, że po wieki powiedzą ludzie, zaświadczą dzieje, iż Kordecki i paulini wrogom skarb ten wydali; gdy nieprzyjaciela

wspomniał, wszystko, co on uczynił na ziemi polskiej przeciwko jej synom, na jej zgubę – męstwo się odzywało, oburzała dusza, zrywał się z modlitwy i wołał:

– Lepiej umrzeć w obronie!

Walczył w nim człowiek słaby z nieśmiertelnego ducha popędem; duch czuł, że wszędzie i wszystko potęgą swą złamać powinien; człowiek rachował, ważył i widział same niepodobieństwa. Lecz gdy wspomniał na cuda, które Bóg Chrystus uczynił po wszystkim świecie, gdy pomyślał o opiece Maryi, Królowej nieba, gdy zliczył chóry zastępów anielskich i siły niewidoczne a potężne niebios... męźniał i krzepił się. I tak na przemiany łączyła odwagę, zwątpienie z męczeństwem i wytrwałością były się w sercu jego. Ale Bóg sam widział walkę, ludzie widzieli wodza-kapłana, męznego i nieugiętego, który na wszystkie namowy, wieści, postrachy odpowiada stale:

– Nie podda się Częstochowa!

Dwóch tylko ludzi w wielkiej liczbie oblężonych dorównywało mu duchem: miecznik Zamojski i Czarniecki; reszta z różnym usposobieniem przechodziła ze strachu do zuchwalstwa, kryła bojaźń milczeniem lub objawiała ją bezwstydnie, wierzyła w klęskę i starała się ją zmniejszyć, oczekując z rezygnacją lub rozpaczą... Lecz wielki, wielki jest wpływ choćby jednego człowieka, co słowem, jak dłonią olbrzyma, dźwiga serca i podnosi wysoko; czują ludzie wyższość, podbici nią milczą, i wstyd im zeznać się słabymi w obliczu siły; pną się do niego, choć pozornie chcą mu dorównać. Taki był wpływ Kordeckiego, którego ukazania się dość było, aby zmienić szmery niechętne czasem w chwilowy zapal.

VIII

Kordecki szedł korytarzami do klasztoru następującego ranka, gdy starzec zapłakany upadł przed nim na kolana; cofnął się zakonnik, złękniiony i zdziwiony.

– Co to jest? – spytał. – Czego chcecie?

– A! – zawołał stary, zachodząc się od rzewnego płaczu. – Nieszczęście wielkie, nieszczęście! Ja mówić nie mogę... pytajcie, pytajcie!

Tuż za nim w ślad biegł ksiądz Piotr Lassota, zmieniony, łamiąc ręce.

– Co to jest? Ubiegli twierdzą? Zdrada? Co się stało? – spytał przeor strwożony.

– Nie, nie – przerywanym głosem rzekł ksiądz Piotr – nieszczęście, zbrodnia...

– Zbrodnia? Tu? Ale mówcież, Bóg z wami, co się stało? Umarli męczennicy nasi?...

– Nic, nic, to nasze tylko nieszczęście.

– Cóż się stać mogło? Zabito kogo?

– Zabito czy porwano, nie wiemy – rzekł ksiądz Piotr Lassota. – Widzieliście Hannę, wnuczkę naszą?...

– A! I cóż się jej stać mogło?

– Znikła! Zginęła! Wczoraj wieczorem poszła do kaplicy... i nie powróciła.

– Przysięgam, to Krzysztoporski, to zemsta jego nade mną! – zawołał starzec. – To on, to ręką jego...

– To być nie może! – odparł przeor zadziwiony. – Tu, przy ołtarzu Boga, wobec niebezpieczeństwa taka zbrodnia! To niepodobna! Ale jakże się to stało?

Obaj Lassotowie nie byli w stanie odpowiedzieć; nadbiegł przecie ktoś trzeci, sąsiadka Lassotów, pani Jadwiga Jaroszevska, i ta lepiej rzecz opisać mogła.

– Handzia – odezwała się – bo stoimy przeze drzwi tylko, często wieczorami chodziła do kaplicy, gdy stary pan Lassota usnął; otóż i wczoraj nawet widziałam, kiedy wychodziła, a już mrok gęsty padał, pobiegła sama i czekali jej, czekali, ani śladu... nie powróciła.

– Może gdzie omdlała? Potrzeba szukać.

– A! Obiegliśmy cały klasztor, przetrzaśli wszystkie kątki: nigdzie wieści, nigdzie śladu.

– Gdyby była zabita, przypadkiem czy umyślnie, byłby znak jakiś...

– To Krzysztoporski – powtórzył starzec, łamiąc ręce. – Niestety mnie tu przywiodło; jakem go tylko ujrzał, zaraz mi się serce ścisnęło... Czulem swoją zgubę. Czemużem lepiej nie skrył się gdzie w lasy i nie umarł z nią razem z głodu!... Nieszczęśliwe dziecię!... Może ją Szwedom wydali...

I padł na ziemię, zachodził się a płakał; ksiądz Piotr chciał cieszyć, ale jak pocieszać było? Kordecki sam ujął go pod rękę i chciał zaprowadzić do mieszkania, ale starzec już nie mógł wrócić tam, gdzie był z wnuczką wprzód; dobijało go wspomnienie; zaprowadzono go do celi księdza Piotra.

Tymczasem Kordecki, który przypuścić nawet nie mógł takiej zemsty i nie śmiał o nią obwiniać Krzysztoporskiego; dziwnymi rozbijał się domysły i poszedł, surowo milcząc, na mury. Chciał spojrzeć w oczy obwinionemu i wyczytać przez nie, co się działo w jego duszy. Jeszcze nie doszedł do baszty, w której spodziewał się znaleźć, gdy go spotkał na drodze.

Krzysztoporski był chmurny, dziki jak zawsze i zbłąkane miał wejrzenie, zadumę smutną na czole, troskę w duszy widoczną, ale dnia tego udana czy prawdziwa radość błyskała mu ze źrenic; zdawał się jakby uspokojony, jakby nasycony. Pierwszy powitał przeora, który milczącym badał go wejrzeniem.

– Zszedłem tylko na chwilę z murów, żeby zobaczyć nasze zapasy prochu, ale ojciec Mielecki na stanowisku; wracam zaraz, on mi świadkiem, żem dzień i noc na czatach, ani z nich nic schodzę.

Przeor patrzył jeszcze, Krzysztoporski mówił dalej:

– Na pierwszy znak do boju jesteśmy w gotowości.

– Słyszeliście o wypadku? – spytał Kordecki.

– O jakim? – dosyć spokojnie, ale spuszczać w dół oczy odparł szlachcic. – O księdzu Małachowskim i Błęszyńskim?

– Nie, o wnuczce pana Lassoty.

Krzysztoporski wargę odął i brwi namarszczył.

– A cóż się stało? – spytał.

– Znikła – rzekł Kordecki. – Rzecz niepojęta.

– Może zabita – cicho szepnął szlachcic.

– Wszak od tego nieszczęsnego traktowania nie strzelają...

– A któż wie, może się gdzie utopiła – rzekł Krzysztoperski – może spadła z murów... zresztą tyle tu hałasty.

Przeor uważał nań bacznie, ale szlachcic w niczym zwykłego swego pozoru nie zmienił; że, obojętnie to przyjmował, nie było dziwne.

– Panie Mikołaju – odezwał się po chwili namysłu przełożony – wiemy, że Lassota i wy byliście śmiertelnymi nieprzyjaciółmi...

– Byliśmy? Jesteśmy! – odparł. – Ale cóż z tego, ojcze?

– Wiecie, że was wszyscy o to zniknięcie posądzają?

– Czuję, że tak być musi.

– Jesteście spokojni na sumieniu?... Możecie przysiąc, że to nie wasza robota?

– Aby człowieka o zbrodnię posądzić, trzeba czegoś więcej niż nieprzyjaźni, potrzeba dowodów... a tu dowodów nie ma i być nie może.

– Jakże to wiecie? – spytał chwytając przeor.

– Bo mi to dziś w głowie – rzekł Krzysztoperski zimno. – Nie taję, żem rad, iż Lassota cierpi; i jam cierpiał z jego ręki, ale to sprawa nie moja. Zresztą cóż bym z nią uczynił? Wiecie może, że to wnuczka mojej żony?

– Panie Mikołaju, Bóg nie szczęści nienawiści.

– Ale Bóg nie wymaga darowania winy, gdy za nią żalu nie ma.

– Owszem.

Krzysztoperski odwrócił się trochę i zmilkł, ruszając tylko ramionami.

– Co mi tam! – rzekł po chwili – niech sobie posądzają... jam nie winien.

– Stoicie na murach naprzeciw mieszkania Lassoty; widzieć musieliście, jak wychodziła... nie macież poznak, posądzenia na kogo?

– Ja na obóz szwedzki patrzę, nie na czyjeś tam okna.

To mówiąc, zwrócił się na mur, a przeor odszedł wzdychając.

A tuż leciała szalona, z rozczochranym włosiem, z rozwiniętymi chusty, jak piorun pędząc, żebraczka i wołała głosem wielkim:

– Sprawiedliwości! Sprawiedliwości! Kryminał, pod boki Matki Boskiej zbrodnia!

Minęła przeora, pobiegła do okna Lassoty, zajrzała w nie, po świeżym, wilgotnym popatrzyła bruku, po drzwiach i pędem ode drzwi ruszyła w dziedziniec. Tu obróciła się, obejrzała, zobaczyła Krzysztoperskiego na murze, załamała ręce.

– On! – zawołała donośnie. – On!

I suchym wskazała nań palcem.

Krzysztoporski, który to usłyszał, wzdrygnął się mimo woli, obrócił – usta zaciął tylko. Stara nazad za przeorem śpieszyła, ale w pół drogi, miarkując się, zawróciła znowu, zapuściła chustę, opamiętała się i powolniej, powolniej coraz szła usiąść pod oknem Lassotów. Tu wyjęła swój chleba kawałek, zawinięty starannie, poczęła go całować i płakać, jakby naradzać się z sobą i cicho szeptać.

– Nie, nie, to być nie może, on jej zabić nie mógł, ona się znajdzie, tu gdzieś ją skryć musiał. O, czuję, to jego sprawa! Biedne dziecko, za cóż ty pokutujesz jeszcze, za stare grzechy czyjeś, za dawne sprawy i zemsty! Ale Matka Boska ulituje się, to być nie może... Ja ją odkryję. Biedne dziecko – powtarzała – tak zginąć marnie! A! I ten biedniejszy może starzec... Lepiej by mu śmierć niż to ostatnie sieroctwo.

Płakała długo, ale jakaś otucha wstąpiła w serce i ujrawszy, że się jej łzom i szalowi ludzie podziwiać zaczynają, zdobyła się jakby cudem na swoją wesołość codzienną, na skoki, na śmiech; oszukała wszystkich... zakręciła się i uciekła.

IX

Zdziwił się wielce Miller, zobaczywszy powracającego ojca Zachariasza z miną nie zmienioną, z twarzą tąż samą, z jaką był odszedł, ani upokorzonego, ani znękanego, ani śpieszącego – co by wieść nową znaczyło i upragnione poddanie. Bleszyński modlił się cicho i wzywał tylko chwili śmierci, bo ją mieli oba za nieuchronną.

Chmurną brwią i gniewem tym straszniejszym, że zaciętym, już nie wybuchającym na zewnątrz, przyjął Miller przyprowadzonych do siebie księży; otaczali generała wodzowie, ksiązę Heski, który na niego spoglądał z góry i unikał z nim rozmowy, Sadowski milczący i nie kryjący swego wstrętu dla naczelnika, Wejhard, na przemiany pochlebny, uśmiechnięty, tajemniczy polityk, zręcznie umiejący poddać myśl swoją nie przyznając się do niej.

Był wieczór, a namiot Millera obszerny, w którym, wedle zwyczaju, dla starszyny zastawiano stoły, przedstawiał widok malowniczy; oświecały go lampy kościelne i świece woskowe, wyraźnie w zakrystiach jakichś jakby z katafalku zerwane, w lichtarzach ciężkich i wielkich; między obrusami znać było znowu bogato szyte ołtarzowe opony; na ścianach wisiały zbroje, miecze i oręż, bogate polskie kołczany, przepyszne kobierce herbowe; po bokach leżały aksamitne siodła z rzędami złocistymi sadzonymi i różny sprzęt, widoczny owoc grabieży. Starszyna siedziała na kulbakach, na obozowych tłomokach, na ławkach zbitych naprędce; słudzy krzątali się z wieczorą; kilku grało w karty i kości w milczeniu, niekiedy przerywając sobie przekleństwem; dzbany i flasze krążyły. Wejhard był wszędzie: to coś szepnął, to się uśmiechnął, to podrwił z nieprzytomnych, a pochlebił każdemu, a sadził się na umizgi. Miller sapał, milcząc, na uboczu, spojrzał, gdy wprowadzono księży, i wskazał na nich.

– Jutro rano szubienica! – krzyknął. – Nie chcieliście pokoju, zburzę to gniazdo papistów i bałwochalców, a wam śmierć!

Bleszyński i Małachowski, już przygotowani do wyroku, ani się ulękli, ani nawet prosili i żaden nie rzekł słowa. Wejhard poglądał na nich z szyderską radością. Sadowski z politowaniem, inni, nawet zajęci gracz popodnosili głowy, radzi zobaczyć, jakie wyrok śmierci uczyni na nich wrażenie.

– Spisać dekret – rzekł Miller – postawić szubienicę, a jutro rano niech ich powieszą!

Czekał, czy się nie odezwą: milczeli; on gniew w sobie warzył i buchać nim poczynął; kilku Polaków przytomnych stało z boku, poglądając po sobie, ale dziwnie zmieniły się ich twarze; coś poszeptali i wyszli.

– Gotujcie się na śmierć – powtórzył generał.

– Gotowiśmy i dziś za wiarę, kraj i króla naszego umierać – odpowiedział Małachowski.

W drzwiach namiotu usłyszeli jeszcze tę odpowiedź odchodzący Polacy. Miller skinął ręką.

– Niech ich odprowadzą; wystawić szubienicę, a dekret posłać do klasztoru: może książd przeor zechce się z murów widowisku przypatrzeć, zbliżyć ją do twierdzy.

Jakkolwiek Wejhard stale potakiwał i poddmuchiwał Millerowi najgwałtowniejsze środki i ten także miał za skuteczniejszy nad inne, sądząc, że Jasna Góra upokorzyć się musi, ocalając swe dzieci poddaniem – i on nawet wobec wszystkich nie śmiał ust otworzyć, tak widocznie ten wyrok śmierci wypiętnował się oburzeniem na twarzach przytomnych. Po oddaleniu się mnichów pierwszy książę Heski odezwał się od niechcenia:

– Tym sposobem nie zrobimy tu przyjaciół dla Karola Gustawa.

– A w dodatku będzie to – dodał przechadzając się Sadowski – złamaniem wyraźnych obietnic króla, bo uniwersały zaręczają bezpieczeństwo osób...

– Tylko nie buntowników! – podchwycił Miller.

– To są kapłani – rzekł książę Heski. – Ale zresztą, rób sobie, jenerale, co ci się podoba.

Wejhard milczał; szukał w nim sprzymierzeńca Miller, ale zrečný hrabia, jak ujrzał, że wiatr z innej strony, wynalazłszy pilny powód jakiś, zakręcił się i uszedł.

Do wieczery wszyscy zasiedli milczący. Po chwili książę Heski znów obojętnie mruknął:

– Powiedz no mi, jenerale, czy istotnie myślisz tych dwóch zakonników powiesić?

– A czemuż nie miałbym tego zrobić?

– Możesz, to pewna, ale do czego się to przyda?

– Ha! Zobaczymy.

– Tyłu Polaków niechętnych mamy z sobą, są to sprzymierzeńcy siłą pędzeni tylko; cóż będzie potem?

– Albo się to ich lękamy?

– Lękamy? Nie, zapewne; ale trochę przecie oszczędzać ich nie zawodzi. Miller ramionami tylko ruszył.

– To gawiedź przelekła, którą strachem prowadzić potrzeba; poznają, że Szwed nie przebacza.

– O tym już wiedzą podobno.

Rozmowa się urwała i nikt więcej nie przemówił za zakonnikami. W obozie polskim, który szwedzkim był otoczony, bo Miller swoim pomocnikom nie wierzył, wielkie wrażenie zrobiła przyniesiona wiadomość o wyroku śmierci, zapadłym na mnichów częstochowskich. Wieczorem przyszli, potwierdzając ją, pułkownicy z namiotu Millera, którzy byli świadkami jego gniewu i groźby.

Już i tak fizjonomia obozu Polaków połączonych ze Szwedami, którzy nic wprawdzie nie działali, bo się od współuczestnictwa w tym oblężeniu wymówili z góry, ale zmuszeni byli towarzyszyć oblegającym, niewesoła była i wcale nie rażna. Stali oni nieczynni, sercem wiedzeni gdzie indziej; cześć Matki Boskiej zmuszała ich ująć się za Nią, ale nie dozwalała; potrzeba było milczeć z założonymi rękoma, patrzeć na zuchwałę targanie się ludzi obcej wiary i z duszą zranioną boleć, a nie ruszać się krokiem. Dnie długie spędzali na beczynnych narzekaniach, na domysłach, na obwinianiu wzajemnym, na kłótniach i wyrzutach czynionych starszyźnie, na którą całą biedę zwalono. Jedni ciągle mieli na ustach jakieś uniewinniające ich przyczyny przejścia do Szwedów, bo czuli się winnymi; drudzy, zagłuszyć pragnąc głos sumienia w sobie, hulali szalenie a smutnie; inni w milczeniu posępnym, z głowami spuszczoneymi, poglądali obojętnie na wszystko, co ich otaczało, Mała garść w Szwedach widziała zbawienie Polski. Lecz byli i tacy, co tylko liczbą przemożeni, za liczbą poszedłszy, uciekać nie mogąc, narzekali na siebie, na drugich i kłęli Szwedów otwarcie, co wlaźło. Najmniej takich jak Kaliński, statystów, otwarcie i skrycie sprzyjali Szwedom, dla wywyższenia i przyszłych korzyści osobistych.

W namiocie Mikołaja z Karmina Karmińskiego zgromadzili się właśnie Polacy: Kuklinowski, Trupski i kilku innych; siedzieli oni posępni, grzejąc się u nanieconego ognia, dumając o rodzinach, o kraju i jego losach przyszłych, o sobie i położeniu, w jakie wpadli – gdy Krzeczkowski, dowódca jazdy, i pułkownik Jan Zbrozek wpadli żywo,

oba poruszeni i prawie w rozpacz. Za nimi w ślad nadbiegł Adam Komorowski. Wszyscy trzej należeli do tych, co się możliwym uwieść dali, przechodząc na stronę szwedzką, i szczerze już żalowali sromotnego poddania się. Krzeczkowski wyglądał tylko chwili, by ze swymi odstać od najezdników. Zbrozek kłął panów i łajał, a Komorowski knował spisek, chcąc się z tej matni wydobyć. Wszyscy trzej, zaognieni, pozzrucali z siebie opończe i Zbrozek pierwszy zawołał:

– Otóż i doczekaliśmy się, że Miller wieszać poczyna! Póki tylko hołotę, tych olkuskich górników na szubienicę włókł, jak sobie chce; ale zasmakowawszy, bierze się już do zakonników... do szlachty!

– Albo co? – spytał Karmiński.

– Czyż nie wiecie? Wszak Miller skazał już na szubienicę dwóch zakonników z Jasnej Góry: Małachowskiego i Bleszyńskiego, których zachwyił przeciw wszystkim prawom; a karze ich za to, że przeor twierdzi nie poddaje!

– Jak to? – poczęli pytać inni.

– Ot tak, jak wam mówię: jutro dekret się ma spełnić, księży Szwedzi powieszą.

Wszyscy na tę wieść stanęli jak osłupieni, spojrzeli po sobie, widać było na twarzach oburzenie, gniew, niechęć.

– A my to ścierpieć musimy – zawołał Zbrozek. – Ha! Samiśmy temu winni: było lepiej ginąć od Szweda, niżeli psu temu pomagać; teraz, dawszy się ująć w jarzmo, orzmy grób własny.

I padł na siedzenie.

– Tak – dodał poruszony –: wczoraj poczęli od chłopów, dziś mnichów, szlachcie takiej jak i my, a jutro może nam... Tak będzie z zakonnikami, z nami, z obietnicami Karola Gustawa, z prawami naszymi, a potem z ziemią naszą i ze wszystkim. Biada zwyciężonym, mówili starzy, ale gdybyż choć zwyciężonym! Tutaj biada tym, co się poddali, wszystkim biada.

– Ale to być nie może – przerwał Komorowski – żebyśmy to ścierpieć mieli; dosyć, że już nas splamili, ciągnąc tu z sobą, chcą jeszcze zbezczęścić nas, czyniąc naszymi świadkami zbrodni, a więc spółnikami jej!... To być nie może!

Powstali i inni, a Stępkowski zawołał:

– Możemy nie pozwolić na to, idźmy do Millera i manifestujmy się.

– Tak! Albo to sejmik śródcki¹, panie cześniku? – zapytał Zbrozek. – Gdzież tu nasz manifest przyjmą?

– Przepraszam – przerwał Komorowski – przyjąć muszą; jeśli nie do akt, to do głowy; powiemy mu, że tego nie zniesiem, położym manifesta nie nasze, ale Karola Gustawa i upewnimy go, że tym sposobem nie podbiją Polski, ale to, co mają, stracą... To niegodziwość! To rozbój! Nie jesteśmy w lesie!

– Narazim się tylko na wstyd nowy – rzekł Zbrozek. – Poszliśmy w niewolę, znośmyż ją; wszystko to przewidzieć było łatwo: woleliśmy poddać się, niżeli bić, dźwigajmyż niewolę i srom, do miliona diabłów! Zamilkli, a smutnej zadumy i zgryzoty wyraz zawiśł na czołach posępnych.

– Ha! – rzekł Karmiński. – Nie wyrzekliśmy się przecie praw naszych, poddając, mamy je zapewnione; jeśli Miller braci naszych kapłanów powiesi sromotnie, pójdziemy wszyscy precz i od króla, i od niego. Zbrozek gorzko się uśmiechnął.

– Oho! – rzekł. – Nie czas się cofać! Pijmy piwo; któregośmy sobie sami nawarzyli. Nie czas!

– Jak to? Zawsze czas – zawołał Karmiński. – Idźmy jutro wszyscy do niego, a powiedzmy mu śmiało prawdę; niech wojuje, ale pochwyconych zdradą nie znieważa, lub wara! Polska się ocknie.

– Już znieważył – odparł Zbrozek. – Wiecie, jaką noc spędzili w obozie, wiecie, co z nimi czynili żołdacy. Święta suknia i oblicze kapłana Bożego poniewierało się w steku hultajstwa... A to słudzy Patronki królestwa naszego! A to bracia nasi!

Karmiński pochwycił z kołka szablę i przypasał ją.

– Idźmy wręcz do Millera – rzekł – idźmy zaraz, natychmiast; jutro odejdzie oburzenie nasze, minie nasz szal poczciwy, serca się wyziębią, rozmyślimy i stchórzymy; gotowiśmy patrzeć na zbrodnię lub za późno będzie, by jej zapobiec. Kto Polak a katolik. za mną...

– Jam nie katolik – odezwał się Trupski – ale co to ma do tego? Idę, jeśli nie o kapłanów, to o braci się upomnieć.

– Panowie! – rzekł Komorowski – i ja z wami; kto się jeszcze serca i uczucia w tym zaprzędaniu babilońskim nie pozbył, z nami!

¹ Środa – miasto w Wielkopolsce, gdzie się odbywały sejmniki prowincjonalne.

– Wszyscy! Wszyscy! – zawołała starszyzna i tłumnie wytoczyła się razem z namiotu, lecąc przez zdziwione żołnierstwa szeregi do obozowiska Millerowskiego.

Noc już była, jenerał ucztował jeszcze, gdy mu znać dali, że tłum Polaków z okrzykiem idzie na jego namioty.

– Wpuścić – rzekł z uśmiechem – panów Polaków; pewnie sobie podochocili i chcą moim winem dokończyć za zdrowie Karola Gustawa.

Wtem podniósł się u drzwi płotek i weszli wszyscy posłannicy, a Miller poznał zaraz, że nie o vivat Carolus Gustavus chodziło, bo oczy mieli łzawe a gniewem zapalone, miny dumne, postawy męskie i twarze posępne.

– Panie jenerale – rzekł Adam Komorowski – przyszliśmy do was zapytać, czy prawda to, żeś wydał wyrok śmierci na zakonników jasnogórskich?

– Tak jest! – odparł Miller dumnie. – A wy jakim prawem pytacie mnie o to?

– Prawem ludzkości, prawem obietnic Karola Gustawa – rzekł śmiało Komorowski. – To są szlachta i bracia nasi, to są, co więcej, kapłani naszej wiary, którą przyrzekliście opiekować się i szanować.

– To są buntownicy! – krzyknął jenerał.

– To są posłowie! – przerwał Zbrozek. – I jako tacy szanowani być powinni.

– Wy będziecie mnie uczyć, co mam czynić? – zawołał w gniewie Miller.

– Wy, podwładni moi?

I nastawił się, jakby chciał rzucić się na nich.

– Mospanie jenerale – odezwał się Komorowski – to nie Szwecja wasza i nie wasze regularne wojsko, ale szlacheckie, w którym jest i siła orężna i znaczenie reprezentacji narodowej razem. Mamy prawo spytać, co robisz, boś na placu boju tylko wodzem naszym. Jeśli dopuścisz się gardła na mnichach, odstępujemy cię wszyscy.

– Przysięgliście!... – mruknął zdumiony jenerał.

– Zmuszeni może, a niechętnie pewnie... A wyż to nie łamiecie przysięgi, słowa Karola Gustawa, który przyrzekł szanować prawa nasze? Prawo nie pozwala u nas świeckiej władzy tknąć kapłana.

Miller rozsierdził się i krzyknął:

– Po toście przyszli do mnie?

– Po to, jenerale, i zapowiadamy ci, że ich powiesić nie damy, choćby do boju przyjść miało! – rzekł stanowczo Komorowski. –Wieszając ich,

powieszysz sprawę swego króla, a żaden z nas jej pewnie odcinać drugi raz nie będzie. Nie jesteśmy niewolnikami, ale sprzymierzeńcami waszymi. To powiedziawszy, Komorowski, nie skłoniwszy się nawet, odszedł, a za nim reszta. Miller się roześmiał, ale śmiech to był gorzki; widział poniewczasie, że za daleko zabrnął, a wstyd mu się było cofać.

Ksiązę Heski rzekł z cicha po wyjściu Polaków:

– A co, jenerale? Nawarzyłeś sobie piwa, jakże to teraz się skończy?

– Skończy się, że ich powieszę – odparł uparty Szwed. – Com powiedział, to się stanie.

– Nie powieszysz ich – rzekł ksiązę Heski – bo to istotnie szkodliwym by było sprawie naszej; szukaj tylko furtki, którą byś się wycofał.

– Cofać się nie będę. Polaków się nie boję; u nich wszystko na gębie, znam już tych krzykaczy! – mówił gniewnie jenerał. – Będą gadać wiele, pokłócać się i nic nie robią.

– Ba! Czasem przecie nie tylko krzyczą, ale i biją – przebąknął Sadowski – i dobrze.

– A, kiedy wszyscy jesteście tego zdania, żeby mnichów uwolnić i Polaków nie drażnić, czemuż z was nikt mi tego wprzód nie mówił? Wejhard pierwszy ten dekret doradził, jako najlepszy na nich sposób Ksiązę Heski, który z wielu innymi nie cierpiał Wejharda, ruszył wzgardliwie ramionami.

– Jenerale, powinieneś być do tej pory przekonać się, co warte rady hrabiego.

– Cofnąć się nie mogę! – zawołał jenerał do siebie, szukając już w myśli sposobu wycofania się. – Polacy pohałasują i umilkną, jak zawsze.

– Trafia się to – rzekł któryś z pułkowników – ale do ostatka ich doprowadzać i szukać jakby umyślnie, co najbardziej rozjątrzyć może, niepolityczna...

A Sadowski dodał:

– Jeśli wieść o tym gruchnie, a rozniosą ją szybko niechętni, cały naród powstać może przeciwko nam; już samo to oblężenie nieszcześliwe popsuło sprawę króla, a cóż dopiero krok taki?... Od czasu przyścia naszego zmieniły się twarze, humory i serca Polaków dla nas... Bóg wie, jaki skutek mieć będzie to niebezpieczne postanowienie.

– Ale jakże chcecie, żebym się tak wprost, z pieca na łeb cofał? – rzekł zniecierpliwiony dowódca. – Radźcie zresztą!

Nikt z radą nie pośpieszał. Miller, w widoczniejszym coraz pomieszaniu i gniewie, chodzić począł, a powoli pułkownicy, za hełmy i kapelusze wzięwszy, wyśliźnęli się z namiotu.

Nazajutrz rano znacznie już opadł był gniew Millera, pozostał frasunek; noc zrodziła uwagi nad skutkami zamierzonego kroku.

Ale jak się cofnąć było?

Z rozkazu wodza już naprzeciw klasztoru poczęto budować ogromną szubienicę, której widok przerażał załogę, zakonników i szlachtę.

Dano znać Millerowi. Kazał swoim zobaczyć, co robią Polacy. Obóz polski cały był pod bronią, na koniach, i w milczeniu zdawał się oczekiwać na coś.

Szwedzi obchodzili, patrzyli, pytali; nikt do nich słowa nie rzekł. Na przodzie wodzowie w zbrojach i hełmach, koszulach² i misiurkach³, za nimi towarzysze i czeladź stali w gotowości. Miller zawahał się i spowolniał bardzo; posłał do klasztoru, żeby się poddawano, odebrał odpowiedź, że póki mnichów nie powróci, traktować nawet nie będą – podumał i kazał odłożyć spełnienie wyroku. Widoczne już było dla wszystkich, że zakonnicy sprawę wygrali; Miller dekret wczorajszy starał się w żart obrócić i śmiał się ze strachu, którego narobił, nic nie mówiąc o własnej bojaźni. Posłał nawet około południa Kuklinowskiego, zapraszając zakonników do swojego stołu; ale wysłuchawszy tego osobliwego wezwania, ksiądz Małachowski odpowiedział poważnie:

– Skazani już na szubienicę przestępcy, niegodni jesteśmy zasiadać u stołu z panem generałem.

– Jak to, nie pójdziecie?

– Nie pójdziemy – odpowiedzieli oba.

Miller zjadł tę odpowiedź w żarcie, skrzywił się, ręką machnął, a dowiedziawszy się, że Polacy z koni już zsiadli, jeść podawać rozkazał. Nikt ze starszyny polskiej oprócz wiernego Kalińskiego nie przyszedł dnia tego do Millera; warzyli sobie w kociołkach i garnuszkach kaszę. Obiad u generała był smutny i milczący, a nikt nie zagadał o mnichach, o dekrete, o Polakach; mówiono o rzeczach obojętnych; potem nadeszły puchary, gra, szal, i wszyscy zapomnieli prędko o chwilowym niepokoju.

² Tu: zbroja okrywająca piersi i plecy po pas, czyli pancerz.

³ Misiurka – hełm żelazny z siatką spadającą z tyłu, dla osłony szyi od uderzania szablą.

X

Przez cały dzień i w ciągu traktowania o uwięzionych Szwedzi z dział nie dali ognia; Jasna Góra milczała, wojsko krzątało się, przybliżało, naigrawało i żywym łańcuchem obejmowało oblężonych. Kto wie, czy stan ten zawieszenia niebezpieczeństwa, choć krwi oszczędzał, nie był cięższy do zniesienia od samej walki dni poprzedzających? Potrzeba było milczeć, słuchać obelg, patrząc na postępy Szweda, który górę zajmował, rozsypywał się po niej, oblegał zewsząd fosy, upatrywał miejsc słabszych i jątrzył załogę łajaniem, szyderstwem, rzucaniem kamieni i wystrzałami ręcznej broni.

Pan Czarniecki uciekł z murów, bo nie mógł znieść tego widoku. Zamojski chodził z zaciętymi ustami, obłąkany prawie od gniewu; załoga nawet i mnisi czuli w sobie niepodobną do powstrzymania ochotę do boju... Widok szubienicy, o której przeznaczeniu wiadano, jeszcze bardziej rozjątrzył wszystkich i wzmógł oburzenie, ale wnet dano znać z miasteczka, że odłożono spełnienie dekretu, i poseł przybył, żądając znów poddania się twierdzy.

Kordecki, samym tym naleganiem i postrachami coraz mocniej przekonany, że zdobyć jej siłą nie mogą, gdy tak kołaczą o traktaty nieustannie, odpowiedział, jak wyżej wspomniano, zawsze jedną śpiewką:

– Oddajcie nam wprzód posłów, potem zobaczymy...

Odłożenie spełnienia wyroku i poruszenie Polaków, o którym zaraz w twierdzy wiadano dodało otuchy, okazując, że książdz Małachowski z Błeszyńskim bezpieczni są przynajmniej od śmierci.

Pozostawało mieć się na ciąglej baczności, pilnować, stać i czekać.

Z południa pan Czarniecki, który do ścian izby przywykły nie był, ale i na murach bezczynny pozostać nie umiał, wyszedł, jak mówił, trochę się przewietrzyć; a że go coś ciągnęło ku Szwedom, powoli z bratem, księdzem Ludwikiem, rozmawiając, wstąpił na mur. Ale zaledwie tu wstąpił, aż się wzdygnął, bo prawie pod samymi fosami i murami zjawiła się gawiedź ze strzelbami, i coraz to się który przymierzył do załogi, jak do wróbla, lub kamieniem w łeb na zakonnika cisnął.

Kilku ciurów polskich, wychowalców kirchy, śpiewało pieśni heretyckie, naigrawając się kościołowi i obrazowi; głosy ich dochodziły

do murów. Wreszcie pijany jeden żołdak podszedł aż pod samą basztę, u której stał Czarniecki, zmierzył do niego i wypalił; kula świsnęła mimo ucha panu Piotrowi, ale w tejże chwili prawie rozjątrzeni częstochowscy na całej linii dali z dział ognia i szwedzkie ciury, jak szczury zjadłe spłoszone, chmurą rozsypali się po górze całej. Kordecki z Zamojskim na odgłos ten wybiegli.

– Co to jest? Wszak rozejm! – zawołał przeor. – Na Boga! Co robicie?

– Ha! Rozejm! – krzyknął puszkarz Polak. – A psia wiara sami poczęli, bo jeden strzelił do pana Piotra Czarnieckiego; jużciż nie damy się im bezkarnie.

Nie było rady; pan Piotr, zagrzany, już się zwiżał po swojemu i, jak tylko z jednej strony dano ognia, zewsząd na znak ten odezwały się działa niecierpliwe, śmigownice i organki na murach. Potrzeba było naówczas widzieć Szwedów, jak kilkodniowym milczeniem twierdzy oswojeni, nagle przepłoszeni teraz, cofali się i śpiesznie do stóp góry uchodzili. Trąby zwoływały zbiegów; ładu i porządku nie było w popłochu, a kule częstochowian, jakby spoczynkiem sił nabrały nowych, miotły żołnierza, wywracały budy i jedna z nich strąciła szbienicę świeżo wystawioną. Inne waliły w ludzi, spędzonych do sypania szańców i redut, w nieszczęśliwych górników i bliżej stojącą piechotę szwedzką.

Miller w początku rozjadł się, jak zwyczajnie; gdy ogień usłyszał, chciał zaraz wieszać mnichów, ale też Polacy siedli na koń zbrojni, jak gdyby znaku tego tylko czekali. W obozie wrzawa, gwar, bieganina, kłątwy i niepojęte zamieszanie. Szwedzi śpiesznie się cofali do dawnego obozu, a kule za nimi: tu namiot upadnie, tam szereg ludzi rozsypie się wylekły i niecały powróci do porządku, tam nacelowane działo strzaskane drzewa obalą i ziemia zasunie mu paszczę. Trwało to długą chwilę.

Czarniecki zwiżał się, jak ryba w wodzie, wesół, rad, ochoczy; Zamojski wstrzymywał więcej przekonaniem niż uczuciem, przeor milczał. Nareszcie, gdy się góra opróżniła, ustał ogień za danym przez Kordeckiego znakiem i do przednich czat wysłano gońca z kartką do Millera, tłumaczyć mu, kto spokoju zerwanego był przyczyną.

„Więzicie posłów – pisał przełożony – rozejmy zrywacie zdradą, podkradacie się pod mury na ufnych wam a prawych nieprzyjaciół; możemże w takim stanie rzeczy traktować z wami? Co ręczy za dochowanie warunków, gdy wszystko, co zwyczaj i prawo uświęciło, depczecie? Traktuje się z dotrzymującym po rycersku danego słowa

nieprzyjacielem, nie z takim, który gorzej od Tatara wszystkie umowy gwałci”.

Zmarszczył się Miller na niegrzeczne pismo, posłał wysledzić, kto strzelał; przyprowadzono mu opilego rajtara, kazał go ukarać, i na tym się skończyło dnia tego. Ale Miller poznawać zaczynał, że postępowanie jego złe przynosi owoce, mnisi zyskali na opróżnieniu góry z dokuczliwych natrętów, bo Szwedzi pierzchnęli w dolinę, całą następną noc w strachu napaści i pilnym czuwaniu pędząc. Późno w noc generał namyślał się i radził, już do rady nie wzywając niefortunnego Wejharda; działa burzące z Krakowa nie nadchodziły, połowe niewielką były mu pomocą, traktowanie i groźby mu mało się dotąd zdały; potrzeba było więc innych chwycić się środków. Nie było już mowy o wieszaniu, a Sadowski, korzystając z usposobienia Millera, z niepewności, w jakiej pozostawał, poddał myśl uwolnienia zakonników.

– Więcej ich tym sobie zjednać – rzekł – niżeli ustraszycie groźbą. Strach to i obawa szwedzkiego okrucieństwa jest największą przeszkodą do poddania się nieprzyjaciela. Pokażcie im sprzymierzeńca, obchodźcie się z nimi po ludzku, a zmienicie ich; wówczas załoga i zakonnicy nie potrafią się opierać.

Książę Heski był tegoż zdania, ale Wejhard, który przyszedł nieproszony na radę, bardzo się sprzeciwiał wnioskowi; szczęście, że Wejharda pomysły już były bardzo podejrzone Millerowi – i jeszcze go więcej skłoniło to, na przekór hrabiemu, dla umartwienia, postąpić przeciw jego myśli. Stało więc znowu na tym, iż Miller przyzwalał, żeby zakonników uwolnić.

Wejhard tylko zakrzyknął:

– Jenerale, gubicie najlepszą sprawę!

– O radę już was nie proszę – odparł Szwed dumnie – dość jej słuchałem. Wrzeszczewic odszedł niby rozgniewany, ale wysłał Kalińskiego i na zwiady i do rady; nie mogąc sam, działał przez niego.

Książę Bleszyński i Małachowski siedzieli na suchym pniaku wśród gawiedzi, która im nie dawała się modlić; wzajemnie się przed sobą z rana wypowiadawszy, czekali śmierci, której pewni byli. Zaproszeni do stołu, wzięli to za rodzaj szyderstwa i wyglądali wypełnienia dekretu. Żołnierz szwedzki, w którym starego rycerskiego ducha nie było, który uczuć nie umiał wielkości tych ludzi, w prostocie gotowych na męczeństwo, idących skromnie, jak dzieci, na śmierć bezczesną, chodził wkoło nich naumyślnie, śpiewając, popychając jednego, to drugiego,

podnosząc im blisko twarzy dymiące głownie, niby dla ogrzania, targając za kaptury, by odsłonić nagie głowy, szarpiąc za szkaplerze i nieustannie ich niepokojąc. Oni to wszystko znosili w milczeniu, z krwią zimną i rezygnacją bohaterów Chrystusowych.

Wtem zbliżył się Sadowski z wesołą twarzą, kręcąc wasa. Myśleli, że miał rozkaz prowadzić ich na śmierć. Wstali, spojrzeli na klasztor, jakby go żegnali, i ojciec Bleszyński ukląkł.

– Miło mi – odezwał się po polsku Sadowski – zwiastować wam dobrą nowinę.

– Nie szydźcie z nas – zawołał żywo Małachowski – nie godzi się to mężom rycerskim; weźcie życie, ale nie dręczcie ducha, to męka gorsza śmierci!

– Nie szydź nigdy – rzekł Sadowski łagodnie – alem przyszedł istotnie zwiastować wam, żeście wolni.

– Wolni? – powtórzyli oba z niedowierzaniem i zdumieniem, a potem z żywą radością, i ojciec Małachowski zbliżył się szybko ku zwiastunowi dobrej nowiny.

– Jak to?

– Tak jest. Jenerał Miller wybacza wam upór i szyderskie traktowanie wasze, które było jakby dziecinną igraszką; idźcie i powiedzcie Kordeckiemu, niech się podda. Te słowa polecił mi wam od niego zwiastować; oprzeć się nie możecie, a na cóż rozjářzać silniejszego nieprzyjaciela?

Ale zaledwie im oswobodzenie ogłosił, już go tak jak nie słuchali ojcowie; oba zabierali się iść co żywiej do klasztoru, aby ich jeszcze nie pochwycono lub nie zmieniono rozkazu. Małachowski tylko pożegnał ukłonem Sadowskiego i obaj, podniósłszy habitów, wziawszy kije w ręce, odżyli i śpiesznie puścili się do Jasnej Góry.

Wojsko przeprowadzało ich ciekawymi oczyma.

Uszedłszy kilkaset kroków, spotkali strzaskaną szubienicę, która dla ich męczeństwa zgotowana była, i każdy z nich wziął drzazgę na pamiątkę unikinionej niemal cudownie śmierci. Już i z murów widziała częstochowska załoga idących księży i głośny, wesoły okrzyk rozległ się na blankach, a z dala widać było Kordeckiego, którego wyciągnięte ręce zdawały się błogosławić i witać.

Brat Paweł płakał, stojąc z kluczami u furty; rzucił on habit, który latał (gdyż to było zwykle wolnych chwil jego zajęcie: cały klasztor obszywał, modląc się w swojej izdebce), upadł na ziemię, gdy ich zobaczył,

ucałował ojców suknie i ściskając prowadził do klasztoru w uniesieniu i zapale niepohamowanym. Tu ich przyjęto jako męczenników i bohaterów...O, piękna to była chwila, gdy po przecierpianych boleściach oklask pocziwych. witał zwycięzców, i musiało w nich zadrzeć serce ludzkie, choćby nie było światu i dumie, bo w oklasku tłumu był głos Boży. Mylą się ludzie, lecz lud się nie myli; on nic nie wie, dowieść swojego wstępu i swojej miłości nie może; ale gdy kogo kocha, kiedy się kim brzydzi, głos Boży jest w tym pociągu lub wstręcie.

Łzami witano zakonników, którzy się pokornie zakłopotani wymawiali, jak mogli, od takiego przyjęcia; zwycięstwo ich, wytrwałość, męstwo, gotowość na śmierć była przykładem i podniętą dla oblężonych; przeor przyjął ich jak ojciec i brat, dziękując Bogu, że mógł powitać żywych z koroną męczeństwa.

– Nie mówcie mi nic – rzekł na wstępie – że potęgą szwedzka jeszcze na was wrażenie czyni, że będziecie mnie skłaniać do poddania; zostawcie to staroście brackłowskiemu i jemu podobnym, a razem pójdźmy przed ołtarz naszej Orędowniczki.

To była zawsze pierwsza i ostatnia myśl Kordeckiego.

– Módlcie się, by prosić, módlcie, by dziękować, módlcie, gdyście cierpieli i gdy cierpicie, módlcie się, wierźcie a, pracujcie! A zawsze się módlcie: czynem, usty, sercem, myślą, życiem całym.

Nim doszli do kaplicy, co zapytań, co ciekawych badań wycierpieć musieli zakonnicy o Millerze, o wojsku; o obozie! Próżno przeor natrętnych odpychał.

– To potem, to potem; wprzód się trzeba pokłonić Gospodyni naszej.

Zaśpiewano więc litanie loretańską do Królowej niebios.

Po odśpiewaniu litanii zaprowadzono przybyłych do refektarza, gdzie za nimi szlachta hurmem się zaraz wciskać poczęła; wszyscy ciekawi byli historii dwóch zakonników, ciekawi poznać z ich ust bliżej Millera, obóz szwedzki i polski, siły ich i rolę, jaką tam grali rodacy oblężeni, niby na uwięzi przyprowadzeni niewolnicy, co się bić nie śmieli, a na bój z braćmi patrzyli suchym okiem.

Dwaj księża, przejęci potęgą nieprzyjaciela, mimowolnie ją malowali, i marszczyli się Zamojski, widząc, jak powoli wielkie czyni wrażenie opowiadanie ich na przytomnych. Przeor, to także postrzegłszy, ujął za rękę ojca Małachowskiego i rzekł z cicha:

– Dajcież już pokój potędze szwedzkiej, a idźcie spocząć!

I tak z głodną ciekawością, niewiele zaspokojoną urywkowymi kilku słowy, rozeszli się wszyscy.

XI

Nazajutrz po uwolnieniu zakonników poseł posła gonił do klasztoru, a wszyscy w imię uczynionej łaski (bo tak zwał Miller darowane uwiecznionym życie) domagali się zdania twierdzy. Wszyscy z jedną odchodzili odpowiedzią:

– Naradzi się zgromadzenie, da znać przeor.

Kordecki zwlekał, każdą godzinę w ten sposób uzyskaną licząc za wielkie zwycięstwo; w duszy miał przekonanie, że coś nagłego, niespodziewanego odpędzi Szwedów od Jasnej Góry, wygna ich z Polski całej. Zamojski był także za przeciąganiem traktowania, jeden Czarniecki chciał walczyć, ale się już z tym nie odzywał. W pół dnia posłano do kwatery generała z prośbą, aby dwóch zakonników pozwolił wysłać do Karola Gustawa, pod tę porę znajdującego się w Mogile pod Krakowem, dla wyproszenia u niego innych, spodziewano się, dogodniejszych warunków, w istocie znowu dla zyskania czasu.

Miller, w tej prośbie dopatrzwszy celu zwłoki, boby tymczasowo zawieszenie broni nastąpić musiało, odparł, że na to nie pozwoli; że ma sam pełną władzę do umawiania się z nimi, a gdy punkta ułożone i przyjęte zostaną, obowiązuje się ratyfikację, przez króla podpisaną i opieczętowaną, zakonnikom dostarczyć. Pod pozorem tej odpowiedzi wyprawiono znów do klasztoru Kalińskiego, który w przybranej roli troskliwego o dobro Częstochowy człowieka i gorliwego o całość miejsca świętego katolika przybył na Jasną Górę. Przeor świadkami rozmowy z nim chciał mieć, jak zawsze, przedniejszych szlachty i braci; wprowadzono go więc do definitorium, gdzie, na jakie stało obłożonych, przygotowano przyjęcie dla pana starosty. Kaliński, dumniejszy niż kiedy, mowniejszy i śmielszy, z pewną powagą zasiadł krzesło i począł mowę. Powtarzał w niej znane nam już argumenta.

– To szaleństwo – mówił – to jakieś obłąkanie na was padło; opieracie się już, dzięki powolności Millera, dłużej od Krakowa, choć z garścią tak małą! Czyż nie dość? Wyglądacie posiłków? Skąd? Od chana? – I rozśmiał się szydersko. – Denhoff i Wolf są w ręku króla szwedzkiego, cała mu się Polska poddała; ci jedni w pomoc wam przyjsze jeszcze mogli; wojsko kasztelana kijowskiego rozpieczęło się przerażone, działa pozabierane, żołnierz wylekły. Miller dla waszego jedynie dobra skłania

się traktować, ale jak tylko, mówię wam to poufnie, działa burzące z Krakowa nadciągną, nie pozostanie najmniejszej nadziei kapitulacji i układów. Myślicież, że wszędzie zwycięski Szwed tu tylko da się odeprzeć i ustąpi sromotnie? Może to być? Nie jestli to z waszej strony zarozumiałość ślepa?...

– Panie starosto – odparł Zamojski – Polska się jeszcze nie opamiętała. Na te słowa Kaliński rzucił się wprost na Zamojskiego z dziwnie zuchwałą miną i ostrymi słowy.

– Mości panie Zamojski! To nie polski sejmik, żeby tu słowy szermować i gębą bić króla szwedzkiego. Myśmy także Polacy, dbamy o kraj i jego losy, a przecież, widząc stan nasz i położenie, oddaliśmy się pod protekcję Karola Gustawa. Porzuć waszmość złe i zgubne rady, którymi to miejsce święte o zagładę przyprawisz, którymi w błąd wprowadzisz łatwowiernych zakonników... Możeszże waszmość ze Strzelcza swego powrócić szkody, które wojsko szwedzkie zgromadzeniu i szlachcie przy zdobyciu uczyni? Te szkody, na kilka mil dokoła sięgające, na wasze padną sumienie Możeszże waszmość własnymi siłami nieprzyjaciela odeprzeć. Chceszli mieć na duszy krew tyłu, gdy się żołnierz rozzuchwali i sukni, wieku ani stanu patrzeć nie będzie? Innej, innej, nie pana Zamojskiego rady szukajcie, a radźcie rychło, póki Szwed się nie rozjuszy; dziś jeszcze tylko traficie z nim zgodą do końca.

– Mospanie Kaliński! – odparł tymże tonem Zamojski i chciał, wręcz gniewem, dać naukę staroście; ale przeor za rękę go ujął i przerwał mu:

– Wszystko to, co mówicie, wiemy dawno; rady pana Zamojskiego szanujemy, ale największym doradcą naszym jest Pan Bóg i Matka Jego, do nich więc za upór nasz obróćcie wymówki swoje, jeśli chcecie. A o nasze dobro nie frasujcie się tak gorliwie.

– A! Jak sobie chcecie! Nie trzeba prorokować nieszczęść, bo ludzie w nic nie wierzą, aż poczują. Róbcie więc po swojemu, mnie do tego nic; ja ręce umyвам...

– Nie umywasz rąk, jak Piłat – rzekł Zamojski – abyście, jak on, winni nie byli.

I jużby może przyszło od tych słów do żywszej kłótni, gdyby nie zapukano do drzwi definitorium, a brat Paweł, pod pachą trzymając stary habit Kordeckiego, który łątał, podał list od Szwedów przysłany. Porwał go zaraz u drzwi Kaliński, a że był otwarty, rzucił nań okiem.

– Ha! To zapewne są działa z Krakowa, lub wkrótce nadejdą, bo oto i list do was Wittemberga.

W istocie było to pismo naczelnego wodza, który poddać się nakazywał, nieposłusznym groził, a ręczył, że Szwedzi zdrady żadnej na szkodę Częstochowy nie knują. Przeczytał Kordecki i zamyślił się, jakby rady w sobie szukał; obrócił się do paulinów i po chwili rzekł do Kalińskiego:

– Wszakżem od dawna do traktowania się skłaniał. Któż winien, że je barbarzyńskim postępowaniem zerwał Miller?

– A kto go rozdrażnił? – spytał Kaliński.

– Chyba pokora nasza – odparł Kordecki.

– Powiedzcie: umyślne podstępny..

– Panie starosto; do kogo to stosujesz? – zawrzał Zamojski znowu. – Podstępem tylko idą Szwedzi i szwedzcy zwolennicy.

– Nie mam tu co mówić i robić – wstając zawiązał się starosta: – Róbcie, jak wam lepiej, lecz pomnijcie, że Miller nie przebaczy zwyciężonym, a zwyciężyć musi.

To rzekłszy wyszedł, a gwar po nim i wrzawa, wzbudzone słowy jego, powstały. Wszyscy bojaźliwsi naglili przeora, aby traktował; nie mógł się im opierać, spojrzał na Zamojskiego w sposób znaczący i rzekł:

– Będziemy traktowali, ale chciej, bym ratując was wpuścił tu lutrów, kalwinów i katolików, co się, żyjąc z nimi, ich bluźnierstw pouczyli?

– Niech Bóg uchowa od tego nieszczęścia!

– Chciej, by święty nasz ołtarz zbezczęścili i splamili?

Zamilkli razem.

– I ja pragnę pokoju, zgody, układów, ale mogę przystać na to, bym świętości nasze, jak Judasz Chrystusa, wydał za srebrnik spokojności? Godziż się, ocalając życie, sprzedawać Boga i miejsce, w którym tyle cudów zlewał na niewdzięcznych?

Nikt nie ośmielił się odpowiedzieć.

– Uspokójcie się, dzieci – ciągnął dalej Kordecki – będę traktował, będę czynił, co można, co sumienie pozwala...

Na tym stanęło, a przeor wyszedł do swej celi dla pisania listu do Millera. Kaliński powrócił triumfujący jak zwykle; spotkał Wejharda w pół drogi, niecierpliwego i ciekawego.

– A co, starosto? – spytał.

– Cóż? Dałem mnichom pieprzu! – odparł, śmiejąc się poseł. – Wyłajałem Zamojskiego, bo to on tam wszystkiego sprawcą i doradcą, takiegom im napędził strachu, że się pewnie do wieczora poddadzą.

Wejhard, znający chętnie samochwalstwo Kalińskiego i próżną jego butę, ruszył ramionami nieznacznie.

- A parlamentarzy? – spytał.
- Tylko co ich nie widać.
- Ale nie bałamucisz, panie starosto? – rzekł Wejhard.
- Albożem kiedy zawiódł was? – rzekł urażony nieco Kaliński. – Przerażeni, przelekli, głodni, ledwie duch w nich; jeden Zamojski, że wie, czym dla niego pachnie oddać się Szwedowi, ze strachu gotów się bić; ale go tam ani chybi zwiążą i w ręce nam wydadzą, a sami będą prosić zmiłowania.
- Tak myślicie?
- Pewien jestem.
- No, idźmyż pocieszyć Millera.

I pojechali razem, a w ślad prawie za nimi przyszedł i list Kordeckiego; ledwie że Kaliński sprawił się ze swego poselstwa, już i kartę od przednich czat przyniesiono. Triumfująco spojrział na nią starosta i węża zawinął, jakby mówił:

- A co! Nie grackom się spisał?

Wtem Miller, rozwinawszy list i spojrzawszy nań, namarszczył się i rzucił nim o stół.

- To znowu żarty! Znowu zwłoki!

– Jak to być może, po moich przekonaniach, perswazji, gdy tak zdawali się przekonani...

- Zawsze oni jedni! – rzekł Szwed. – Uparci a krnąbrni, jeszcze im jakieś widać świtają nadzieje... chyba nie widzą, co koło nich?

– Sto razy im to przecie mówiliśmy...

- Nie wierzą!

Miller się zadumał znudzony.

- Ot, przeczytajcie sami – rzekł – co piszą, że im ich załoga wystarcza, a nowej nie potrzebują; jakbym ja ich pytał, jak im lepiej! Krętacze! A dodatek miły – dołożył, kwaśno się uśmiechając wódz – że naszego wyznania ludzi, a nawet katolików, co służyli przeciwko Jasnej Górze, wpuścić do niej nie mogą. Wykręt papistów, zaślaniają się świętością. Ale dość już tego błazeństwa. dość, jutro więc szturm do klasztoru....

To mówiąc powstał i wydano natychmiast rozkazy rozpoczęcia kroków zaczepnych na jutro, nie wysyłając już żadnej do klasztoru na list odpowiedzi. Miller wargę podgryzł, węża zakąsił, siadł na koń, wołać kazał puszkarzy, rozdać ładunki i, zebrawszy radę wojenną, o świcie uderzyć. Kaliński z Wejhardem, pospuszczawszy trochę nosy, odjechali na stanowisko.

XII

Na drugi dzień po rozpoczęciu na nowo kroków wojennych już nie mógł wytrzymać pan Czarniecki, śmigownicami tylko i organkami opędzając się hałastrze, a na wielkie działa spoczywające patrząc; zakasał poły, pokręcił wąsa i ruszył do księdza przeora.

Tu znalazł i Zamojskiego.

– Księżu przeorze dobrodzieju – rzekł na progu – trzymaliśmy, jak mogli, ale dalej chyba nas każesz powiązać; pozwól dawać ognia z dział, bo Szwedzi jak muchy na miód pakują się nam pod nos, cierpliwości nie staje; my znowu ich możemy kropnąć bez pozwolenia, bo w człeku krew, nie woda gra; a nieposłuszeństwo w czasie wojennym nicpotem; więc lepiej nam pozwól!

– Chyba w ostateczności – odparł przeor. – Zawsze z pana Piotra gorączka. Nie życzylbym się śpieszyć; pamiętajmy, że się bronimy tylko, żeśmy z mnichów żołnierze... śmierci niczyjej nie pragniem, byle nam pokój...

– Otóż to – rzekł Czarniecki – żeby nam pokój dali, to tłuc trzeba, a dobrze.

– Ale nigdy na życie ich nastawać nie powinniśmy, byle się opędzić; nie zapominajcie, że gdy kusze okazały się w wojnach dwunastego wieku zbyt śmiertelnym narzędziem, to koncylium laterańskie¹ użycia ich zakazało; aż w następnych dopiero krucjatach, gdy z niewiernymi do czynienia przyszło...

– Ojciec a dobrodzieju, tu nie o kusze idzie, całkiem inna sprawa! Co nam tam do koncylium laterańskiego... Przy tym, a toć to niewierni, ba! gorzej, bo odstępcy... Więc pozwalacie huknąć?

– Na miły Bóg, kochany panie Piotrze, bez tej zawziętości, bez tej szparkości! Ja, wódz wasz i ojciec, proszę... każde biedne ludzkie życie, co tu się kończy, na moim sumieniu; nie obarczajcie go!

Czarniecki głową pokręcił, ramionami ruszył, szukał widocznie argumentu, aż nareszcie rzekł cicho:

¹ Koncylium laterańskie – sobór powszechny w pałacu Laterana w Rzymie.

– Stań się wola Twoja! Jednakże nieuchronna rzecz, że nam strzelać przyjdzie; Szwedzi nas opasują, gruchoczą nam mury, a my mamyż stać i patrzeć?

– No, to sobie strzelajcie! – odparł przeor. A Zamojski dodał:

– Dawać ognia, dawać ognia! Więcej dla strachu, niż żeby padali... bo drażnić i tak podrażnionego nieprzyjaciela – niepolityczna i nieszkodliwa. Już i tak Miller, patrząc na swego Horna, którego kosą nasi tak dobrze podcięli, złością się zajada.

– Wszak tylko po brzuchu go drasnęli – zawołał pan Piotr. – Co u licha! I jeszcze się skarży?

– Niemniej pewnie ducha wyzionie.

– Zdaje mi się, że to sztuka Janasza Węgrzyna, który niech w Bogu spoczywa, bo żołnierz był dobry; a ja na mury pośpieszę.

– I ja z wami – dorzucił Zamojski, chwytając czapkę – czas mi do moich.

– Zapewne, chodźcie, chodźcie, a żywo, załodze ducha dodać, nie szkodzi.

Ale na ten raz przynajmniej załoga ducha nie potrzebowała; nabrała go spoczynkiem, wlał go widok szubienicy, oburzenie rozgrzewały się serca ciągłym zapatrywaniem na niezmordowane męstwo Kordeckiego.

I dzień to nie był bez ofiary, niestety. Jak gdyby wszystko miało być cudownym w tym oblężeniu pamiętnym, nawet kule, rażą ludzi w twierdzy, zdawały się ręką niewidzialną skierowane ku jakimś niepojętym celom. Wprzód jeszcze czterech Janów (między nimi Jan, czyli Janasz Węgrzyn) padli od kul szwedzkich; dnia tego trzech znowu młodzieży imieniem Janów działa nieprzyjacielskie położyły trupem. Ktoś to spostrzegł i uwagę zrobił, że co było Janów na murze, zbiegać poczęło; a że to imię u nas pospolite, znalazło się dosyć przepłoszonych. Dano znać Kordeckiemu wyszedł śpiesznie, znalazł w podwórzcu jeszcze owych wylekłych Janów, nie wiedzących, co począć z sobą; zbliżył się do nich i spytał:

– Czegoście to z murów zeszli, kochani bracia?

Żaden do strachu przyznać się nie śmiał.

– Wiem – kończył powolnie – wiem, że bojaźń was ogarnęła. Zamiast zazdrości korony Janów męczenników, wy unikacie śmierci wybranych, woląc życie mizerne strachem przedłużyć, niż żyć na łonie Bożym i w pamięci ludzkiej. Cóż za dziwny objął was przestrah? Nie jestli to najwyższym szczęściem polec w obronie wiary i kraju? Idźcie, jeśli

chcecie wstyd wasz ukryć, myśląc, że losu z ręki Bożej wyznaczonego unikniecie... idźcie i płaczcie nad słabością waszą...

Ale po tych kilku słowach nowy duch w nich wstąpił; zawstydzeni, zagrzani, ruszać się, rozbiegać na stanowiska poczęli i odważnie dotrwali w boju. Dzień ten ze wszech miar szczęśliwym był zresztą dla obleżonych. Kule Szwedów, czy to że się już byli przejęli mniemanymi czarami mnichów i źle je pokierowali, czy cudem łaski Boskiej, ciągle leciały ponad mury lub padały w podwórce i trzech tylko ludzi ubiły. Ogień zaś twierdzy był, przeciwnie, nadzwyczaj trafny.

Ciągle na myśli mając owe czary, ciągle o nich prawiąc, obawiając się ich coraz mocniej, Szwedzi nieopatrnie, tchórzliwie, przymusem tylko działali. Na baterii północno-wschodniej z pośpiechu czy nieopatrności proch rozsypany pięciu puszkarzom oczy wysmalił, a cekwart², stojący przed nią, w tejże chwili z działa ubity został. Wypadek ten gorzej jeszcze ich potrwożył, tak że mimo poduszczeń Millera, mimo dodawanego ducha i wódki, ku końcowi dnia ogień zwalniał widocznie i był raczej postrachem samym niż niebezpieczeństwem. Oficerowie nawet unikali zbliżenia się do murów, popychając naprzód żołnierza, a żołdacy szli opieszale; spędzeni, odstępowali szybko. Wyłomu pożądanego zrobić było niepodobna. Miller, który i sam od tego przesadnego strachu nie był wolny, choć się wyśmiewał z tchórzów, odjechał zawczasu i ciężko się zadumał pod namiotem. Wejhard tylko dojeżdżał, pędził, groził, zachęcał i, wiodąc za sobą wszędzie Wachlera, który mu słabsze miejsca wskazywał, chciał coś dokazać, a nie mógł. Jakkolwiek niedowiarek, przecież się jeszcze nie wyrzekłszy katolicyzmu i w głębi pamiętny wiary swojego dzieciństwa, począł i on wątpić o sile ludzkiej, a przypuszczać jakąś inną – potężniejszą. Kaliński także milczał i, stojąc z boku, już nawet w rady się nie wdawał, pocieszał tylko, powtarzając:

– Niech no działa z Krakowa nadejdą!

– Jeśli tak celnie jak te strzelać będą – odezwał się Wejhard – niewiele na nich zyskamy. To coś niepojętego, panie starosto.

– Istotnie, panie hrabio, to jakieś czary... Któż by w nie mógł nie wierzyć – odparł pan Seweryn. – A hrabia?

Ale Wejhard nie słuchał już, coś ważył i myślał.

– Nie jestli to rzecz niepojęta ten opór i nasze mazgajstwo?! Wziąwszy Poznań, Kalisz, Kraków, Warszawę – stanąć przy Częstochowie.

² Cekwart – oficer mający nadzór nad zbrojownią i rynsztunkiem.

– Rzecz jest istotnie zastanowienia godną, ale też zima, ale...
– Żadne a l e nie służy; silniejsi jesteśmy niż wprzód, czemuż tu bezsilni?

Ruszył ramionami i pojechali nieodstępni towarzysze do Millera, jemu ducha oddawać. Tu zastali nową rzecz. Czaty rozsypane dokoła i podjazdy szwedzkie schwyciły wracającego z Prus pana Piotra Śladkowskiego, podkomorzego rawskiego, i przywiodły go do obozu. Pan podkomorzy jechał sobie spokojnie, nie dbając na Szwedów, bo sądził, że jako zwolennik szwedzki wszędzie będzie miał wolny pas. Ale ciury, którzy się radzi byli obłowić, a myśleli, że to jaki poseł lub szpieg, wzięli pana podkomorzego z całym jego dworem i przywlekli przed Millera.

Był na człek, jak mówią, kuty na cztery nogi; ze Szwedami mówił po szwedzku, z Polakami po polsku, a sercem po staremu ciągnął do swoich więcej. Gdy więc Miller jął go rozpytywać, począł się skarżyć i wynosić swoje przywiązanie do Szwedów.

– Panie jenerale – rzekł z oburzeniem – cóż to? Czy bezpieczeństwa w kraju nie ma dla nas, poddanych króla Karola Gustawa I? Jak to mnie śmieli zatrzymać pańscy żołdacy?

– Cóż waszmość chcesz? To wojenny czas.

– Ale ja człek spokojny.

– A któż waszmości wiedział, coś za jeden?

– Pokazywałem pas Duglasa³.

– Oni bo czytać nie umieją; niewieleś na tym ucierpiał, że trochę zboczyłeś, a dla mnie to się dobrze stało.

– I postraszyli mnie i zmitrężyli mi drogę.

– A ja mówię, że to się dobrze stało; waćpan świeży człowiek, zrobisz mi tę grzeczność i pójdziesz jutro do tych. upartych mnichów. Ja z nimi głowę tracę, a mam litość nad nimi, dawno bym mógł ich zniszczyć z kretešem, a żal mi. Powiesz im waszmość, żeby nie szaleli, że cała Polska nasza, że się poddać muszą.

– Ale, panie jenerale, cóż ja tam poradzę?

– Poradzisz waćpan, poradzisz, poświadczysz, co się dzieje, nakłonisz ich, waćpanu lepiej uwierzą.

Pan Śladkowski, dziwnie jakoś brwiami ruszywszy, wąsa pokręcił.

– Wszak w Prusiech wszystko dobrze? Wszak Szwedzi wszędzie górą?

³ Duglas – jenerał szwedzki.

– A jakże, panie jenerale, a jakże! Tak jest! – powtórzył Śladkowski.
– No! Powiesz im to wszystko... powiesz i przemówisz z dobrą radą, żeby się poddali.
– Prawdę powiedziawszy, jestem nawet dawno znajomy księdzu Kordeckiemu. ..
– Tym lepiej, więcej da wiary waszmości. Hola! – klasnął Miller w ręce.
– Teraz muszę waszmości przyjąć i kazać ci dać kwaterę w Częstochowie.
Zaprzątnięto się tedy przyjęciem pana Śladkowskiego; ale gdy go poczęli badać o swoich, o fortunę oręża szwedzkiego, o to i o owo, prawili im banialuki i brednie, plątał się, bałamucił i nade wszystko zaklinał, że był wiernym bardzo poddanym króla Karola Gustawa, choć niewiele mógł wiedzieć, bo jeździł na Żuławy w interesie własnym, unikał posterunków i. wybierał kraj spokojny. Miller, widząc go tak jakoś nie zaopatrzonym w nowiny, pożałował nawet, że go do klasztoru posłać umyślił, ale pomyślał sobie: Lepiej, że nowego człowieka zobaczą, a od niego co posłyszą; niech jedzie! Kaliński się uprzejmie ofiarował do towarzystwa, ale podkomorzy grzecznie odmówił, dowodząc, że sam na sam z księdzem Kordeckim jakoś to lepiej pójdzie. Wejhard odjechał z nową nadzieją, a Śladkowskiego rajtarowie zawiedli do miasteczka Częstochowy, gdzie u Hiacynta Brzuchańskiego dano mu mieszkanie. Nazajutrz rano miał po niego przysłać Miller, dodać mu trębacza i wyprawić na Jasną Górę. Ledwie się uwolnił od Szwedów podkomorzy i poczuł swobodnym, rozmarszczyło mu się czoło i jął rozpytywać gospodarza ostrożnie.
Dowiedział się wszystkiego, co się tknęło oblężenia, i z weselszą twarzą do snu poszedł.

XIII

Nazajutrz rano był to siódmy grudnia, wigilia Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny. Przeor, od rana w nowej sukni, zbliżeniem święta rozjaśniony, poddawał się ciągle nadziei, mówiąc do swoich:

– Matka Boska na dzień swój da nam otuchę i radość, ale wszyscy dziś pośmemy po staremu, jak to pościli ojcowie nasi, suchotami dzień cały do wieczora; wieczorem grzanką chleba i trochę piwa posilimy się, i tak oczekiwać będziemy uroczystości.

Wszyscy tedy aż do starców i dzieci pościć postanowili, tak że nawet po kuchniach ognia nie rozpalano. Szwed rano nieochoczo brał się do dzieła i nierychło przebudził, a w klasztorze sposobiono się do obrony, gdy trębacz dał znać o pośle. Był to pan podkomorzy Śladkowski, któremu Miller był dał wprzód naukę; jak i co mówić; polecił mu naglić mnichów, aby co rychłej dla własnego bezpieczeństwa poddawali się, a podkomorzy, zaklinając się na swą miłość dla Karola Gustawa, wszystko spełnić przyrzekał.

Zaprowadzono go do księdza przeora, który z niemałym powitał go zdziwieniem.

– A co waszmość tu porabiasz? – spytał. – Czy także ze Szwedami?

– Jeśli nie z ochoty i dobrej woli, to z musu, księżu przeorze. Wczorajszego dnia, wyobraźcie sobie, jechałem spokojniutecznie do Prus, gdzie do panów Weslów miałem interes, aż tu rajtary szwedzkie, niech ich Bóg pokarze: ułapili mnie jadącego drogą i dostawili, jak włóczęgę jakiego, do obozu.

– Otóż to przyjaciele Szwedzi! – rzekł Kordecki.

– Kwitowałbym z przyjaźni, ale cóż robić?... A Miller, jak mnie wzięli, kazał, niby to lepszy od drugich świeży człowiek, iść waćpanów namawiać do poddania, dowodząc... ale to już wiecie zapewne.

– Ba! I sto razy nam to powtórzono – rzekł przeor. Kochany podkomorzy, a nie macie tam co nowego i lepszego od tej starej piosnki o Karolu Gustawie?

Śladkowski się bacznie obejrzał; stali obok: pan Zamojski, Czarniecki, dwóch jeszcze szlachty, ze trzech księży; pocmokał i zdawał się wahać.

– Ej! Kiedy to, widzicie, z tym diablem Szwedem nie żartować.

– Możecie nam przecie zaufać – przerwał Kordecki. – A macież co nowego?

– Ba, może by się znalazło! – uśmiechem odparł Śladkowski.

– No, to mówcie, a śmiało, a naprzód siadajcie; my dziś pościm wigilię na chwałę Matki Boskiej szczerym postem, ale dla was znajdziemy co przekąsić.

– Albo to ja także nie chwalca Matki Boskiej? – żywo zawołał podkomorzy. – Nie róbcieź mnie heretykiem, ja z wami, z suchotami jak i wy wszyscy, księżę przeorze.

Kordecki się uradował, aż mu oczy zabłyśły.

– Ej – rzekł – gdyby tak wszyscy i wszędzie razem szli, a śmiało!

– Nie byłibyśmy sobą – przerwał Śladkowski – u nas niezgodą życie stoi, a to pokaranie Boże...

– Prawda, ale mówcież, proszę, co tam mówić macie.

– Długo tak mówić nie mam co; minęła szwedzka godzina – po cichu szeptał Śladkowski – poczęło się wszystko dla nich na nice obracać; albo się bardzo mylę, albo dziś właśnie zawiązuje się przeciwko nim konfederacja. Spotykałem dużo ludzi po drodze, od Krakowa, od Małopolski, nowiny zewsząd jedne: noga się Szwedom powija.

Kordecki złożył ręce, wstał żywo i zawołał ze łzami:

– Bogu dziękować! Bogu dziękować!... Ale mów – rzekł, miarkując się i zbliżając ciekawie do Śladkowskiego – mów, mój podkomorzy!

– Od Krakowa słychać – kończył przybyły – że nasi już radzi by się do swojego rodzonego pana wrócić i powoli ku temu mierzą, bo im ci złote góry naobiecowali, a i ołowianych nie dają. Pienędzy Szwed nie ma, skoro tylko Kraków wziął, zaraz zmienił postać; już nie udaje, ani publicznej ani prywatnej własności nie szczędzi; w Wielkiej Polsce, ba, i w Małej, i po całym kraju nie myślą wcale bronić nas, jak to solennie przyrzekali, ale razem z Kozakami łupią i grabią... Wojska ich szlacheckie majątności najeżdżają, łupią klasztory i kościoły, zabijają, gwałtują. I kwarciarani już sobie coś myślą na to patrząc, bo i oni nie kto, tylko szlachta jak i drudzy.

– Byłobyż to prawdą? – zawołał Zamojski uradowany. – Łaska Boża! Lepsze upamiętanie, choć późno...

– Tylko cicho, cicho! – mówił Śladkowski – nawet między nami; nasi już raz Szwedów potłukli, rzecz zupełnie pewna...

Kordecki uśmiechnął się.

Ależ to przynajmniej nie fałsze nam zza rękawa trzęsiecie?...

– Bóg widzi, że prawda szczerza. Wczoraj w wielkim byłem kłopotcie, gdy mnie Miller o nowiny zagadnął, by się przed nimi z tymi nie wygadać. Zbywałem ni tym, ni owym; ale wam mówię, jak jest; jeśli Bóg dał potrzymać się dotąd, potrzymacie i dłużej, a Szwed niechybnie odstąpić musi, bo go w plecy połaskoczą...

– A cóż o królu jegomości słychać?

– Jeszcze go nieboraka nie wyciągnęli z tej dziury, ale chybaby Bóg niełaskaw, żeby, widząc starania wszystkich, nie poszedł z nami! Pójdzie, i powoli, do kupy się zebrawszy...

– Utniemy, utniemy, jak Bóg miły, Szwedom po tebinkach – przerwał, wyrzucając czapkę, pan Piotr Czarniecki. – Ot! I przy nas sława, żeśmy pierwsi uwierzyli w siebie, to jest prawdą a Bogiem mówiąc, przy księdzu przeorze.

– Dajcie mi pokój! Żadnej ja sławy nie chcę – ofuknął Kordecki – prócz sławy sługi Bożego... Ale mówcież no, mówcie, panie podkomorzy, bo aż serce rośnie was słuchać.

– Wittemberg trzymał w Krakowie deputatów od wojska i z niczym ich odprowadził. Ba! I sami poszli, powąchawszy, że ich pieniędzmi ze sreber kościelnych płacić miano. Koniecpolszczycy tylko co prędzej przyszli, coś tam zachwycili grosza, reszta tylko obietnice. Jakoś opatrzyli się w czas, że tych pieniędzy brać się im nie godziło, bo słyszeli niezmierny skwierk ubogich zakonników, księży, mniszek, u których zakrystie pozabierano. I szwedzka owa pierwsza skromność bardzo się odmieniła: nie skrycie już, ale jawnie, nie tylko kościoły, ale i domy szlacheckie z wielkiej dla nas przyjaźni rabują...

– Można się tego było spodziewać – rzekł przeor.

– A z kmieci – ciągnął dalej Śladkowski – bez braku i miłosierdzia pobory nieznośne, pieniądze i strawne wyciągają, czego i kupczykowie krakowscy, Żydzi, po niemiecku przebrawszy się, Szwedom dopomagają; a Wittemberg nie tylko ich nie karze, ale jeszcze do tych usług animuje.

– A, dosyć tego wstydu i spodlenia! – krzyknął Zamojski. – Na rany Chrystusowe! A dosyć! Czyż i na to będziemy jak trusie milczeli, żeby coś nie oberwać, żeby się nie bić, i wolimy być płazowani przez gałganów, niż w pocziwej walce życie położyć?!

– Toteż się rzeczy bardzo od niedawna zmieniły – mówił podkomorzy rawski. – Jak się wszyscy postrzegli, że co się spodziewali opieki, to

dostali wypiekę. Deputaci wojskowi, nie czekając ćwierci¹, poszli, słysząc, z Krakowa precz ku Słomnikom. Już tam ich próżno trochę gładzły Douglas chciał hamować poniewczasie. I panowie hetmani o ojczyźnie myślą i wszyscy także gromadzą się i radzą, by nieproszonych pozbyć z domu gości.

– Więc i my możemy mieć nadzieję, że o nas nie zapomną! – rzekł w uniesieniu Kordecki.

– Gruchnęła, słyszałem, wieść koło Krakowa o oblężeniu, gdy po działa przysłał Miller (mówili mi to na drodze, zwłaszcza pan Stocki, od Krakowa jadący), wielu się naradzało, czy nie iść tu w pomoc, ale stanęło na tym, że Matka Najświętsza sama swej rezydencji obroni...

– I ludzka pomoc nie byłaby zbyt uczynną – rzekł Zamojski – jeśli nie miejscu, to krajowi, który patrzy i uczy się z czynów lepszych, co ma dalej poczynać...

– Z tym wszystkim – zakłopotawszy się, nagle przerwał podkomorzy – co mam powiedzieć Szwedowi, który mnie tutaj posłał? Bo mnie gotowi, uchowaj Boże, podejrzewać... Wymyślcie co, panie mieczniku!

– Kiedy wam już komedię grać przyszło – odparł Zamojski z niejakim wstrętem – ulóżcie ją sobie sami; własny wymysł lepiej pamiętacie.

Śladkowski zamyślił się nieco i rzekł:

– Ha! Co będzie, to będzie; powiem mu, żeście uparci, kiedy on armatami nie pokonał, trudno, żebym ja racjami was zmógł, a tymczasem

– dodał – zwlekajcie a zwlekajcie, może się i króla naszego rodzonego doczekacie.

– Króla!... Daj to Boże! – westchnął Kordecki. – Nie on to nas opuścił, aleśmy go rzucili; ujrawszy swoją Polskę w ręku Szweda, wyrzekł się nas, jak złych dzieci; a gdyby powrócił, inaczej by poszło wszystko... ale otucha w Bogu.

– I w dłoni naszej – dodał pan Piotr Czarniecki, brzękając o szablisko. – Gdyby się nam tylko zbyć fałszywych przyjaciół, nieprzyjaciółom radę damy.

Wtem i pan Śladkowski żegnać się począł i odchodził, a nowiny błyskawicą z ust do ust poleciały po załodze. Wszyscy je wzięli za dar Matki Bożej, w wigilię Jej święta przysłany obrońcom czci Jej ołtarza. Śladkowski udał się do Millera, któremu stawiał się smutny i zmęczony.

¹Ćwierć – żołd kwartalny.

– No, cóżes tam waszmość poczał z mnichami? – spytał ciekawie dowódca.

– A cóż! Twarde głowy – rzekł Śladkowski z niechęcią – ani z nimi gadać, ani ich przekonać; wzięli mnie zwyczajnie za waszego posła, a wiedząc o głośnym moim przywiązaniu do króla Karola Gustawa, ani słuchać nie chcieli, com im prawił, darmo ochryplem.

– Jakże? To i wam nie wierzą? Ale cóż myślą? W co ufają?

– Prawdę rzec, panie jenerale, najwięcej ufają w opiekę Najświętszej Panny.

Szwed splunął ze złością.

– Głupi bałwochwalcy! Głupi papiści! – zawołał.

– A potem – kończył Śladkowski – nie wiem, w co zresztą, ale zdają się dobrej myśli i serca nie tracą...

– To rzecz niepojęta! Widział kto co podobnego! – w pół do siebie zamruczał jenerał. – Dwóchset ludzi w obmurowanym kurniku miałoby się urągać dziewięciu tysiącom! To coś nadludzkiego... to szaleństwo...

– Przy tym – rzekł Śladkowski – mnichy zatwardziali, dumni, a gadać nie można...

– A Zamojski?

– Zamojskiego ledwie widziałem.

– Daliz wam mówić przy ludziach, czy sam na sam?

– A! Była ich tam kupka, ale starszyzny...

– No, więc chcą wojny, rzezi, gruzów! Będą je mieli i krwawą wojnę! – wykrzyknął znowu Miller. – Co chwila dział się spodziewam z Krakowa, dziś odebrałem wiadomość, że są już blisko, a idzie ich sześć ciężkich i tysiąc dwieście piechoty; tym ich przecie zgniotę.

– Ani chybi, panie jenerale – rzekł podkomorzy. – Tylko piechoty brakło, prawdę powiedzieć, i większych dział; jak te zagrają, zaraz się wyłom zrobi, a byle trochę mur nadwerężyć, zaraz się poddadzą.

W tym słodkim maczeniu zostawując Millera, Śladkowski wyjechał z pasem od niego do miasteczka i stanął na chwilę znowu u pana Hiacynta Brzuchańskiego, mieszczanina częstochowskiego. Męczyło go to, że nie mógł dać wiedzieć do klasztoru o idącej piechocie i działach, ale jak było teraz do twierdzy się dostać? Spojrzał na swojego gospodarza. Pan Hiacynt, inaczej pan Jacek Brzuchański, jak wszyscy mieszczenie ówczesi miał niepoczesną powierzchowność: zbiedniony, wytuzany, zmęczony szwedzką stacją, wychudły, wyglądał jak z krzyża zdjęty. Obejrzał go pan podkomorzy bacznie, a z tej miny sądząc tchórzem i

przyjacielem Szweda, nie wiedział, co począć. Wtem pan Jacek do stóp mu się uklonił.

– Jaśnie wielmożny panie – rzekł – prawda to, żeście byli u naszych ojców i dobrodziejów? Jak się tam biedaki mają w klasztorze?

– Byłem! At, zachcieliście! Jakże się dobrze mieć mają w tych opalach! Poszaleli, nie chcą się poddać.

Mieszczanin ruszył ramionami, pokiwał głową.

– Albo by to było co lepszego, jakby się poddali?

Śladkowski patrzył w oczy bacznie, nareszcie, oburącz chwyciwszy odwagę i polecając się Matce Boskiej, rzekł:

– Słuchaj no, waszeć, jak tam waści zowią?

– Jacek Brzuchański, jaśnie wielmożny panie, mieszczanin częstochowski i malarz.

– O, i malarz waść! I malarz!

Obejrzał go jeszcze, zbliżył się i rzekł po cichu:

– Pytaliście o ojców, chcecie im służyć?

– Ja? – rzekł śmiejąc się pan Jacek. – Co i pytać? To nie pierwszyna!

– Kochasz waść Matkę Boską?

– Jaśnie wielmożny panie, a któż by jej nie kochał? Zdaje się, ja nie żaden zdrajca, Szwedzi mi ot tu siedli (pokazał na gardło), na różnie bym ich piek!...

– A może kto usłyszy?

– Nikogusierko nie ma.

– Pójdź no jednak, obejrzyj! Każ mi konie kulbaczyć, na wsiadaniu się rozmówimy.

Pan Jacek, którego już piekło, pobiegł, powrócił chyżo z błyszczącym okiem, a uczuwszy potrzebę upewnienia pana Śladkowskiego, który się zdał powątpiewać o nim, szepnął mu:

– Od czasu, jak się poczęło obłężenie, sześć razy już byłem w klasztorze z nowinami.

– Jak?

– Przebieram się za Szweda.

– Z waści Szwed niepoczesny.

– Jest ich różnego gatunku.

– A skądże odzienie?

– Mam tu opoja w domu, to go zetnę miodem, że leży gdyby kłoda, a sam, wdziawszy jego hajdawery i zbroję, choć mi w nich jak krowie w chomacie, idę pod mur...

- No, kiedyś waść taki, pójdieszże jeszcze raz...
 - Jutro zaraz, raniuteńko, bo rankiem najlepiej, zanim Szwedzi oczy przetrą; ale z czymże?... Prawdą a Bogiem, już od dwóch dni leżą u mnie listy z konwentu krakowskiego, od ojca Antoniego Paszkowskiego do ojca przeora... to razem się to zaniesie.
 - Powiedz im; że sześć dział z Krakowa i tysiąc dwieście piechoty już blisko; niech o sobie myślą, a mają się na baczości.
- Tak się obrachował pan Śladkowski, że ledwie to powiedział, zaraz siadł na koń i poleciał co tchu w swoją drogę mimo obozu.

XIV

Ranek w dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, wielkie święto i odpust w Częstochowie, jakby dla dodania wesela uroczystemu obchodowi, ukazał się jasny i pogodny. Przymrozek pobielił dachy i pola, a słońce, rozbiwszy mgły gęste, wstało błyszczące i miłym, niespodzianym ciepłem ogrzało ziemię zastygłą. Lekkie tylko obłoczki uciekały z wiatrami, ostatnie gońce ciemnych chmur, co się już za widnokrąg ku Olsztynowi skryły.

W obozie ten sam zakręt i ruch, co dnia poprzedniego; w klasztorze święto, jak gdyby Szwedów nie było, i goreją od brzasku lampy po ołtarzach, wonne kadzidła rozchodzą się pod sklepieniami sinymi obłoki, księża śpiewają hymny:

*O, jakież pienie godne Twej chwały,
Maryjo, dziewic kwiecie wspaniały!*

Lud korzy się przed obrazem. Jak na tej modlitwie wszyscy są pobożni, wszyscy zdają się Bogiem i niebem oddychać! Czemuż to tylko chwila w życiu przelotna?

Kordecki miał mszę ranną, bez swej infuły, bez pastorału, jak prosty kapłan, bo później zamiast nich trzeba było wziąć hełm i łaskę wodza i modłać się stać w obronie twierdzy. Tylko na większą mszę, na uroczystą sumę, musiał wystąpić jako opat, w oznakach swej godności i przełożenia, a kto na niego spojrzał, tak widział go spokojnym w Bogu, że pomyśleć musiał: On czuje, że nas nie zwyciężą!

Lud powoli przywykał wierzyć Kordeckiemu, bo nigdy żadne jego nie zawiodło słowo; wszyscy się raczej na niego, niż na Zamojskiego oglądali, on tu hetmanił, a buławą jego był prosty krzyż drewniany.

Wszystko przysposobione było tak, żeby nabożeństwo nie cierpiało wcale na położeniu obłożonych, by było świetne jak zawsze; pielgrzymów tylko brakło. Kaplica była pełna, ale kościół nie tak nabity i dziedzińce próżne, a działa towarzyszyły muzyce na wieży i śpiewom w chórze i głośnym organom swym hukiem posępnym i złowrogim...

Gdy się to dzieje w kościele, na murach chodzą ludzie, kolejną się zmieniają do kościoła; każdy był na mszy, pokłękł przed ołtarzem w to

wielkie święto i powrócił rzeźwiejszy, dopiero po duchowym posiłku kosztując pokarmu; post bowiem dawny polski, wigilię oznaczający, kończył się dopiero z nabożeństwem i lud go jeszcze do dziś dnia w ten sposób zachowuje. Stał na murze pan Czarniecki, koronkę odmawiał, węża kręcił i przysłuchiwał się, rychło na wotywę zasysgnują – gdy pijany żołnierz szwedzki począł się zbliżać pod mur. Wzięto go zaraz na cel z rusznic, ale rychło postrzeżono, że coś białego krył za nadrą i mrugi a migi różne czynił. .

– Albo to psi figiel szwedzki, albo to poseł – rzekł pan Piotr. – Dopuścić go!

Aż tu, gdy się zbliżył lepiej i poczęli twarz rozpatrywać, mimo przyczepionych wąsów poznali pana Jacka. Ten nawinał papiery na kamień i cisnął je na mur, udając wcale nieźle zuchwałego żołdaka, gdy prawdziwi Szwedzi zza figury wpadli nań z krzykiem i wrzawą. Chciał nadrobić miną, chciał potem uciekać, ale mu się nieborakowi nie udało, bo co najgorzej, języka tych szoldrów nie umiał; i tak go w oczach Czarnieckiego wzięli, który aż za czuprynę się pochwycił, nie mogąc go ani obronić, ani odstrzelić, bo się bał, żeby i panu Jackowi się nie dostało. Szczęściem papiery, które niósł, były już w klasztorze, a z nimi Czarniecki pobiegł do zakrystii.

– A co nowego?

– Aj! Żle, dobrodzieju!... Jacka malarza złapali, gdy papiery na mur rzucał; ale otóż i one.

– Nic mu się nie stanie, żal mi biedaka, bo go poturbują – rzekł przeor – ale go ani obwieszają, ani zabijają.

– A co wiedzieć, czy tego nie zrobią?

– Nie zrobią! – powtórzył przeor. – Najświętsza Panna go broni, wiele Jej wizerunków rozeszło się z rąk jego po świecie. To dzień Jej chwały, Ona go ocali... Ale dawajcie no te pisma!

Wtem uderzono we wszystkie dzwony na sumę, lud cisnąć się począł co żywo do kościoła. W obozie polskim znowu oczy zwrócono na świątynię. Oni bez nabożeństwa, bez oblicza Bożego, odepchnięci, wygnancy; schwyciło ich za serce, bo co to pobożnemu posłyszeć dzwony, pomyśleć, że się tam modlą, a nie móc pójść z wiernymi razem! Prawda, mówią, że wszędzie Bóg przyjmie cichą modlitwę, ale jaka dla człowieka różnica modlić się sam na sam, a z braćmi! Tu, jak wilgotne drzewo, gorejesz powoli, tam w ognisku płomień cię ogarnia; pobożność cudza podnosi, skupiają się westchnienia, zlewa się pieśń w jedną, i czujesz

Boga, że cię usłyszał... I Polakom u Szweda serce zabiło od dzwonów, zatęsknili za kościołem. Fara w miasteczku była zamknięta.

– A – mówili – czemuż my tam pójść nie możemy?

– Czemuż byśmy nie poszli? – rzekł któryś.

– Bo nas nie wpuszczą.

– Puszczą, wszak do kościoła.

– Próbujmy!

I tak gronkiem, co było pocziwszych, nuż przez szwedzki obóz do bramy.

– Ojcie Pawle (bo go niemal każdy znał), puść do ołtarza Matki Boskiej.

Ojciec Paweł wyrzwał i rzekł:

– E! To tak! Wczoraj to zęby na nas ostrzyli, sposobów szukali, a dziś „puść, ojcie Pawle”. Przyszła koza do woza, ale z tego nie będzie nic; niegodni jesteście... módlcie się sobie do szwedzkiej chorągwi. Jeszcze mi będziecie co szpiegować dla Millera.

– Ojcie Pawle, a godziź się to tak braci czernić?

– Darujcie, kochani braciszkwowie, ale ja w was swoich nie widzę, bo u was nie imię Maryi na chorągwiach powiewa, ale szwedzkie korony.

– Dajcie znać księdzu przeorowi, wszak na sumę dzwonią, każe nas wpuścić.

– Prawda, na sumę, ale nie dla was.

– Prosimy, ojcie Pawle!

– No, no! Kiedy tak prosicie, postójcież, pójde do przeora.

I wszedł do zakrystii. Kordecki listy jeszcze czytał, gdy mu ksiądz Paweł doniósł o kwarcianych.

– Puszcząć! – zawołał. – Bronić chwały Bożej, zamykać kościół, chociażby grzesznikom, a czy to się godzi? Puszczaj, bracie, puszczaj co rychlej!

– Na Boga! – krzyknął ksiądz Mielecki, który się do mszy ubierał. – A może to szpiegi i zdrajcy?

– I ci nam nie zaszkodzą, gdy idą w imię Maryi; Ona nie dopuści. Otwieraj furtę i prowadź prosto do kościoła.

– Ale, księżę przeorze – rzekł Mielecki.

– Myśmy przede wszystkim kapłani, mój ojcie – odpowiedział Kordecki – a sił niebieskich nie przemogą ani zdrada, ani siła ludzką.

Puszczono tedy kwarcianych po kolei, imiona ich spisując, aż nadszedł jeden; czarny jakiś, nosa płaskawego, ust szerokich, smagławy, ale mu

mimo tego z maleńkich oczu pocziwie patrzyło; coś miał wszakże tak cudzoziemskiego w sobie, że aż się brat Paweł zachnął.

– A! A waszmość kto taki? – spytał.

Azulewicz, Mehmed Azulewicz.

– To Tatar – rzekł któryś z kwarcianych.

– Co! Tatar?! – zakrzyknął ksiądz Paweł, porywając się. – Ratujcie! A wy tu po co?

Rozśmiał się Tatarzyn, białe zęby pokazał, ale i duszę w tym uśmiechu.

– Tatar, nie Tatar, ale taki Polak, jak i drudzy, choć nie katolik; puście i mnie, przynajmniej z pocziwymi ludźmi pogadam, a może – dodał – żałować tego nie będziecie.

I jakąś taką miał pocziwą twarz, że brat Paweł, choć się bił z myślami, nie wiedząc, co począć, nie chciał go od furty odegnąć.

– Ale cóż przeor na to powie? – rzekł z cicha.

– Puście go, to nasz! Pocziwy człowiek! – zawołało kilku. – Ot, zachciało mu się widzieć waszą twierdzę, bo mu serce gra, że się w niej tak dobrze bronicie; nie odpychajcie go! Albo to zapomnieliście, że Tatarzy najlepsi sprzymierzeńcy nasi?

– A to prawda! – rzekł brat Paweł. – Ale jednak wypadałoby spytać przeora.

– Na moje słowo – odezwał się Komorowski – puście go, niech i on zobaczy nasze nabożeństwo.

I przekonany, a raczej zmiękczoney brat Paweł drzwi mu otworzył.

Wnet po klasztorze gruchnęło od ucha do ucha:

– Tatar przyszedł, Tatar!

Po nabożeństwie wszyscy cisnąć się zaczęli ku niemu, aby go zobaczyć, i Kordecki z ciekawości zbliżył się. Pan Azulewicz (był to sobie bardzo pocziwy Litwinisko) chodził po blankach w czasie nabożeństwa; gdzie drudzy czapkę zdejmowali, i on jej uchylił; zresztą rozpatrywał się, a nikt mu patrzeć nie bronił, oglądał się i dziwował.

Trochę zaniepokojony tym oglądem Kordecki podszedł ku niemu z innymi.

– Panie Azulewicz – rzekł – chodźcie do nas przekąsić, co Bóg dał.

– Dziękuję księdzu przeorowi.

– Znajdziemy coś i dla was.

– Już ja jadłem z rana; najlepiej nakarmiliście mnie ufnością, z jaką tu wpuszczony zostałem; dziękuję wam za nią szczerym sercem. Jużciż to i Tatarzy litewscy jednej matki dzieci z wami; nie myślcie, byśmy bardzo

Szweda kochali. Chciałem i ja widzieć cuda wasze, nasze mułły¹ nie potrafiliby nic podobnego. Dziw, dziw takiej obronić się potędze!

– Nie nasza to siła – odparł Kordecki. – Jest ktoś wyższy i większy, co nas wspomaga..

Tatar głowę skłonił i rzekł z uśmiechem:

Nie ma Boga, ino Bóg...

Resztę formuły zjadł przez grzeczność i w duchu jej tylko dokończył.

– Brońcie się – dodał – a obronicie!

Na to słowo, głośno wyrzeczone, poczęli się cisnąć do niego.

– Tak, tak! – rzekł Azulewicz. – Mury dobre, lud jest, i ochoczy, żywności i prochów nie brak nic, za co się macie poddawać?

– Jakże myślicie? Potrafię się utrzymać? – spytał Kordecki.

Jeśli tak, jakeście zaczęli, dokończycie, to niezawodna. Ani myślicie o poddaniu: podpiszą wam warunki, jakich zażądacie, a złupią was potem do szczętu. Szwed przysięga nie dla siebie, dla ludzi, aby ich złapał; patrzcie, jak po kraju pustoszą, choć całość jego poprzysięgali...

– Wiemy już o działach burzących, które idą na nas z Krakowa, i o piechocie, co im towarzyszy – odezwał się Kordecki – ale woła Boża.

– Nie strachajcie się ino! Działa nie zawsze trafnie biją, to już dowody macie, że im pod górę strzelać się nie udaje; piechota przyjdzie, to ją taki strach opanuje, jak tutejszych, a mróz, deszcz. szrony zwałą z nóg.

Kordecki tylko że Tatara nie uściskał, a pan Czarniecki, słuchający z daleka, chciał zaraz wypić z nim za pomyślność oręża jasnogórzan, ale Azulewicz nic nie pił.

Kwarciani odchodzili i on się z nimi wysunął.

Ta przypadkowa bytność jego, nowiny, przyniesione przez Śladkowskiego, listy księdza Antoniego Paszkowskiego z Krakowa, w których donosił o szwedzkich w stolicy wiarołomstwach i zdrzierstwach, tak poddały ochoty do boju, że mimo dział z Krakowa i piechoty wszyscy wołali, że się do śmierci bić i bronić będą.

Samo święto, modlitwa i pieśni swą władzą tajemniczą przyczyniły się do wzbudzenia nowej w obłożonych odwagi. Możnaż by słuchać tych potężnych wyrazów naszej modlitwy codziennej, podnoszących do niebios, stawiających człowieka wyżej świata i śmierci, wyżej mocy ziemskiej, a nie czuć w sobie, że piekło nawet nie przemoże tych, których

¹ Mułła – kapłan mahometański

Bóg osłania? Gdy wśród nieszpornych modłów dał się słyszeć psalm odmawiany dnia tego (126), jakże natchniony poeta do serc wszystkich przemawiał nieśmiertelnymi wyrazy, co, wyrzeczone przed wieki, jęk piersi ludzkich zawsze najdobitniej malują, wlewając otuchę, głosząc łaskę nieprzebraną Boga dla grzesznika, zwiastując miłosierdzie... I brzmiały pod sklepieniem, jakby dla uciśnionych umyślnie zastosowane słowa:

„Wstańcie po spoczynku, wy, co spożywacie chleb boleści”...

„Szczęśliwy mąż, co napęłił kołczan strzałami tymi; nie będzie upokorzony, gdy z nieprzyjacielem stanie u bram swoich”.

I powtórzone pierwsze słowa pieśni brzmiały także prawdą wieczną:

„Jeśli Bóg sam nie wzniesie domostwa, próżno pracują budując go ludzie”.

Czuli wszyscy, że tylko przez wiarę, przez opiekę Bożą silnymi być mogą; zapomnieli, że ich otaczały dział paszcze, setne wrogów chorągwie i nieprzyjacielskie zastępy.

Matka Boża niebieskim płaszczem spokoju otulała owce swoje...

XV

W dzień ten uroczysty mało kto ze znajdujących się w twierdzy nie był na nabożeństwie, mury, nieledwie porzucone, broniła opieka Boża; ani przyszło Szwedom na myśl w tej chwili przypaść na nie. Uważano, że dźwięk dzwonów, śpiewy i muzyka od czasu, jak między nich puszczone wieści o czarach, robiły dziwne na żołnierstwie wrażenie. Zdawało im się, jakby to wszystko oznajmywało jakieś przygotowanie do niewidzialnego na nich działania. I nie tyle może huk dział jasnogórskich, co dźwięk trąb, śpiewów a dzwonów wystraszał. Niespokojnym okiem poglądali na górę, szli ku niej oporne, a gdy obok nich padali niektórzy od postrzałów, patrzeli, jakby niedowierzając, że od kuli polegli i szukali śladów innego rodzaju śmierci.

Pobożni i opieszali, wszyscy dnia tego zeszli się przed ołtarze; jeden może Krzysztoporski pozostał na murach, a gdy osierocony Lassota o kulach włókł się do kościoła, pan Mikołaj zza węgła bastionu patrzył tylko na kaplicę jak w tęczę; rzekłbyś, że się obawiał władzy, która tam mieszkała.

Ojciec Mielecki ciągnął go z sobą, ale mu odpowiedział:

– Ją się i tu pomodłę, źle wszystkim mury opuszczają.

Ksiądz Ignacy głową pokiwał.

– Źle i to – rzekł – kiedy żołnierz Matki Boskiej do swej Pani w taki dzień się nie modli; ej, panie Mikołaju, porachuj się z sumieniem, coś ci ono śwędzi!

Rozśmiał się stary dumnie, krzywo, dziko.

– Dajcie mi, klecho, pokój! – rzekł. – Co ci tam do mojego sumienia; gorzej będzie, jak wam grzbiet zaswędzi od szwedzkich razów.

Ksiądz Mielecki odwrócił się, ruszył ramionami i poszedł, zostawiając go samego.

A gdy się rozeszli żołnierze, przemknęła się pani Płazina mimo stanowiska, uśmiechnęła się, pogroziła; Krzysztoporski namarszczył brwi na nią groźnie, i poszła do kościoła. W kościele nie modlitwa jej była w głowie: policzyła wszystkich, obejrzała suknie, oceniła stroje, temu kiwnęła głową, drugiego zwabiła okiem, trzeciemu się uśmiechnęła, a książkę wzięwszy na wywrot, udawała, że czyta, choć oczyma i myślą

biegała, kto wie gdzie. Gdy wzrok jej padł na starszego Lassotę, obejrzała go też uważnie, jakby pragnęła poznać lub go się obawiała. Konstancja, klęcząc u drzwi, żadnego jej obrotu nie straciła z oka; każde ruszenie zapisała w pamięci i czatowała na nią jak na pastwę; potem rzuciła się krzyżem na zimną posadzkę.

– Matko Boża – modliła się po swojemu myślą i słowy cichymi – Matko Boża, Ty jedna wiesz boleści moje, jam na Twoim ołtarzu złożyła pociechę, której nie jestem godna; powróć stratę starcowi, pociesz jego siwiznę, nie daj zwycięstwa tym, co ufają w siebie, a zeszlizj politowanie na sługi swoje... Matko Boska, zmiłuj się nad nami!...

I łzami zwilżyła kamień kościelny.

Długo tak, długo leżała na modlitwie, aż się całe skończyło nabożeństwo i wszyscy rozchodząc się poczęli; potem o kiju pociągnęła ku pustej izdebce Lassoty, ku murom. Chciała pomówić z Płaziną, ale ta, dobrawszy sobie towarzyszek, poleciała zajrzeć w oczy kwarcianym i upatrywała Tatara. Siadła więc stara u muru pod okienkiem, gdzie śliczne owo dziecię chleb jej dawało, i tak pozostała do wieczora. Już się miało na zmierzch, gdy nagle powstała, pomyślała chwilę i, jakby coś postanowiwszy, poszła wprost tam, gdzie stał Krzysztoperski.

Był sam jeden, bo ksiądz Mielecki śpiewał nieszpory w kościele. Na widok żebraczki, jakby go niepokój jakiś ogarnął, zbliżył się do schodków wiodących na mur i chciwie w niej zatopił oczy.

Ona podeszła śmiało ku niemu.

– Mikołaju! – zawołała znajomym mu głosem, na który się wzdrygnął. – Nie omyliłeś się, cień to znajomej tobie! Cień zgryzot twojego sumienia... to ja!

Krzysztoperski drżał, jak przykuty do miejsca.

– Widzisz – mówiła stara – co ze mnie uczyniła pokuta: obłąkaną, szaloną żebraczkę, pośmiewisko ludzi... Ale w duszy dała mi spokój...

– To ona, to ona! – dziko oglądając się, powtarzał szlachcic zdumiony.

– Tak, to ja, żona dwóch mężów, zła matka, zła żona, zła córka, grzesznica... Wielem ci winna, wiele! Tyś mi był tyranem, ale niewola u ciebie opamiętała szaloną. I gdy przyszła chwila oswobodzenia, znalazła mnie gotową do pokuty... widzisz pokutę... Szalona w życiu, postanowiłam szaleństwo okazywać do śmierci i być pośmiewiskiem ludzi; niepamiętna w dostatkach na nędzę, postanowiłam jej skosztować i wypić ją do dna; rozkosznica, zabiłam ciało zalotnicy głodem i włosiennicą. Niegodna domu, wyrzekłam się świata, rodziny, aby siebie

ukarać, a Boga przebłagać: nie mam domu, schronienia, dachu, co dzień napraszam się śmierci... Widać pokuta nie skończona jeszcze... Bóg do siebie wziąć mnie nie chce. O! Szaleliśmy, panie Mikołaju... kiedyż to i tobie przyjdzie opamiętanie?

– Idź sobie! Idź sobie precz! – zawołał Krzysztoperski stłumionym głosem. – Czego mnie prześladujesz? To głos twój, a postać straszna, inna... Idź, maro!

– Nie mara jestem! Nie! Żywa żona twoja, pokutnica u świętych progów! Mikołaju! Wiecznież mścić się będziesz? Wiecznie nienawidzić! Wiecznie potępienia szukać? Nie dość ci grzechów starych, i twoich, i tych, do których mnie wiodłeś? Jeszcze chcesz głębszego piekła?

– Idź precz! Idź precz! – coraz głośniejsze, ze wściekłością prawie, wołał Krzysztoperski. – Idź lub strzele...

– Strzelaj! O, strzelaj! Zginąć to mi niewielkie nieszczęście!... Coś zrobił z Hanną, wnuczką moją?

– Ja? Z Hanną? Ja! Kto ci to – nie dokończył, odszedł kilka kroków i zawrócił znowu.

– Precz, włóczęgo! Precz mi, maro!

– Nie pójdę! Nie! Będę cię prześladować, nękać, nie dam spokoju, musisz mi Hannę powrócić... Nie mnie, nie mnie, bom się ja dzieci wyrzekła, za grzechy moje darując je Bogu, nie będąc godna ich piastować i nimi się cieszyć; nie mnie, bo ona nigdy wiedzieć nie będzie, kto jej jestem..., ale jemu...

– Jemu? Jeszcze masz litość nad nim, a nade mną nikt!

– Nad tobą nikt; nie zlituje się Bóg ni ludzie, boś mściw jak szatan... boś zgnęły na duszy...

Krzysztoperski się rozśmiał.

– Dziś wszyscy się modlili, padali czołem, tyś stał i milczał i śmiał się... Nikt ci nie da litości ziarnka, boś ty jej nie dał nikomu... Oddaj mu Hannę...

– Jemu! Czego ty chcesz ode mnie? Idź precz, kobieto!

– Chciałbyś? Nie pójdę... nie dam ci dnia ani nocy... Oddaj mu Hannę, zły starcze!

Krzysztoperski, w ostatnim gniewie i rodzaju obłąkania, porwał za muszkiet, w głowie mu się zawracało:

– Stara, strzele!

Konstancja rozśmiała się swoim obłąkanym głosem dawnym i uszła.

On pozostał, cały się trzęsąc, zgrzytając zębami i miotając się jak w chorobie. Ojciec Mielecki, który w tej chwili nadszedł, znalazł go tak dziwnie poruszonym, że nie mógł pojąć, co mu się stało. Na widok księdza rzucił muszkiet przecie, usiadł i zwiesił łysą głowę na ręce...

Ucichło, noc czarna trochę przyniosła spokoju. Ksiądz Mielecki odszedł znowu do północnego chóru. Krzysztoporski pozostał, chodził rozogniony i niespokojny. Wśród szumu wichrów ciągle mu brzmiały słowa: „Oddaj mu Hanne!... oddaj mu Hanne!..” Konstancja, umieściwszy się w fosie pod murem, powtarzała te wyrazy. drażniące go nieznośnie.

Jak tylko ksiądz Mielecki powrócił, szlachcic zszedł do izby swojej, której małe okienko w fosie było skryte. Ale i tu ledwie zabłysło światelko, w kraciastej strzelnicy ukazała się twarz pomarszczona Konstancji, która po ceglach wybitych wdrapała się na mury; zaśmiały się jej oczy zagasłe, otwarły usta zapadłe i głos począł powtarzać: – Oddaj mu Hanne!

Krzysztoporski, jak gdyby go męczyli szatani, rozpłomieniony, chwycił rusznicę z kąta, zmierzył i dał ognia... Ale łatwo jej było się uchylić, i jeszcze dym nie rozszedł się po izbie, głos znowu odezwał się znany:

– Oddaj mu Hanne! Zbrodniarzu! Oddaj mu Hanne!

XVI

Działa grzmieć poczynwały; Szwedzi, nie dając poznać, że wielkie dwudziestoczerofuntowe kartauny i kolubryny¹ nadeszły im z Krakowa, powolnie strzelali do klasztoru, ustawując je tak, aby z Jasnej Góry widać ich nie było, chcąc potem nagle paszczami tych strasznych pomocników gwałtowny ogień rozpocząć. Wszystkie teraz nadzieje Millera były na tych działach, i Wejhard podtrzymywał je znowu, kręcąc się koło jenerała, potakując jego marzeniom, ręcząc, że za pierwszym wystrzałem poddadzą się zakonnicy. Miller milczał wzgardliwie. Na próżno usiłował go sobie znowu pozyskać niezwykłą gorliwością Wrzeszczewic; kręcił się, zabiegał, pracował; jenerał to obojętnie przyjmował, przypisując mu zawsze swoje strapienia i zawody.

Nierychło wielkie owe śpiże ustawić potrafiono; zabrało to całe dwa dni czasu, choć dniem i nocą pracowano. Zasłaniając tymczasem robotę, z mniejszych puszczano kule ze sznurami i szmatami smolnymi dla zapalania dachów; ale straż i woda stały na nich ciągle; ledwie się płomyk ukazał; wnet go zalano.

Przysposobiono co chyżej baterie z koszów, a nawet z worków wełną nabitych, dla wielkich dział krakowskich. Cóż, gdy i tu Millera wściekłość porywała, bo, rachując na zasoby jego, Wittemberg nie przysłał mu prochów, a działa wielkie tyle ich brały, że zapas jenerała nie na długo mógł wystarczyć. Cała nadzieja była w tym, że po jednym dniu szturmie albo się oblężeni zdadzą, albo się wyłom zrobi. Wachler ukazywał, gdzie mury były najslabsze.

Kordecki ze starszyzną jasnogórką wiedział już o nadciągających kartaunach, ale nie miał potrzeby głosić o nich załodze, by ją nimi więcej ustraszac; naradziwszy się więc po cichu, rozkazawszy co słabsze miejsca przygotować na wypadek wyłomu, aby natychmiast mógł być zarzucony, czekał spokojnie woli Bożej.

Ale przez dwa dni milczeli owi zastraszący przybysze; ustawiano je, sposobiono im łoża, sypano baterie, zwożono prochy i kule, urządzano dyłowanie, a że zamarzną ziemię niełatwo było ruszyć, szła robota opornie.

¹ Kartauny, kolubryny – wielkie działa oblężnicze

Tymczasem smolne wieńce, kagańce, kule ogniste leciały na klasztor, aby zakryć przed zakonnikami gotującą się na nich niespodzianą napaść, stokroć od wszystkich poprzednich niebezpieczniejszą.

W klasztorze spokój i pilność. Tak czwartek i piątek minęły; w sobotę rano wszyscy byli na jutrzni, gdy potężnym głosem ryknęły kolubryny, ustawione przeciw murom kościelnym. Kordecki był w chórze, zadrgnęło mu serce na ten huk straszliwy, ale nie z bojaźni; trwożył się o męstwo swoich towarzyszków, pewien będąc, że sam, łaską Bożą wsparty, wytrzyma. Czarniecki pierwszy, za nim Zamojski wypadli na mur. A już załoga przerażona stała złąkła, jakby ostatnią godzinę wybiły jej działa. Po trzy kartauny nieustannie zionęły ogień i kule od strony północy i południa. Pan Piotr, któremu odgłos ten dodawał serca, Zamojski, co się umiał podwajać czynnością, rozdzielili się, przewodnicząc ludowi do zagrożonych ścian. Widok dwóch mężnych wodzów, nie tracących odwagi, zawstydził, rozochocił; każdy chciał dowieść, że niebezpieczeństwem gardzi.

– Kto żyw, na mury! Kto żyw, na mury! – rozlegało się wszędzie.

I dzieci, kobiety, niedołęgi biegli niosąc kamienie, ziemię, belki, na zabijanie wyłomów w kortynie; wyrostki zbierali upadłe szwedzkie pociski i, dziwiąc się ich ogromowi, odnosili puszkarzom.

Zamojski posłał po syna. Matka żegnała go, tuląc a błogosławiąc jedyne dziecko; ale stary wojak zażądał go miecz u swego boku i młodzian przyszedł ochotnie.

– Nikt z nas od poświęcenia życia nie wolny – rzekł mu ojciec dajmy przykład... stój, Stefanie, na murach i służ, jak możesz.

Za dzieckiem i matka przybiegła; z podziwieniem ujrzeli wszyscy dostojną matronę, stojącą u boku męża i syna. Nie pierwszy to był przykład podobny, ale łzy z oczu wycisnął, gdy poważna matka jęła w jedwabnej sukni razem z ludem nosić z podwórców kamienie i ziemię.

Obejrzał się Zamojski, łza zakręciła mu się w oku, w sercu podwoił się zapal.

Dzwony biły, muzyka grała... widok bohaterskiej garści był cudowny: ten lud, pobożnym uniesiony uczuciem i zagrzany odwagą niełudzka, ci mężowie pomieszani z kmieciem w obronie wspólnej świętości, obok w kaplicy w przestankach gromów rozlegający się donośnie śpiew nieustraszonych mnichów i modły bezsilnych. Najbojaźliwsi nawet nabierali serca i palili się w tym ognisku. Czarniecki wołał:

– Czemuż i ja tu nie mam syna, czemuż nie mam z sobą żony; i oni by dali taki przykład jak Zamojscy! Ten człowiek we wszystkim mnie prześciga!

Kordecki jeszcze się modlił; zdał władzę na dwóch dowódców, leżał krzyżem... to także był bój, ścigał on pomoc z niebios.

Po mszy, po loretańskiej litanii, wystawiono Przenajświętszy Sakrament i *Święty Boże* rozległo się szeroko jękiem błagalnym...

Przeor zbliżył się do ołtarza, ujął w ręce złocistą zygmontowską monstrancję i szedł za kościół.

Dokąd? – On z Panem Panów, z Bogiem dokoła twierdzy przechodzi, wojując chórami aniołów, które mu towarzyszyły. Zza dymów ujrzeni Szwedzi krzyż złocisty i chorągwie, i księży białym pasem idących za murami. Kordecki ze łzą w oku, z Bogiem w sercu, jak męczennik idący na stracenie za wiarę, powolnie postępował wśród dział grzmotu. Za nim nieliczni towarzysze, bo reszta była na murach i przy działach, szli równie podniesieni duchem jak on; niebezpieczeństwo ich upajało... Wszędzie po drodze procesji padali na twarz przed Bogiem obrońcy klasztoru... Kordecki błogosławił... Kule wzlatywały nad jego opromienioną głową; a gdy się zbliżył ku ścianie południowej, ogromne złomy murów, cegieł i gruzu poczęły się sypać na procesję. Nie zatrzymał się Kordecki: czuł on, że idzie z Wszechmocnym, i wśród rumowisk, wśród strzałów przeciągnął spokojnie i cało.

Żadnego z ludzi ani padające dokoła cegły, ani kule, ani murów odłamy nie zadrasnęły nawet. Obszedłszy dokoła, przeor i jego towarzysze wrócili do kościoła, gdzie wystawiono Przenajświętszy Sakrament, aby Bóg nieustanną błagany modlitwą zlitował się nad nimi. Oprócz czuwających tu kilku starców wszyscy wyszli do dział, do baszt, na kortyny. Sam przeor, chcąc rękoma służyć i być przykładem, począł znosić w połach habitu kamień i ziemię nakopaną.

– Ojczy przeorze! – zawołał ujrawszy to Zamojski. – Do czego to czynicie? Obejdziemy się bez was, lepsza nam wasza modlitwa...

– Modlitwa modlitwą, a praca pracą – odpowiedział powolnie Kordecki.

– Niech i moje słabe ręce na coś się przydadzą; znają się one z robotą od dzieciństwa, bo nie próżnowały.

I z cicha westchnął: musiał młodość wspomnieć.

Starszyzna niespokojnie oglądała się na strony; mury w wielu miejscach pękały, kule, coraz lepiej kierowane, tu i ówdzie więzły w ścianach,

rozbijały długie okna, wyszczerbiały szczyty; każdy krzyk zwracał oczy, oznajmiając jakąś stratę.

Miedzy dwiema mocnymi basztami kortyna, na którą całą swą siłę wywarli Szwedzi, choć od wierzchu nadtluczona, od spodu jednak wytrzymała; łatano ją worami ziemi, drzewem, gruzem i co się znalazło pod ręką. Trzech tylko ludzi stracili oblężeni, kilka koni w stajniach zabiły kule, a między nimi wierzchowca Krzysztoporskiego; dwa koła armatnie zdruzgotano od północy.

Po tym pierwszym wybuchu, który trwał do południa, trąbka zwykła parlamentarzy zagrała u bram. Kordecki wystąpił na galerię.

– Chcecie się poddać? – zapytał trębacz szwedzki. – Chcecie się poddać?
– Musimy się namyślić do jutra – odparł przeor. – Dajcie nam czas do rana!

Trębacz odjechał z odpowiedzią. Miller, zwiedziony raz jeszcze, bo poddania pragnął, myślał, że mu się już upokorzą.

– A cóż? – spytał swego posła.

– Proszą o czas do jutra.

– Chcą swojej zguby! – zakrzyczał. – Więc ognia! Ognia!

Po wszystkich bateriach rozległ się ten rozkaz zniszczenia i śmierci, stanęli u dział puszkarze, poczęły lecieć kule.

Przeor stał z Zamojskim w miejscu, gdzie się najbardziej obawiano wyłomu, od północnej strony; kierowali wytrwale działami twierdzy, odpowiadającymi powolnie na wysilony ogień Millera. U dział tych był puszkarz Niemiec, druh Wachlera, niejaki Halmer Niemczynem zwany, który tylko że obowiązek swój spełniał; los przyjaciela ustraszal go nieco, wziął się był raźniej do dzieła, ale już znowu ostygł. Zamojski kilka razy go upominał nadaremnie; kule powierzonych mu armat padały, zdaje się, umyślnie skierowane tak, żeby szkody Szwedom nie czyniły. Na częste strofowania odpowiadał ponuro:

– Alboż wszystkie trafiać mogą?... Szwedzi lepsi od nas strzelce, a widzicie, jak chybiają.

Zamojski znowu dnia tego zagrzewał go, jak mógł; Niemiec pomrukiwał, a swoje robił, aż uprosił miecznik Kordeckiego, żeby do Niemca przyszedł.

Przeor popatrzył na niego, a widząc jawną opieszałość i niechęć, uderzył po ramieniu Halmera,

– Bracie, czy ci co Szwedzi obiecali za to, żebyś ich oszczędzał?

– Mnie? Mnie? – spytał Halmer trochę przełękły.

– Tak, tobie! Powiedz mi, może i my na podobną zdobędziemy się nagrodę...

– Czego ode mnie chcecie? – opamiętywając się, rzekł Niemczyn. – Pan Bóg kule nosi.

– Jeżeli się nie poprawisz, gniew też Boży dotknąć cię może.

Ruszył ramionami puszkarz, stanął w milczeniu, a przeor, zostawując go myślom własnym, odstąpił z Zamojskim. Lecz zaledwie odeszli kilka kroków, gdy krzyk dał się słyszeć, kula padła niedaleko Niemczyna, rozpęła się i odłam jej silnie w nogę uderzył przekupionego puszkarza, który powalił się, chwytając za miejsce zranione. Wszyscy go natychmiast otoczyli, zaczęto opatrywać ranę, ale okazało się tylko silne stłuczenie.

Kordecki sam przykląkł, rozwinął szmaty, przyłożył plaster z rozmarynu i wina. Aż tu i braciszek Jacenty, aptekarz, już z szarpnią i słoikami biegł do niego. Troskliwe staranie wszystkich, pokora, z jaką sam przełożony pierwszy pośpieszył na posługę cierpiącemu, łzy mu wycisnęły z oczów... odważył się spojrzeć na nogę swoją, przekonał się, że znak tylko silny na niej pozostał od uderzenia, spróbował stąpić i począł gorąco prosić, żeby mu pozwolono na nogi powstać. Rozżarzony gniew malował się na jego twarzy, podsunął się ku działom, w milczeniu spojrzął na dyłowanie pod nimi, kazał je podnieść wyżej, kwadrans przyłożył, ważkę obejrzał, i dał ognia... Pierwsza wypuszczona kula zabiła puszkarza na baterii nieprzyjacielskiej – pan Zamojski w ręce klasnął; drugą wysadzono wóz z prochem... Szwedzi stanęli strapieni... właśnie prochu im brakło! Miecznik nie posiadał się z radości, dobył sakwy i, odliczywszy na dłoni kilka sztuk złota, wsunął je w ręce Niemczynowi, ale ten, dziękując za nie, z lekka odsunął datek.

– Za to nie godzi się brać zapłaty, że się spełnia powinność, choć późno – dodał po cichu.

Zagrzany zemstą i gniewem, nie dał się odwieść, nie spoczął, dopóki wszystkich dział łoża nie poprawił i nie rozpatrzył ich kierunku.

Dzień się ku zachodowi nachylał z wielką obłożonych pociechą, bo ciężki był dla nich i długi, pierwszy prawdziwie srogiej napaści i widocznie grożącego niebezpieczeństwa; Szwedzi jawnie gotowali się do szturm, co po drabinach, po kozłach przyrządzonych i innych przyborach poznać było łatwo, zawiodły ich jednak nadzieje. Jakkolwiek szkody zrzadzane w klasztorze i znużenie było wielkie, choć trzysta kilkadziesiąt kul narachowano wypuszczonych na klasztor, ranne

nabożeństwo, dobry przykład starszych, gorliwość przeora dodawały serca. Już Szwed układał się na spoczynek po tym wysileniu, a w klasztorze spokoju nie było; tu trzeba było szczerby w murach załatać, na jutro się sposobić i czuwać.

Pan Piotr Czarniecki nad wszystkich był rozgrzany i wesół: chodził, kręcił się, żartował, wydawał rozkazy z uśmiechem, uczył się działa mierzyć, ludem kierował, ścisnął, zachęcał, słodził trud dobrym słowem i podziałem pracy. Ile razy kula klasztorna szarpnęła szeregu Szwedów, tyle razy pisał w ręce, podskoczył i cieszył się jak dziecko, przemawiając dobitnie, jakby go nieprzyjaciół mógł słyszeć.

Już zmierzchno, gdy Niemczyn Halmer przyszedł do niego o kiju.

– Wiem – rzekł tajemniczo – tylko tego nikomu nie mówcie, od kogo macie, że jutro od zachodu będą bić; Wachler im rozgadał, że tam mur najsłabszy, da się ująć; zasposóbcie się z tamtej strony.

– Pan Jezus przy dziecięciu! Skądże ta gorliwość? – zawołał Czarniecki.

– Ale nie bałamucisz, Niemczuniu kochanku?...

– Jutro zobaczycie i przekonacie się.

Pan Piotr głową pokręcił, Niemiec się zbliżył i palcem na obozowisko wskazał.

– Widzicie – rzekł – jak się Szwedzi u namiotów grzeją, ognie sobie porozpalali wygodnie... albo to nie można z dział do ognia uderzyć i trochę ich przepłoszyć?

– Otóż to mi człowiek! – zawołał pan Piotr. – W to mi graj! Zaraz im tu zaśpiewam na dobranoc, dobry jesteś do rady.

I z młodzieńczą ochotą posunął się do dział żywo, poczęli je zaraz z Niemcem razem nastawiać i gdy najmniej spodziewali się Szwedzi, strzał z twierdzy rozprężył ich od ognia i zmieszał spoczynek.

Kordecki na pierwszy odgłos wybiegł na mury.

– Co to jest, panie Czarniecki?

– Nic, mości księżu przeorze, igraszka; Szwedzi z nas kpią, musieliśmy im pokazać, że z nami po dziecinnyemu wojować nie można. Gdzież to kto widział, żeby nieprzyjaciół pod działami twierdzy ognie sobie rozniecał; grzeją się, jakby w domu, musieliśmy ich trochę moresu nauczyć. Niech marzną, kiedy na Matkę Boską nastają.

– Ale, panie Piotrze, toć noc, i nam by wytchnąć się godziło.

– A waszmość to odpoczywasz? – spytał Czarniecki. – Prawda, że nie? Otóż i my, za jego przykładem, dziś przynajmniej spać nie będziemy. Mamy dosyć do roboty.

– Cóż takiego?

– Oto Halmer mi mówi, że z Wachlera namowy jutro od zachodu uderzą... trzeba zachód umocnić.

– No! To potrzebujecie rąk, a więc i mnie z sobą weźcie – ochotnie odezwał się Kordecki – byłem północnego chóru nie chybił, służę, do czego mnie użyjecie.

– Wasza rzecz kierować a modlić się, nasza spełniać rozkazy – odparł pan Piotr. – Bądźcie spokojni, tylko mi dajcie ludzi.

– Nie zawadzi – rzekł Kordecki – gdy i ja z wami będę; słowem was rozgrzeję, zaśpiewamy sobie razem piosnkę jaką pobożną.

– A! Uchowaj Boże! Szwedzi by naszą krzątanicę wyszpiegowali, a tego nam wcale nie trzeba... cicho! sza! i swoje zrobić.

– No, to pomodlim się po cichu.

– Tak, godzinki do Opatrzności.

Gawędzili tak, a działa kilka razy po całej linii ścian zagrzmiały, dopóki pomarzli Szwedzi nie wygasili ogni przy namiotach roznieconych i nie usunęli się trochę w dolinę.

XVII

W obozie dzień to był samych dziwów dla Millera, który co chwila utwierdzał się w przekonaniu, że jakaś siła, co ją zwał czarami, wspomagała zakonników. Ludzie jego, choć się z tym głośno nie odzywali, wszyscy wierzyli w owe czary częstochowskie. Polacy im ciągle mówili o sile świętości, a w naszą świętość nie wierząc, sprawę Bożą przypisywali mocy nieczystej. Od dawniej oblegających przeszła już ta myśl, odbierająca im odwagę, do nowej piechoty i puszkarzy nowych. Gruntowali się w niej nieustannie szwankami, jakie ponosili mimo wysień, mimo potęgi swojej; było coś uderzająco niepojętego w szczęśliwym oporze małej twierdzy, ledwie słabo obsadzonej, takiemu wojsku, wodzom i działom. Kolubryny i kartauny, ogromnymi kulami bijąc w ściany klasztoru i mury obwodowe, niewiele przez dzień zrządziły im uszczerbku, a Miller musiał już rachować, na ile dni podobnego ognia prochów mu wystarczy. Posłano po nie aż do Krakowa; a prócz strat w ludziach, w starszyźnie, śmieiej wdzierającej się pod mury dla zachęcenia, strat, które były bardzo znaczne, poniesiono szkodę wielką przez wysadzenie wozu z prochem, który był dla nich tak drogi.

Rada wojenna, zebrana w namiocie Millera, smutną miała postać; siedzieli pułkownicy chmurni, znużeni, zawstyżeni, generał ledwie się odezwał; Wajhard wsunął się, stanął w kącie na uboczu, nie bardzo życząc sobie pobudzać gniew dowódcy. Rada i robota zarówno szły opornie. Co dalej?... Szturmować? Ale czy na długo prochów wystarczy? Z szyderskim uśmiechem na ustach, który źle pokrywał wewnętrzny niepokój, Miller siedział, gryząc wąsa, ruszając się niekiedy żywo, jakby coś pomyślał i mówił do siebie; to się przechadzał, to na ławę upadł. Książę Heski, flegmatyk, poglądał na niego, rzucając z kubka kośćmi o stół dla zabawy, bo nikomu gra nie była w głowie.

– No, panowie – odezwał się Miller – a co będzie dalej?

– Albo nie zaczynać – rzekł książę Heski – albo, począwszy, kończyć potrzeba; ale jak?

– Kończyć! Kończyć! Dobrze to mówić! I jać bym rad! Żołnierz się nudzi chłodem, zimą, a ci mnisi utrapieńcy...

– Wyznajcie – rzekł książę Heski – że się dzielnie bronią, aż miło patrzeć!

- Matacze! Zuchwalcy! – wołał generał. – Ale to darmo!
- Panie jenerale – odezwał się Sadowski – za coś potrzeba liczyć fanatyzm ich i załogi; człowiek się nim podwaja;– z takimi ludźmi walczyć nam, chłodnym i rozważnym, prawie niepodobna.
- Ba! – rzekł Miller – jeszcze i to dodaj – przerwał sobie uśmiechem szyderskim niby – że tu są czary widoczne; nasi żołnierze mocno w to uwierzyli.
- Czary! – rozśmiał się Sadowski – to tylko imię inne, rzecz też sama...
- Ale cóż powiecie, że nieustannie prawią o pokazujących się w powietrzu postaciach, o jakichś zjawiskach? Na co tu długo szukać czarów? Wszystkie nasze klęski nimi się chyba dadzą tłumaczyć: kilka tysięcy walecznego wojska zwycięzców walczy z dwomaset włóczęgów i zbieraniny, walczy tyle tygodni – i darmo!
- A, na Boga! – zawołał z kąta Wejhard – tego by jeszcze niedostawało, żebyśmy i my sobie tymi obozowymi plotkami głowy nabijali. Cóż to za dziwy? Pan generał byłeś zanadto powolnym, zbyt wspaniałomyślnym i miałeś mało dział... wlekło się traktowanie, potem słabe napady... ale dzielnie uderzywszy...
- A dzień dzisiejszy?
- Ogień był źle skierowany.
- Znajdzie się przyczyna.
- Panie jenerale, wzięto ich z północy i południa, a tu właśnie przeciwnie, od zachodu należało się wysilić; trzeba było wszystkich dział na jedną ścianę użyć i burzyć nie budowlę, po których nam nic, ale jedną kortynę wszystkimi kartaunami.
- Dobra rada, hrabio, szkoda, że późno!
- W sam czas. Wachler, szpieg klasztorny...
- Szpieg pański – dodał Miller, przerywając.
- Jak go chcecie, zwijcie; zaręcza, że zachodnia ściana nie wytrzyma i dnia pod ciągłym ogniem. Tu się obrócić; do tego mamy w klasztorze puszkarza u dział ich przekupionego, traktujemy tajemnie z załogą... Wodzowie się nie poddadzą, ale motłoch nastraszywszy i nadzieją łupu ująwszy...
- Miller, niecierpliwiąc się, ramionami zżymał.
- Waćpan jesteś papista – odparł – a mówisz o ujęciu ludu katolickiego nadzieją łupu tego, co za świętość uważają!
- No! To ująć ich nadzieją nagrody innej, ocalenia życia...

– Z motłochem się wiązać brudna sprawa! Zdobęde i bez tego pomocnika, którego bym się wstydził. Takie spiski zawsze i sromotne, i zawodne, pan to wiesz najlepiej.

Wejhard się zmarszczył.

– Przecież – rzekł – z łaski mojego Wachlera wiemy o zachodniej ścianie.

– Zgoda na tę ścianę zachodnią; ale kto wiem, może i na nią na próżno dzień stracimy, a co gorzej, dosyć prochu; od zachodu jednak ani kościołowi nie zagrozim, ani...

– Panie jenerale, tu o korytnę chodzi, nie o kościół.

– Zgoda więc jeszcze raz, z zachodu! Każ hrabio wcześniej działa przewieźć, dyłowanie porobić, szance sypać noc całą. Żeby się nasz lud nie zmęczył, bo mu i tak ciężko dosyć, spędzić koniecznie z wiossek: Rędzin, z Mstowa, z Dźbowa, skąd chcecie i gotować baterię... Jutro po nabożeństwie uderzym.

Że to tego nabożeństwa u Szwedów nie bywało dotąd w niedzielę, mocno mu się zdziwił Sadowski, który miał religijnego ducha; on, książe Heski, katolik, i Wejhard spojrzeli na Millera.

– Albo to myślicie, że i my wiary i nabożeństwa nie mamy? – zawołał Miller, czytając zdziwienie w ich oczach. – Predykant jest, w szopie zgromadzim lud, potrzeba, żeby im wybił z głowy te czary, o których tak w obozie głośno. Na duchu upadli... Fanatyzm na fanatyzm; i my też swoich zagrzejemy na papistów. Ale wara potem, gdy do szturmury przyjdzie! Dadzą się we znaki!

W obozie radzili, w klasztorze noc całą zesła na przygotowywaniu się w cichości. Światelka tylko drobne robocie przyświecają: cisza, ledwie rozkaz jaki donośniejszym nieco ozwie się głosem i słychać łoskot upadających kamieni, sypiącej się ziemi; wre w kotłach woda, a kto. żyw, cegłę nosi i muruje koło ściany, żeby wierzchy jej wzmocnić. Mularze i nie mularze noszą cegłę, obrywy wczorajszych ruin, rozbierają wewnątrz przymurki i szkarpy stare, a dodają obwodowym ścianom. Nie brak tu ochotnika, bo i szlachta z czeladzią cegłę nosi, nosi wodę, wapno rozrabia, i kobiety się kręcą posługując. Kordecki usiadł na kupie kamieni, różaniec w rękę i głośno się modli, niekiedy ustanie, weźmie jakiś ciężar, przyniesie go ukradkiem niepostrzeżony, położy i znów usiedzie, niby dziecię, które unika oka starszych, zabronioną chwytając zabawkę. Inni księża noszą otwarcie kamień i wodę. Wtem uderzyła godzina północnego chóru i wszyscy odeszli, i słychać z kościoła szmer

czuwających na modlitwie. Wśród nocy i ciemności jak ten odgłos ma w sobie coś uroczystego! Niby szum lasu, co z niebem rozmawia, niby wielkie morze, co od wieków gra pieśń smętną a tajemniczą. Starcy się modlą, świat zasypia; oni jedni kołaczą do nieba westchnieniem za śpiących w grzechu, za znużonych żywotem, za obojętnych dla Boga. Słabe światło kilku żółtych świec oblewa twarze pokryte tęsknotą, zapalem, smutkiem, rozjaśnione weselem, przyobleczone skrucą. Dziś jeszcze dodaje temu obrazowi straszliwej uroczystości śmierć, która ich otacza.

Na dole pod nimi, w kościele, stoją trzy ubogie trumienki białe poległych, trzema czarnymi całunami pokryte. Tu już zwycięzcy... tamci wojują jeszcze. Na dole, wśród cieniów, widać blade twarze żołnierzy, świecące wśród ciasnych ram ostatniego ich przytułku; obok na całunie trupie głowy i kości; w górze w białych płaszczach modlą się bracia śmierci za żywych i umarłych, za nich, za siebie, za wszystkich. Amen! Rozległo się i szmer odchodzących słychać w gmachu osamotnionym; umarli pozostali sami na straży, a przy nich jeden. tylko mnich zakapturzony powoli odmawia poważne wyrazy, łańcuchem tęsknoty łączące dwa światy:

„Pan strzeże ciebie, Pan opieką swoją, Pan prawicą twą. Za dnia słońce nie będzie ci dopiekać, ni księżyc przyświecać nocą.. Pan strzeże cię od wszelkiego złego, Pan duszy twej strzeże”.

Nad pracującymi jeszcze powstał ranek mglisty, powolnie z osłon wilgotnych rozwijając świat senny, smutny, szary jesienny... Na murach stali jeszcze ludzie, ale już dzieło nocy było szczęśliwie dokonane. Przeor, co pierwszy kamień położył z krzyżem świętym, ostatnią też cegłę przeżegnał.

– Na chwałę Twoją, Panie, na upokorzenie nieprzyjaciół wiary świętej.

– Amen! – odkrywając głowy, odezwali się wszyscy. I szedł wzdłuż ściany; kropiąc mury wodą święconą a modląc się.

XVIII

Błysnęła niedziela i Szwedzi raz pierwszy po przybyciu pod Częstochowę uczuli potrzebę modlitwy; Miller sam ich poprowadził i rozkazał wcześniej posłusznemu predykantowi, żeby im starał się wybić z głowy dziwny postrach, dziwnie upartą myśl czarów, przeciw którym szli niechętni, a ręce im opadały. Całe wojsko niemal zatoczyło się pod szopy i namioty, w których naprędce nakryto stoły i postawiono krzyże. Kilku katolików spoglądało z dala na to osobliwe nabożeństwo, w którym nie było namaszczenia naszych uroczystych obrzędów. Pobożność Szwedów zimna była, jak nauka, która ją natchnęła; mówił predykant rozumnie, pięknie, moralnie, ale to był człowiek, mówiący do ludzi głosem chłodnym rozumu, nie kapłan, natchniony posłannik Boży, otoczony tajemnicą i świętością.

W Częstochowie brzmiały dzwony, śpiewy i organy, lud padał na twarz ze starą pieśnią, rzewną, prostą a wielką; przed tajemnicą ołtarza. Tu wszystko osłaniała tajemnica i słowo kapłana wiodło przez nią na jasne stropy niebios – do Boga. Tu inaczej były serca. wzdychały piersi, modliły się usta; tu cud otaczał. Chrystus umierał, krew Jego lała się na świat i potęgą dobrowolnego męczeństwa łamała ziemskie i piekielne moce.

Jeszcze się było *Święty Boże* nie skończyło i nie odśpiewano *Przed oczy Twoje Panie...* a już z zachodu, jak Niemiec wyprorokował, kupili się Szwedzi. Pan Zamojski widział sokolim wzrokiem między nimi Wejharda i Wachlera, jak wskazywali na mury, jak kierowali działa, i uśmiechnął się do pana Czarnieckiego.

– A co? – rzekł radośnie pan Piotr, który szklanekę grzanego piwa kończył – a co, mieczniku dobrodzieju, nie dobrześmy zrobili, żeśmy mur podwoili przez noc? Ot, jak się szoldry krzątają... psubraty!

– To widoczna była zdrada – odparł poważnie miecznik – zaczęta, lecz szczęśliwie przez nas, za łaską Bożą, unikniona. Oczywiście wiedzieli, co się u nas dzieje; ale w sprawie wojennej cała rzecz na tym, by zapobiec.

– I zapobiegliśmy.

– Sami tu zęby potracą i głowy, a nie dadzą rady.

– Ognia! Dawajcie ognia, a raźnie! – wołał pan Czarniecki.

– Nie wywołujemy wilka z lasu!

– Ze strzelbą na ramieniu kpię z wilka.

Wtem i działa potężnie się odzywać poczęły, ale naprędce zrobione baterie, ustawienie ich liche, kierowanie niedbale niewiele w początku zastraszały. Strzelali i co chwila przerywali ogień, kierując kartauny na nowo. Ogromne ich kule to się w mur pakowały, niewiele mu szkodząc, to po dziedzińcach rozbijały bruki, to gdzieś krokiew nadłamywały z wielkim trzaskiem, a małą stratą.

Miller kazał sobie rozbić namiocik, patrzył i gotował się dowodzić do szturm; ale do południa i dobrze po południu mur ani się nadszczerbił, ledwie go gdzieś skrobnęli. Zestawili działa inaczej, toż samo; puszkarze poglądali po sobie oczyma, mówiąc:

– A co? Szatana chyba mają!

Wejhard lata i krzyczy, wodzi Wachlera, grozi, płaci; mur, jak stał, tak stoi. Po kilku godzinach różnych próbek postrzegł już Miller, że się na nic nie przydadzą, że jeśli nie weźmie strachem, nie weźmie i siłą. Umyślnie posłuchał Wejharda, aby mu miał czym dokuczać, i posłał zaraz po niego; miał minę gniewną zarazem i szyderską..

– A co, hrabio, wyłom?

– Robimy go.

– Jak myślicie, wiele też miesięcy robić go będziemy?

Na to pytanie Wejhard z niecierpliwością odparł:

– To rzecz puszkarzy, nie moja.

– Czary, nie czary! – łagodząc się, ciągnął dalej Miller. – Powiem ci, hrabio: to coś dziwnego; mamy szpiegów, mamy zdrajców, zmywy; wiemy, z której strony mury słabsze – a jak się weźmiemy do rzeczy, ani ukąsić. No, cóż dalej pocniemy?

– Panie jenerale, to do mnie nie należy.

– Przepraszam, hrabio, tyś mnie tu sprowadził pod ten kurnik zaklęty, na tę lisią jamę! Tyś mi zaręczył, że dość huknąć, by się poddali. No, cóż dalej?

Wejhard kręcił się jak w ukropie.

– Nie moja wina, że żołnierza bies opętał czarami jakimiś, ręki się podnieść boją... to z polskiego obozu nanoszą im tych strachów. Wszyscy aż do starszyzny potracili głowy, cóż z nimi począć?

– Czy to i do mnie przymówka?

– Niech Bóg uchowa! – szybko poprawił się Wejhard. – Ale mnie to boli, że pokutuję bez winy.

- A któż tedy winien? Ja? – spytał Miller.
- Któż by to mógł pomyśleć nawet?
- Życie zjadłem w boju, dobywałem dosyć fortec, wiele widziałem dobywanych, nic podobnego mi się nie trafiło... Bez wody, bez rzeki, bez jeziora, bez nadzwyczajnych skał i ścian, prosty okop z przymurkiem jak na żarty! Jest się czego wstydzić! A z kim do czynienia? Z mnichami! Kroćset diabłów, panie hrabio, wołałbym tu nie przychodzić!
- Jużciż odejść tak z kwitkiem nie możemy.
- A i to pytanie! – dodał stary wódz. – Z tego, co dotąd widzę, nie o wiele bym się zakładał.
- Jak to! – zakrzyczał Wejhard. – Dozwoliłbyś, jenerale, uzuchwalać się im, dać przykład całej Polsce? Na Boga, to by było zgubne!
- A mogeż stać tu pod Częstochową?
- Ale tu kilka dni dosyć.
- Cożeśmy uchybili, że tyle czasu stoimy darmo?
- Bez parlamentacji, bez próbek, wprost każcie zasypywać fosę, sprowadzić tarany, drabiny, i do szturm! Walić mury, tłuc, strzelać i na mur siłą!
- Tęgi z hrabiego majster! Ale pomów z żołnierzem, któremu głodno w brzuchu, zimno w pięty, a strach za plecami, czy tego dokona? Ognia nawet w nocy rozpałić nie można, żeby się rozgrzać... a w dodatku (uśmiechnął się niby) czary!
- Ale cóż te czary, jenerale, to bzdurstwo, to dzieciństwo!
- Wybijże je z głowy gawiedzi – rzekł Miller, a po chwili:
- Któż wie? Coś tam i prawdy w tym być może. Są rzeczy niepojęte, sam to widzę.
- Wejhard się uśmiechnął, Miller zaperzył.
- Waćpan, widzę, w nic nie wierzysz?
- We wszystko, prócz czarów.
- Do zobaczenia! – rzekł Miller i pożegnał go skinieniem, a sam siadł pod namiotem, z dala patrząc na kościół, na mury, na swoich, smutnie zamyślony.
- Dwóchset ludzi! Mnichów garść – mówił do siebie – i ten gołębnik! Co u licha! Miałabym moje laury położyć na tym śmiecišku? To oszaleć można! To coś niepojętego! Ten mi mówi, że w nic nie wierzy. Darmo by wszystkich szal ten nie opętał... jest coś... jest... siła niewidzialna... Działa, ludzie, wojska, sztuka, doświadczenie, wszystko na nie! Śmiech

ludziom odejść z niczym. Nie ścierpię tego! Całą siłą! Całą siłą!... Ha! Jak dziś, jak wczoraj! I cała siła na darmo!

Rzucił ręką ku murom:

– Wściec się potrzeba! Żeby szczerba, żeby dziura... Jak z żelaza! To kłamca ten Niemiec... od wschodu byłbym przynajmniej kościół zniszczył i obalił; niechby runął tylko bok jeden, poddali бы się. Wejhard ma rozum pałacowy, nie wojenny, to dworski liżyłapa, zwiódł mnie i zwodzi. On wszystkiego przyczyną.

Z gniewem, ze złością patrzył jeszcze Miller na swoich, którzy szli nie idąc, wracali, strzelali bezskutecznie i zdawali się, pędzeni na gwałt, zbliżać do twierdzy. Tysiące drobnych przeszkód nieustannie przerywały szturmy przez siębrane; tam łoża armatnie się zepsuło, obsunęła kartauna, ówdzie wóz z prochem zagrzął, kula klasztorna zabiła puszkarza, dano rozkaz niezrozumiale i spełniono niezręcznie, słowem, wszystko szło nicpotem; a żołnierz na wszystko jednym odpowiadał słowem: czary! czary! Ciury szwedzkie, Finlandczycy i inni tak już byli znużeni tym bojem bezkorzystnym, a w ciągu nocy niepokojem i chłodem, że Miller im nazajutrz dać musiał wypoczynek. Śnieg już chwilami poczynął ziemię pokrywać, mróz chwytał, robota każda stawała się coraz cięższą, generał odstąpić nie chciał; w nocy jeszcze stężała ziemia na ćwierć łokcia. Żołnierze głośno sarkali i przeklinali.

Złożono znowu radę wojenną; każdy z pułkowników zdanie swoje objawił, jeden Wejhard nic mówić nie chciał. Ksiązę Heski radził natychmiast ustąpić. Sadowski chciał później świeże wojsko przysłać, jeśliby koniecznie szło o posiadanie Częstochowy, a samym ku zimie uciekać; inni wymyślali inne środki zdobycia, nie mogące się zastosować; Miller wysłuchał wszystkiego w milczeniu.

– Uchodzić! – rzekł. – Nie, to być nie może! Przyszliśmy, trzeba swoje zrobić. Spędzić ludzi, sypać szanse nowe, fosy ziemią zarzucać, nie czekać wyłomu, próbować strachu...

– Ziemi zmarzłej nie ukąsisz – rzekł ktoś.

– My jej nie będziemy kopać, na to ludzi ze wsi zbierzemy, niech sobie robią, co chcą. Wszyscy zamilkli, widząc opór Millera; on już dawał rozkazy, Wejhard tylko cicho szepnął:

– Istotnie, rozporządzenia generała doskonale.

– Obejdę się bez pochwał – odparł Szwed ponuro.

Czech usunął się kwaśny.

W Częstochowie przez mieszczan, choć przepłoszonych trochę przypadkiem Brzuchańskiego, choć wylęklých przez kwarcianych do kościoła chodzących, dowiedziano się zaraz o zamiarach Millera. Kordecki, nie tracąc serca, wytrzymałszy tyle, spodziewał się i reszcie podołać; wezwał także swoich wiernych a stałych i radził.

Wszyscy jednomyślnie nad środkami tylko odparcia szturm namyślali się. Pan Zamojski, który od początku oblężenia wziął z biblioteczki klasztornej Karlińskiego¹ i nosił go pod pachą, począł sypać sposobami obrony najwymyślniejszymi jak z rękawa.. Czarniecki słuchał i wzdychał, bo mu tego zazdrościł, a czytać nie bardzo lubił.

– Wszystko to dobrze – rzekł po chwili – ale tak na mój rozum, co tylko kole, bije, siecze, odpycha, smali, piecze a co pod ręką, wszystko na nich dobre; użyjemy, co się nawinie... Dziś nam dali frysz, korzystajmy z niego, przysposabiamy się.

– A Bogu dziękujemy.

– To swoją drogą zawsze – rzekł Czarniecki.

Zamojski trochę był markotny, że długie jego czytanie w łeb wzięło kilku słowami pana Czarnieckiego, a że, kochając się wyścigali zawsze i współzawodniczyli z sobą, jał znowu liczyć sposoby odpychania.

Czarniecki wąsa kręcił, wzdychał, słuchał, aż mu i dokuczyło.

– Więc tu, panowie, sobie radźcie, swadźcie – rzekł – a ja pobiegnę na mur i każę tymczasem znosić, co się trafi.

Przeor nic nie powiedział; postrzegł Zamojski także, że tu więcej czynu i ręki niż słów potrzeba, rzucił książeczkę i zawołał:

– Macie słusność, panie Piotrze, do roboty!

– Ot, tak, kochany mieczniku! – radośnie wykrzyknął Czarniecki. – Na mur! Sposóbmy, co jest, potem sobie przy kominku spokojnym czasem przeczytamy książkę, co też ona pisze, a teraz... a! zachcieliście, nie święci garnki lepią.

Ze zwołanym ludem stanęli zaraz do roboty.

Co było gdzie pozostałego rumowiska, kamienia, dylów, kutych drągów, zębatych haków, żelastwa, broni, drzewa różnego, wszystko poczęto ściągać, aby na wypadek zbliżenia się do fos nieprzyjaciela powitać go

¹ Podręcznik z dziejów wojny, zatytułowany *Spraw i postępów rycerskich i przewagi spisanie krótkie, z naukami w tej znacznej zabawie potrzebnymi*. Lwów, 1599 Przypisany Hieronimowi Sieniawskiemu przez Stanisława Karlińskiego.

uczciwie. W dziedzińcu ustawiono kotły do grzania wody i smoły, mającej się zlać na oblegających.

Żołnierz trochę odpoczął, a kobiety i czeladź posługiwała; rozdzielono te nowe środki oporu tak, żeby je mieć wszędzie pod ręką, a najwięcej tam, gdzie nadkruszenie murów i płytkość fosy spodziewać się napadu dozwalała. Cały dzień Boży na tym upłynął.

XIX

Po jasnych dniach poprzedzających nastąpiły zwykle u nas mgliste i ponure; drobny deszcz, mrok, śnieżek gęsto proszący, niezgłębione ciemności białe obwisły nad obozem i twierdzą. Oblężeni nie mogli rozpatrzeć się o kilka kroków, nie mogli wiedzieć o przygotowaniach nieprzyjaciela, jego obrotach, zbliżaniu się, i strzelać nawet na los musieli.

Nazajutrz od rana tak nieprzejrzany obłok otulił górę całą i obozowiska, że jasnogórzanie i Szwedzi wśród tej mgły rady sobie dać nie mogli; deszczyk wilgotny, drobny, cienki, zimny, do kości przejmował Szwedów. Na zamku przestrach znowu; pora ta zdawała się szczególnie sprzyjać Szwedom, kroki ich okrywała tajemnicą. Miller też radował się wielce ze mgły i korzystać chciał z niej co prędzej, by zasypywać przekopy i dobywać klasztoru.

Ledwie wydano rozkazy, gdy Miller o kilka kroków posłyszał wystrzał i krzyki; zdawało mu się, że to był jęk jego siostrzeńca, od którego ledwie się oddalił. Nie pojmował, co mogło być przyczyną wypadku, spał konia i przybiegł na miejsce.

Młodzieniec leżał śmiertelnie kulą w brzuch ugodzony.

Zakrwawiły się oczy dowódcy.

– Co to jest? – zaryczał, widząc ukochane dziecko w tym stanie, i rzucił rozkaz zwoływać lekarzy.

Ale lekarzem śmierć była; młody chłopak obrócił się do niego, rękę wyciągnął drżącą, uśmiechnął się – i skonał.

Miller włosy rwał z głowy, żołnierze stali odrętwieni... strzał to nie mógł być klasztorny. Szwed jakiś wśród tej mgły, którą się tak bardzo cieszyli, oczyszczając nabitą śmigownicę, wypalił z niej, sądząc, że do klasztoru mierzy, a zabił biednego wyrostka. Żalu, gniewu, wściekłości dowódcy odmalować niepodobna; dla niego to, dla zabitego dziedzica, zbierał on po Polsce skarby, łupieżą i krwią zbryzgane, jego jak syna kochał i za syna przysposobił, wszędzie chciał go mieć przy sobie, aby z oczów nie tracić ulubieńca, zasłaniać go od niebezpieczeństwa, otulać i pieścić; chwila jedna zerwała węzeł, który Szweda łączył jeszcze ze społecznością i światem. Martwy z bólu i obłąkania, powstał Miller, a

uciałowawszy zimną twarz siostrzana, pięść wyciągnął ku klasztorowi z groźbą okropną.

– Gdzie jest ten, co strzelił? – spytał zimnie.

Wskazano winowajcę.

– Rozstrzelać – rzekł chłodno i odwrócił się. Siadł na konia. poleciał.

– Sypać szańce, zarzucać fosy!

Zbliżył się ku murom; one milczały, za nimi tylko stał lud i modlił się.

A Szwedzi powtarzali coraz uparciej: Czary! Czary! I wieść o zgonie młodego wojaka poszła po obozie, opowiadana w sposób taki, że stwierdziła przekonanie o jakichś czarnoksiężskich mnichów sztukach.

Wejhard dowiedział się o wypadku i schwycił się za głowę.,

– Teraz mi się już nie pokazywać Millerowi – rzekł i pośpieszył z Kalińskim i Wachlerem pod twierdzę także.

Mgła nie rozbiła się na chwilę, a wśród tego złowrogiego mroku ledwie o krok widzieć się było można. Zaczęto strzelać z obozu do twierdzy. Jasna Góry milczała. Nareszcie, jakby z chmur wychodzący, ukazał się lud ściśnięty w szereg, który pędzono na przekopy. Wtem Konstancja wysunęła się z nich i stanęła na kontraskarpie w swych płachtach, z kijem podniesionym, jakby szydząc ze Szwedów, co się groźną linią posuwali ku niej. Zobaczyli ją żołnierze i zwolnili kroku, szmer poszedł po linii.

– Kobieta jakaś! Kobieta!

Kilku śmiałków strzeliło, ona uprzejmie skłoniła im się i palcem zapraszała ku sobie.

Już myślą czarów opanowani Finlandczycy, którzy im wierzyć najskłonniejsi byli, stanęli; trąby na próżno grały do szturm, jak wryci, nie ruszali się z miejsca. A tu i szereg ich zaciemniał przed oczyma obleżonych i wszystkie działa zwrócone ku nim błysły, zadymiły, poczynając sypać kul gradem na Szwedów. Co było na przodzie odważniejszej starszyny, padło rzędem, żołnierz się spłoszył i cofać począł.

– Czary! Czary! – wołali jak poszalali.

Miller bił i pędził.

Wtem noc nagle się robić poczęła i krótki dzień mroczył coraz bardziej; działa forteczne coraz dalej sięgały, pierwsze linie przebiwszy. Nie było sposobu iść dalej, trąby dały znak do odwrotu. Wiatr, jakby zasłony, z góry na chwilę mgły uniósł i rozdarł, w dali ukazując pracowników u szanćów, z rydlami, motykami, schylonych nad robotą pod strażą szwedzką. Czarniecki rozkazał strzelać do nich.

Ale mrok coraz stawał się gęstszy, noc zdawała się lecieć skrzydłami ptasimi, coraz ciemniej, ciemniej, ciemniej... tylko wśród bielejących tu i ówdzie płatów śnieżnych czernieje kupka ludu, ruszającego się jak mrowie. Na oslep już klasztorne działa kierują, sercem raczej, niż okiem, widzą popłoch... a potem cisza... i tak dzień się skończył.

W klasztorze zadzwoniono na Anioł Pański.

Napaść ta była od południa, ze strony, którą kościół odwracał się do murów i wrót dobrze obwarowanych, choć Szwedzi mieli je za słabsze od kortyny. Noc zeszła na czuwaniu niespokojnym... Wszyscy stali na murach w oczekiwaniu. Nikomu nie było tajno; co się działo w szwedzkim obozie; zabicie Millerowskiego siostrzeńca, jego gniew i zakłęcia, że twierdzę zdobędzie i zniszczy, przerażała poczynąły. Sen uciekał z powiek, ludzie jak cienie suwali się dokoła. Hasło powtarzano z cicha: w B o g u n a d z i e j a.

– Bóg niech będzie pochwalony!

Z tymi słowy w ustach, z różańcem w dłoni, chodzili dowódcy powolnymi krokami, spodziewając się nocnej napaści; lecz na próżno. Szwed o niej nie myślał. Nierychło opieszały dzień zaświtał, lecz taki, jak wczoraj, gęstą mgłą osnuty, rzekłbyś, że się owinął nieprzyjrzystymi szatami; ni nieba, ni ziemi, ni świata, jasno, a nic nie widać. Tuman jak dym gęsty wszystko osłania, powiększa postrach, przeraża, bo tajemnicą otacza.

Kordecki zasępiony na jutrznię do chóru przyszedł, a po skończonych modlitwach:

– Bracia! – odezwał się. – Nieczyste są serca nasze, niegorące modlitwy; Bóg odwraca się od nas i upomina, módlmy się lepiej... Znać zesłała w nas wiara. Mgły stały się sprzymierzeńcem nieprzyjaciela, w nich zamknięci, jesteśmy jak ślepi... biada nam, jeśli to potrwa. Siła ludzka nie pomoże na to; innej tu potrzeba pomocy. Czemuż, gdy modlitwy Jozuego słońce wstrzymały, nasze by nie miały mgły rozpędzić?

Widać było po twarzach ojców zwątpienie i podziw wielki.

– Wiary! Wiary! – zawołał Kordecki – a ruszmy nią góry i opoki! Wiary, a zwyciężymy! To oręż nieprzełamany, to zbroja nieskruszona. Nie możemy wszyscy leżeć na modlitwie, bo musimy walczyć. Niech jeden z nas zastąpi wszystkich gorącą a nieustanną modlitwą do Boga, niech zaklinaniem i słowy błogosławieństwa rozpędza mgły szkodliwe, niech błogosławi działa i oręż nasze, niech za nas błaga i jęczy. Ojciec Stawiski, to będzie wasze dzieło; wzniescie się duchem pod tron

Wszechmocnego i módlcie się za nas, my pójdziemy pracować...
Błogosławcie we cztery świata strony, a pierzchnie mrok i tumany,
szatańską nagromadzone siłą, bo wiara panuje wszystkiemu.

Książd Stawiski, blady, poważny starzec, powstał, zniżył głowę w milczeniu przyjął rozkaz przeora. Inni ojcowie westchnęli tylko. Kordecki, wyznaczwszy przeciw mgłom bojownika, jakby do najprostszej pracy, zszedł z chóru spokojny.

– A to co za lichy? – rzekł pan Czarniecki, widząc nagle z mglistych mroków wyłazącą dziwną jakąś, wysoką budowę, która, powolnie poruszając się, ku murom zbliżała.

Zamojski spojrzał także i uśmiechnął się.

– To się zowie w języku wojennym...

– Ale do czego to służy? – spytał niecierpliwie pan Piotr. – Jużciż nie do bicia masła?

– Do rozbijania murów i włożenia na nie.

– No, to nie czekając walmy do tego rusztowania! Kasprze, kochanku, rychtuj mi na te kozły, czy jak się to tam zowie, a gracko, dostaniesz ode mnie, co zechcesz.

Kasper począł działa podnosić, bo się machina zbliżała, dano ognia, i wielki taran, który wlekli żołnierze i lud okoliczny z końmi i wołami razem, począł trzaskać; ponowiono strzały i nim skutek ujrzano za dymem, już łom drzewa i krzyk ludu dał znać, że Kasper trafił. Czarniecki aż go w czoło pocałował.

– Otoś mi chwyt! – rzekł. – Naści! I oddał mu woreczek swój szlachecki.

– A teraz do tej gawiedzi.

Gęstymi strzałami walono do reszty już złamaną machinę, około której kupili się Szwedzi z krzykiem i przekleństwem. Chciano dźwignąć, co było zepsute, i spoić na nowo, ale okazało się, że kule szczęśliwie najistotniejsze części taranu: drągi, haki, kłocze zębate, śruby i sznury, zgmiotły i zniszczyły; niektóre kawały poodlatywały daleko i pokaleczyły żołdaków, belki przybiły ludzi, co machinę ciągnęli. Szwedzi popatrzyli, przybiegli starsi i znowu szepotali między sobą: Czary! I powoli odstawili. Dano znać Millerowi, który opodał siedział, tyłem do twierdzy obrócony; machnął ręką tylko:

– Róbcie, co chcecie!

I słowa nie wyrzekł więcej. Groźne jego czoło więcej od rozkazu mówiło; wzięli się więc do budowy drugiego tarana, a tymczasem starano się o jakąkolwiek przewagę, ale nadaremnie.

XX

Nazajutrz rano, do pierwszej myśli wróciwszy, ale na inną obracając się stronę, Szwed znowu rzucał kulami od wschodu. Stąd w istocie obawiać się było można wielkich szkód, jeśli nie dla klasztoru, to dla kościoła, którego okna i facjata zwracała się w tym kierunku.

Nieustanność szturmów, niepokój ciągły, wrzawa, strachy co chwila nowe, pomimo usilności Kordeckiego, wlewającego odwagę w swoich ludzi, musiały zwątlić najwytrwalszych nawet. Większa część twarzy pochmurniała, nawet mnisi, życiem niezwykłym zmęczeni, zwiesili głowy na piersi i nikt nie śmiał powiedzieć, że mu tchu braknie, że cierpi, ale wszyscy czytali sobie w oczach wyraz niewysłowionego znużenia. Nikt krzepiącej nie zachował nadziei. Klasztor zwyciężał dotąd, ale go wycieńczało zwycięstwo; przeor to nawet widział; miał nadzieję w odsiecz, nadzieję w zimie, nadzieję w znużeniu Szwedów... i wszystkie dotąd zawodziły.

Zwątpienie, rozpacz niemal, obojętną na śmierć lub życie, zimną, milczącą, bladą, spotkałeś wszędzie...

Szlachta znowu skupiła się i naradzała potajemnie; załoga szemrała, śmielsi już narzekali i powiew rozpaczny obejmował chłodem swym serca. Już i kościół, i kaplica stały pustką, izby pełne były naradzających się swarliwie.

Tymczasem modlitwy zwycięsko mgły rozbiły; niewidzialna ręka zdawała się rozszarpywać grube osłony tumanów, rozrywała je i zrzuciła na widnokręgu krańce, a niebieski błękit spod nich i jasne ukazało się słońce.

Pod twierdzą kupami leżeli ostatnich dni pobici Szwedzi, niektórych śnieg już poproszył, inni czernieli jeszcze; koło nich krzatali się żywi, to odzierając z sukni, to zabierając na wozy. Starszyzna wybierała upadłych towarzyszy broni, by im cześć oddać ostatnią, i żałobne wozy pociągnęły z szeregiem trumien ku Krzepicom.

Poszło tam z honorami wojskowymi, z muzyką i spuszczonej chorągwią ciało Millerowego siostrzeńca, w prostej wieśniaczej trumnie, na wozie kmiecym, szukać spoczynku na ziemi najzdem zgwalczonej, która grób pochłoneła, karząc niepamięcią; za nim orszakiem pociągnęła jazda szwedzka.

Kordecki, patrząc na to, zapłakał.

– Tyle krwi, tyle ofiar, a! miły Boże! – zawołał do księdza Stradomskiego, stojącego przy nim. – Dla sławy zdobywcy, dla próżnego liścia lauru; a gdy przyjdzie na wiekuistego państwa pracować zdobyście, o! jak to każdemu ciężko! Najechali ziemię naszą i zawojowali sobie – groby! Niech im Bóg przebaczy, niech nie pamięta!

Nic nie odpowiedział ksiądz Stradomski i w milczeniu zeszedł z wyżyny, na której stali, do klasztoru.

Tu spotkał zakonników i szlachtę z bladym obliczem, skupiającą się umyślnie przeciw Kordeckiemu. W tych gromadkach dwie twarze uderzyły przeora: byli to co tylko do twierdzy wpuszczeni pan Aleksander Jaroszewski, który pod opieką Jasnej Góry miał żonę i synka, i pan Ciesielski, którego dwie siostry, zakonnice dominikanki, od powodzi szwedzkiej się skryły. Obaj, zasłyszawszy, co się dzieje na Jasnej Górze, zaczęli niepokoić się o swoich i zbiegli do Millera naprzód, żeby im dozwolił wyprowadzić kobiety, bo pewni byli, że nieustannymi szturmami twierdza wzięta zostanie i padnie łupem rozjadłych i rozbestwionych Szwedów.

Rano dnia tego dopuścił ich do siebie Miller, a wysłuchawszy prośby, rzekł:

– Idźcie, moi panowie, ale to się na nic nie zda.

– Jak to? – zawołał pan Jaroszewski. – Musi mi wydać żonę i dzieci, a panu Ciesielskiemu siostry.

– Nie wyda – odparł wódz – to by wystraszyło do reszty zamkniętych w twierdzy; ja bym bardzo był rad temu, ale Kordecki ma rozum, nie robi tego. Nie trzeba było kryć się przed Szwedami... a dziś za późno.

Pan Jaroszewski, jak był żywy bardzo i przywiązany do żony i synka, a pan Ciesielski, co dość łatwo tchórzył, ale w takim razie miną nadrabiał, gdy był w strachu, oburzyli się obaj.

– To być nie może, panie jenerale, muszą nam wydać naszych! To by była tyrania!

– Zobaczycie – rzekł zimno jenerał. – Idźcie.

Jakoż poszli, a po drodze nie omieszkali rozsiać w twierdzy popłochu i przeor zaraz postrzegł się, że ich przybycie nie było mu na rękę. Nim od bram do niego się przebili, już napletli dziwów, nastraszyli bojaźliwych i zachwiali odważnymi nawet. Według nich, twierdza co chwila mogła, musiała być zdobyta; Szwed zaklął się, że nikomu rycia nie daruje;

kobiety, starce, dzieci mieli paść ofiarą, a na gruzach sól rozsypać obiecywano.

Płacz, lament rozległ się po całej górze.

Na to właśnie nadchodził Kordecki, spojrzał surowo, a wtem, jak stali w korytarzu pan Jaroszewski i pan Ciesielski do niego.

– Księżę przeorze – rzekł pierwszy z ukłonem – przyjechałem po żonę.

– A ja po siostry.

– Cóż to się stało, że je wywozić myślicie! – odparł Kordecki zimno i z nieukontentowaniem. – Czy to już Pana Boga nie ma nad nami i Matki Boskiej w Częstochowie? Cóż nowego im grozi?

– Co grozi? Jużciż to jawna i oczywista, że twierdza zostanie zdobyta i zniszczona.

– Kto to panu zaręczył?

– Ale dość policzyć, księżę przeorze, co naszych, a co Szwedów.

– Licz sobie, kiedy chcesz; waszmość się boisz, a my się nie boimy; tobie strasznie, a nam nie.

Pan Jaroszewski osłupiał.

– Zresztą – rzekł – jak sobie ksiądz przeor chce, ale ja siebie patrzę i o żonę proszę...

– A ja o siostry.

– Zawołać braciszka Pawła! – rzekł przeor chłodno.

Wszyscy milczeli, czekając, co z tego będzie; przybyli sądzili, że im kobiety puszczą, aż i brat krawiec przybiegł ze szkaplerzem na rękę i spojrzał ognisto na wszystkich, ze łzami prawie na przeora, przed którym się nachylił skwapliwie.

– Wiesz, bracie, jakie jest rozkazanie u wrót? – spytał go Kordecki.

– Wiem, ojcie przeorze: wpuszczać pojedynczo, kto zażąda, a nie wypuszczać, chyba za wyraźnym zezwoleniem waszym.

– Tego rozkazania strzeżcie mi najpilniej nadal! – dodał przeor.

– Będzie spełnione święcie.

– Cóż więc, gwałtem myślicie tu zatrzymać? – oburzył się pan Jaroszewski.

– Nie was – odpowiedział przeor spokojnie – ale kto przed oblężeniem się tu schronił, gdyby dziś uchodził, popłoch by rozsiał niepotrzebny, za jednym zechcą wszyscy; zatem kto tu jest, ten dobiedzie do końca.

– Księżę przeorze, tu o życie chodzi! Macie prawo rozporządzać swoim i swoich podwładnych, ale nie naszym...

– Wszyscy tu moi podwładni dzisiaj – odparł zimno i stanowczo zakonnik. – Bóg nas rozsądzi; co czynię, robię z przekonania o koniecznej potrzebie i z natchnienia Bożego. Będą wszyscy cali, jeśli zaufamy Panu, nie obawiajcie się.

Dwaj przybyli mieszała się, nie wiedzieli, co począć, stali, spoglądali po sobie. Przeor już odszedł, został Zamojski.

– To, czego żądacie – rzekł im, na długą gotując się orację – niepodobnym jest i przeciw zwyczajom wojennym. Posłuszeństwo winniśmy wszyscy wodzowi, rozkaz i wola jego święta. Nie obawiajcie się jednak, nic się tu złego nie stanie nikomu; z pomocą Bożą pokonamy wroga, chociaż potężnego, czemu nie podoła oręż, podoła modlitwa... Tu daremnie – dodał – i prosić, i grozić. Nie mniej mi droga żona moja i dziecko jedyne, przecież je tu skryłem i wywozić nie myślę.

– Wolno wam czynić, co się podoba, ale i my też swój rozum i wolę mamy.

– Jak się obłężenie skończy, zrobicie, co się wam podoba.

Pan Aleksander Jaroszewski począł krzyczeć, hałasować, Ciesielski mu pomagać; miecznik wziął pierwszego za rękę.

– Będę – rzekł ostro – zmuszony kazać was za mur wyprowadzić; nie czyńcie mi tu burdy i idźcie sobie z Bogiem!

Ale to tyrania niewidziana, to ucisk swobodny szlacheckiej!

Rozśmiał się pan Zamojski.

– Ojciec Pawle – odezwał się – ci panowie już się widzieli ze swymi, zostać, zdaje się, nie pragną, my czasu nie mamy; każcie ichmościom furtkę otworzyć.

Na próżno obaj poczęli wołać hałaśnie i po sejmikowemu się odgrażać, na nic się to nie przydało; pan Piotr Czarniecki dodał im kilku ludzi i jak niepyszni musieli z twierdzy ustąpić.

Miller spotkał ich nie opodal.

– A co tam? – spytał z uśmiechem.

– Nie puszczają! – zawołali.

– Mówiłem wam to wprzód. – I machnął ręką.

Obaj panowie poszli do znajomych sobie kwarcianych po radę – i znikli.

Wypadek ten oburzył wielu w klasztorze; szlachta, nieprzywykła do posłuszeństwa, krzyczała na gwałt, kobiety płakały, księża nawet szemrali... Ksiądz Lassota wbiegł; oznajmując przeorowi, co się święci, że refektarz pełen i bodaj czy nie bunt się jawny gotuje. Kordecki szybko

ruszył, biorąc z sobą po drodze księdza Stradomskiego, ale już w refektarzu jedni tylko księża się zostali, szlachta się rozpierchła. Zakonnicy stali jak powarzeni, milczący, chmurni, gotowali się coś mówić i obawiali rozpocząć. Przeor wyczytał myśl w ich twarzach i stanął. Wtem ksiądz Błęszyński wystąpił naprzód.

– Ojcie przeorze – rzekł – długo milczeliśmy, długo czekali na posiłki i nadzieje, ale gdy to wszystko marne dymy, czas i nam głos podnieść. Nie zaprzeczycie, żeśmy czynili, co mogli, w obronie miejsca tego i życie gotowi byli dać w ofierze; ale ludzić się dłużej niepodobna.

– Tak jest – dodał ksiądz Małachowski. – Pozostaliśmy sami, posiłek przybyć nie może, zguba jawna i oczywista. Przeznaczył nam Bóg upokorzenie zwyciężonych, nie opierajmy mu się!

– Ojcie przeorze – dorzucił ksiądz Dobrosz – dzisiejszy postępek wasz, który mógł być wedle praw wojny (my ich nie znamy), oburzył i zniechęcił do reszty szlachtę; strwożeni wszyscy, nas garść mała, sami nic nie zrobim. Na Boga zaklinamy was, myślimy o poddaniu się...

Tu i inni, ośmieleni, mówić poczęli.

– Ojcie, czas wyjść z tych omamień; kraj cały w rękę Szweda, król nas opuścił, świat o nas zapomniał; Polska nie jest już Polską lat starych... Czas prosić o warunki.

– To zdanie wasze? – spytał smutnie Kordecki.

– To myśl i pragnienie wszystkich... zapał i wiara nie pomogą przeciw wyraźnej woli Bożej.

– Do definitorium! – odezwał się przeor. – Niech dzwonek zwoła na radę!

Rzekł i wyszedł pierwszy.

Jeszcze sala była pusta, gdy ukląkł w niej przed krzyżem Zbawiciela świata i leżąc u nóg Jego, trupa głowę obyczajem zakonnym pocałował; długą chwilę pozostał tak na modlitwie gorącej, potem podniósł się, całując rany nóg, rąk i boku Chrystusowego... Zakonnicy sypali się już do definitorium, zasiadali swe miejsca, przeor zajął swoje; twarz jego była pogodna, chwilę podumał, powlókł po nich wzrokiem i tak mówić począł:

– Przeraża was, zakonnych ludzi, bracia moi, niebezpieczeństwo wojenne. Wielkie to zaiste i groźne niebezpieczeństwo, ale nie takie, żebyśmy dla niego zachwiać się mieli w postanowieniu bronięcia miejsca świętego i spełnienia obowiązku. Królowie polscy powierzyli nam straż tej świętej góry; chcecie ją, stróże wiarołomni, oddać nieprzyjacielowi...

wola wasza! Zdajcie na ręce kacerzy, co macie najświętszego i najzdrowszego dla ocalenia życia, ja was sądzić nie będę. Bóg i ludzie osądzą! Nie godzi się jednak, by to miejsce pozostało bez czci i służby, bez nabożeństwa; niepodobna, żeby wszyscy, hańbą okryci, opuścili ten ołtarz, jak zbiegi niewierne, którzy wzięli zapłatę wczesną, a gdy przyszła chwila niebezpieczeństwa, uszli sromotnie. Powiedzcie więc, bracia, którzy z was zostać tu zechcą i zdać się na wolę Szweda; ja z pozostałymi, nie mogąc ani sromoty znieść naszej, ani żeby kacerze bluźniercy splamili ten przybytek, ustąpię, pójdę... Zostawuję wam wolę, czyńcie, jak się wam zda.

Proste były słowa przeora, choć goryczą zaprawne; wymówił ostatnie ze łzami, zabłysły one na powiekach jak krople rosy niebieskiej: ręce wyciągnął ku nim i zwrócił oczy, pytając:

– Wystąpcie i mówcie!

Ale nikt się nie odezwał, rumieniec wstydu oblewał twarze, milczeli wszyscy.

– Przecież chcieliście poddania, mówcież więc, ja wam będę posłuszny... Ojcie Stradomski, tyś pierwszy.

Kaznodzieja nic nie odpowiedział; pytał z kolei wszystkich, nikt odezwać się nie śmiał, tylko rzęsistymi kroplami pot oblewał im czoła, a wzrok utopili w ziemię.

– Nikt z was teraz nie śmie okazać strachu, któregoście byli pełni przed chwilą – rzekł łagodnie. – Opamiętajcie się, bracia, i uczcie z chwilowej bojaźni, jak upaść łatwo, jak trzeba czuwać nad sobą. Na Bogu! – podniósł głos. – Czymże dziś jest straszniejsze od wczoraj? Wytrzymaliśmy tyle napaści stale, nic nie dokazał nieprzyjaciół; boim się więc zwycięstwa naszego? Widzicie, że załoga, uzbrojenie, zapasy wystarczają nam przy pomocy Bożej; przyjdą może i posiłki, słyszeliście, że Polska cała ze zgrozą obudziła się ze snu i zdrętwienia; król wróci do kraju, przypomną sobie ludzie, że my jedni trwaliśmy! Nie dawajmy ucha podszeptom bojaźliwych i krótkowidzących ludzi... niech się lękają, myśmy wyżsi być powinni nad strach ten ziemski i płochy.

Mówił i nikt mu nie przerwał; a wtem braciszek Paweł zapukał do drzwi z listem w rękę.

– Konstancja list ten na wałach w śniegu znalazła.

Cudownie to pismo dla dodania otuchy przybyło jak gdyby modłami Kordeckiego wywołane. Pisał je niejaki pan Maj, sandomierzanin, do brata w Sieradzkim, ktoś pocziwy podrzucił. Były to wieści o Tatarach,

idących wielkimi zastępy w pomoc Kazimierzowi. Przeor przeczytał i oddał księdzu Stradomskiemu.

– Bóg łaskaw! – rzekł. – Dajcie czytać małowiernym, niech się w postrachu utulą.

To mówiąc, wyszedł, zostawując księży zawstydzonych i niespokojnych. Nie było wymówek wzajemnych ani nowego szemrania, westchnęli tylko i rozeszli się z uczuciem wiary, z pragnieniem poprawy, każdy ważąc i poświęcając chętnie swe życie..

Ale ze szlachtą nie tak poszło łatwo; tu przeor nie mógł każdego z osobna ani razem wszystkich zgromadziwszy zawstydzić, upokorzyć i wlać sił, których brakło; strach głośniejszy mówił nad wszystko w świecie, do tych zwłaszcza, co tu mieli żony i dzieci, a obawiali się rzezi i gwałtu. Ranny napad Jaroszewskiego, łzy samej pani, postrach panien Ciesielskich rozeszły się po całym klasztorze. Chcieli szlachta z zakonnikami razem zmusić przeora do poddania, ale po radzie w definitorium ojcowie paulini usunęli się i sami znajomych na drogę męstwa zwracali, nie chcąc już pomagać szlachcie. Kilku ze starszyny, mając na czele Zamojskiego i Czarnieckiego, trzymali się niezachwianym umysłem, reszta burzyła się, a było tego z pięćdziesiąt rodzin. Biegali oni jak poparzeni, lamentując, radząc, narzekając na nieszczęśliwą godzinę, w której się tu schronili. Pani Płazina w tej zawierusze miała wyborne pole nagadać się, nabiegać i nanosić plotek, tak że zapomniała nawet o swej jaśniewielmożności i państwie. Godny jej małżonek, pan Płaza, jakiś Mrówkowski i kilku innych przywódców naprawdę głosy zbierali do poddania i gotowali się iść do Kordeckiego. Ale Czarniecki, który to po części przewąchał, rozkazał zgromadzić się ludziom załogi, rozdał wszystkim po szklanicy miodu, przyrzekł sowitą nagrodę i po prostu rzekł do nich:

– Moi kochani, coś tu u nas śmierdzi zdradą; panowie bracia szlachta zaczynają tchórzyc i myślą o poddaniu. Książdz przeor o tym słuchać nie chce, a nas większa część postanowiliśmy trzymać się do upadłego. Otóż chciałem wam powiedzieć tylko to, że który z was miałby ochotę zwąchać się z tchórzami, straci odwagę, a mówić będzie o poddaniu, albo wejdzie w jakie konszachty, to mu, tak mi Panie Boże dopomóż, jak psu własną ręką w łeb wypalę. Macie więc wóz i przewóz; jak się, da Bóg, ta szwedzka robota skończy, każdy otrzyma podwójną płacę roczną w nagrodę; kto co złego pomyśli lub zamierzy, zginie nie od Szweda, ale

ode mnie. Znacie mnie, że jestem słowny. A teraz na mury i zwijać się gracko!

Załoga poszła rzeško i już w niej pomocnika nie mieli bojaźliwi, co się na niej opierać chcieli. Kordecki, choć nie wiedział, co się stało, gdy się stało, pochwalił. Zamojski tylko trochę się namarszczył, bo gotował piękną bardzo mowę do załogi, a ta już była niepotrzebna. Trzeba wyznać, że ruchawość pana Czarnieckiego, jego zwycięska wycieczka, jego skromne a pocziwe krzątanie się około obrony klasztoru trochę spać nie dawały panu miecznikowi. Nie żeby, uchowaj Boże, zazdrościł tych usług Czarnieckiemu, ale że mimo pracy swojej chciwy dobra człowiek pragnął go gorliwością prześcignąć. I nieraz pani miecznikowa widziała go po nocach, gdy na chwilę zszedł z murów do niej się dowiedzieć, tak zadumanego głęboko, jakby losy świata ważył w rękę.

– Co u licha! – mówił sobie pan Zamojski – to niepodobna, żebym i ja czego nie dokonał. Co kto zrobi, to on; wszędzie mnie wyprzedzi, wszędzie drogę zabieży, wszędzie znajduję go już po capstrzyku, gdym ja dopiero się gotował z myślą moją. Tak być nie może! Juści żem ja wódz naczelny po księdzu przeorze, muszę także się z czym popisać.

I dumał tak pocziwy miecznik dni całe i noce, a zobaczymy, że nie darmo.

XXI

Szwed, spróbowałszy ze wszystkich stron, zostawił południową na sam ostatek; tu była brama główna ze zwodem, tu ponad kortyny wysuwały się wysoko mury kościelne. Postanowiono więc wziąć z dwóch boków kościół i kaplicę Najświętszej Panny, ogień skierować na nie i zmusić gorliwych o całość przybytku zakonników do poddania, grożąc zniszczeniem zupełnym. Miller miał tę myśl od początku, odwodząco go od niej; wyczerpawszy środki, postanowił przyprowadzić ją do skutku, i zaraz dnia następnego, po nowych przysposobieniach na węgle południowo-wschodnim, rozpoczął czynny ogień.

Była to godzina chóru, zakonnicy wszyscy znajdowali się na nabożeństwie swoim: szmer modlitwy rozlegał się w kościele, gdy szwedzkie działa, wymierzone na samą świątynię, strzelać poczęły.

Miller wielce rachował na słabość murów, długimi oknami przeciętych, i kierowano kartauny tak, aby podciąć u dołu mury i obalić. Straszliwy huk zagłuszył modlitwę, ale jej nie przerwał; wtem usłyszano na dachu kościelnym druzgocące się krokwie i belki. Błady przestrach ogarnął starców, ale przytomność przeora, który się modlił nieulekły, nie dozwoliła uciekać... Ogień działowy co chwila stawał się żywszy, z dala dochodziły krzyki i łoskot niepokojący.

Wtem zdało się, jakby gmach cały miał runąć i ziemia rozstępowała się pod nim; wszyscy zakonnicy oprócz przeora na ziemię upadli; dym, pył, kurzawa, gruz napelniły przybytek... kula, od kościółka Świętej Barbary puszczona, rozbiwszy okno z częścią muru ponad głowami mnichów, przeleciała w sam środek gmachu. W tej samej prawie chwili druga, w bok kaplicy w ścianę przedsionka uderzywszy, okna w niej połamała. Chwila to była okropna i popłoch nie wyrażony; dalekie krzyki Szwedów, jęk bolesny zakonników zwiększały się razem z wrzawą boju i hasłem strzałów, wszyscy uciekać poczęli, wołając:

– Matko Boża! Matko Boża! Zmiłuj się nad nami!

Kordecki powolnie ostatni zszedł z chóru i wstrzymał zbiegów spłoszonych.

– Tu miejsce nasze, tu! U Jej ołtarza... korzmy się i ufajmy, a nic nas nie dotknie...

Grzmiały działa, waliły się z wyżyny nadwątlonych cegieł ostatki, padały szyby okien i ramy, gdy przeor, uciekających zwoławszy głosem potężnym, uklęknąć im kazał. *Święty Boże!* rozległo się wśród huku strzałów. I działa zdawały się posłuszne modlitwie; drżeli mnisi, oczekując nowego wystrzału, ale już kula żadna nie śmiała przerwać pobożnego śpiewu. Dokończywszy pieni, śpiesznie rozbiegli się paulini; Kordecki zamykał szereg, nieulękniomy, poważny, zadumany, wtem za szkaplerz pochwycił go braciszek Paweł wylekniomy i blady.

– Ojczy przeorze, brama!

– Cóż w bramie! Jużciż nie Szwedzi?

– Nie, ale zwód strzaskano, kula przebiła sklepienie i pogruchotała muszkiety, wisząc w izbie Kaspra.

– Znać już nie będą nam potrzebne – chłodno odpowiedział Kordecki.

Zamojski już był obejrzał tę szkodę i kierował odwetem, celując działa z narożnej baszty.

Szkód znacznych nie było na dachach, w części połamanych, ogień się wszczął, kule padające nadszczerbiły murów, ale nic nie obaliły. Szwedzi około południa musieli wstrzymać ogień, bo ich wielkie kartauny do ciągłego strzelania zbyt wiele brały prochu. a nie było go pod dostatkiem, musiano oszczędzać; z trafego zaś strzału do kościoła i kaplicy wnoszono, że zakonnicy dosyć przerażeni być muszą. Czekano parlamentarzy, ale na próżno; nikt z klasztoru nie przybył. Spodziewano się do wieczora, wyglądano; noc nadeszła, a twierdza nie dała znaku życia.

Ale w niej, niestety, nie tyle było odwagi i wytrwałości, ile by spodziewać się można. Strach znowu rannymi kulami podbudzony, grał we wszystkich sercach. Kordecki udawał, że go nie widzi długo, wreszcie schadzki, namowy i szemrania szlachty w oczy uderzać poczynają. U pana Płazy narada ciągnęła od rana do nocy, i co by mieli na mury pójść z innymi, to zasiądą u kuflów, straszą się Szwedami lub opowiadają, jacy to oni dla upokorzonych łaskawi, a nawet grzeczni. Jeden drugiego zachęca, by iść do przeora i naglić o traktaty.

– To książdz, zwyczajnie książdz – rzekł pan Płaza – nic nie rozumie; panu Zamojskiemu teraz w głowie desperacja, że go Szwedzi prześladować będą, a Czarniecki, wiadomo, że choć go zwiąż, to się bić będzie; wszyscy zaciętrzewieni, pod nosem nie widzą, że łađa chwila Szwed zdobędzie Jasną Górę,

– Co tu długo gadać! – rzekł drugi. – Tu o naszą skórę chodzi, myśmy się tu schronili dla bezpieczeństwa, nie żeby głowami przypłacić; albo niech nas puszcza, albo niech się poddaje!

– Już kiedy kule kościoła nie szczędzą – rzekł trzeci – niedługo tu i nam się osiedzieć.

– Do przeora! Do przeora! – zawołali wszyscy i wyszli gromadnie, hurmem, przeciw księdzu Kordeckiemu. Nie zastali go nigdzie w twierdzy i musieli szukać aż w celi, bo dysponował właśnie coś z powodu rannej szkody kościoła, gdy szum w korytarzu oznajmił cisnącą się szlachtę, a pan Płaza na przedzie. Przeor poznał z jego twarzy, o co chodzi; szlachcic, naprzód popchnięty, rad nierad, wystąpił z perorą.

– Przyszliśmy – rzekł, pokłoniwszy się – spytać waszej przewielebności, co myślicie i czego czekacie z tą zwłoką, gdy nie ma odrobiny nadziei żadnego posiłku; nieprzyjaciół panem wszędzie, trzeba się ratować, trzeba poddawać, bo nie ma co bałamucić... darmo mości przeorze, przyszła godzina...

Kordecki twarz łagodną zmienił wyrazem surowym i chłodnym, i stanął przed nim jak sędzia.

– Nie na wszystko, czego żądamy – rzekł – Szwed się godzi, bo na skalanie świętego miejsca przez karcerzy my zezwolić nie możemy. Wy, miłośnicy panowie, znużeni pracą i, jak się wam wydaje, niepowodzeniem, chcecie układów; ale pomyślcie, czy i poddanie klęską nie będzie? Wiemy, jak dotrzyмали obietnic w Krakowie... Nie naglijcie o poddanie, abyśmy przez was niegodnymi świętego miejsca uznani nie byli. Gorsze upokorzenie od wojny.

– Ale, księżo przeorze – przerwał Płaza – tu o nas chodzi!

– Wcale nie o was – odpowiedział przeor. – Naprzód o ołtarz, potem o nas wszystkich, a nie o was tylko, a poddać się poddam.

– Więc nas z żonami wypuśćcie!

– Nie prosiłem, byście przyszli, owszem, samiście się tu wprasali... nie cofajcież się; chociażście mi raczej zawadą, niż pomocą, ale was uwolnić nie mogę, gdyż załogę i poczywy lud bym strwożył.

– Więc będziemy zmuszeni... – rzekł poczynając inny.

– Siedzieć spokojnie – dodał Kordecki – i nie odbiegać od drugich; wiedzcie bowiem, że ani was puszczać, ani się poddam.

Na te słowa, wyrzeczone stanowczo, nie było co odpowiedzieć; chciał pan Płaza mruknąć coś jeszcze.

– Dzwonią od chóru – rzekł szybko przeor. – Modlitwa zbawieniem naszym, nie przerywajcie mi jej, proszę.

Poszli tedy jak zmyci, w dziedzińcu czekała reszta szlachty na swoich deputatów.

– A co? – spytali. – Coście wskórali?

– Dostaliśmy po nosie, nie ma co i mówić więcej, to hetman, nie przeor! Nie da on sobie rozkazywać. Nie wiem, co nas tu wypędziło, a teraz siedzieć mus.

– Ale cóż to będzie? Co to będzie? – zawołały kobiety.

Tchórze rozeszli się po cichu.

XXII

Nad brzegiem stawu, w kruchym i wątłym jeszcze łodzie przerąbawszy płonki, Polacy, co ze Szwedem byli, a od wojaczki wymówiwszy się spoczywali, łowili sobie rybę na adwent. Nudno bo to było żołnierzowi stać, proch wachać, strzałów słuchać, Szweda pod nosem mieć, a szabli nie dobywać i nie mieć z kim się potuzać. Tu niby przyjaciele, tam Matka Boska i bracia, a ręce gdyby związane. Niejeden kłął, na czym świat stał, ale głową muru nie przebić; patrzyli, ziewali, grali, śpiewali, niejeden z desperacji opończą otuliwszy się spać kładł, spał noc, zjadł i spał znowu, i spał, aż puchł od tego odpoczynku; drudzy włóczyli się po mieszczańach częstochowskich na gawędy, na piwo i miód, na wspólne wzdychanie. I choć to łyczaki, ale gdy nie ma do wyboru, jeno Szwed albo mieszczanin, woli szlachcic mieszczanina, wołałby w ostatku Żyda, bo z nim się rozgadać można.

Otóż kilku z tych biedaków, że to był post, a nie było co robić, dostawszy niewodu w miasteczku, włoków i sieci, poszli do stawu i takie miejsce wybrali sobie doskonałe, że za pierwszym zarzuceniem coś bardzo wielkiego i ciężkiego złowili.

– A jużciż to nie ryba, kiedy aż niewód pęka! – zawołali ci, co ciągnęli.

– Nuże, zobaczymy, co to.

I jak poczęli kijami, hakami, siekierami borykać się z tym cudownym potworem, aż na wierzch dobyli kilka z kolei beczek sporych, dobrze zadnionych, a niezmiernie ciężkich.

Zbiegło się tedy ciekawych dosyć, a tu zaraz i starszyzna, i nuż zasmolone solanki odbijać. Aż kiedy spojrzą wewnątrz! Pateny, wota, monstrancje, kielichy, trybularze, ampułki, srebra kościelne... Popatrzyli i ręce im opadły.

– O! cóżesmy to najlepszego zrobili!... Dzień biały, a tu Szwed za pasem, szpiega dosyć, co tu począć? Zabrać kościelne, niechże Bóg uchowa! Dać wziąć rabusiom, nie lepiej; więc co najprędzej chować i ukrywać, nim się Miller dowie.

Tak też się stało; siedli zaraz kilku na koń, wzięli beczki na wozy i do księdza Rychtalskiego z tą zdobyczą. Na przypadek tylko, co było nie

święconego, kilka naczyń zostawili, gdyby się bardzo Miller napierał, aby mu czym gębę zatkać. Ledwie się to stało, a już generał wiedział o wszystkim.

Co to Szwedowi srebro! Jak mu powiedzieli o polowie, poleciał zaraz Wejhard na miejsce przysłużyć się co rychlej i zapłacić z cudzej kieszeni za wszystkie strapienia. Stał w miejscu, ale tu tylko niewód leżał mokry jeszcze, kilka płotek, trochę klepki i wiele traw a muszli dobytých ze dna.

– Gdzie srebra? – rozbiegli się Szwedzi. – Gdzie srebra?...

Srebro? Nikt o nich nie wiedział. Poszli do starszych, potem do towarzyszków, ale srebra, jakby je znów utopił w wodę; nikt powiedzieć o nich, nikt wydać ich nie chciał. Szwedom znowu przy kwarcianych nie wypadało bardzo chciwymi się pokazać.

Powiedzieli, że Miller, dla większego bezpieczeństwa, chciał srebra na schowanie – ale srebro ani śladu.

Generał pokwasił bardzo, posłaniec gnał posłańca, śledzono, pytano, dokuczano, nudzono, nadaremnie; musiał Trupski i Zbrozek zostawione na wypadek kilkaset grzywien odwieźć Millerowi. Był to łom jakiś, czyjaś ofiara, jeszcze nie użyta na potrzebę kościelną; Miller rzucił się na zdobycz, skrzywił, gdy ją zobaczył, przecież i tego nie odrzucił.

Wejhard już motał sobie jakieś na srebro projektu.

W klasztorze pan Jaroszewski już był z polecenia kwarcianych rzucił kartkę, uwiadamiającą zakonników o polowie srebra i skrycia ich w miejscu bezpiecznym; przeor ani się uląkł, ani zabołał, ani zdziwił.

– Srebro – rzekł – to mniejsza; Bóg dał, Bóg wziął, byle ołtarz stał nienaruszony.

W namiocie Millera tymczasem osnuwano nową robotę; posłano żądać rozejmu, zakonnicy nań zezwolili, bo radzi byli spocząć, a Wejhard nalegał, poddając gwałtem myśl swoją, zaręczając, że wyborna i skuteczna, bo wszystkie takie były, póki ich nie spróbowano.

– Panie generale – rzekł – myśl trafna...

– Trafna? Prosimy o nią.

– Mnisi – mówił żywo nie zrażony hrabia – są chciwi nad miarę i łakomi; posłać do nich, ofiarując im oddać srebra, jeśli się poddadzą. Będziemy w Jasnej Górze mieć ich dziesięć razy tyle.

– Istotnie, że może niezgorsza siatka na mnichów – mruknął Miller. – Cóż dalej?

– Wymawiają się, że nie mogą przyjąć na dowódcę twierdzy człowieka obcej wiary, a mnie czynią bluźniercą i także mnie wykluczają, więc im księcia Heskiego proponować. Byle tylko wejść, zrobi się potem, co zechce.

– Nigdy hrabiemu nie brak planów – odparł Miller – ale dzisiejsze nad wszystkie (uśmiechnął się szydersko). A zatem pokornie im proponujemy: że nie chcemy niszczyć miejsca świętego (trochęśmy tylko przez nieuwagę kościoła nadbili), że własności nie ruszamy, srebra powrócimy i jegomości księcia Hesji uczynim komendantem. Prawdziwie, jeśli się i na to nie zgodzą, to już chyba...

– Poszaleliby! – zawołał Wejhard.

– Jakże chcecie – ze śmiechem rzekł książę Heski – żeby się poddali, kiedy im się powodzi i w dodatku mają czary, które staną za dziesięć tysięcy żołnierzy.

– Czary! – zawołał rozgniewany Miller. – Książę to mnie prześladujesz, że i ja w nie wierzę, ale nie są to rzeczy niepojęte.

– Rzeczy niepojęte niekoniecznie muszą być czarami.

– Nigdy wojska szwedzkie takich klęsk, a jeszcze od takiej garści, nie poniosły; nie ma dnia, żebyśmy nie mieli zabitych ludzi, koni, zrzuconych dział...

– Ja bym był zdania, żebyśmy się im ukłonili i poszli na zimowe leże – odparł książę Heski. – To by było najrozumniej; królowi Karolowi niewiele idzie o ten lichy zameczek nad granicą, a tracić tyle ludzi...

– Ale wstyd, mości książę.

– A! Wstyd trzeba zjeść – rzekł książę Heski.

– Niechże go je hrabia, który nas tu sprowadził – odpowiedział Miller.

Wejhard się wymknął, śmiejąc się, niby nie rozumiał.

Nazajutrz posłowie znowu – któż, jeśli nie pan Kaliński? Już go się w klasztorze obawiali i nudzili nim, ale jak było nie przyjąć pana starosty, który przychodził jako przyjaciel, protektor i pośrednik? Wprowadzono go do celi przeora, podano wino, zeszło się zakonników dosyć. Zamojski, pamiętny klótni ostatniej, pójść nie chciał. Czarniecki wołał z nim zostać na murze.

Starosta długo smażył przemowę i racje, długo zajeżdżał z prawa. i z lewa, wychwalając Millera, wielbiąc Karola Gustawa, unosząc się nad sercem Wejharda, nareszcie do rzeczy przystąpił; a że to był człowiek wysoce ceniący bezinteresowność, bo sam nigdy się na nią zdobyć nie mógł, począł od sreber.

Przeor się z lekka uśmiechnął.

– O srebra te – rzekł – jesteście spokojni; są one w ręku kwarcianych, pod waszym, panie starosto, dowództwem zostających, nie ulegają więc żadnemu niebezpieczeństwu; nie mogły w lepsze dostać się ręce. To, co u Millera, wątpię, żebyśmy zobaczyli, ale mniejsza o to.

– Jenerał powróci wszystko, co do odrobiny.

– Prawdziwie wielka wspaniałomyślność oddać nam naszą własność! – rzekł Kordecki szydersko.

– Zdobycz – podchwycił starosta.

– Zdobycz kościelną! A! Niechże się nią cieszy: nie pierwsza to.

– Ale Miller daje wam przy tym złote warunki; niepodobna, żebyście ich nie przyjęli, księżę przeorze. Bójcie się Boga, gubicie się!... Dowódcą wyznacza księcia Hesji, własność zapewnia...

– A kto zapewni za Millera? – spytał cicho Kordecki.

– Jak to! I jemu nie wierzycie?

– Patrzcie, panie starosto, co się dzieje w Polsce, a nie zdziwicie się temu. Wittemberg, większy pan i starszy od niego dowódca, a co zrobił z Krakowem? Popytajcie piechoty Wolfa, oni wam powiedzą, jak dochowano przysiąg.

Starosta, zawstydzony, westchnął ciężko.

– A! – rzekł. – Zapewne srogi to los ulegać prawu zwycięzcy, cóż, gdy nieuchronny!

– Nie mówcie tego słowa – odparł przeor. – Nic nie ma niepodobnego Bogu, wierze i zgodzie: wrócim do swoich praw i króla.

– Daj Boże! – zawołał starosta, zamyślając się. – Ale być że to może?

– Będzie! – żywo rzekł zakonnik.

Zamilkli na chwilę.

– Cóż odniosę Millerowi? – spytał Kaliński.

– Odnieście mu to raz jeszcze, co już słyszał nieraz, zostaniemy wierni królowi naszemu, nasze bezpieczeństwo nas tylko obchodzi, twierdza jest naszą, a my w niej panami. Przy obcej załodze upadłaby chwała Boża; stawszy się widownią wojny, przestałaby być Jasna Góra celem pielgrzymek i miejscem nieustającej czci Matki Boga żywego. Jeśli kiedy do kapitulacji przyjdzie, o czym wątpię – dodał przeor – będziemy żądali dowódcy Polaka, i to takiego, którego sobie wybierzemy sami. Co się tyczy sreber, wy najlepiej wiecie, panie starosto, że są bezpieczne, bo zostają w ręku Polaków i katolików, a na ich czci i wierze polegamy spokojni.

– Ubolewam nad losem waszym – odezwał się starosta – ale cóż, gdy was przekonać niepodobna.

– Tak, niepodobna! – powtórzył stanowczo Kordecki. – Chcemy dać przykład sługom ołtarza i synom kraju tego, i umrzeć bodaj za wiarę, za kraj i króla.

– Miller poprzysiął zdobyć Częstochowę.

– Myśmy przysięgli bronić jej do ostatka; wszystko, nawet przysięgi, w rękę Boga.

– Wiecie, że nowych sprowadził górników, że spędził ludzi i minami was wysadzi?

– Niech wysadza! – rzekł przeor spokojnie.

– Klasztor, kościół, domy, wy, wszystko wyleci w powietrze.

– Stanie się, jako Bóg zechce – odpowiedział niezłamany zakonnik.

Po tych słowach, widząc, że daremnie by pracował, Kaliński klasztor opuścił, a odpowiedź, którą przyniósł Millerowi, zdziwiła go i zasmuciła. Nic na nią nie rzekł.

– Do jutra! – szepnął tylko.

Sam pozostawszy, chodził jak zbłąkany, wszystko to, co zniósł pod Częstochową, snem, urojeniem, marą mu się wydawało; całe to oblężenie, zapasy z garścią bohaterów, usiłowania marne, bój, traktowanie miały w sobie tyle cudowności, że nawet zimny umysł jego ją uczuł.

– Czary! – powtarzał chodząc. – Tak, to chyba czary, to siła niepojęta! Tu oszaleć przyjdzie.

Zawołał cekwarta.

– Są ludzie z Olkusza?

– Są, jenerale.

– Dzień i noc robić minę od północy, gdzie wskazano, koło ludzi straż postawić.

– Skąła twarda, idzie powoli.

Miller ręką machnął.

– Jeśli ludzi mało, dać ich więcej, posłać konnicę, niech spędzą!

– W minie wiele ich razem pracować nie może.

– Rozpocząć razem dwie, trzy, cztery, od północo-wschodu, naprzeciw baszty, na węgle, z północy pod korynę...

I tak cekwarta odprowadził.

– Mnichy! – wołał znowu, zostawszy sam. – Wolałbym żołnierzy... Odejść i odejść ze wstydem, jeszcze w chwili, gdy podobno Polska

poczyna się targać w swych więzach! Nie! Nie! Musimy wziąć, twierdzę
i w perzynę obrócić świętość bałwochwalców, gniazdo czarowników!...
Siłą, zdradą, działami, miną pół ludu tu legło, wezmę Częstochowę!

XXIII

Z murów klasztornych widać było przybycie powtórne górników i domyślić się było łatwo rozpoczęcia miny; Kaliński też zapowiedział wysadzenie w powietrze, i cały znów klasztor nowy miał powód przestachu. Szlachta jednak iść już sama do przeora nie śmiała, lament jej wszakże ciągle było słychać; lada huk, wszystkim się zdawało, że lecą w powietrze; niektórzy od północnej strony powynosili się ku kościołowi i bramie, nocy nie dosypiali, a dnie spędzali włócząc się, jak obłąkani, po najdalszych podwórzach.

Miller nasyłał jeszcze ciurów z polskiego obozu, żeby załodze w uszy krzyczeli, podchodząc pod mury:

– Jeśli się nie poddadcie do dwóch dni, klasztor z wami wyleci w powietrze!

Była narada, jak dodać odwagi i uspokoić biednych, ale Kordecki innego nie znalazł środka nad swój zwyczajny: wiary i zgody. Zamojski, któremu laury pana Czarnieckiego nie dawały spoczynku, zagadkowo się tylko odezwał:

– Poradzi się na to jutro.

– Jak? – spytał niespokojny pan Piotr.

– Pozwólcie, niech to do jutra przy mnie zostanie, i spuście się na mnie...

Przeor zezwolił. Czarniecki kwaśno przyjął tajemnicę, ale cóż było robić z upartym miecznikiem. Pokręcił węża i westchnął.

Tymczasem od rana dnia następnego Kordecki nie mógł się pokazać w podwórzu, żeby go nie otaczali z błaganiami, prośbami, łzami. Łatwo mu było odepchnąć szlachtę, dumnie przemawiającą do niego, ale co poradzić z płaczącymi? O brzasku, wyszedłszy z przedsionka, zastał już zgromadzone umyślnie wszystkie kobiety, a na ich czele panią Jaroszewską z małym synkiem na ręku. Napad ten niewieści widocznie go zmieszał, a tu już kołem opasały go żony, córki i powinowate szlachty zgromadzonej w twierdzy.

Ojcie przeorze, nie gub nas i dzieci naszych! Szwed miny podsadza, zginiemy wszyscy!

Płacz rozległ się po podwórzu.

Staął Kordecki, jakby czyjej pomocy wzywał.

– Moje dzieci – rzekł do pani Jaroszewskiej – czy słyszeliście kiedy, żeby nieprzyjaciel mocny, gdy ma co począć, wprzód tym straszył? Sami to pomiarkować możecie, że właśnie dlatego, iż nas Szwed minami straszy, widać podsadzić ich nie może. Stwardnieje mu opoka za łaską Orędowniczki naszej; opadną ręce, odejdzie ze. wstydem... Nie trwóćcie się, nie płaczcie, nie obawiajcie! Więcej męstwa matkom i córkom polskim mieć należy, więcej odwagi pod płaszczem Najświętszej Panny Częstochowskiej.

– Zginiemy! Zginiemy! – jęczały wszystkie.

– Myślicie, że poddać się bezpieczniej? – mówił Kordecki. – Spytajcie tych, co Szwedom zawierzyli. Ani o siebie, ani o dziatki spokojne byście być nie mogli, ani o mienie wasze, ani o mężów; dziękujcie Bogu, że wam dał schronienie, módlcie się, a do spraw naszych nie mieszajcie, proszę, zostawcie nam ten kłopot.

To mówiąc, przeor uszedł szybko i porzucił kobiety w lamentach i niepokojach, a szlachtę, co za murem stała i czekała odpowiedzi, w zamieszaniu. Wszyscy się powoli rozeszli, narzekając.

W klasztorze widocznie coś tajemniczo się przygotowywało: pan Czarniecki, bardzo niespokojny, oglądał się, przewąchiwał, zrozumieć nie mógł, bo o niczym nie wiedział; a tu ludzie biegali, przyrządzali broń, czyścili broje, szeptali między sobą.

– Co tu, u licha? – mówił do siebie. – Czy już i mnie wyłączają nieufni? Coś się gotuje. Zobaczmy przecie... a beze mnie! Beze mnie!

Zamojski, czegoś niesłychanie wesół, z twarzą jasną jak słońce, biegł i związał się cały ranek, odziany, opięty pancerzem, w czepcu od hełmu, w drucianej koszuli; schwycił go przecie na drodze oburącz pan Czarniecki, bo już dłużej wytrzymać nie mógł.

– Panie mieczniku – rzekł – dość już tego; wczoraj coś mi, cedziłeś przez zęby o dniu dzisiejszym, dziś widzę jakieś przygotowania do czegoś i nic nie wiem. Pókiż to tego będzie? Czy już i mnie nie wierzycie? A to się pogniwamy doprawdy, co u licha!

– Kochany panie Piotrze – odpowiedział uśmiechając się Zamojski – wszystko byście chcieli zrobić sami, dozwołcież i mnie coś obmyślić i począć; mnie się także chce pokazać, że ja tu nie darmo jem chleb częstochowski.

– No! A ja to będę stał z założonymi rękami? Przecież bym się na coś może zdał.

- Chcecie, żebym wam powiedział? Taić się nie myślę, ale z góry powiadam, że wy musicie w twierdzy pozostać.
- O! A wy to się kędyś wynosicie? Patrzajcie!
- Ja robię wycieczkę.
- Jak to? O białym dniu?
- O dniu białym – triumfując nieco rzekł Zamojski, i podnosząc głowę wysoko, jakby mówił: A co? Widzisz waszeć, com zacz!
- Czarnecki widocznie spochmurniał, głową potrząsł, węża pomiętosił.
- I ksiądz przeor wie o tym?
- Dotąd nie; myślę, że byłby przeciwny, dobrałem sobie odważnych ludzi kupkę i z południa myślę wyskoczyć.
- Tak? – powtórzył kilka razy Czarnecki. – I beze mnie?
- Przypomnijcie no sobie, czemuście mnie także z sobą nie wzięli. Mogę zginąć, na was cała obrona klasztoru; niepodobna, żebyśmy szli oba. Bądźcież sprawiedliwi: wy swoje już zrobiliście, niechże i ja skosztuję szwedzkiego mięsa.
- Tak! Tak! Ani słowa – niechętnie mruczał pan Piotr – ślicznie obmyślano! Są racje, ale wykluczać mnie od tej uczty, panie mieczniku, nie po kawalersku! Nie!
- Pomimo że Czarnecki był chmurny, uściskali się jednak.
- Daruj, panie Piotrze, nie gniewaj się – mówił Zamojski – wy to najlepiej wiecie, co to za męka siedzieć tak, patrzeć na Szweda, a nie ruszać się; wy swoje zrobiliście.
- Ba! Kiedy to było! – zawołał Czarnecki. – A w dodatku robiłem wycieczkę po nocy, wykradliśmy się jak złodzieje; a tu po dniu! Aj! Aj, mieczniku! Diabelnego spletałeś mi figła, a ja głupi, że się nie domyślił. Ale stało się.
- Zamojski zacierał ręce i śmiał się ochoczo, a taki był rad, że drżał jak dziecię, któremu nową rodzic przywiezie zabawkę; za to pan Piotr chodził zasepiony i urażony, choć się z swym uczuciem ukrywał, jak mógł.
- Nadszedł przeor i bystrym okiem zmierzył obu.
- Co to, panie Piotrze, tak koso poglądacie mi coś, a pan miecznik czegoś się śmieje?
- Wielka rzecz! Bankiet sobie sprawia i nie lada! A nikogoś nań nie zapraszał... Cała moja nadzieja, że mu to ksiądz przeor z głowy wybije.
- No! Cóż to takiego?
- Popytajcie no, co zamyśla!

Zamojski już sam podstał do Kordeckiego.

– Ot, figielkam spłatał panu Czarnieckiemu; jemu by się chciało wszystko samemu pomyśleć i zrobić, a tu coś się uplotło bez niego, kwaśno tedy przyjął. Ale, na rany Chrystusowe, nie trzeba być tak zazdrosnym!

– Ależ ja o niczym nie wiem – rzekł przeor niespokojny.

– Cała rzecz, dłużej się z tym tać nie ma czego: dziś z południa robię wycieczkę na Szwedów; ludzie gotowi, obmyślono wszystko; wpadniemy jak piorun na zajętych około miny, dopadniemy może dział, żeby je zagwoździć jak pan Czarniecki; co się nawinie, nasieczem i powrócimy.

Kordecki stanął, zdziwiony tą myślą tak śmiałą, a Czarniecki ciągle powtarzał z cicha:

– Licho go nie wzięło! Po dniu! Po dniu!

– Ale to niebezpieczeństwo wielkie, waćpan zginąć możesz i ludzi potracić! – zawołał przeor.

– Na próżno byście mnie od tego odwodzili: rzecz gotowa, obrachowana i stanie się, jak mówię. Szwedzi nie spodziewają się wcale; zobaczycie, że się uda, pójdzie jak z płatka.

– Ej, panie mieczniku, zastanówcie się!

– Zastanawiałem się i zrobię.

– A w dodatku – odezwał się pan Piotr – i mnie z sobą brać nie chcą!

– Nuż byśmy obaj zginęli lub w niewolę byli wzięci, któż by został do pomocy księdzu przeorowi?

– Obu nie puszczyć! – przerwał stanowczo Kordecki. – To daremna rzecz!... Dość i jednego narazić. Ale zlituj się, mieczniku, miarkuj...

– Wymiarkowane...

– A nuż Szwedzi?...

– Proszę mi serca nie odbierać – przerwał Zamojski – żebym też i ja wycieczki nie zrobił! Dość siedziałem za piecem.

Przeor podniósł oczy, westchnął i z rozczuleniem uściśnął Zamojskiego.

– Niechże cię Bóg prowadzi, kiedy natchnął – odezwał się. – Czemuż Polska nie ma więcej takich synów! Zdaliby się na te czasy zwątpienia i obojętności! Niestety, wyście tylko wyjątkami!

Zamojski przerwał rozczulenie i wykrzyknął:

– Panie Piotrze, wy działa wy kierujcie dobrze zawczasu, a jeśliby się za nami pogoń puściła, przyjmijcie ją gościnnie, nie żałujcie prochu.

– To się rozumie – odpowiedział Czarniecki – ale wam przecie darować nie mogę, że mnie z sobą wziąć nie chcecie.

– Panie Piotrze, sam widzisz, że to niepodobna.

Mówili jeszcze, a pan Zamojski w cichości lud swój zbierał, oglądał, rozkazy dawał, krzątał się. Nie wiedzący o niczym szlachta patrzyli z podziwieniem, nie mogąc pojąć, na co się to przysposabia.

Około południa furtą od strony wschodniej, dobrze w fosie ukrytą i kamieniami zawałoną, wyprowadzono naprzód sto piechoty różnego ochotnika do przekopu. Zamojski czekał, żeby Szwedzi obiadować siedli, nieco się od murów oddalili za baterie swoje. Gdyby się to stało, bo nic nie domyślając się, zwolniwszy ognia, który żywy, dla niedostatku prochu, długo utrzymywany być nie mógł, rajtary i piechota cofnęli się do obozu, nastąpiła zwykła chwila spoczynku.

Zamojski, wzięwszy na siebie świętości, zstępował ku przekopowi, a tu na niego uzbrojony już czekał syn i pani miecznikowa. Pożegnanie ich krótkie, rozczulające było mocą duszy obojga. W milczeniu pocałował w czoło miecznik swoją Teklusię i z wesołą twarzą rzekł:

– Bóg z wami, moja jejmość, nie traćcie serca; kogo chce, Wszechmocny ocali, a przede wszystkim powinność!

– Niechże Bóg uchwata, żebym cię od niej miała odwodzić, panie Stefanie – odpowiedziała matrona z męską dumą odwagi. Żal mi tylko, że z wami niebezpieczeństwa podzielać nie mogę... A jednak, pamiętaj jegomość, że masz żonę, i syna... nie zapędzaj się zbytecznie. I tu jesteś potrzebny, i wszędzie.

Łzy puściły się z oczu żony i matki, żegnała męża i syna, dwie najdroższe na ziemi istoty; w rękę trzymając krzyżyk z częsteczką drzewa żywota, żegnała nią i drżała, błogosławiąc obu.

– Nie narażajcie się zbytecznie, nie narażajcie, panie Stefanie! – mówiła nieco przerywanym głosem, łkając, a starając się ukryć łzy swoje. – Jegomość, pilnuj Stefanka, on jeszcze młody i niedoświadczony. Niechaj was Bóg strzeże, błogosławi, prowadzi i przyprowadza, w imię Jego święte!

To mówiąc miecznikowa upadła na kolana, schylając głowę i modląc się. Zamojski w milczeniu przestąpił furtę, a przeor błogosławił imieniem Boga Abrahama i Jakuba.

O, trzeba było widzieć ten obrazek prostej a wielkiej piękności, te modlitwy i męstwo niewiasty, twarz jasną a rozrzuwnioną przeora, poważne lice miecznikowej, zapalę wrące oczy Stefanka, czoło

bohaterskiego wodza i łzawe wejrzenie pocziwej kobiety, co wszystko najdroższe ofiarowała Bogu, nie śmiejąc cofnąć swej ofiary jednym głośniejszym westchnieniem; trzeba było widzieć obrazek ten, ciasną ramą maleńkiej furty zamknięty, przed okiem widzów skryty, by pojąć jego uroczystą powagę.

Pan Czarniecki stał na uboczu i powtarzał wpół gniewnie, wpół radośnie:

– Po dniu! Po dniu! Podszedł mnie niegodziwiec, ale oddam za swoje, zobaczymy!

Łatwo wyobrazić sobie można, z jakim niepokojem wszyscy od furty wstąpili na mury.

Najmężniejszy z obrońców Częstochowy szedł mierzyć się z tysiąc razy silniejszym nieprzyjacielem, w jego paszczę się rzucając z bohaterską odwagą. Przeor, miecznikowa, wszystka szlachta wyjściu przytomna skoczyli na blanki, patrzeć i modlić się na ich intencję. W kościele *Pod Twoją obronę* przed ołtarzem śpiewano. Czarniecki już działa ustawił, puszkarzy napędzał, nabijał, celował i poglądał okiem pełnym zazdrości i chciwego męstwa.

Pędem lecąca ukazała się garść Polaków na drodze; droga była pusta, w cichości wystąpili niepostrzeżeni pod samą baterię nieprzyjacielską, która milczała; Zamojski szedł na przedzie, syn obok niego. Gdy już byli blisko dział, pani miecznikowa, nie mogąc znieść tego widoku, prosiła, by ją odprowadzono do kaplicy... Przeor nie schodził z murów.

Zamojski, dobywszy się z przekopu, co sił w ludziach było poskoczywszy na baterię węgla północno-wschodniego, przypadł do niej, nim Szwedzi leżący za szansem zobaczyli go, i zleciał im na kark jak piorun. Nagle krzyk dał się słyszeć aż u murów, bo już piechota jasnogórska rąbała i siekła, a część jej zaraz, pod wodzą miecznika, oddzieliła się na olkuszan u miny robiących. Młody Zamojski stał przy baterii, którą naprędce zagważdżano, odrąbując się Szwedom w niewielkiej garści tu pozostałym. Ale już i w obozie dalszym postrzeżono zamieszanie, posłyszano strzały, ruszyli się zewsząd Szwedzi.

Tymczasem, gdy syn działa gwoździ, miecznik do miny doskakuje; biedni ludziska na kolana padli zobaczywszy go.

– Myśmy zmuszeni, my katolicy! – zawołali.

– Szwedów tylko bić! – krzyczał do swoich Zamojski. – Ci są niewinni, to nasi! Do domu uciekajcie! – rzekł do górników. – Nie pomagajcie przeciwko swoim!

Kilku warty szwedzkiej, co tu stała, zaraz przybito, a miecznik, rozpędziwszy olkuszana, szybko zawrócił się do baterii, przy której syna zostawił; a tu już wrzask i krzyk, i wrzawa w obozie ogromna, widać oddział od miasteczka Częstochowy siadający na koń, trąby grają wściekle; czas zawracać.

Nim się tam pogoń wybrała, bo koni posiadłanych nie było, miecznik całym swoim oddziałem odepchnął Szwedów od ich szańca i pogonił za nimi z odwagą zuchwałą drogą ku obozowi od miasteczka do wsi wiodącą. Był to zapęd niebezpieczny, ale się też wkrótce opamiętał Zamojski, bo i jazda ukazywała się w dali; zawołał do odwrotu swoich i spojrzawszy na nich (jednego mu tylko brakło), poprowadził назад. Żywo potrzeba było śpieszyć ku przekopom; jazda goniła cwałem, ale gdy się Szwedzi zbliżyli na strzał działowy, Czarniecki kazał dać ognia w ten kłębek i musieli się zatrzymać, bo szyk się zmieszał i kilku z koni spadło. Żołnierze zaczęli po swojemu wołać: – Czary! Czary! – a rajtary, nie myśląc już gonić Zamojskiego, kręcili się jak opętani pod strzałami twierdzy.

Wycieczka była widocznie ocalona. Przeor Bogu dzięki składał; po chwili wszyscy żołnierze w przekopie się skryli.

Szwedzi w początku nie mogli się opamiętać ani pojąć, co się stało, ani zrozumieć tego zuchwalstwa ze strony oblężonych.

Miller był u stołu, gdy mu tę wieść przyniósł zraniony puszkarz. Obaczywszy go w namiocie, rzucił nóż jenerał, zerwał się i, jakby się czegoś już spodziewał, zawołał:

– Znowu coś! Co to jest?

– Załoga klasztorna wypadła na baterię, pocięto nas, zagwożdżono działa, ubito ludzi kilkunastu i rozpędzono górników od miny.

Wszyscy osłupieli.

– W biały dzień! Wśród nas! Wpadli! To być nie może! Poszaleliście! – krzyknął Miller, osowiałym wzrokiem wiodąc dokoła.

Wszyscy ruszyli się od stołu, i kto żyw dopadł konia. Miller kazał go sobie podać także i cwałem na miejsce wycieczki popędził. Tu tylko ślady pozostały zwycięskiego przejścia miecznika. Dwa wielkie działa zagwożdżone były na nic, mnóstwo broni stojącej w kozłach, ile dźwignąć mogli, zabrali; trupy pobitych leżały, niektóre jeszcze z łyżkami w garści, inni z połamanymi szpadami. U miny straż wszystka pobita, olkuszana ani śladu.

Millerowi jakby mowę odjęło: jeździł, patrzył, oczom nie wierzył, powracał nazad, jechał znowu, nareszcie, milczący, skierował się ku swemu namiotowi.

Namiot wodza stał przykryty nieco pagórkiem, ale nie opodał od twierdzy; w wycieczce swej Zamojski dokładniejsze o jego położeniu powziął wyobrażenie i zaledwie hełm zdjął z uznojonej skroni, pobiegł zaraz do Czarnieckiego.

– Panie Piotrze – rzekł – widzicie ten spadek pagórka?

– A co? Widzę... – odparł Czarniecki.

– Tam powiewa chorągiew i stoi namiot Millera; dobrze by spróbować dać mu dobry wieczór...

– Masz, mieczniku, rację.

Zawołał puszkarzy, meta trochę była daleka. Tymczasem generał wracał gniewny do namiotu, gdy się to działo na murach; nagle jakiś szal go porwał, kazał zebrać pułkowników, zmusił się do śmiechu i wesela, ponalewał becherki i zawołał:

– Na zgubę śmiałków? To dzieciństwo! Zobaczymy, jak skończą! Prochy i broń nową Wittemberg nam posyła, lada dzień mi nadejdą; weźmiemy się do nich inaczej. Czary – nie czary, damy im radę przecie. Za zdrowie Karola? Na zgubę Jana! Piję wiwat zdobycia Częstochowy!

Wszyscy podnieśli kielichy do góry, wiwat rozległ się hałaśnie; gdy wtem wystrzał działowy, jakby mu odpowiadał, zagrzemiał, i cały namiot pochylił się i padł na zebrane towarzystwo. Kula klasztorna, dobrze wykierowana, uderzyła w róg jego.

Przestrach był ogromny, ucieczka pierzchliwa i bezładna; rzucono kielichy, przeskakiwano ławy, i wszyscy pod wodzą Millera pobiegli ku miasteczku tak zwinnie i chyżo, jakby im lat odjęło. a sił dodano.

Miller, obłąkany, kłął straszliwie.

Zbrozek i Komorowski, którzy tam byli, choć się także ulękli, śmiali się w duszy ze strachu Szwedów i pośpiesznej ich ucieczki... Nie opamiętała się starszyzna aż o paręset kroków od namiotów.

Generał, zbłądły, rozjątrzony, milczał, zaciągwszy sine usta.

Jakie wrażenie na wojsku uczyniły te wypadki, nie potrzebujemy opisywać; żołnierz, znużony leżeniem pod twierdzą, myślą jakiejś potęgi nadludzkiej przygnieciony, zwątpił o sobie i narzekał. Zdrętwnieni i zrozpaczeni Szwedzi poglądali na trupa, którego miecznik położył, i zdawali się mówić do siebie oczyma:

– Taki los nas wszystkich!

Starszyzna, której najwięcej ginęło, bo chcąc dać przykład, najśmielej się posuwała, sama już nie mogąc pojąć klęsk swoich, traciła ochotę i odwagę. Wszyscy wyglądali, rychło im pozwolą się cofnąć, nie tając, jak tego pragnęli.

Zdawało się bowiem niepodobieństwem zdobyć Częstochowę, której niepojęte, niewidzialne broniły zastępy. Pod namiotami Finów, dzieci chmurnej północy, o niczym nie mówiono, tylko o czarach mnichów, które dziwne przybierały postacie w oczach zléknionego żołdaka. Siłą prawie pędzić ich było potrzeba pod mury; a po dzisiejszych wypadkach taki opór pokazał się w wojsku, tak głośno szemrać poczęto o daremnych stratach, że Miller dalsze kroki zaczepne do dwóch dni zawiesił. Przyczyną tego był także w części niedostatek prochów. Wielkie działa, które przyszły bez zapasów, wprędce wyczerpały amunicję Millera; potrzeba było oszczędzać, póki by Wittemberg nie nadesłał z Krakowa. Położenie Szwedów, pomimo wyższości ich sił, było przykre bardzo; sama mnogość żołnierza, którego użyć razem było niepodobna, stawała się ciężarem; wioski okoliczne z trudnością wyżywić ich mogły, zima doskwierała, przestrach co dzień się szerzył.

Chodziło o to, jak się cofnąć bez wielkiego wstydu. Miller jeszcze tego nie przypuszczał, choć już inni wiedzieli, że na tym skończyć się musi; Wejhard nawet, zamknięty w swoim namiocie, gniewny, smutny, milczał i wzdychał, jakby go zgryzoty męczyły.

Na ostatniej radzie książę Heski, Sadowski i Polacy głośno wynurzyli dowódcy, że wypadaloby się cofnąć i ustąpić, ale ofuknął ich groźnie:

– Nie! Nie! Nie pójdziemy ze wstydem! Oczekuję prochów... Sam powiodę do szturmu i zdobędę ten kurnik przeklęty! Muszę go zdobyć i zniszczyć!

Wszyscy zamilkli, rada się rozeszła.

XXIV

Dwa dni następne upłynęły spokojnie; Szwedom dowódcy dawali folgę, dla wzmocnienia ich spoczynkiem do nowych trudów; klasztor gotował się do obrony. Przerażona tylko szlachta, którą nowe nawet powodzenie oręża natchnąć duchem męstwa nie mogło, szerzyła między sobą marne baśnie, to minami grożąc, to w samym Szwedą milczeniu i spokoju widząc powody do obawy i oznakę nowych przygotowań.

Przeor postanowił nic nie widzieć i nie słyszeć; wyraźna opieka Boża nad miejscem świętym napełniała go otuchą i nadzieją; wreszcie prosty rozsądek wskazywał, że Szwedzi zbyt grożą, by istotnie straszni być mogli, a zima odpędzić ich musi. Spodziewał się Kordecki odstąpienia ich rychłego i spokojnie na nie czekał.

Wieczorem poprzedniego dnia po wycieczce (był to 21 grudnia) stara żebraczka, która od dni kilku nie ukazywała się w klasztorze, zastukała znowu do bramy i, wpuszczona, pośpieszyła do przeora, który stał niedaleko z zakonnikami, naradzając się o podziale żywności, której już poczynało braknąć'.

– Ojcie dobrodziej – odezwała się, biorąc go za połę płaszcza – każcie śledzić panią Płazinę; ona w konszachtach z Krzysztoporskim, ona pewnie wie, co się z tą dzieciną stało.

– Niech no, niech no, moja stara; teraz mamy cięższego coś na głowie – rzekł przeor. – Jeśli tylko odkradziona a schowana, odkryjemy to biedactwo, ale dziś ciężko o tym myśleć.

– Ale to biedactwo cierpi! – zawołała Konstancja.

– Na panią Płazinę tylko porozumienie, dowodów nie ma; wiecie, że szlachta, i tak nieochotna, woła na nas o pomstę do nieba, że się nie poddajemy; trudno tak na oślep szukając, do reszty ją drażnić... Da Bóg, że się to wszystko skończy, a rozjeżdżać się zaczną, dopilnujemy, żeby jej nie uwieźli.

Konstancja nie śmiała nic odpowiedzieć, pokiwała głową, pocałowała suknię księdza przeora i odeszła wprost do Krzysztoporskiego; tu siadła na schodkach i zabierała się mu dokuczać, ale ledwie usłyszał jej: „Dobry wieczór, panie Mikołaju!” – natychmiast się ukrył.

Stara uśmiechnęła się.

– Uciekł tchórz! – szepnęła i poszła.

W dziedzińcach nie było kątką, którego by pod jakimś pozorem nie zwiedziła; stała u okien Płazinej; podsłuchiwała rozmów, wreszcie, pod pozorem jałmużny, poszła do Zamojskich.

A wtem i miecznik nadszedł. Stara, jak go zobaczyła, żywo się chciała usunąć, ale pan Zamojski, spostrzegłszy ją, zawołał:

– A! To ty, moja starucho! Dobrze, żeś przyszła; dawno się gotuję na jałmużnę dla ciebie, boś wierna i uczciwa sługa Matki Boskiej; wiele ci za kule winniśmy, a odważna, że niejeden wąsacz pozazdrościć ci może. Poczekajże...

– Dziękuję, panie mieczniku, dziękuję! Jam na jałmużnę nie łasa, strawę mi tu każą dawać, kawał chleba, to jeszcze, a gorsz mi na co? Łachman siaki taki grzebiet okrywa, nie głodnam, po cóż darmo nosić i chować pieniądze? Dajcie biedniejszym, tym, co sami nie wiedzą, na co gorsza pragną, a mnie na co?

I rozśmiała się po dawnemu, dziko i niby wesoło...

– Sługa Matki Boskiej, sługa Matki Boskiej... albo to ja od królów i panów nie bogatsza u takiej Pani? Na co mnie grosz, kiedym pod Jej opieką? Już posagu nie zbiorę i za mąż nie myślę, chybaby się coś osobliwego trafiło, chan tatarski albo królewicz chiński – a tak za tę hołotę senatorów i hetmanów, co się o mnie starają, pozał się Boże służbę opuszczać.

Miecznik się uśmiechnął.

– Coś ty za jedna? – spytał.

– Zachcieliście? – odpowiedziała, szła już udając. – Jakem się rodziła, nie pamiętam; młodości chciałabym zapomnieć, a mówić o niej nie warto; starszy wiek zszedł, jak z bicz trzasł; a na kościane lata takiem sobie dobre miejsce dostała u progu kościoła, że już lepszego nie chcę, chyba na cmentarzu...

I rozśmiała się znowu.

– Nigdzie nie masz znajomych, krewnych, co by cię przygarnęli?

– A na co mnie oni? Alboż to mi źle, myślicie? Krewni nie przyznają się do żebraczki, bo w węzélku pusto; na łasce żyć, to wolę na Bożej niż na ludzkiej; do końca, zdaje mi się, niedaleko, u mojej Pani służba dobra, widzicie, żem wesoła i rażna...

To mówiąc, jakby naumyślnie, wzięła się pod boki, podgarnęła nieco sieraka i podskakując zaczęła śpiewać:

*Jestem sobie Małgorzata,
Wiem, co marchew, co sałata;*

*Jestem sobie wielka pani,
Któż mym dobrom co przygani?
Mam ja sadek, mam i dworek,
Mam ja łączkę, mam i borek.
Jestem sobie gospodyni,
Pełno u mnie dusiów w skrzyni...*

XXV

Dwa dni nieprzerwanej ciszy długimi się wydały obłożonym; wśród nieuchronnego niebezpieczeństwa straszniejszym może nad nie jest niepewność i oczekiwanie. Co chwila zdawało się bojaźliwym, że w powietrze wylecą; inni obawiali się, żeby ich nie poddał spisek jaki, szturm niespodziany lub opanowanie bramy.

Przeor i starsi miarkowali dobrze, że rozejm ten był oczekiwaniem na coś brakącego Szwedom, radzi go byli zerwać, a nie śmieli, bo i na swoje zapasy prochu, saletry, siarki i kul oglądać się musieli. Tymczasem codziennie ubywało żywności, a zapas jej nie był zbyt wielki; szczęściem adwent, przy pobożnych zwyczajach ojców naszych, zwykłych obchodzić się małym pokarmem, przygotowując się do uroczystego obchodu przyjście Zbawiciela, nawet niedostatek łatwiejszym do zniesienia czynił.

Stół zakonników i porcje obłożonych były coraz mniejsze; trochę suchej ryby, chleba czarnego, oleju, warzywa, czasem szklanka miodu lub piwa, cały składały posiłek. Nikt się na to nie uskarżał; przeor tylko zaglądał do składów i śpizarni, błogosławiąc a rachując, na ile to, co Bóg dał, wystarczyć może. Wiara tego człowieka była tak wielka, iż nie wątpił o rozmnożeniu cudownym chleba i ryby, jak gdy lud karmił Chrystus na puszczy. Nie frasował się zbyt, jakby przecuciem wiedziała dusza jego prorocza, że Bóg nie dopuści ostatniej z klęsk – głodu.

Nic go zachwiać, nic zachmurzyć i przerazić nie mogło, odpychał zwątpienie od siebie i od drugich jednymi zawsze wielkimi słowy: Wiary i zgody! I tak był pewien ocalenia, jakby oczyma swymi oglądał je wprzód, niż się spełniło. Nikt w tym względzie nie dorównywał jemu. Wszyscy mieli chwile zwątpienia, boleści, wszyscy mieli godziny słabości, on jeden od nich był wolen, a jeśli go dotknęły, to wnet gorącą modlitwą i pokorą odpędzał grzeszne strachy i korzył się u krzyża, który nań zlewał pociechę i męstwo. Przyciśnięty, ratował się pieśnią do Ducha Świętego, a nim ją ukończył, zbroja okrywała piersi, pogoda wyjaśniała czoło.

Tego bohaterskiego stanu duszy jego nic zmienić nie potrafiło, czas nawet, który kruszy ludzkie postanowienia rdzą niepowodzeń powolnych, czas zdawał się go zbroić i wzmacniać. Więcej czuł obawy w

początkach samych; dziś, tyle przetrwawszy, już o niczym nie wątpił, czuł cud i wierzył weń.

Ale obok niego, oprócz dwóch wodzów nieustraszonych także, rozgrzanych walką, prócz garstki wiernych, reszta co dzień traciła siły, co dzień potrzebowała wiania ducha nowego. Nawet księża, przy codziennym bezpośrednim wpływie Kordeckiego, wytrwać z nim nie mogli; wsparci na chwilę, upadali, wstydzili się, podnosili i na wiarę zdobyć się nie umieli. Nieustannej tu potrzeba było pilności, czuwania, by nie dać się nigdy zmóc tym panicznym strachom, ciągle je przerywać i gasić. Przeor pracował w pocie czoła, w bólu serca walcząc ze słabością ludzką. I nie rozjątrzało go to ani gniewało, bo serce jego nie знаło gniewu nigdy, litość w nim zastępowała to uczucie; okazywał surowość, gdy jej było potrzeba, ale nie czuł niechęci, znużenia, niecierpliwości. Praca była bez końca. Z jednej strony potrzeba było nieustannej odwagi, z drugiej cierpliwości nieustannej.

Takie było wielkie dzieło Kordeckiego.

Trzeci dzień miał się ku wieczorowi; przeor był w swojej celi na rozmyślaniu, gdy pierzchliwa szlachta wpadła, oznajmując mu przybyłe z Krakowa posiłki szwedzkie.

– Ojcie przeorze, zginęliśmy! – zawołali, cisnąc się tłumnie. – Wozy idą z Krakowa, prochy, broń, posiłki dla Szwedów!

– Cóż tedy, dzieci moje? – spytał łagodnie. – A nie widzieliście, czy idzie tam im w pomoc hufiec aniołów, zastęp cherubinów, potęga Maryi, jak nam?...

Szlachta zastygła na tym zapytaniu.

– Ludzkie to siły – kończył przeor – a mieliście czas przekonać się, że tych się nie obawiamy.

Słowa Kordeckiego padły grochem o ścianę; nie ma uczucia, co by się łatwiej rozbudzało, zaraźliwszym było i żywiej się rozszerzało nad strach; jest to płomień, co w jednej chwili obejmuje, czego dotknie – żelazni tylko i kamienni opierają mu się ludzie.

Szlachta, gdy przeor wyszedł, poczęła biec za nim, chwycić go za ręce, za poły i powtarzać:

– Ojcie przeorze, zginęliśmy! Zginęliśmy! .

Na próżno Kordecki cieszył ich, uspokajał, upewniał – nie było sposobu; dopiero gdy wyszli na podwórze, a Zamojski to oblężenie zobaczył, huknął na tchórzów surowo – i umilkli.

Drogą od Krakowa, od Olsztyna szły istotnie długim szeregiem wozy, ładowne, jak sądzono, z prochami i bronią. Czarniecki pierwszy je zoczył i gotował się, gdyż droga przesuwiała się na wystrzał działowy, przyjąc je ogniem i zniszczyć choć w części; ale nim wozy doszły do miejsca, gdzie kule dosięgnąć ich mogły, zrobiło się tak ciemno, że musiano myśli tej zaniechać.

Przeor stał długo na murze, spokojnie się temu przyglądając, gdy gęstym już zmrokiem postrzeżono pod mur podkradającego się żołdaka: poznano pana Jacka Brzuchańskiego. Poczciwy mieszczanin, pomimo że już raz wpadł był w ręce Szwedów i ledwie się z nich wywikłać potrafił, przyniósł w woreczku trochę ryby, a na strzałę włożywszy list jakiś, wystrzelił nią pod nogi przeora. Ten łuk go zgubił.

Szwedzi, którzy łuków nie mieli, poznali po nim szpiega i rzucili się nań, nim miał czas, łuk złamawszy i opodał cisnąwszy, uciec. Znowu więc schwycony został, a Kordecki tak się tym zgryzł i przeraził, że długo po list u nóg leżący nie sięgnął...

– Niechże go Matka Boska broni! – zawołał. – Bo wierne i pocziwe człeczysko poświęcał się i poświęca dla nas... ale biada mu, jeśli go zawiodą do jenerała!

– Każemy hakiem zdjąć rybę, którą nad fosą położył – rzekł Zamojski – dobre i to, a co za niego, można wcześniej *Requiem* odśpiewać.

– Nie! Nie mówcie tego! – z pewną mocą i przekonaniem odparł Kordecki. – Odkupim go, jeśli potrzeba; klasztor nie opuści sług swoich, Szwed da się ułagodzić pieniędzmi; będzie wołał trochę srebra nad jedno życie, a Matka Boska ma go dość na okup sług swoich.

List rzucony przez Brzuchańskiego niepomyślnie zawierał wieści: oznajmował, że Szwedzi, przybyciem prochów wzmocnieni (wiedzieli o nich od rana), gotują się na nową napaść, że straszne przygotowania robią się w obozie, że ze wsi i miasteczek okolicznych ściągają drabiny, budują maszyny, gotują belki zębate, mnóstwo kul, granatów i pocisków smolnych przysposabiają.

Zaledwie list ten półgłosem odczytany został, a już cała twierdza wiedziała o nim, choć go się starano utaić; ktoś podsłuchiwał radzących, dał znać zakonnikom, obudził szlachtę i tak niespokojną, i zawieruszył klasztorem. Ledwie przeor, zostawiwszy na murze dowódców, czyniących przygotowania na wszelki przypadek, przestąpił próg celi, wtoczyli się za nim zakonnicy i szlachta po krótkiej, wrzawliwej naradzie w refektarzu. Przeor wiedział zawczasu, z czym idą, cierpliwie wysłuchiwał

racji, powtarzanych wielokrotnie, ale kilka tylko słów odpowiedział na nie:

– Odpowiedź dawna służy i na dziś – rzekł. – Próżne nalegania wasze, twierdzy nie poddam; jeśli wy uparci w bojaźni, ja stały jestem w ufności Boga.

Przerwał, wysunąwszy się, ksiądz Bleszyński:

– Ale, czyż przystoi nam, zakonnym ludziom, co się świata wyrzekli, przelewać krew i walczyć? Wszak wkrótce i żywności zabraknie, nie lepiejże wcześniej?...

– Ojcie Matjaszu – zawołał Kordecki – czy przysięgaliście na posłuszeństwo?

– Pamiętam je i gotowym na nie – odpowiedział z pokorą zakonnik.

– Zostawcież troski, staranie i odpowiedzialność na moim sumieniu, a róbcie, co władzę moją polecam.

Zakonnicy usunęli się, szlachta nalegała jeszcze.

– Co do was, panowie – rzekł Kordecki – daremne są i prośby, i groźby, a choćby i krzyki. Będę się modlił do Ducha Świętego, aby was męstwem natchnął, a com postanowił, to uczynię.

Na próżno nastawali; przeor był nieporuszony i jakby nie słyszał nic, począł swoje papiery przerzucać na stole i zajmować się czymś innym. Widząc, że próżno nacierają, szemrząc, ustąpili nareszcie.

Zwołano braciszka Pawła.

– Bracie mój – rzekł przeor, gdy tylko wszedł. – Gdzieś tam około murów, blisko zapewne furty, leżeć musi na mrozie, swoim obyczajem, Konstancja; zawołajcie ją tutaj, muszę jej użyć za posła, kogo innego obawiałbym się narazić i dać w ręce Szwedowi, babie dadzą pokój.

– A ona tu jest w klasztorze – rzekł brat Paweł.

– Przyślijcież mi ją do refektarza, ja tam idę.

Pośpieszył przeor i już zastał wspartą na kiju staruszkę pode drzwiami.

– Całuję stopki księdza przeora! – odezwała się z ukłonem. – Cóż to za szczęście, że sługi Matki Boskiej zapotrzebowano?

– Żebyś tylko miała rozum, wielką byś mi mogła uczynić przysługę; ale naprzód powiedz mi: nie boisz się pójść do obozu szwedzkiego?

– Ja? – zaśmiała się stara. – A zapytaj jegomość, ile tam razy byłam.

– No, tym lepiej. Złapali mi już drugi raz Brzuchańskiego. I malarz dobry, i człowiek poczciwy. Powiedźcie mu, by za siebie okup ofiarował, ja pieniędzy dostarczę. Ale żywo, stara, by go czasem naprędce nie obwiesili.

- Duchem się sprawię! Duchem, ojczy, zobaczycie – rzekła i ruszyła się.
 - Do rozmowy użyjesz którego z kwarcianych – dodał ksiądz Kordecki.
 - Po co? – spytała stara.
 - A jakże się z nimi rozmówisz?
 - Toć tam między nimi Niemców siła, a ja po niemiecku szwargoczę...
- Zdziwili się księża tej niespodzianej umiejętności, ale już poseł był daleko.
- Na tę podróż musiała Konstancja przybrać swoją dawną wesołość obłąkania, uśmiech i żarty. Szła, kłaniając się żołnierzom w prawo i w lewo; ci, nie wiedząc, co znaczy to zjawisko, zważywszy jej łachmany i szal, puszczali dalej bez przeszkody.
- Tak minąwszy trupy, leżące znów wkoło twierdzy, potem świeże usypy ziemi i pogasłe ogniska, namioty i wozy, dopchała się z wielką biedą w stronę, w której się spodziewała znaleźć pana Jacka.
- Jakieś przeczucie wiodło ją do miejsca, gdzie biedny mieszczanin, jeszcze po szwedzku ubrany, stał przed starszą, co go już naprędce sądziła.
- Nieco opodał kilku czeladzi obozowej stawilo już jednoramienną szubienicę, zbitą naprędce z dwu kołców; Brzuchański błąd był i niemy prawie, choć w istocie obawiał się nie tak śmierci, jak że go nagle pochwycić miała bez przygotowania i spowiedzi, i do kwarcianych kilku, co tam z ciekawości przybyli, odezwał się półgłosem, prosząc o księdza.
- Obok sędziów prawie kilku oprawców Szwedów sposobiło różgi, żar i kleszcze, łatwo odgadnąć, na co; chciano mękami wydobyć z niego tajemnicę, dla której się, jak sądzono, narażał. Pan Jacek, ochłonawszy z pierwszego przestachu, widząc, że już nic nie ma do stracenia, nastawił się mężnie.
- Jak mam umierać – rzekł – to przynajmniej pocziwie i odważnie; choć pędzel nie szabla, ale ręka od niego drzeć się nie uczy.
 - Zapytano go, po co chodził? Odparł śmiało, że chciał dać znać klasztorowi o przybyciu prochów i przygotowaniach Szwedów.
 - To zdrada – rzekł oficer.
 - Niekoniecznie i zdrada – odpowiedział Jacek – zakonnicy ojcowie nasi, dobrodzieje. Matka Boska, matka nasza; gdybym tego nie zrobił, to bym zdradził...
 - Z czymże chodziłeś?
 - Z niczym więcej.
 - To być nie może: mów, czekają cię męki.

Brzuchański spojrzał na przygotowania, ruszył ramionami i zamilkł. Przystąpili oprawcy, nie zmarszczył się, obnażono mu plecy, poczęli chłostać; on płakał i modlił się, ale cóż więcej mógł powiedzieć nad to, co było?

Już go miano piec, gdy kwarciarz zaczął za nim prosić i Szwed nadbiegł, co to go Brzuchański tak poił, wstawiając się także za nim i za sobą.

– Wiecie – odpowiedział oficer – że już skazany na śmierć.

Wtem właśnie Konstancja zbliżyła się do mieszczanina, ściskając go i całując. Ułękł się zrazu, bo jej nie poznał, ale wśród nie bronionych uścisków szepnęła mu, żeby zaoferował okup za siebie, a przeor zapłaci za niego.

Z drugiej strony sami Szwedzi i kwarciarz zaczęli nalegać, żeby go więcej nie męczyć, i stanęło na tym, żeby wieść pod szubienicę.

– Panie, panie! – odezwał się Brzuchański, stojąc, gdy go już czepiano pętlą. – Ja się okupię; pozwólcie mi, dam, co mam, a okupię się.

Szwedzi, jak to byli ludzie łakomi, zastanowili się, nikt tego nie przewidział; posłali do generała, a w chwilę nadbiegł goniec, żeby go prowadzić przed Millera.

Dowódca czekał na niego przed namiotem, a wbita przed nim latarnia na słupie oświećlała tę scenę nocną. Brzuchański szedł ze stryczkiem na szyi, to struchlały ze strachu, to chwilami śmiały aż do zuchwalstwa. Było to w jego charakterze, że miał chwile odwagi nadzwyczajnej i bojaźni dziecinnej, taka to była natura... W ostatniej godzinie okazał się, jakim był zawsze.

– Co ty za jeden? – spytał groźnie Miller.

– Mieszczanin, malarz biedny – odpowiedział trzęsąc się.

– Zdrajca – zawołał generał.

– Nie, jenerale – odparł śmiało – służyłem paulinom, bom im służyć powinien.

– Wnieneś był służyć swemu królowi, nie im.

– Albo to mój król? – spytał Jacek.

Miller z pięścią się porwał i „wieszać!” zawołał.

– Panie jenerale, ja się okupię – rzekł mieszczanin.

– Cóż mi dasz? Chyba talara, bo twoje kiepskie życie więcej nie warte.

– Sto talarów, jenerale.

Miller pomyślał trochę.

– Żebyś broił znowu? Nie, powiesić łajdaka!

– Sto pięćdziesiąt! – odezwał się śmieiej, widząc wahanie, Brzuchański.

- .Dawaj dwieście i niech cię diabli wezmą! – krzyknął Szwed. – A nie, to na szubienicę.
- Kiedy nie mam – odezwał się malarz – wola wasza.
- No! Dajesz dwieście?
- Nie.
- Nie dasz?
- Nie mogę.
- Gdzie talary?
- Złożone w klasztorze.
- Aha! To nie w domu?
- Ba! – odpowiedział naiwnie mieszczanin: – Jakby tu byli, to byście je dawno wytrzęśli.

Miller bezwstydnie się rozśmiał.

– Każcie mnie odprowadzić do bramy klasztornej, a tam zapłacą z moich pieniędzy.

– Bestia! Nieglupi – rzekł Szwed. – To szczęście twoje, że o ciebie i podobnych tobie nie dbam; idź do klasztoru i powiedz, niech tam na mnie czekają, wkrótce mnie mieć będą.

Brzuchański chciał zaraz z szyi zrzucić stryczek.

– Nie! – krzyknął jenarał. – Wieść go tak cały obóz ze stryczkiem, a zedrzyć mu suknie szwedzkiego żołnierza, których nosić niewart, i nago prowadzić.

Jak rozkazano, spełniono; Konstancja pobiegła przodem przed nim z radosnymi poskokami, i mim powolnie wleczony mieszczanin dowlókł się do furty, już tam na niego wysłanych półtorasta talarów czekało. Szwedzi oddali biedaka ze stryczkiem.

Brat Paweł osłonił go zaraz kapotą czyjąś, i Jacek, jak stał, nie zdejmując z szyi sznura, poszedł do kaplicy Najświętszej Panny, aby tu, jak więźniowie kajdany, jak kalecy kule, złożyć u podnóżka Bogarodzicy stryczek, co go miał życia pozbawić; pomodlił się, zapłakał, i wzięty natychmiast do klasztoru, otoczony został ciekawymi.

Przyniósł on tu szczegółowe wieści o przygotowaniach szwedzkich, a zarazem chodzące też posłuchy o wielkiej sile tatarskiej, idącej w pomoc Janowi Kazimierzowi, który przeciwko tej dziczy wyciągnąć miał już na spotkanie i znajdować się w Żywcu. Nadzieja odsieczy nieco pokrzepiła oblężonych, choć powszechnie nic dobrego sobie nie rokowali; ale przeor ani dał sobie mówić o kapitulacji, trzeba się było godzić z jego wolą niezłomną.

Nazajutrz sprawdziły się poniekąd przepowiednie szturm; Szwed ze wszystkich baterii razem począł dawać ognia, nie czyniąc jednak wielkiej szkody: ręce mu marzły. Załoga stała na murach, gotowa szturm odpierać, ale szturm był niepodobieństwem, bo ani działami wyłomu zrobić, ani miny podsadzić, ani przekopu zarzucić nie mogli, a zniechęcenie szwedzkiego żołnierza nawet dla oblężonych było już widoczne.

Około południa trębacz podał do klasztoru list generała, znowu silnie nalegający o poddanie. Pismo to zawierało argumenta w tym rodzaju:

„Chociażeśmy – pisał generał – imieniem, rozkazem i władzą Najjaśniejszego i Najpotężniejszego Króla Szwedzkiego, Pana naszego Najmiłościwszego, i naszym to łagodniejszym, to surowszym staraniem, które, sądziliśmy, powinno było u was zasłużyć na uwagę i zastanowienie, pracowali, aby was skłonić do poddania, przecież i Króla, i nasze uporem prawdziwym zawiedliście nadzieje i dotąd tylko igraliście sobie, udając powtarzaną układów z nami ochotę – a jednak jeszcze raz spróbować ich z wami postanowiłem. Gdy królewskim stałym jest postanowieniem, aby twierdza zdobytą była, na co, jak widzicie, pracę nieustanną łożymy i miny nasze jużemy pod mur zbliżyli, a zarazem sprowadziliśmy inne ogniowe wojenne maszyny przed dwoma dniami z Krakowa, dla zniszczenia, wywrócenia i zgładzenia klasztoru waszego, strzeżcie się więc”... itd.

Cały list był podobny, na przemian to groźny, to upominający, to doradczy, wytwornie stylem wieku napisany; w ostatku protestował się Miller, że jeśli zburzyć będzie zmuszony Częstochowę, wina nie spadnie na niego.

Do przeczytania tego listu zbiegli się wszyscy krom Zamojskiego i Czarnieckiego, którzy nie byli ciekawi; każdy w oczach przeora szukał wrażenia, jakie na nich uczyni, ale Kordecki był nieporuszony.

Zgiełk powstał w definitorium, szlachta znowu wołała swoje:

– Poddawajmy się, poddawajmy!

Uśmiechem politowania wybuch ten przyjął przełożony.

– Ludzie słabego serca i małej wiary! – zawołał. – Jakże wam ciężko wytrwać króciuchną życia chwilę w utrapieniu i pracy!...

Tak! – dodał – będziemy traktować, choćby dlatego, żebyśmy uroczyste dni następne w pokoju i modlitwie spędzić mogli; bądźcie spokojni, odpowiem jutro.

Ostatnie wyrazy wymówił z tak gorzkim żalem, że wstyd nim przecie z obojętnych wycisnął.

XXVI

Nazajutrz, była to wigilia Bożego Narodzenia, przeor z rana usiadł dyktować odpowiedź, którą już w umyśle miał gotową; jak wszystkie jego listy, odznaczała się ona umiarkowaniem wielkim, natchnioną znajomością serca ludzkiego i nadzwyczajną zręcznością, gdyż w Kordeckim męstwo i stałość, jakich dawał dowody, nie wyłączały ostrości dowcipu. Bolał on nad użyciem tej broni, do której wzięcia zmuszały okoliczności, opierał się traktowaniu dla zwłoki tylko, ale Zamojski przekonywał go zawsze, że w wielu razach jest to sposób jedyny.

„Wyznajemy – pisał do Millera – że jw. pan postępował z nami łaskawie i z wielką cierpliwością oczekiwał niejednokrotnie umowy z nami, a chociaż bylibyśmy winnymi, gdybyśmy się na wezwanie Króla JMości Szwedzkiego z klasztorem nie poddali, jednakże, gdy jw. pan najsprawiedliwszym naszym odmówiłś żądaniom, zwłokę tę przypisać potrzeba nie zuchwałemu przeciąganiu, ale postrachowi utraty swobód naszych. Teraz z tąż łagodnością (Kordecki szydził trochę) przez jw. pana napomnieni, przystąpilibyśmy niezwłocznie do układów, gdyby uroczystości Narodzenia Pańskiego nie przeszkadzały; z tej przyczyny racz jw. pan dozwolić nam rozejmu, prosimy najpokorniej; my zaś od starszych naszych otrzymawszy wiadomości (do których odwołać się za zezwoleniem jw. pana możemy...)”.

– A teraz co? – spytał przytomny Zamojski, uśmiechając się – przyrzeczyszli waszmość poddanie?

– O, nie! – odpowiedział przeor. – Posłuchaj tylko dalej: „co przynależeć będzie, uczynimy”. Że nam przynależy bronić się potem, to jasna rzecz, i tak też zrobimy.

– Nie! To darmo, już Szweda nie złapiecie – przerwał Czarniecki. – Zna się na tym dobrze i nie wytłumaczy sobie, żebyśmy się mu poddali.

– Spróbujemy! Kilka dni frysztu otrzymać nie zawadzi – rzekł Zamojski – nie byłoby też od rzeczy do Wejharda dodać list błagalny, aby się wstawił; im sroższy prześladowca nasz, tym go więcej ugłaskać potrzeba. Zatem drugi list do Wrzeszczewica.

Zgodził się przeor i pokorną podyktował prośbę, a gdy oba pisma były gotowe i szło tylko o zanieśenie ich do obozu (w tym wielka była trudność), nikt się nie ofiarował iść z nimi do rozjątrzonego Szweda.

– Użyjemy tego posła, co nam Brzuchańskiego uratował – rzekł Kordecki. – Nasza stara Konstancja swej fatygi nie odmówi...

Posłano do bramy, ale Konstancji nie było w klasztorze, siedziała w swoim barłogu w fosie, i gdy ją z murów zawołano, nierychło przybiegła, zdyszana i zmęczona stając u progu refektarza.

– Co mi to ojciec rozkaże? – spytała.

– Bieda słudze Matki Boskiej! Zaprzęgają do roboty; musicie, moja kochana, spenetrowawszy już raz obóz szwedzki, pójść jeszcze z listem do Millera i Wejharda.

– A czemuż nie? Szwedzi mnie, nie ja się Szwedów lękam; dawajcie tylko karteczkę, póki się nie przypóźni i nie ściemni, żebym jeszcze i powrócić mogła.

W refektarzu stół do wigilii zwyczajem staropolskim był zastawiony; na wąskich klasztornych stolikach leżało już trochę siana, przypominającego narodzenie Chrystusowe w stajence, ale nie było snopów w kątku, bo ich nie miał klasztor, i czarny chleb zastępował białe strucle, naśladujące kształty spowiniętego dziecięcia. Na cynowym talerzu leżały opłatki; wziął jeden z nich Kordecki i przyniósł go do rozłamania żebracze.

– Idź – rzekł – z Bogiem, poczciva sługo, a przynieś nam uspokojenie.

Schyliła się do nóg prawie przeorowi Konstancja, odłamała drobnutką częśćkę, pokłoniła się i szepnęła:

– A Hanna, księżu przeorze?

– Uczynimy wszystko, co można, by ją odszukać, ręczę ci słowem kapłana.

Usłyszawszy to, uradowana starucha już odchodzić miała, gdy Zamojski zbliżył się do niej z kawałkiem opłatka.

– Niechże i ja się z tobą podzielę, odważna kobieto – rzekł – a daj nam Boże z przyszłym opłatkiem lepszych doczekać czasów i spokojniejszego pożywiania daru Bożego.

Drzwi się zamknęły za żebraczką, a wkrótce za ukazaniem się gwiazdy cała ludność klasztorna i wszyscy zaproszeni na wigilię do refektarza ściągać się poczęli, korzystając z chwili wolnej, bo po odebraniu odpowiedzi przeora spodziewano się nowych napaści.

Smutny to był stół ów, który zwykle taka radość ożywia; pośpiesznie spożyto trochę biednych pokarmów, kilka ryb, podanych przez

Brzuchańskiego, trochę polewki, resztę suchych owoców. Głębokie milczenie panowało w refektarzu, każdy się śpieszył ukończyć tę biesiadę, która się zwykle przeciąga tak długo, tak ochoczo obchodzi; bo na noc lękano się szturmów i wszyscy radzi byli pośpieszyć na mury lub do kościoła. Wieczera ta miała jakieś podobieństwo do uczt chrześcijan pierwszych wieków, gdy wśród agapów¹ tajemnych oglądali się i słuchali, czy się nie rozlegnie nagle chrzest rzymskiej zbroi i głos prześladowców. Nareszcie skończyła się smutna; co żyło, ruszyło na mury, a zakonnicy do chóru, bo zbliżał się dzień uroczysty i podwoić musiał modlitwy.

Oczekując odpowiedzi z obozu szwedzkiego, niepewni rozejmu, a raczej pewni, iż nań Miller nie zezwoli, dowódcy i ludzie załogi chodzili po murach; niekiedy zakonnik przesunął się, opatrząc stanowiska, i nikt oka nie zmrużył, gdy dzwonek oznajmił srebrnym dźwiękiem mszę pasterzy. W kościele już stała, starym obyczajem, kolebka Chrystusowa i żłobek, pasterze, Matka Boska, Józef święty i aniołowie... każdy, idąc na mszę pomodlił się u szopki.

Po pierwszej mszy następowały co chwila inne, bo mnogo było księży w klasztorze, a każdy z nich odprawił trzy ofiary symboliczne, tak że do białego dnia przerwy w nabożeństwie nie było. Na murach czuwano, mieniając się; w obozie szwedzkim ognie gęste, ruch wielki coś nadzwyczajnego zapowiadać się zdały; zakonnicy nie bez przyczyny wnosili, że Miller, widząc ich zajętych nabożeństwem, zechce z tego korzystać; ale do dnia nic nie usprawiedliwiło tych domysłów.

O świcie powróciła Konstancja, trochę dumna ze swego poselstwa, w dobrym humorze, z listem w rękę.

Kordecki, wyszedłszy do przedsionka, tu się z nią spotkał.

– No, a co tam, mój pośle?

– Wszystko udało się ślicznie, pięknie, jak potrzeba – odpowiedziała. – Przyjmowali mnie z honorami, bo przez cały obóz prowadzili ze śmiechem i wrzawą, wołając: „Posel z klasztoru! Posel mnichów!” Nadęłam się tedy, jak mi przystało. Miałam też szczęście widzieć oblicze samego pana generała, który także do rozpuku śmiał się ze mnie, list przeczytał, głową kiwnął i rzucił go nic nie powiedziawszy. Wejhard, grzeczniejszy, odpisał. Bardzo się mnie dopytywali, co się tu u nas dzieje, co myślą, co robią; ale widać jakoś nie mogliśmy się zrozumieć,

¹ Agape (gr.) – wspólna uczta pierwszych chrześcijan

to się niewiele nauczyli ode mnie. Szwedzi się gotują do czegoś, ale kto ich wie, co takiego... trudno zrozumieć, zawsze jakieś лихо.

Przeor list czytał. Wejhard pisał, starając się go przekonać o swej gorącej dla klasztoru przyjaźni, dowodził, że się mocno wstawiał za zakonnikami do generała, że Miller, tylekroć zawiedziony, już ufać nie chce; donosił wreszcie, iż wymógł odłożenie szturm przez dzień jutrzejszy, dla obchodu święta Bożego Narodzenia, ale pozajutro powinni się poddać bez zwłoki. Jeśliby zaś tego jeszcze nie uczynili, generał grozi im zniszczeniem i obróceniem w popiół klasztoru. Zaklął się w ostatku gorliwy przyjaciel na Boga i Matkę Jego, że nie groźbę rzuca, ale szczerą prawdę mówi i dalszemu nieszczęściu zapobiec nie potrafi.

Nie troszcząc się więcej o to, co nastąpić może, Kordecki pośpieszył urządzić wszystko do najuroczystszych nabożeństw, które poczęte o północy, skończyć się miało o południu; kościół jaśniał światłem, kwieciami ze szklarni dobytym, drogim naczyniem ze skarbca przyniesionym, i co największą jego ozdobą, ludem pobożnym.

Gdy się to dzieje na Jasnej Górze, w obozie przygotowania potężne: luteranie i kalwini pomodlili się krótko i węzłowato, po swojemu, w skłębionej naprędce szopie i poszli zaraz do baterii, do min, do pracy, bo ich święto czasu wojny niewiele widać obowiązywało. Sam generał, znudzony, znużony i niecierpliwy, dawał z siebie przykład: od świtu był na koniu, objeżdżał, zachęcał, krzepił, obiecywał łupy i obfitym rabunkiem chciał lud swój rozłakomić. Ale żołnierze słuchali tego z obojętnością zimną, niekiedy szyderską, jakby tylko brakło odwagi powiedzieć dowódcy: „Nie zdobędziemy twierdzy i nie dla nas te skarby”.

Rozkazy się krzyżowały, przeciągano działa, ustawiano je, opasywano twierdzę dokoła ludem pieszym, związywano drabiny, ciosano kozły i tarany, kuto haki i narzędzia do szturm służyć mogące. Z klasztoru tylko odzywały się dzwony, muzyka wesoła i śpiewy falami wiały aż do uszu Szweda; na murach zdawało się pusto.

Ilekróć dzwon, śpiew, odgłos jaki dał się słyszeć, żołnierz szwedzki spoglądał z ukosa na klasztor i posepnie kiwał głową: wiara w nieprzełamaną siłę częstochowskich czarów tak już była wielka, że jej nie zachwiać nie mogło. Ludzie nie pojmujący, co może głębokie uczucie religijne, siłę jego zwali, jak umieli; szło wszystko wedle rozkazów, ale one nie dadzą serca, gdy go nie ma; brakło zapалу, każdy się trzymał z

daleka, nawet starszyzna, z której wielu wyjechało na cmentarz do Krzepic, już się niezbyt kwapiła naprzód.

Pomimo przyrzeczeń Wejharda Miller, odpowiedzi nie otrzymawszy z klasztoru, a znając się już na tym, że mnisi tylko zwlekać pragnęli, rozpaczliwie rozkazał o południu ze wszystkich dział i moździerzy dawać ognia: była to napaść tak gwałtowna, jakby ostatni wysilek.

Leciały kule, bomby, karkasy; silono się klasztor zapalić, obalić kościół, przysypać gruzami modlących się i zniszczeniem zmusić do wołania o litość. Kartauny ustawione na bateriach, mniejsze działa i co było spiżu, zaczęły gwałtownie za danym znakiem strzelać na twierdzę.

Miller stał na wzgórzu i patrzył, oczekując zajadłe, ze wściekłością w oku, z zapalem na twarzy; każdy pocisk trafny rozpromieniał mu lice, ale ich było mało; próżny huk – gniew w nim podsycał. Wejhard opodał się trzymał, nie chciał już nawijać się na oczy rozjątrzonemu Szwedowi.

Kwarciani ze swojego obozowiska wyszli także patrzeć, na czym się to skończy, nie kryli się z oburzeniem, jakie czuli. Niejeden, zapatrzwszy się na twierdzę, chwycił szablę i już chciał na kark wpaść najezdnikowi, ale przypomniawszy sobie położenie swoje, opuszczał rękę i z westchnieniem załamywał dłonie, jakby je chciał wstrzymać, by się daremnie nie rwały. Wysypani do jednego z szałasów i namiotów, w milczeniu głębokim, miotani sprzecznych uczuć mnogością, stali, poglądali, jęczeli, a jeden na drugiego rzucał wzrokiem dzikim, nie chcąc winy przypisać sobie i szukając jej w bracie.

Ile razy wiatr dymy baterii i twierdzy rozerwał i unióśł, Miller chciwie spojrział, czy się co nie pali, nie wali; ale opoka jasnogórska stała niewzruszona, we mgłach tylko, jakby w obłokach, uniesiona w powietrze.

Była to jedna z najstraszniejszych chwil od początku oblężenia dla zamkniętych w twierdzy, gdyż małą garść rozdzielić musiano na wszystkie boki, wszędzie się bronić i czuwać. Bezsilny lud tulił się w podwórzach i spędzany tu i ówdzie padającymi kulami, latał z krzykiem, nie wiedząc, gdzie skryć się bezpiecznie. Na dachach pękały pociski, trzaskały mury, waliły się ściany; kurzawa, dym, jęki, wołania, wrzaski najodleglejsze napelniały kąty. Wielu bojaźliwszych, w oczekiwaniu śmierci niechybnej, jeżeli na ziemi bez przytomności, modląc się i klnąc na przemiany. Przeor z krzyżem w rękę wybiegł za pierwszym wystrzałem i pomimo kul, które pod nogi mu prawie padały, wstał na mur, żegnając...

Zamojski latał z miejsca na miejsce, wołając:

– Pilnujcie dachów, pilnujcie murów, baczność, nie traćcie serca! Jeśli Boga kochacie, dzieci, brońmy się po męsku!

Czarnecki stał u dział, kierując nimi, nie mówiąc ni słowa, cały oddany swemu zajęciu; czasem tylko mu się wyrwał wykrzyknik, gdy się udało trafnie odstrzelić, czasem się zmarszczył, gdy pocisk ponad głowę jego ze świstem na klasztor leciał. Naówczas oko za nim posyłał, szukał szkody, jaką zrządził, ale rychło się uspokajał. Jakkolwiek strzały były gęste i obejmowały ze wszystkich stron twierdzę, a skierowane szczególnie na budowle dla zniszczenia ich, drugie ku obwodowym murom dla zrobienia wylomu od strony północnej zwłaszcza, szkody nie okazywały się tak wielkie, jakby sądzić można. Wprawdzie na dachach nieustannie migały smolnymi płachtami, żagwiami i sznurami opatrzone kule niosące ogień, ale tu czeladź czuwała z wodą, a wielka liczba pocisków gasła sama w leżącym na nich śniegu. W podwórcach raz po raz trzaskały kule, ale ich odłamy mury tylko kaleczyły, raziły belki, wybijały okna; kilka czerepów padło na ludzi kupą biegających z miejsca na miejsce, lecz nikogo nie zabiły. Inne kule ryły się głęboko w ziemię i opadały bezsilne, jakby cudowna odbiła je ręka.

Niemniej jednak przestrach był nie do opisania, i gdyby do bram dostać się było podobna, tchórze wybiliby się może przez nie, śpiesząc naprzeciw Szweda. Ale wrót dobrze strzeżono, a w izdebce u furty braciszek Paweł w nowej sukni, którą sobie sam uszył ze trzech wynoszonych habitów, i był z niej nieskończenie rad a szczęśliwy, siedział nad książeczką i modlił się spokojnie. Niekiedy pokiwał głową, gdy hucniej zagrzmiało, i wracał do swego.

Kordecki przez cały ciąg strzelania nie zszedł na chwilę z niebezpiecznego stanowiska, z którego odciągali go na próżno starszyzna i zakonnicy.

– Moje miejsce dziś tu – mówił. – Wy działami, ja krzyżem świętym wojuję. – I żegnał. – Pokażcie mi, które wam działo szkodzi najwięcej – odezwał się – a na nie wymierzę modlitwę.

I powolnym krokiem, przenosząc się z miejsca na miejsce, wszędzie rozdzielał błogosławieństwa,

Od północnej strony największa szwedzka kolubryna, rzucająca trzydziestofuntowe kule, łamała mur nieustannie, a choć go niewiele ujadła, już przecie znaczne były szczyrby. Zmierzchało powoli, gdy tu nadeszli przeor z Zamojskim, spojrzeli i zasmucili się.

– Czasu im dziś nie stanie na zrobienie wyłomu, noc nadchodzi, a jutro zamurujemy dziury – odezwał się pan miecznik.

Kordecki nie odpowiedział, ukląkł, krzyż przycisnął do piersi i modlił się – a była to modlitwa, co cud wywołuje, co przebija niebiosą, co oko Boże ściga na ziemię, natchniona, bolesna, łzawa, całą duszę podnosząca w swych dłoniach: nic nie widział, nie słyszał, nie czuł, przeżegnał wreszcie i promieniejącą wejrzał żrenicą, jakby się budził z zachwyty.

I w tej chwili szwedzkie działo z ogromnym hukiem rozpękło się na kawałki... Puszkarze leżeli pobici, inni uciekali przepłoszeni, a zmierzch nagle zimowy ciemną szatą poczynął pokrywać okolicę.

Nagle ogień ustał na wszystkich punktach jak uciął.

Cicho... tylko w klasztorze stoją zdumieni, osmołeni, drżący od pracy, ochrypli od krzyku, starszyzna i żołnierze, jakby jeszcze czekali... Patrzą po sobie, milczą; rzekłbyś, że jeszcze niedowierzają temu nagłemu uspokojeniu, poglądają na obóz. Tam ruch jakiś, wrzawa, popłoch, potem coraz ciszej; szmery tylko głuche, tylko wozów skrzypienie i niekiedy przeciągłe wołania.

Czarniecki pokręcił wężem.

– Ha! – rzekł. – Dobrze nas grzali; pójdziemy obejrzeć, co też zrobili.

Przeor wstawał właśnie, zesłabły wytężeniem ducha, ale mocny wiarą i pogodny obliczem.

– Skończono! – rzekł ze łzami. – Skończono! W imię Boże, witam was zwycięzców.

– Jak to, księże przeorze? – przerwał Zamojski. – To dopiero początek.

– To już koniec – odpowiedział Kordecki.

– Jak to być może?

– Jestem tego pewny.

– Ale skądże?... – nieśmiało podchwycił pan Piotr.

– Skąd? Nie wiem. Czuję, że to i postrach, i praca ostatnie... Chodźmy spocząć, lud uspokoić i pocieszyć.

To mówiąc, jął obchodzić mury, oglądać szkody dnia tego i ludziom ducha dodawać. Własnymi rękoma opatrywał rany, błogosławił, leczył i słowy krzepiącymi duszę umacniał zwątlonych; a gdy przyszedł do wylekłych, co się tulili po zakątkach, nie miał dla nich gniewu, litość tylko i pociechę.

– Dzieci, rozejdźcie się! – rzekł. – Niebezpieczeństwo minęło, spocznijcie biedni!

Łza mu błyskała pod powieką, zrumienioną niespaniem, pracą i uczuciem. Tak przyszli do wrót, u których właśnie szwedzką trąbkę i głos braciszka Pawła było słycać.

– Chodźmy – rzekł ochoczo – zobaczmy, czego tam znowu chcą od nas. Był to poseł z listem Millera, a pismo niósł gniewne, pełne groźby, srogie i zdradzające bezsilność. Już się w tym wybuchu przebijalo zwątpienie, które miało upokorzonym a wściekłym dowódcą.

„Listy wasze – mówił – czyż dym nam przynoszą, dymu też i płomienia są godne, próżne w nich słowa, zwłoki, upór i...”

– Nie czytamy tego – rzekł Kordecki – to zwrotka zwyczajna. Dalej żądał Miller, żeby natychmiast albo poddali twierdzę królowi szwedzkiemu i załogę przyjęli, albo...

Tu już pan Zamojski się rozśmiał, a Czarniecki aż za boki się pochwycił. „Albo – czytali – za szkody, spowodowane uporem ich, zapłacili zakonnicy...”

– Otóż jest – przerwał miecznik – ostatni nabój; sięga do kieszeni...

Czterdzieści tysięcy talarów za siebie, dwadzieścia tysięcy za szlachtę będącą w twierdzy. Wziąwszy to, Miller obiecywał odstąpić i zareczwał im bezpieczeństwo. Jeśliby zaś nie posłuchali, groził znowu, że nie tylko nie ulży oblężenia, ale dokoła na mil trzy wszystko ogniem i mieczem spustoszy, dobra szlachty (to się stosowało do Zamojskiego szczególnie) zrówna z ziemią – „a wy pisał do zakonników – nie pieniędzmi, ale osobami waszymi, nie mieniem, ale krwią mi zapłacicie”.

– Ależ tegi! – krzyknął Zamojski. – Jak go słowo nie kosztuje!

Kordecki szepnął:

– To już dowód, że ostatkiem goni; mówiłem wam i widzę to teraz jawniej jeszcze: okupu nie damy, bo i tak puścić nas musi, zniszczenia nie będzie miał czasu większego zrobić nad to, jakie już uczynił, bo kraj się budzić poczyna; pošlemy mu tylko życzenie szczęśliwej drogi.

– Dobrej mu się zachciało kołody – zaśmiał się pan Piotr – sześćdziesiąt tysięcy talarów! Widzimy teraz, czego żądał, dopraszając się Częstochowy: chciał się nieboraczek obłowić tylko.

– A zapewniając nam nienaruszenie własności, wyjmował sobie po cichu to, co chciał wziąć tytułem kosztów wojny...

– Jakkolwiek bądź – dodał Zamojski – list to dziwny: i ślepy zobaczy, że mu źle, kiedy z tego tonu śpiewa.

– Zwyciężyliśmy, Bogu dziękować, Bogu! – zawołał przeor w pokorze. – On poratował niegodnych, cud wielki, cud głośny uczynił.

I w zapale wymawiając z cicha wyrazy, które nie doszły uszu towarzyszy, Kordecki pośpieszył do swojej celi.

XXVII

My spójrzmy jeszcze na obóz szwedzki, abyśmy przyczynę Millera tak naglej zmiany wyrozumieć mogli. Widzieliśmy zajętego przed chwilą oblężeniem z nadzieją jeszcze, zajadłością, wytrwaniem; Wejhard stał w dali i czekał, równie z nim pewien będąc, rychło białą chorągiew wywieszą.

Tak zbliżył się wieczór, i generał, ku baterii północnej podjechawszy, widząc opieszałość swoich puszkarzy, na których najwięcej rachował, kazał przy sobie działa nabijać, celować i strzelać.

Ruszyli się trochę ludzie pod okiem wodza, lecz właśnie, gdy triumfował, bo kilka kul w murach uwięzło, za trzecim wystrzałem z ogromnym traskiem rozpękło się działo.

W tejsze chwili prawie wśród popłochu, jaki zrządził ten wypadek, ujrzano na znużonym i zabłoconym koniu śpieszącego posłańca, który dopytywał o Millera i ku niemu się kierował przez obóz do miejsca, gdzie widział zebraną starszyznę. Zmarszczył się generał, nie wiedząc jeszcze, co to znaczy, ale już źle wróżąc, że go wśród dział i boju tak pilnie szukano, i posłał ku gońcowi.

Jeździec wręczył oficerowi gruby plik papierów.

Wejhard, domyślając się, że wieści przysły z głównej kwatery i spodziewając się w nich nowych rozkazów lub obietnicy posiłków od Wittemberga, poskoczył także dowiedzieć się, z czym goniec przybył tak śpiesznie.

Ale już Miller, rzuciwszy tylko okiem na listy, poznawszy pieczęcie kancelarii Karola Gustawa, puścił się do swojego namiotu. Za nim rzucili się wszyscy, i w tej chwili ogień ustał, bo dalszych zabrakło rozkazów.

Zsiadłszy z konia, Miller zerwał pieczęcie, ale lepszy żołnierz niż czytelnik, podsunął karty pisarzowi swemu, aby mu je czytał. Ten naprzód rozpoczął od rozkazu królewskiego, który inne depesze poprzedzał.

Tak, był to rozkaz, podpisany własnoręcznie przez króla szwedzkiego, choć zdawał się dziwnym: polecano Millerowi, aby niezwłocznie, szkody żadnej klasztorowi nie czyniąc, nie myśląc o zdobywaniu go, od oblężenia odstąpił...

Wyrażono przyczyny: że klasztor na Jasnej Górze w tak powszechnej czci u Polaków zostaje, iż napaść nań w całej Polsce oburzyłaby umysły przeciwko Szwedom; zatem ani się więcej kusić ma dowódca, ale natychmiast rzucić ma przedsięwzięte kroki i ciągnąć do Piotrkowa. Osobno wydane były rozkazy, aby Wejhard szedł do Wielunia, Sadowski do Sieradza, ksiązę Heski do Krakowa, a kwarciarz do Małopolski, gdzie im stacje wyznaczono.

Wysłuchawszy czytania rozkazu, Miller porwał się, spojrzał na Wejharda z wymówką i groźbą i kazał precz odejść pisarzowi. Milczenie głucho, milczenie zdumienia osiadło na ustach przytomnych; praca tak długa i ciężka nie tylko że nie została uznana za pożyteczną, ale daremną i szkodliwą osądzona, i cały wysiłek ten próżny, wszelkie straty w ludziach, prochach, orężu, czasie poszły z dymem.

Czoła Millera i jego współpracowników gorliwych czarną się chmurą powlekły; mnisi, odwołujący się do Karola Gustawa, zwyciężyli, a im upokorzenie i żal...

Nim się poczęli rozchodzić z namiotu, generał, jakby myślą nową tknięty, przykazał najsurowiej, by o rozkazie odebrany najgłębsze chowano milczenie.

– Jego królewska mość sam mnie tu wysłał – odezwał się ponuro – gdybyśmy byli zdobyli Częstochowę, cofać by się z niej nie kazał: mamy przed sobą dni kilka, możemy ją opanować jeszcze. Gdy weźmiemy, karać nas za to nie będą – dodał z dzikiem uśmiechem – dla żołnierza potrzeba, żebyśmy nie odeszli próżno, inaczej straci wszelką ochotę i odwagę...

Mówił na próżno, milczeli doradcy, nikt nie zgodził się na to: każdy rad był wycofać się z ciężkiego oblężenia i po daremnej pracy odpocząć.

Ksiązę Heski odezwał się po chwili:

– Darujesz, jenerale, ale nam, nie wchodząc w to, co sobie poczniesz, potrzeba iść, gdzie rozkazują. Ja pozajutro ustępuję do Krakowa.

– Ja do Sieradza – dodał Sadowski – mam naznaczony dzień w rozkazie.

Wejhard tak się odezwał:

– Ja z panem jenerałem, póki rozkażesz...

– Bardzo dziękuję, ale mi to niewielką będzie pomocą – rzekł Miller niechętnie – zresztą, zobaczymy, co zrobię, a o rozkazach królewskich milczeć proszę.

Wszyscy się rozeszli prócz Wejharda, którego rad się był najwięcej zbyć Miller, bo go nie cierpiał, ale ten uparcie siedział.

– Panie jenerale, choćbyście znowu gniewać się mieli – rzekł – jeszcze słowo tylko.

– Czy już tych słów nie dosyć? – zawołał Szwed. – One to podobno przyprawiły mnie o straty, o wstyd, wymówki...

– A nuż się wszystko da poprawić?

– O tym wątpię.

– Pieniędźmi! – szepnął Czech z uśmiechem.

– Hrabia myślisz, że i wstyd da się zapłacić?

– Zapewne, że nie, ale cóż za wstyd, żeśmy byli powolni do zbytku, łagodni, ufni z mataczami i kręcicielami...

– Skądże przyjdą pieniądze?

– A naturalnie z klasztoru!

Miller się rozśmiał szydersko.

– Jakim sposobem? Nudzisz mnie, hrabio; mów, co masz mówić.

– Wszak nie wiedzą o rozkazach, dzisiejszy ogień do reszty ich wystraszyć musiał; posłać, dając im do wyboru: albo zniszczenie lub okup.

Jenerał stanął i pomyślał, zawahał się, ale łakomstwo nakazywało próbę; zgodził się na radę Wejharda i wnet ułożony został ten list, który przez trębacza wysłano do klasztoru wieczorem.

Nazajutrz milczały już działa, a z odpowiedzią od przeora szła rzeško starucha, którą żołnierze przepuszczali, żartami tylko i śmiechem przeprowadzając. Postać jej była poważna, jak przystało posłowi; niekiedy opędzała się od gawiedzi ruchem ręki lub ust i szła dalej, nie dbając na nią. Weselsi i młodzi przebiegali przed nią, kłaniając się jej z udanym uszanowaniem, zaskakiwali, jej drogę, chwyтали za lachmany.

Ona, uwalniając się od nich, wprost kroczyła do namiotu Millera, którego zastała otoczonego całą starszyzną, gromadzoną dla narady i poszeptującą o wczorajszych rozkazach. Wejhard, Kaliński, Sadowski, Zbrozek, Komorowski, księżę Heski otaczali dowódcę, wśród nich wszystkich odznaczającego się najsurowszą i najchmurniejszą twarzą. Na rozkaz jego pochwycono listy z rąk Konstancji, a ona zaraz drugi, z przyłączonymi do niego książeczkami i obrazkami, oddała Wejhardowi.

Ten podarunek, bardzo widoczny, bo dobrą paczkę druków w różnych językach i wizerunkach zawierający, był kolędą, przez Kordeckiego przyslaną hrabiemu i księciu Heskiemu.

Miller i Szwedzi rozśmiali się szydersko, ale śmiech ich był smutny i złośliwy. Każdy poglądał na obrazki z jakimś ciekawością zaostrzonym

wejrzeniem a przypatrywać się im nie śmiał. Wejhard schował swój dar pośpiesznie, wstydząc się go przed różnowiercami; książkę Heski wziął, usiadł i poważnie czytać zaczął historię świętego obrazu.

Miller okiem rzucił na list swój, skrzywił się i podał go Wejhardowi ze znaczącym spojrzeniem; zdawał się mówić: „Patrz, co mi odpowiedzieli!” Oba sprzątnęli rychło pisma odebrane i umilkli.

XXVIII

Wtem, gdy obóz szwedzki odpoczywa, a Konstancja wraca bez odpowiedzi, coś dziwnego zaszumiało na Jasnej Górze.

Miller pogląda, zdumiewa się, nie pojmuje: z dział na wiwat strzelają, rzekłbyś, że wiedzą już o ustąpieniu bliskim Szwedów, słuchać muzykę, dzwony i wesołe, huczne okrzyki. Przez chwilę zawrzało coś w sercu Szweda, bo się zląkł szyderstwa i chciał zaraz mścić się za nie, ale na zapytanie, co się stało. Zbrozek mu odpowiedział:

– Dzień to świętego Szczepana, imieniny dwu Zamojskich i kolęda; jest u nas zwyczajem, że muzyka obchodzi wszystkich i zbiera podarki, składając powinszowania.

Działa częstochowskie coraz zwawiej biły.

– Mają dosyć prochu!... – rzekł Miller ponuro.

– Widać, kiedy .go tak ochoczo psują – dodał Zbrozek.

Wejhard błady i rozgniewany uciekł.

W klasztorze, rychło świt, Kordecki przybył z całym zakonników szeregiem do mieszkania pana Zamojskiego; niósł w ręku wielki obraz Matki Boskiej, malowany na blasze, i piękny agatowy różaniec w złoto oprawny. Za nim szeregiem szli księża, a opodał część szlachty, muzyka, puszkarze, ludzie z załogi. Pan miecznik, jak skoro ich spostrzegł tak uroczyście ku sobie idących, porwał się z objęcia żony, która mu ze łzami imienin winszowała, i biegnąc naprzeciw przeora, zawołał z uniesieniem:

– A, ojczu, nie jestem godzien!

– Jesteś godzien, kochany mieczniku! – poważnie rzekł Kordecki. – Obrońcy ołtarza Matki Boskiej, słudzy Jej przychodzą ci życzyć długich lat życia i pomyślności. Niech Bóg błogosławi cię, rodzinę twoją i wszystko, co cię otacza! Nie targowałeś się z Nim o żywot twój i tych, co ci byli najdrożsi, gdyś je składał w ofierze: Bóg ci go przedłuży, pobłogosławi i opromieni... Przyjmijże nasze życzenia, kochany Stefanie starszy i następco, Stefanie, a ten obraz jako pamiątkę Patronki od ubogich paulinów, a ten różaniec ze skarbca Matki naszej jako dar od Niej...

Miecznik, żona jego i syn płakali, rozczuleni tą uroczystą przemową, zakonnicy koleją szli ścisnąć i całować pana miecznika; a wtem

wszystkie działa twierdzy huknęły wiwatem ogromnym, aż pani Zamojska krzyknęła:

– Jezus, Maryja!

– Nic to, kochana pani – rzekł przeor – na honor to waszego małżonka i v i v a t S t e p h a n u s strzelać kazałem.

Aż tu muzyka zagrała kolędę wesołą pode drzwiami.

– Ale, na Boga! – zawołał Zamojski niespokojny. – Księżę przeorze dobrodzieju, prochu i prószyńki szkoda, a tu go tak marnie psujecie!

– Waszmość tu nie wódz, zwłaszcza dziś, nie wódz, tylko solenizant – odparł Kordecki. – Tak, kochany panie mieczniku; a prochu mamy dosyć; niech Szwed zna, że pod skrzydłami Matki Boskiej, i z takimi ludźmi, jak wy, nie boimy się go...

Szlachta, poczynająca serca nabierać, pod oknami, w sieni, na progu wołała już także:

– V i v a t E n s i f e r! (miecznik) V i v a t Z a m o j s k i! V i v a t S t e p h a n u s!

Pan Czarniecki ją prowadził, ubrany choć do ołtarza: na nim żupan lity, pas złocisty, kontusz karmazynowy, szamerowany złotymi sznurkami, szabla suto sadzona, czapka z czaplím piórem; stanął i zamiast orację rozpocząć rzucił się w objęcia miecznika; obaj się popłakali.

– A swoją drogą ci nie daruję, choć solenizantowi – szepnął Czarniecki – żeś mnie na tę wycieczkę nie wziął; tu nie po kawalersku!

– Puchara! Puchara! – rzekł głośniejsz zaraz. – Niech zdrowie pana Stefana, miecznikowej i konsolacji¹ wychylim! Choćby wodą, jeśli piwnice wysuszyło obłężenie.

– Nie! Nie! – przerwał przeor. – Nie żałujcie: jest jeszcze czym godnych ludzi wypić zdrowie, a ja pierwszy choć małym kieliszkiem. Wiwat pan miecznik!

Działa nieustannie się odzywały, muzyka kolędowała zapalczywie, a pocziwi ludzie weselili się, jakby o kilka kroków nie groziły im zniszczenie i śmierć.

Dopiero w pół godziny opamiętali się wszyscy, że i na mury już zająrzeć wypadało; ale jakoś od wczorajszego dnia, nie wiedzieć czemu, nikt Szweda nie miał za Boże stworzenie; czuli wszyscy, że to był ostatni jego wysiłek, a niebezpieczeństwo minęło.

¹ Konsolacji (z łac.) – pociechy, tj. potomstwa.

Wyszedł Zamojski, wyszła i muzyka za nim, kołędując od drzwi do drzwi, a działa ognia dawały.

Ta radość Jasnej Góry, jeszcze Szwedem opasanej, była trafem dziwnym, jakby naigrzaniem się z jego wstydu i bezsilnej złości. Tam cisza i posępny strach jakiś; po obozie włóczą się postacie zziębłe, schorzałe i poglądają wilczym wzrokiem na mury; huk dział, choć nie ostro nabitych, przykro brzmi w ich uszach; na ziemi, u nóg ich, to zmarzła krwi struga, to potrzaskano koło, to droga kulą wyorana; chude ogniska kopcą, nie grzeją u szerniałych od dymu namiotów, a rozmowa pogrzebowa; każdy liczy, co wycierpiał, co utracił.

I noc czarna pokryła wreszcie z jednej strony radość wielką, a z drugiej zimne, ponure zwątpienie.

O mroku wydano nagle do pochodu rozkazy, ale w twierdzy nikt jeszcze o tym nie wiedział; wśród ciemności, jak złodzieje, poczęli ochotniej nieco do odwrotu sposobić się Szwedzi, zdejmować działa z baterii, wozy zataczać i namioty składać.

Jedna tylko Konstancja z fosy swojej dostrzegła ten ruch i z radością wielką pobiegła do wrót, stukając w nie kijem, jakby je rozbić chciała.

– Jezu Chryste! Co tobie?... – zawołał braciszek Paweł, zrywając się od stolika. – Czy się co pali?...

– Puszczajcie mnie, puszczajcie! – krzyczała żebraczka głośno. – Z dobrą idę nowiną!

Brat Paweł pośpieszył furtkę jej odemknąć, choć to już było po „Anioł Pański”.

– A co? – zapytał.

– Szwedzi się pakują i odchodzą – rzekła szybko – idę z tą kolędą do klasztoru.

I pobiegła szybko, a zastawszy ich wszystkich w refektarzu, nagle, jak zjawisko, ukazała się na progu; w drodze jednak oprzytomniała trochę i nie śpieszyła z nowiną, chcąc się trochę nacieszyć wrażeniem, jakie sprawi.

Gdy ją ujrzeli wchodzącą, ksiądz Stradomski pośpieszył zebrać chleb i resztki jadła do koszyka i przyszedł z nimi do żebraczki.

– Ot, twoja kolęda – rzekł – słuگو Matki Boskiej!

– A i ja nie bez kolędy tu przyszedłam – odpowiedziała z uśmiechem.

– No, a cóżeś nam przyniosła?

– Pożegnanie od Millera.

– Jak to? Gdzie? Czy list?

– Nie list, ukłony tylko.

– Cóż to prawisz? Co ci polecił?... Mów! – trochę niespokojnie zaczął dopytywać ksiądz Stradomski.

– On mi nic nie polecił, ale... Szwedzi się już do wozów garną, zabierają i odchodzą.

Kaznodzieja skoczył do przeora.

– Ojcie przeorze! Bogu dzięki! Szwedzi odstępują; Szwedzi odchodzą! Ledwie ta wieść gruchnęła, rzekłbyś, że się izba zawali, taki się tam rozległ okrzyk radości.

– Kto to powiedział? To być nie może! – wołali w zamieszaniu wszyscy.

– Szwedzi odstępują! – powtarzali bojaźliwi z obłąkaną radością.

I wszyscy poczęli cisnąć się do staruszki.

Kordecki, z lekka przesunąwszy się przez natłok, stanął przed nią.

– Skąd wiesz, sługo Matki Boskiej, że Szwedzi odchodzą?

– I widziałam, i słyszałam: działa zdejmują, wozy sznurują, konie siodlają i klasztor żegnają.

– Byćże to może?

– Najpewniej.

– Dzieci! – zawołał przeor. – Chodźmy Bogu dziękować i litanie zaśpiewać. Może to być jakiś zwodny ruch, ale co Bóg da, to da.

Wnet wszyscy pierzchać z refektarza poczęli, jedni do kobiet z nowiną wesołą, drudzy za Kordeckim do kaplicy, inni na mur, w nadziei, że coś zobaczą, a księża do chóru.

Wśród ciemnej nocy dostrzec nic nie było można; szmer tylko szeroko rozlegał się głuchy i wozów skrzypienie, i tętent koni, i głosy żołnierzy...

Konstancja znikła, poszła, całując swój chleba kawałek ku Krzysztoporskiemu. On stał na miejscu swoim, jak zawsze milczący, pożerany gniewem i troską.

– Słuchaj – rzekła mu surowo stara, wytrzymując go wzrokiem silnym – czy cię, zapamiętały wrogu, i to cudowne dzieło Boże nie poruszy? Czy się i teraz nie nawrócisz? Oddaj dziecie starcowi, przebacz, a będziesz szczęśliwym!

– Idź precz! – rzekł wzgardliwie. – Idź precz, jędo stara! Lub jak psa cię zastrzelę.

Konstancja popatrzała nań długo z jakimś żalem i boleścią.

– Bądź więc zdrów – przemówiła cicho – i niech ci Bóg w godzinie gniewu swojego nie pamięta i przebaczy!

Stary szlachcic milczał, a żebraczka zeszła ze schodów szukając sobie miejsca na spoczynek, bo już po nocy do fosy swej dostać się nie mogła. Noc była zimna, ale ona do niej przywykła; przytuliła się do drzwi kościelnych, okryła łachmanami, skuliła w kłębek, i tak zmrużyła oczy, szepcząc pacierze... Dwie łzy boleści tajemnej, które Bóg tylko widział, popłynęły powolnie spod powiek – i płynęły tak, choć spała, noc całą, aż do dnia... z niewyczerpanego źródła, które sen otwierał.

XXIX

Zaświtało, zaczerwieniało na wschodzie, a oczy obłązonych czekały dnia, zwrócone już na obóz szwedzki, by się przekonać, że prawdą była nowina wczorajsza. Mrok jeszcze ranny nie dozwalał nic widzieć dokładnie, prócz, że się Szwedzi kręcili – a jak mrowia ludu było na blankach: mężczyzn, niewiast, zakonników i dzieci. Poczęło się coraz rozjaśniać, rozwidniać i prawda okazała się oczywistą... Szwedzi szybko się wybierali w drogę, paląc, czego pozabierać nie mogli, niszcząc, co pod ręką mieli; krzyki mieszczan, dochodzące z daleka, dowodziły rabunku i gwałtów na odjezdnym... Namioty już pościągane leżały kupami na wozach, działa wlekły się drogą, lud spędzony do robót około szańców rozsypał się, do domów śpiesząc lub garnąc pod mury, chcąc pomodlić się jeszcze, nim by do pustych chat odszedł.

Przeor, zwycięzca, dziś smutniej czegoś poglądał na pole bitwy; wszystkie cierpienia i ofiary ludzi, i żywoty tych, co tu polegli, odbijały się w sercu jego; stał milczący, poważny, wielki i od dnia tego święty prawie obrońca Częstochowy; bo dzień ten zapisał imię jego nieśmiertelne w księdze dziejów niezatartych. Wszyscy głosili machabeuszowskie jego męstwo, wytrwałość niezmordowaną, cierpliwość i niezachwianą wiarę; dziś każdy za nim powtarzał:

„Lepiej jest, abyśmy umarli na wojnie, niż abyśmy patrzyli na złe ludu naszego i świętych... A jako będzie wola na niebie, tak się niechaj stanie!”

Wśród tego uspokojenia nagły wystrzał i krzyk przeraźliwy wszystkich oczy odwrócił: pobiegli co żywiej na północny kortynę, gdzie niebieskawy dym się jeszcze unosił. Na blankowaniu leżał rozciągnięty krzyżem Krzysztoporski, miotając się w konwulsjach śmierci... Pierwszy przeor przybiegł do niego i nic nie pytając, co się stało, naprzód kląkł przy nim, widocznie konającego już spowiadać.

Ale obłok zgonu zasłaniał mu oczy, ścigały się usta ostatnim wysiłkiem życia pasującego się ze śmiercią, ścisnęły pięści drgające i w chwili, gdy go przeżegnał kapłan, on żyć przestał.

Wystrzał włóczęgi Szweda, który pod mur podkradłszy się, korzystając z nieuwagi wszystkich, rad był pomścić się na katoliku za wycierpiane pod

twierdzą trudy; ostatni wystrzał odchodzących Krzysztoporskiego obalił...

Wszyscy dokoła trupa poklekli, modląc się za jego duszę, gdy krok powolny dał się słyszeć wśród ciszy; była to żebraczka Konstancja.

Spojrzała, krzyknęła, podnosząc ręce, i rzuciła się na ziemię.

Nikt nie zważał na ten jej przestrach, na tę boleść dziwną, bo wszyscy byli tą niespodzianą stratą męznego szlachcica zajęci; tłum cisnął się na mury oglądać, rozpytywano, krzątano się koło niego po cichu.

Nadeszła i pani Płazina, spojrzała, pobladła i rzuciła się pędem nazad do swojego mieszkania. Ksiądz Lassota poszedł do brata, który w łóżku leżał.

– Módl się – rzekł, otwierając drzwi – za duszę Krzysztoporskiego; szwędzki ciura go zastrzelił, nie żyje.

Starzec z początku, jakby słów tych zrozumieć nie mógł, patrzył na brata z otwartymi usty i powieką; potem powolnie zwał się na kolana i nie okazawszy innego uczucia prócz smutku. mówił z cicha "Anioł Pański", a w modlitwie wspomniawszy, co wycierpiał, i ostatnią, najdotkliwszą stratę swoją, rozplakał się rzewnie.

Wtem drzwi otwarły się żywo, szybko, gwałtownie i wpadła, jak obłąkana radością – Hanna. Błada, wycieńczona widać jakimś długim cierpieniem, wbiegła i wprost rzuciła się starcowi na szyję.

– Dziadziu! Dziaduniu! Ja znowu z tobą, ja znowu przy tobie!

Stary zaniemiał, radość dech mu zabiła, milczał i drżał; podano mu wody. Począł ścisnąć Hannę, patrzeć na nią i nie pytał nawet, skąd się wzięła, tylko ją garnał do siebie, jakby się stracić znowu obawiał, a ona powtarzała:

– Ja z tobą, dziadziu! I do domu pojedziemy!

Nareszcie ksiądz Lassota, ochłonawszy nieco, zapytał:

– Ale skądżeś się wzięła?... Gdzieś była?... Co się z tobą stało?...

– Sama doprawdy nie wiem – odpowiedziała – wiele ja tam lat przesiedziałam ukryta.

– U kogo?

– A! To bardzo pocziwa kobieta!

– Ale któż?

– Ta jejmość, której mnie oddaliście:...

– Ja!..., Ciebie oddać? – zakrzyknął starzec.

– A któż? – spytała Hanna. – Jużci widać, że to tak być musiało; ale mnie ta samotność namęczyła.

– Ale mówże, moja kochana Hanno, gdzieżeś ty była? Kto cię tam zaprowadził?

Dziecię, uspokoiwszy się i przysiadłszy u nóg starca, całując jego rękę, tak się odezwało:

– Tego wieczora poszłam, wedle zwyczaju, pomodlić się u ołtarz: a bywało tu już kilka razy, że gdy idę, to spotkam tę panią, ona mi się kłania, zaczepia mnie, rozmawia ze mną. Tego dnia odwołała mnie na stronę, w ciemny zakątek. Moje dziecko – powiada żywo – posłał mnie za tobą pan Lassota, niebezpieczeństwo grozi ci wielkie: Krzysztoporski przez zemstę nad dziadem chcę cię zabić. Krzyknęłam strasznie, a ona: ale chodź tylko, ja cię schowam, że cię nikt nie znajdzie, nikt nie zobaczy, chodź tylko prędko ze mną! Ja, przełęczniona, nie wiedząc, co się to dzieje, poszłam za nią; zaprowadziła mnie na górkę, zamknęła w ciemnej izdebce o jednym okienku i tam mi jeść nosiła, pilnowała mnie, aż dopiero dziś rano...

Nie dokończyła, gdy Konstancja wpadła, kij rzucając u progu.

– Dziecko moje! Dziecko moje! – krzyczała, biegnąc ku Hannie.

Stary Lassota na głos ten, przypominający mu dawniej znany, porwał się z łoża zdziwiony i przelękły. Hanna uśmiechem powitała starą.

Ksiądz Piotr Lassota, zgorszony tą poufałością żebraczki, z ukochanym ich dziećciem obchodzącej się jak z własnym:

– A ty tu po co? – spytał markotny.

Pomiarkowała się żebraczka i cofnąć chciała, gdy Jan Lassota odezwał się żywo:

– To ona!... To Konstancja!... W takim stanie!

Na te słowa z niejaką dumą odwróciła się kobieta.

– Tak jest – odparła. – To ja! Pierwej żona twoja, potem żona drugiego, ta, co ci zatrula życie, co za nie odpokutowała z późną skrucą swoim życiem całym; zaparła się świata, mienia, nazwiska, w dobrowolnym ubóstwie, we łzach i poniewierce starała się przebłagać Boga... To ja, com się dziecięcia mojej córki u wszystkich wyprzeć musiała, aby ta ofiarą uprosić sobie przebaczenie; i dziś nie godnam was jeszcze, ani tej radości, na którą tylko przyszłam spojrzeć, pobłogosławić to dziecko i pójść, gdzie oczy poniosą... gdzie nikt z was więcej mnie nie zobaczy...

To mówiąc, gdy wszyscy milczeli, Konstancja wyjęła z lichej odzieży kawałek chleba i pokazała go Hannie.

– Ten to chleba złomek, którym mnie wnuczka, nie znając, obdarzyła, to mój skarb drogi!... połowę jego złożyłam na ołtarzu Matki Bożej, połowę na sercu noszę.

I ręką wyciągnioną błogosławiła Hannę, która się ku niej zbliżyła, trochę zląkniona, trochę zmieszana i rozweselona. Lassota zaniemiał z podziwu i wzruszeń tyłu; wtem żebraczka, jakby ją ofiara dobrowolna zmuszała oddalić się od nich – wzięła kij leżący na podłodze, rzuciła jeszcze raz okiem na wnuczkę, na męża – i znikła, nim się za nią gonić i chwycić ją opamiętali.

W podwórzu słyhać było nieskładną jej piosnkę, łzawą i śmieszłą, dziwną mieszaninę wesela i obłąkania; brama się otworzyła – wyszła i nie wróciła już do Częstochowy.

XXX

Nazajutrz, gdy mieszczanie z Częstochowy pod wodzą Jacka Brzuchańskiego i lud okoliczny zastukał do bram klasztoru, tłumami idąc powitać Matkę swoją, za którą przetęsknił tak długo, gdy szeroko otworzono im wrota, wielka radość napelniła serca. Wszyscy łzy mieli w oczach, znajomi i nieznajomi witali się i ściskali, winszując sobie; a bojaźliwsi ze sromem, po cichu wynosić się poczęli do domów, obejrzawszy się na puste wprzód drogi.

Pan Zamojski, bojąc się jeszcze, by klasztoru nie napadnięte niespodzianie, pozostał, a Czarniecki także, bo się gorliwością nie dawał uprzedzić; kilku też z nimi przysiedli u księdza przeora.

Kordecki, zwycięzca, kapłan, wrócił do zakonnej pokory, choć go wytrzymane oblężenie wiekuiście okrywało sławą w oczach współczesnych i potomnych. Rozesłano zaraz, oznajmując o odejściu Szwedów, na wszystkie strony z radosną nowiną oswobodzenia; do króla, do prowincjała, do opiekunów klasztoru, hrabiego Cellari, kasztelana Warszuckiego i innych życzliwych zakonnikom, a przeor wśród uniesień i powinszowań bez liku przybywających gości, schylając głowę skromnie, odpowiadał:

– Nie my, nie my, lecz Bóg zwyciężył!

* * *

Tak się skończyło to oblężenie pamiętne i piętnem cudu naznaczone: był to jedyny może obraz rzucenia się ludzi przeciwko sile niebios, wiary walczącej uczuciem swej potęgi z stokroć silniejszym cieleśnie nieprzyjacielem, którego zmogła; obraz garści duchem wzniesionej nad tłumy i duchem je zwyciężającej. W tejsze chwili, jakby zbudzony ze snu i odrętwienia, kraj cały ujrzał upokorzenie swoje, wziął oręż i potargał więzy, które sam sobie włożyć pomógł.

Dnia tego wszyscy Szwedzi ustąpili spod Jasnej Góry – strwożeni, nie wiedzieli, co ich gnało, zawstydzeni, a w głębi przekonani, że ludzką pokonano ich siłą. Siłę tę nazwali czarami, bo ślepi na wiarę.

Miller odjeżdżał gniewny; im bezsilniejszy, tym mocniej rozjątrzony, gotów mścić się na kraju za Częstochowę, która mu się tak zuchwale śmiała opierać.

Jakie Szwedzi pod Częstochową otrzymali cięgi i jak się im to oblężenie dało we znaki, świadczą najlepiej przysłowia, którymi sobie Szwedzi długo jeszcze dokuczali: „Takiś ty zuch – idźże zdobywać Częstochowę!” lub: „Bodajeś Częstochowy dobywał!” Zwali też Częstochowę „grobem walecznych”.

Główny doradca i moralny sprawca oblężenia Jan Wejhard hrabia Wrzeszczewic niedługo już potem cieszył się życiem; w niespełna rok (we wrześniu 1656 r.), napadnięty w Kaliskiem przez wojewodę Grudzińskiego, stracił 800 ludzi ze swej komendy i, uciekwszy nikczemnie z pola bitwy w lasy, błakał się kilka dni po okolicy, aż wytropiony przez chłopów zginął śmiercią sromotną, jak pies, ubity kijami.

Zwycięska obrona Częstochowy wywarła w całej Polsce, jak długa i szeroka, wrażenie ogromne. Pokazało się, że Szwedzi tam tylko zwyciężali, gdzie nie trafili na opór. Zły przykład i zgorszenie, jakie dał dumny magnat, zdrajca Radziejowski, naprawił pokorny zakonnik, maluczki w oczach świata, bo syn włościańskich rodziców, ksiądz Augustyn Kordecki. Ale łatwiej stracić, niż odzyskać, zepsuć, niż naprawić. Jeszcze przez całe cztery lata grasował Szwed po kraju, paląc, niszcząc, rabując i wywożąc ogromne łupy do Szwecji. Dopiero na początku roku 1660 stanął pomiędzy Polską a Szwecją pokój w Oliwie pod Gdańskiem, mocą którego zupełnie ustąpili z Polski.